

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY SIÓDMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 341

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE**

Marceli HANDELSMAN

ABSOLUTYZM OŚWIECONY

I. MONARCHIA LUDWIKA XIV*

Mówiąc „absolutyzm europejski”, widzimy Francję XVII wieku, klasyczny dla tego pojęcia system rządów Ludwika XIV, „wielki wiek” tego króla. I nie bez słuszności. To była bowiem najwyższa, najdoskonalsza forma tego porządku ustrojowego, który stamtąd rozszedł się po całym świecie. Absolutyzm Ludwika XIV był jednakże zamknięciem i jak gdyby ukoronowaniem długiego przebiegu zmian dziejowych, długiego procesu historycznego, który sięga głęboko w przeszłość, aż po średnio-wieczną Francję.

* Marceli Handelsman (1882-1945), wybitny pedagog i historyk dziejów powszechnych i polskich. Od roku 1919 profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Redaktor *Przeglądu Historycznego* i członek wielu zagranicznych i krajowych towarzystw naukowych. W czasie okupacji hitlerowskiej wykładowca w tajnym nauczaniu uniwersyteckim; działa jednocześnie w Biurze Informacji i Propagandy AK. W 1944 roku zostaje aresztowany przez gestapo i w marcu 1945 roku ginie w obozie koncentracyjnym.

Maszynopis o absolutyzmie oświeconym został przekazany na własność Bibliotece Polskiej w Paryżu przez p. Jadwigę Handelsmanową, żonę Profesora. Dokładna data i miejsce powstania tego studium nie są znane. Zostało ono napisane podczas wojny w bardzo trudnych warunkach, kiedy Autor, nie mając dostępu do bibliotek, musiał ukrywać się przed Niemcami. Studium o absolutyzmie, napisane w formie bardzo przystępnej i przypuszczalnie — jak większość prac Handelsmana — z myślą o studentach, stanowić może miało część większej całości. Niemniej jednak maszynopis zawiera zwarte ujęcie problemów przedstawionych na szerszym podłożu historycznym. Jest to temat aktualny tak dla historyków jak i dla szerszego grona czytelników, którzy interesują się korzeniami absolutyzmu, nie tylko „oświeconego”.

1. Już Filip August (1180-1223) potrafił rozszerzyć granice swego państwa, które zajmowało jeszcze nieznaczną część dzisiejszej Francji, osłabił swych wielmożów, wielkich lenników, a opierając się na bogatych miastach wzmocnił swą władzę. Jego wnuk, Ludwik IX, zwany Świętym (1226-1270) umiał tę władzę podnieść zarówno przez wpływ moralny, idący od jego osoby, jak i przez urządzenia, jakie zaprowadził. Ograniczył on wojny prywatne między panami, zakazał ich stosowania w dni świąteczne i szczególnie uroczyste pory roku, zmniejszył zasięg sądownictwa wasalów i na to miejsce zaprowadził sądownictwo królewskie, uporządkował prawa i na czoło wszystkich sądów w Królestwie wysunął parlamenty, z parlamentem paryskim na pierwszym miejscu, który u jego boku stał się potężnym narzędziem porządku i jedności Francji.

Trwające przez cały wiek (od połowy XIV do połowy XV) wojny z Anglią wstrząsnęły do głębi stosunkami społecznymi Francji, ale dały jej poczucie jedności, które wyszło z ludu pod przewodem córki chłopskiej, Joanny d'Arc (1412-1431), i zespoliło się w zbiorowym przywiązaniu do — dodajmy — zresztą niegodnego króla. Ale Francja wciąż jeszcze była rozbita terytorialnie, a posiadłości niejednego wielkiego pana były niewiele mniejsze od samego królestwa. Najpotężniejszym — który sięgał po Francję — był Ludwik XI (1461-1483), tyran, człowiek zły, podstępny i nielitościwy, lecz polityk mądry i wytrwały, zniszczył księstwo burgundzkie, potrafił wcielić znaczną jego część do Francji, siłą złamał opór innych możnych wasalów, rozszerzył swe posiadłości nad Loarą i w Prowansji i pozostawił po sobie mocne i zwarte terytorialnie królestwo i pamięć okrucieństw.

Prawie cały wiek XVI wypełniają wojny religijne. Na czele protestantyzmu stoją możni panowie, którzy dążą do umocnienia własnych państewek i ograniczenia władzy królewskiej. Katolicy idą za królem pod tymi, którzy usiłują umocnić jego władzę. Obcy wtrącają się do tych wojen, by korzystając z zamieszania osłabić Francję. Anglia popiera protestantów. Katolików podburza, potem nimi kieruje mroczny despotą hiszpański, przedstawiciel nieograniczonej władzy u siebie, zwolennik najstraszniejszego ucisku i inkwizycji, protektor nietolerancji Filip II (1556-1598). Pod pozorem obrony katolicyzmu we wszystkich krajach i we Francji usiłuje narzucić swoją przewagę. Potęga jego padła jednak pod uderzeniami floty angielskiej (1588). We Francji zwyciężył wódz hugenotów (tak tam nazywano protestantów), a jako najbliższy krewny wygasłej właśnie rodziny królewskiej

po przejściu na katolicyzm objął tron jako Henryk IV (1589-1610). Korzystając z tego, że wojna zakończyła się zwycięstwem dążności dośrodkowej nad rozbijackimi wysiłkami magnatów, przystępuje do odnowienia monarchii. Wydaje w Nantes (1598) edykt zapewniający protestantom równouprawnienie i posiadanie twierdz, broniących ich wyznania, przywraca w kraju spokój i pokój, zapewnia mu możliwości dalszego rozwoju i dobrobyt masom ludowym, naprawia i wzmacnia finanse państwa, popiera handel morski, ułatwia zdobywanie kolonii, staje się ulubieńcem ludu jako przysłówiowy „dobry król Henryk”. Umierając przedwcześnie, pozostawił synowi, Ludwikowi XIII (1610-1643) zjednoczoną, silną, bogatą, idącą wzwyż Francję i mocną władzę królewską, którą dalej rozwijać mieli jego następcy.

Za Ludwika XIII państwem rządził właściwie niepodzielnie jego pierwszy minister, kardynał Richelieu (1585-1642). Genialny ten mąż stanu złamał bezwzględnie resztkę oporu królów francuskich, zjednoczył organizacyjnie Francję, w prowincjach powierzył zarząd ludziom bezpośrednio sobie oddanym, tzw. intendentom, zniósł przywileje hugenotów, odebrał im twierdze i uzależnił od władzy królewskiej, powiększył dochody państwa, podniósł liczbę wojska i jego techniczną sprawność, wyrósł ponad głowę króla i, choć wszystko czynił w jego imieniu, był właściwym władcą Francji monarchicznej. A dbał nie tylko o jej siłę, ale i o jej wartości kulturalne, o sztukę, literaturę i naukę. To on założył Akademię francuską, do której do owych „czterdziestu nieśmiertelnych” wybierał miano najwybitniejszych pisarzy. Pod jego auspicjami największy tragediopisarz Francji, Corneille stworzył „Cyda”, w którym do szczytu ideału podniósł główną wartość moralną monarchii — honor i wierność poddanych aż do bohaterstwa.

Wyznaczony przezeń jego następca, chytry i układny Włoch Mazarin objął po nim stanowisko pierwszego ministra, na którym utrzymał się do swej śmierci przebiegłością, intrygą i protekcją kobiet. Nie przebierając w środkach, gromadził fortunę wszelkimi sposobami, więcej na lewo niż na prawo, potrafił usunąć wszystkich swych współzawodników, zwyciężył obudzony na nowo przeciwko sobie i koronie opór gorącego ludu Paryża oraz parlamentu, broniącego starych przywilejów swej instytucji, i przygiął buntujących się, „frondujących” książąt domu królewskiego, zniszczył ostatnie wspomnienia samodzielności społeczeństwa, nie zwołując (od roku 1614) stanów generalnych — ale zdobył dla Francji wielką pozycję w stosunkach międzynarodowych.

wych, podnosząc w ten sposób znaczenie i siłę monarchii francuskiej na zewnątrz i wewnątrz kraju.

Kiedy po jego śmierci (1661) wyżsi urzędnicy zwrócili się do zaledwie dwudziestoletniego króla Ludwika XIV (1643-1715) z zapytaniem, do kogo mają kierować sprawy państwowe dla decyzji, otrzymali nieoczekiwaną odpowiedź: „Odtąd sam będę moim pierwszym ministrem”. I istotnie w ciągu swego długiego panowania do samego końca, nawet mimo osłabienia w ostatnich tygodniach życia, z tą samą niezmienną wytrwałą pracowitością sam prowadził wszystkie sprawy państwa.

2. W ten sposób Ludwik XIV połączył w swej osobie majestat królewski z urzędem pierwszego ministra, biorąc faktyczny spadek po wszystkich swoich poprzednikach, budowniczych potęgi monarchicznej, by nadać jej jeszcze więcej blasku. I połączył z formą i etykietą a natchnął duchem tradycji, wziętych od swych praojców hiszpańskich. Po matce prawnuk straszego Filipa II, wnuk Filipa III, który tyranie pogodził z pozorami dobrego króla i kulturalnego człowieka, który potrafił połączyć nieograniczone wyzyskiwanie kraju i społeczeństwa z umiejętnością wydobycia z narodu jego wartości twórczych, przy którym sztuka i literatura hiszpańska rozlały szeroko swój wpływ po całym świecie — Ludwik stał się w swej ojczyźnie spadkobiercą monarchii hiszpańskiej aż do dążenia do uniwersalizmu (powszechności), do wyłącznego panowania także i nad innymi narodami Europy.

Od pierwszej chwili objął on całą władzę, a przez wielki talent rządzenia i narzucania innym swej woli, przez takt, autorytet przyrodzony, poczucie swej roli i godności, przez wyjątkową zdolność imponowania — której nikt, kto się doń zbliżał, oprzeć się nie był w stanie — przez stosowanie środków oddziaływania na masy, w których jeszcze potęgowała się w ten sposób wiara w jego nadzwyczajność, przez umiejętność dobierania sobie współpracowników i odpowiednią politykę spotęgował swoją władzę odziedziczoną.

W jego rękę dosłownie zbiegały się wszelkie nici zarządu państwem i we wszystkich ważniejszych sprawach decydował on sam osobiście. Mając przy sobie czterech sekretarzy stanu, którzy, zepchnięci faktycznie jedynie do roli jego pobocznych sekretarzy, byli przecież ministrami spraw zagranicznych, wojny, domu królewskiego i marynarki, a nadto zarządzali każdy pewną ilością prowincji, łącząc w ten sposób czynności resortowe i terytorialne, król korzystał także z pomocy kanclerza, dożywotniego szefa sprawiedliwości i kontrolera generalnego finansów. Po wypędze-

niu i skazaniu Fouqueta za nadużycia służbowe kontroler zastąpił dawnego nadintendenta finansów i miał zarządzać wszelkimi sprawami skarbu i finansów państwa.

Król pracował sam i załatwiał wszystkie kwestie w radach, a tych było wiele. Z naczelnych na pierwszym miejscu stała *rada państwa albo zwierzchnia (d'en haut)*, w której zasiadało 4-5 osób, ministrów stanu, i która zbierała się co najmniej trzy razy na tydzień. Każdy z ministrów referował tam zlecony sobie przedmiot z zakresu najważniejszych kwestii ogólnej polityki francuskiej. Dalej szła *rada depeesz*, złożona pod przewodnictwem króla z następców tronu, członków rady zwierzchniej i sekretarzy stanu. Na podstawie referatów sekretarzy stanu załatwiała ona wszystkie sprawy wewnętrznego zarządu krajem, król z rzadka tylko zabierał w niej głos, pilnując raczej ogólnego toku rzeczy, i tylko wyjątkowo doprowadzał do postanowienia, o ile zapadła uchwała nie odpowiadała jego myśli. Decyzje tej rady szły na wykonanie do odpowiednich biur i do prowincji. Następnie *rada finansowa*: w niej prócz króla, jego syna i wnuków zasiadało pod przewodnictwem specjalnego prezesa trzech radców finansowych; z tych jednym był kontroler generalny finansów. On był właściwym i jedynym czynnikiem twórczym w tym zgromadzeniu. Zbierało się ono co najmniej dwa razy na tydzień i załatwiała wszystko, co dotyczyło organizacji funkcjonowania życia finansowego państwa. Król brał żywy udział w pracach tej rady.

Najmniej interesował się on *radą prywatną czyli stron (des parties)*, która, złożona z radców stanu i referendarzy, załatwiała spory o zakres władzy między urzędami i była zarazem najwyższym sądem w ostatniej instancji (kasacyjnym). Trzy pierwsze z tych rad powstały za Ludwika XIV lub były przez niego ustanowione, czwarta otrzymała od niego swoją ostateczną konstrukcję i zachowała się w tym stanie aż do rewolucji.

Decyzje rady zwierzchniej szły do wykonania dyplomacji lub wojskowości francuskiej. Postanowienia dwu następnych szły do intendentów, którzy ostatecznie zastąpili w prowincjach dawniejszych gubernatorów i prowadzili tam wszystkie interesy wojsko-administracyjno-skarbowe. W ten sposób rozbudowana sieć administracyjna i sądowa zbiegała się do rąk króla, którego wyrok, decyzja, wola czy samowola rozchodziły się natychmiast po całym państwie i sięgały daleko poza jego granice do wszystkich stolic świata.

3. A jak wyglądało społeczeństwo? Król — a inaczej o nim nie mówiono, to słowo starczyło za imię Ludwika XIV —

wszystkie swoje wyższe urzędy powypęłniał ludźmi z bogatego mieszczaństwa, wszystkie biura poobsadzał mieszczaństwem średnim. Bez możliwości stawiania jakichkolwiek warunków królowi, wszystko, co mieszczaństwo otrzymywali, otrzymywali z łaski i musieli mu być za to oddani. Zwłaszcza, że wszystko mogło też być cofnięte w każdej chwili. Król wiedział o tym, i nie krępując swej samowoli uczynił z nich narzędzie swej nieograniczonej władzy. Podniósł ich do roli swego przybocznego narzędzia panowania, pozwolił im zamknąć się nie-formalnie w osobną kastę arystokracji urzędniczej (*noblesse de robe*, *robe* = toga, którą nosili urzędnicy) obsypywał ich majątkami, tytułami, pensjami, zenił pośród prawdziwej arystokracji, otaczał się nimi i im jedynym ufał. To była wszechwładna biurokracja francuska.

A co się tyczy dawnych rodów pańskich i szlacheckich, by pominąć własną rodzinę królewską, Ludwik XIV odziedziczył arystokrację w stanie upadku, złamaną głównie przez Richelieu i Mazarina. Nie była ona już zdolna do żadnego oporu. Miała tytuły i wspomnienia, nie miała siły i właściwie żadnych istotnych praw w obliczu korony. Ludwik poniżył ją jeszcze w sposób zupełnie swoisty. Nadawał jej gubernatorstwa, które były tylko tytułami honorowymi, obsypywał orderami, formalnymi godnościami, pensjami, lecz bez zajęć i bez władzy, pozwalał uciskać bez opamiętania chłopów i z całej tej niegdyś świetnej klasy uczynił swych nadwornych lokai. Miejszem właściwym i jedynie odpowiednim obecnie dla szlachcica miał być tylko dwór. Kto nie był na dworze, nie liczył się we Francji. Nie istniał. Wszystko się tam cisnęło. Używano wszelkich wysiłków, by dostać się na wielkie przyjęcia zwane *appartements*, na bale, przedstawienia, teatry, a przede wszystkim by móc służyć królowi. Najwyższym zaszczytem było nie tylko być obecnym kiedy wstawał albo kładł się spać, ale móc mu wtedy podać koszulę, ręcznik czy jakieś naczynie, niezbędne przy rannym ubieraniu się. We współzawodnictwie na tym polu wyczerpywała się cała energia potomków dawnych najświetniejszych rodów rycerzy czy bohaterskich wodzów. „Król łaskawie raczył przy tym spojrzeć” — to był przedmiot wzajemnej zawiści i nienawiści innych hrabiów, markizów i diuków. I źródło dalszych tysiącznych intryg. Społeczeństwa szlacheckiego już nie było. Pozostała kasta dworzaków strojnych, rozbawionych, beczynnych, utracjuszków i darmozjadów. W jednej tylko dziedzinie wolno im było jeszcze wyładowywać swą energię: wojsko stało dla nich otworem, a na tym polu wolno im było przelewać krew za swego pana, ale tam mogli oni także marzyć o zdobyciu stopni najwyższych i władzy

prawdziwej, jako że Francja nie przestawała wojować z całym światem.

I tylko gdzieś w odległej Wandei, w zapadłych dworach żył stary duch i byt szlachecki, ukryta tężyzna, niechęć do nowych porządków, bezwzględna wobec nich opozycyjność i, rzecz znamienna, prawdziwe aż do gotowości do poświęcenia przywiązanie starej szlachty do dawnej monarchii.

4. W podobny sposób król ujarzmił także życie moralne i religijne swego narodu. W Kościele zresztą w tym czasie rozpanoszyła się reakcja. Nie znoszono samodzielnego ducha i łamano wszelki indywidualizm. A tymczasem w przeciwstawieniu do wszechwładnych jezuitów powstał kierunek, który początek swój zawdzięczał holenderskiemu duchownemu Janseniusowi. Właściwą siedzibą tego prądu stał się Port Royal w Paryżu. Tam zebrała się grupa subtelnych ludzi, uczonych i myślicieli, wśród których pierwsze miejsce zajmował znakomity fizyk, matematyk i filozof Błażej Pascal (1623-1662). Gorliwi chrześcijanie usiłowali znaleźć własne rozwiązanie dla problemu roli łaski w zbawieniu człowieka. Jansenizm znalazł się na indeksie i spotkał z potępieniem Kościoła urzędowego. Król poparł w pełni Kościół. Zewnętrznie pobożny i zawsze praktykujący, nie znosił on żadnej myśli niezależnej poza sobą i chciał mieć przy sobie Kościół jednolity i zwarty. Jansenizm postanowił zlikwidować a z Kościoła uczynić także narzędzie swej władzy. Spotkawszy się z oporem Stolicy Świętej, zmusił francuskie duchowieństwo do uległości wobec siebie. Pod jego naciskiem po długich sporach na zjeździe 1682 roku wyniosło ono tzw. 4 artykuły wiary galikańskiej, które wprawdzie przyznawały papieżowi autorytet w rzeczach czysto religijnych, ale ogłosiły zwierzchnictwo państwa nad Kościołem w rzeczach organizacyjnych. I choć papież się oparł i długo trwał o to spór, król utrzymał swoje stanowisko i z Kościoła katolickiego uczynił jeszcze jeden czynnik swego panowania nad narodem francuskim. Ale za pomoc, jaką mu okazał Kościół francuski, król gotów był iść dalej w duchu jego poglądów wyłącznych, zwłaszcza że to odpowiadało własnym jego absolutystycznym zapatrywaniom.

Król nie znosił żadnych innych wierzeń prócz swoich. Nie znosił zwłaszcza hugenotów, zwanych członkami pseudo religii protestancko-reformowanej, którzy „ośmielali się” inaczej wierzyć w Boga, niż to czynił on, król. Kiedy posłuszne duchowieństwo zażądało zniesienia resztek praw, które jeszcze pozostały hug-

notom i połączenia ich z Kościołem katolickim, król się na to chętnie zgodził. W roku 1685 nastąpiło odwołanie edyktu nan-tejskiego i stwierdzenie, że we Francji nie ma więcej wyznawców protestantyzmu. I zaczęły się najstraszniejsze prześladowania hu-genotów, inteligencji, mieszczaństwa i chłopów. Gwałty, zbrod-nie, wymuszanie siłą wojskową zeznań, tzw. dragonady. Nie obeszło się bez oporu i walk. Ale w końcu król zwyciężył i setki tysięcy najlepszej pracowitej ludności wywędrowało za granicę, do Szwajcarii, Anglii, Holandii, Prus itp., roznosząc po całej Europie swe talenty i zdolności twórcze. Francja absolutna wprawdzie nie miała odtąd poddanych innego wyznania niż jej król, ale zubożyła się o cały ten liczny a tak wartościowy element. Król mógł być dumny, że ujednocilił oblicze moralne swego narodu.

5. Na straży tego wszystkiego stało mocne i liczne wojsko. Ludwik odziedziczył armię słabą i złą, opartą o przekupny system werbunku i o złodziejstwa. Jest zasługą dwu jego sekretarzy wojny, ojca i syna Le Tellier (syn nosił już szumne nazwisko Louvois), że wojsko oparło się częściowo na poborze, uwolniło się od nadużyć dawnych czasów, otrzymało regulaminy i normalny porządek awansów, sprawnie postawioną administrację wojsko-wą, szkoły oficerskie i, wprawdzie kosztem nieustannie rosnącego obciążenia społeczeństwa, zostało już w roku 1678 doprowadzone do 100 tysięcy żołnierzy po garnizonach i 122 tys. w służbie czynnej, do czego w następnym roku przybyło 30 tys. „dzikich gęsi”, czyli irlandzkich ochotników. A cyfra ta miała rosnać bez przerwy zwłaszcza w ostatniej fazie, w czasie wojny o succe-sję hiszpańską (1700-1714). Wojska te były główną gwarancją posłuszeństwa dla króla w kraju i głównym jego oparciem w stosunku do zagranicy w nieprzerwanym łańcuchu wojen przez które usiłował on narzucać posłuch obcym.

Ta jednolitość, ta zwartość i podległość całego narodu jedne-mu człowiekowi wyrażała się symbolicznie we wspaniałym Pa-łacu Wersalskim. Wybudowany z niesłychanym przepychem, kosztem przeszło pół miliarda złotych w złocie, w miejscu, w którym nie było żadnych do tego warunków, wśród wzgórz, parków, jezior i fontann, specjalnie sztucznie zbudowanych, otoczony pałacami, willami, budynekami, teatrami, scenami otwar-tymi, mógł Wersal pomieścić 10.000 ludzi stale tam zamieszka-łych i stał się jedyną urzędową stolicą wielkiego państwa. Tam przeniósł się ze wszystkimi władzami naczelnymi król, od czasów frondy nienawidzący Paryża. Wyniesiony do wspaniałości przez

architektów, rzeźbiarzy i malarzy, codziennie uświetniani przez dzieła poetów, tragediopisarzy, mówców i uczonych, Wersal samą wielkością i wspaniałością miał uderzać wyobraźnię tłumów i trzymać je w bojaźliwym przykłękaniu przed potęgą tego, który stamtąd panował. A tam zewsząd, z plafonów na sufitach, ze ścian, z drzwi i boazerii spoglądało jego majestatyczne oblicze, jego na boga rzymskiego upozowana postać, wypływająca z promieni słonecznych. Wszystko ożywiające słońce było symbolem tego władcy, który w sobie jednym widział źródło wszystkiego, co istniało we Francji: siły, szczęścia, wprost nawet życia. Król-słońce, jak go nazywali pochlebcy. Odpowiadało to pogładowi, jaki król wyrobił sobie na państwo i swoją w nim rolę, jaki ustalił się powszechnie jako zasadnicze pojęcie jego państwa.

L'état c'est moi — miał powiedzieć król. I choć tego nigdy nie powiedział, wyrażało to dosadnie ówczesny stan rzeczy. Król i państwo to jedno. Do niego należy pełna, wyłączna, całkowita władza we wszystkich zakresach. W instrukcji dla swego syna pisał on: „Jest to odwrócić porządek rzeczy, przyznając decydowanie poddanym a wymagając respektu od króla. Jedyne do głowy należy rozważanie spraw i ich rozwiązywanie, a wszystkie funkcje innych członków winny polegać jedynie na wykonywaniu zleceń, jakie się im daje”. Dla wszystkich więc jedynym obowiązkiem jest posłuszeństwo. „Wola Boga jest” — pisał w swych „Pamiętnikach” — „że kto się urodził poddanym, winien słuchać bez dyskusji”. Stąd nie ma w państwie miejsca na stany generalne, ani nawet na skromną rolę parlamentu, który do niedawna jeszcze pozwalał sobie badać prawność królewskich rozkazów, a teraz stał się prostym biurem do wciągania ordonansów monarchy do ksiąg sądowych. W państwie najwyższym prawem jest wola króla, a można nawet powiedzieć — jego samowola. On też jest właściwym i jedynym właścicielem wszystkiego i wszystkich w państwie. I jeżeli co komu pozostawiał, to jedynie ze swej najwyższej, miłościwej łaski. Jako pomazaniec Boży król Francji jest obdarzony cudowną właściwością uzdrawiania nieuleczalnie chorych i to miało być najwyższym dowodem jego wyjątkowej, przez Opatrzność nadanej mu roli. Tak wyglądało uzasadnienie państwa absolutnego. A jego praktyka po długich latach rządów wielkiego króla? Więc z jednej strony obok niezaprzeczonego ładu, który został na początku zaprowadzony we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego, powstał wielki nowy system gospodarczo-społeczny, wprowadzony z tego samego założenia — wyłączności i monopolu państwa w zakresie kierowania życiem społeczeństwa. Zawdzię-

czał on swe powstanie Colbertowi, synowi mieszczańskiemu, który zaczął swą karierę jako intendent i członek rady finansowej, by potem objąć stanowisko kontrolera generalnego finansów, sekretarza stanu marynarki i domu królewskiego oraz nadintendenta budowli królewskich, który zatem — mówiąc językiem nam współczesnym — obejmował skarb i finanse, handel i przemysł, rolnictwo i dobra państwowe, pracę i opiekę społeczną a nadto komunikacje i kolonie. I trzeba powiedzieć, potrafił zadośćuczynić wymaganiom tych tak różnorodnych i skomplikowanych dziedzin. Udało mu się uporządkować tzw. *taille* (podatek pogłówny), odciażając prowincje zanadto obciążone, a nakładając go w większym stopniu na takie, które prawie nie ponosiły tego podatku. Doprowadził w pierwszych latach do zrównoważenia wydatków i dochodów w budżecie, próbował podnieść rolnictwo przez częściową opiekę nad chłopem i zaprowadził racjonalną gospodarkę w lasach, które uratował od zguby i z których wyciągał o wiele większe wpływy niż dawniej. Uporządkował i na nowo uregulował życie cechów w myśl zasad wspólnych i jednakowych dla całego kraju. Urządził pierwsze wielkie fabryki, tzw. manufaktury państwowe: tkanin artystycznych w Gobelinach, koronek, luster, jedwabi; popierał prywatną inicjatywę w tym zakresie, a zarazem poddał surowym przepisom warunki egzystencji robotników, którzy skoszarowani żyli pod dyscypliną prawie że wojskową. Znosił opłaty celne między prowincjami, tzw. *péages*, by ułatwić handel wewnętrzny w kraju i budował wielkie drogi, łączące odległe części monarchii, zakładał kompanie dla handlu zamorskiego, obdarzając je rozległymi przywilejami i ułatwiając im działalność w Indiach zachodnich i właściwych. Wreszcie stworzył wielką flotę handlową, rozwinął, umocnił i uporządkował flotę wojenną — główne filary potęgi kolonialnej Francji, której był wielkim budowniczym (w Afryce zachodniej, w Indiach i Ameryce Północnej). I to wszystko w myśl takiej teorii: bogatym jest kraj, który posiada liczną ludność i w którym tej ludności jest coraz więcej, skąd nie odplywa pieniędzy, lecz dokąd on przybywa, w którym rozwija się przemysł i handel, pozostające pod opieką i kierownictwem państwa. Ta merkantylistyczna teoria legła u podstaw jego taryf celnych (z roku 1664 i 1667), którymi prawie że uniemożliwił wywóz zbóż z Francji, by utrzymać ich cenę na niskim poziomie, co w rezultacie doprowadziło do upadku gospodarstw chłopskich, w których otoczył opieką zakładane przez siebie manufaktury i produkcję winną królestwa. Ten „protekcjonizm” zwany także *kolbertyzmem*, wyraził się w jego działalności prawodawczej. Uporządkował on

i ujednocilił najprzeróżniejsze przepisy i wydał kolejno ordonans (kodeks) handlowy 1673, kodeks morski i kodeks czarny (obejmujący obowiązki Murzynów w Indiach Zachodnich) 1681, regulujące w miarę możliwości całe życie handlowe, krajowe i zamorskie Francji. I mimo tak rozległej i tak, zdawałoby się, wydanej działalności, pozostawił u współczesnych najgorsze wspomnienie. A kiedy umarł w 1683 roku, trzeba było go chować w największej tajemnicy w nocy, by uchronić jego ciało od obelg i wybryków tłumu. Tak był zniechęcony za te wszystkie ciężary, które spadły ostatnio na naród francuski.

A jednak zarzuty przeciwko niemu były nieuzasadnione. Nie on bowiem był winowajcą tego zła, które waliło się na społeczeństwo. Nie z jego powodu wydatki, z każdym rokiem większe, przewyższały coraz bardziej dochody i wpływy, tak że trzeba było wciąż wymyślać nowe podatki a stare podnosić. Nie z jego winy nędza mas rosła i coraz jaskrawiej odbijała się od bogactwa i wybryków klas uprzywilejowanych. Nie za jego przyczyną zabrakło w ostatnich latach stulecia bezpieczeństwa i spokoju w kraju. Było to bowiem dziełem absolutyzmu monarchicznego, że wszędzie zapanowała samowola i bezprawie i że symbolem czasów stały się tzw. *lettres de cachet*, nakazy aresztowania pod pieczęcią, wydawane *in blanco*, czyli z pozostawieniem pustego miejsca na wpisanie nazwiska. Człowiek wpływowy mógł zawsze uzyskać taki nakaz, wpisywał tam swego wroga lub kogoś, kogo chciał skrzywdzić, i na tej podstawie aresztowany ginął w czeluściach lochów więziennych nieraz na całe życie, i bez wieści. A już na pewno nie od Colberta wychodziły te wszystkie wojny, którym opierał się w granicach swego wpływu a które, będąc zawsze wynikiem osobistej ambicji i decyzji króla, jak kamienie spadały na barki społeczeństwa, zniszczyły jego dobrobyt; nawet jeśli na początku były zwycięskie, osłabiły zdolność do pracy, podkopały energię i wyczerpały siły ludu francuskiego. I już na pewno nie miał nic wspólnego z tym, że zbytek, rozpusta, wydatki bez opamiętania spadały od dworu, od króla, który nie licząc się z żadnym rachunkiem rozrzucił pieniądze na wszystkie strony, choć czasem brakło bieżącego grosza w kasach królewskich i trzeba było się nisko kłaniać bankierom paryskim, błagając ich o pożyczki; pozorami wielkiego bogactwa król usiłował ukryć nędzę narodu i podtrzymać swój wpływ, rujnując państwo i społeczeństwo. Dwór zaś stał się siedliskiem i źródłem zgorzenia, które wypełzało na całą Francję. Król — arcychrześcijański — utrzymywał publicznie urzędowe kochanki, tzw. metresy, które posiadały prawie że etykietą prze-

widziane miejsca w państwie, których dzieci szły zaraz po własnych ślubnych dzieciach królewskich, których alkowy zrównały się nieomal z dworem właściwym. Od rana do nocy zapchane przez szlachtę i duchowieństwo, przez ministrów i generałów, były oblegane staraniami i błaganiami o posady, pensje i ordery.

Tak oto dwór wersalski w złym i dobrym stawał się przykładem pozostałej Europie, która go będzie naśladowała, ale i początkiem ostrego krytycyzmu, z którego wyrosną z czasem nowe myśli i idee XVIII wieku.

II. NIEMCY. AUSTRIA. PRUSY

1. Wpływ francuski odbił się przede wszystkim na Niemcach. A że Niemcy w tym czasie składały się z 360 „suwerennych” państw, z których niejedno nie miało więcej niż kilkanaście kilometrów kw. powierzchni, więc tym bardziej taki „zwierzchniczy monarcha” dążył do tego, by być i wydawać się władcą nieograniczonym, by nadawać sobie tony prawdziwego „z łaski boskiej króla”. Na to istniała jedna recepta: postępować tak, jak to czynił Ludwik XIV. A że ci mali tyrani, głównie nadreńscy, widzieli w Ludwiku rodzaj opatrności, która miała ich osłonić przed pożarciem przez cesarza, więc tym bardziej starali się go naśladować. Małpowali głównie to, co nie zasługiwało na powtórzenie, ale co odpowiadało ich próżności, ich pysze i chęci używania. Zaprowadzali ucisk swych poddanych, wyduszali z nich podatki, nakładając obciążenia na spożycie mas ludowych, roztańczali zbytek bez miary, budowali jeżeli nie Wersale, to przynajmniej małe Trianony i osadzali w nich swe metresy, bo urząd kochanki — *Mätressentum* — należał do niezbędnych akcesoriów każdego szanującego się „monarchy” w tym tak licznym gronie *Duodezimalfürst*’ów, książąt siedzących na dwóch łanach ziemi. Do tych spraw prestiżowych (podnoszących ich dostojność i wpływ) należało także utrzymywanie wojska, choćby to wojsko miało nie przekraczać liczby... dwunastu żołnierzy. I w rezultacie wszyscy ci władcy doprowadzali Niemcy do rozkładu i upadku przez swój absolutyzm. Ale w absolutyzmie tkwił także zarodek odrodzenia sił narodu, reprezentowały zaś tę stronę kierunku dwa naprawdę wielkie państwa niemieckie: Austria i Prusy.

2. Austria była dziwnym państwem bez własnego imienia,

właściwie bez wspólnej nazwy. Austrii jako całości nie było. Istniały jedynie posiadłości dziedziczne Habsburgów, wśród nich także i arcyksięstwo austriackie. A należały one do najstarszego nie wiekiem ale w porządku dziedziczenia przedstawiciela tej dynastii, na którego głowie spoczywała korona cesarska rzymsko-niemiecka i który siebie nazywał po prostu cesarzem. I ten związek, zawiązany w końcu XIII wieku, był mimo elekcyjności władzy cesarskiej nieprzerwanie utrzymywany do roku 1437/38. Od tego czasu elektorzy niemieccy wybierali stale cesarza z rodziny habsburskiej, najstarszego syna po ojcu, albo następnego brata ze starszeństwa, jeżeli umierający cesarz nie miał potomka męskiego.

Ale cesarstwo wciąż było najwyższą godnością na świecie, choć brakło mu władzy faktycznej. Cesarz stał na czele Rzeszy Niemieckiej, mógł domagać się od niej postawienia wojska dla obrony granic Rzeszy, zajmował w niej pierwsze miejsce, ale prócz rozdawania tytułów, ściągania z powrotem ziem po wasalach, których rodziny wymarły itp., nie mógł zdziałać nic realnego dla cesarstwa. Obok niego urzędował w Ratyzbonie stały od roku 1663 sejm, złożony z elektorów (8), z książąt (33 duchownych i 61 świeckich) i miast (51). Przekształcił się ten sejm w kongres dyplomatów książąt i miast Rzeszy, w środowisko zupełnego bezwładu, o ile chodzi o jakąś twórczość, w miejsce wzajemnych intryg i ubiegania się o formalne triumfy (np. kto ma przed kim usiąść, na jakiego koloru ławie itp.). Podobnie bez znaczenia był naczelny sąd Rzeszy (*Reichskammergericht*), od roku 1603 zasiadający w Wetzlarze, w którym zalegały dziesiątki tysięcy spraw niezłatwionych, i równoległe do którego cesarze utworzyli w Wiedniu inny sąd, w intrygach konkurujący z tym, a znajdujący się wprost pod ich ręką (*Reichshofrat*).

Z Rzeszy można było jedynie w trudnych okolicznościach wydobyć wojsko. Złożone z setek odrębnych kontyngentów, pstre i niejednolite, zebrane w momentach krytycznych nie bez oporu, bo zawsze lękano się, że cesarz użyje go jedynie dla swoich celów, okazywało ono nieraz swoją dzielność u boku cesarza, jak w ciężkich bojach z nawałą turecką, która zwała się na „Austrię” (1664-1697). Ale i ono działało tylko na zasadzie dobrowolnej pomocy jego panów.

Właściwym monarchą był cesarz tylko w swoich tzw. krajach dziedzicznych, w Austrii i na Węgrzech, w Czechach, na Morawach, na Śląsku czy w Siedmiogrodzie, w Styrii, Tyrolu, Flandrii i wielu innych. I tu mógł ujawnić swoje prawdziwe oblicze

nieograniczonego władcy. Ale i te ziemie razem nie stanowiły jednej całości, lecz były zlepkiem terytoriów na pół samorządnych, które miały swoje prawa, swoje stany krajowe, swoje sejmy i własne zarządy. Cesarz jednak powoli stara się ześrodkować całą władzę nad nimi, ściągając wszystko do stolicy, do Wiednia. Stany krajowe są coraz bardziej ograniczone w swoich zakresach działania (kompetencjach) i przetwarzają się wyłącznie w instytucje do uchwalania wniosków podatkowych, przedstawianych im w imieniu cesarza, tracąc wszystkie inne uprawnienia. Powoli do Wiednia przenoszą się osobne kancelarie nadworne: dla Czech, węgierska, najwyższa rada hiszpańska z oddziałami dla Mediolanu i Flandrii, deputacja dla rzeczy iliryskich (chorwackich) itp., i z nich wszystkich czyni się jak gdyby wydział naczelną rady tajnej, która jest powołana do załatwienia spraw politycznych monarchii. A obok tej rady istnieją w Wiedniu zbiorowo (kolegialnie) działające: Nadworna izba dla finansów i handlu oraz Nadworna rada wojenna — ministerstwo wojny i wojskowości. Mimo bezwładności właściwej kilku z rzędu cesarzom z końca XVII i początku XVIII wieku, poprzez swych ministrów i za pomocą tych rad ściągają oni do swych rąk wszystkie sprężyny zarządu państwowego, które przez rozmaite ogniwa urzędnicze roznoszą rozkazy cesarskie po całym państwie. Odcięta od pozostałego społeczeństwa, a złączona w osobny organizm, ściśle związana z systemem absolutystycznym swego pana, biurokracja (urzędnictwo) austriacka, z pochodzenia czesko-niemiecka, staje się głównym narzędziem panowania dynastii nad społeczeństwami, narodami, krajami o tylu własnych odmiennych tradycjach, mając na celu stopienie ich wszystkich we wspólny tygiel wieropoddania. Drugim środkiem wiążącym te niejednolite części i utrzymującym je w jedności jest wojsko. „Cesarscy” (żołnierze) zespalają kraje, narzucają im szacunek dla władzy i lepiej czy gorzej krwią swoją bronią granic, interesów i aspiracji habsburskich. „Austria” w końcu XVII wieku jest znaczną potęgą wojсковą i liczy normalnie ok. 150 tys. żołnierza.

Długie rządy władcy, który wytrzymać musiał straszne uderzenie tureckie, jakiemu sam nie potrafił stawić czoła, odwołując się do pomocy Polski, panowanie Leopolda I (1658-1705) przyniosło istotnych zmian niewiele, ale za to bardzo doniosłe. Austria otrzymała policję, która odtąd, mniej czujna na obowiązek obrony społeczeństwa przed zbrodnią pospolitą, stała się ważnym czynnikiem ujarzmiania ludów, poddanych berłu habsburskiemu. Z jej środowiska wyjdzie pomysł podzielenia społeczeństwa na klasy (naprzód 5, potem 3) i przypisania każdej klasie

jej tylko przynależnego sposobu życia, odrębnego stroju, własnego bytu domowego itp., uregulowania zatem całej egzystencji prywatnej.

Do sądownictwa, które dotąd używało języka łacińskiego, wprowadzono powszechnie niemiecki. Odtąd niemiecki staje się wyłącznym językiem urzędowym państwa, a zarazem nowym psychicznym czynnikiem zewnętrznego zbiorowego ujednoczenia i podporządkowania tych rozmaitych pod względem etnicznym, językowym, kulturalnym i narodowym elementów.

Po Leopoldzie Austria wchodzi właściwie w nową fazę dopiero za Marii Teresy (1740-1780). Jej stryj Józef I (1705-1711) zaznaczył się nadmiernym wzrostem wydatków, rozrzutnością i zbytkiem, skłonnością do budowania i rozszerzania pałaców. Austriackim Wersalem stać się miał Schoenbrunn. Jej ojciec Karol V (1711-1740) z kłopotliwą troskliwością zabiegał o utrzymanie w jednośći wszystkich posiadłości dziedzicznych i o przekazanie ich swej córce, jako że synów nie miał. Zapewnieniu jej spadku poświęcał wszystkie inne polityczne i społeczne interesy swoich państw. Dopiero Maria Teresa, pierwsza kobieta na tronie tyłu ziem, w dziwacznej roli „cesarzowej”, czyli małżonki swego męża, a właściwie jako król Węgier i Czech, arcyksięża austriacki, hrabia Tyrolu itp., ogłędnie lecz stanowczo pchnęła inne ziemie dziedziczne, uratowane od zagłady pruskiej za cenę odstąpienia samego Śląska, w kierunku wskazanym przez Ludwika XIV i podjęła ostrożną lecz nieustającą akcję jednoczenia swej monarchii. Zreorganizowała wojsko, które nie okazało się na wysokości zadania w pierwszej wojnie śląskiej (1740-1742). Pełna poczucia wysokiej roli swego stanowiska, starała się jeszcze ograniczyć samodzielność krajów i poddała ich gospodarkę finansową kontroli organów centralnych. Pozbawiła je atrybucji politycznych i podporządkowała rozkazom Rady Najwyższej. Ale najwięcej uwagi poświęcić musiała sprawom finansowym. Zniesiono wszystkie dawne przywileje podatkowe stanów wyższych i wprowadzono podwójny podatek osobowy i majątkowy, który, obciążając poddanych, jeszcze nie przywrócił zaufania do pieniądza państwowego.

To była jej główna troska: wstrząśnięte nieszczęśliwymi wojnami (drugą śląską 1744-1745 i siedmioletnią 1756-1763), społeczeństwo w swym dobrobycie i państwo w kredycie wymagały konsekwentnego leczenia, a rząd widział jedyne lekarstwo w nieustannym zaciskaniu pasa na poddanych, by uzyskać sumy niezbędne na utrzymanie stanowiska i niektóre zbytki, jak np. upiększanie Schoenbrunnu, ulubionego pałacu cesarzowej.

I w stosunku do moralnej strony egzystencji zbiorowej za Marii Teresy stosowano te same metody ogłędnej unifikacji. Więc o ile chodzi o Kościół, to nie odmawiając opieki słusznym troskom duchowieństwa o podniesienie poziomu wykształcenia teologicznego i uporządkowanie życia klasztornego, państwo położyło swą dłoń na administracji majątków duchownych, ograniczyło liczbę świąt w roku, zniosło inkwizycję w Lombardii i uzależniło ogłaszanie pism papieskich od swojej za każdym razem uprzedniej zgody. Ale wszystkie te posunięcia, powiększające władzę państwa w stosunku do Kościoła, zostały zaprowadzone w porozumieniu z Stolicą Świętą. Co się tyczy oświaty, za Marii Teresy została istotnie znacznie rozszerzona w Austrii sieć szkolna, głównie w zakresie szkolnictwa powszechnego, a poziom nauczania pod względem pedagogicznym się podniósł, jednakże szkoła otrzymała bardzo wyraźne, *w y ł ą c z n e* przeznaczenie, miała się zajmować przerabianiem ludzi na wiernych i oddanych poddanych. *Die Schule ist ein Politicum*, mówiła cesarzowa w swym specyficznym „austriackim” języku. „Szkoła jest narzędziem politycznym”, oto może najbardziej znamieną dla jej panowania formułą ideologiczną. Z ostrożnej i przezornej drogi Austria po jej śmierci nagle skoczyła w niewiadomą gwałtownych przeobrażeń.

Jej syn i następca, od śmierci jej męża cesarz i współrządca dóbr dziedzicznych, Józef II (1765, 1780-1790), trzymany faktycznie przez matkę z dala od polityki, teraz już blisko czterdziestoletni, z gorączkową namietnością zabrał się do prowadzenia państwa. Do głębi świadomy konieczności mocnego jednolitego złączenia ziem austriackich, przystąpił do centralizowania wszystkich krajów koronnych, nie licząc się z ich naturą i charakterem. Do administracji, jednakowej teraz we wszystkich prowincjach, wprowadził wyłączne używanie języka niemieckiego, zarówno w Pradze i Wiedniu jak w Brukseli czy Mediolanie. Wbrew historycznym odrębnościom krajów całe państwa podzielił jednolicie na 13 guberni, gubernie na obwody, i przez starostów obwodowych i gubernatorów do kancelarii nadwornej wszystkimi zarządzał jednakowo. Obok tych organów administracji pozaprowadzał w podobny sposób uszeregowane sądy, kończące się również w Wiedniu w Radzie Nadwornej. W ten sposób w jednym schemacie zamknął wszystkie kraje i społeczeństwa, lekceważąc ich patriotyzmy, przyzwyczajenia i odrębności obyczajowo-ustrojowe. Podobnie i w innych dziedzinach nie myślał brać pod uwagę arystokracji, która dotąd posiadała tak wybitne i wpływowe miejsce na dworze cesarskim i w życiu

społecznym Austrii, ani duchowieństwa, które umiało bronić swych pozycji.

Podjął teorię ekonomiczną, która w tym czasie przez Quesnay'a (1694-1774) zdobyła sobie uznanie we Francji i która pod nazwą *fizjokratyzmu* uczyła, iż życie gospodarcze rozwija się niezależnie od zewnętrznych nakazów w myśl praw, które rządzą jego własnym rozwojem, i że w tym życiu jedynym źródłem bogactwa jest ziemia, rolnictwo, a wszystko inne jest tylko wtórną przeróbką wartości, otrzymanych od ziemi. Zgodnie z tą teorią zamierzał zaprowadzić jeden jedyny podatek od ziemi, który musiałby uderzyć przede wszystkim w większą własność, mocno tym projektem przerażoną. W konsekwencji takich poglądów, ale również skutkiem uczuć humanitarnych, które nie były mu obce, zajął się losem chłopów. Zniósł poddaństwo w szeregu krajów (1781-1782-1785 — Czechy, Morawy, Śląsk, Styria, Karniola, Bryzgowia, Węgry) i szykował się do skasowania, a przynajmniej uregulowania pańszczyzny i robocizn, dalszy los chłopów oddając pod opiekę starostów obwodowych.

Radykalny wyznawca galikanizmu francuskiego nadał mu u siebie jeszcze ostrzejsze zabarwienie, które otrzymało nazwę *jozefinizmu*. Własnymi edyktami, wbrew staraniom papieża Piusa VI, który umyślnie przyjechał do Wiednia w roku 1782, by ratować Kościół od wstrząsów, co roku zaprowadzał coś nowego. Biskupów upoważnił do załatwiania spraw zarezerwowanych dla Stolicy Świętej, nadał im prawo udzielania dyspens dla małżeństw, od zezwolenia cesarskiego uzależnił nie tylko ogłaszanie pism papieskich, ale i listów biskupów do wiernych; nominacje biskupów oddał w ręce władzy świeckiej, z pominięciem papieża, diecezje przystosował pod względem terytorialnym do podziałów świeckiej administracji, zniósł istniejące seminaria i w ważniejszych miastach urządził nowe „seminaria główne”, związał je z uniwersytetami i wprowadzał tam tylko nauczycieli „oświeconych”; skasował 700 klasztorów, dobra ich zajął, co po rozwiązaniu zakonu jezuitów ogromnie powiększyło stan dóbr państwowych, a nad klasztorami, które zostały utrzymane, rozciągnął ścisły nadzór. Słowem wywracał cały dotychczasowy porządek spraw kościelnych. A jeżeli do tego dodać edykt tolerancyjny dla protestantów, to otrzymamy całokształt jego działalności, wprowadzonej wprawdzie z założeń ludwikowych, ale przeświecłonej już nowymi myślami, którym nadano nazwę idei „Oświecenia”.

Działając pośpiesznie, nie opierając się na nikim, słuchając jedynie swej własnej ambicji twórczej i swego nieograniczonego

ducha autokratycznego, Józef II nikogo nie zadowolili i niczego nie osiągnął. Umierając pozostawił powszechne niezadowolenie i wywołał wszędzie opór: przeciwko jego dziełu podnosiła głowę nie tylko szlachta, której odebrał władzę nad chłopami, i Kościół, który poniżył; buntowały się kraje, które nie mogły dać się pozbawiać swych praw historycznych, nawet chłopci i różnowiercy byli przeciwko jego poczynaniom. I wszystko się zachwiało, by powrócić nie mniej gwałtownie do starego, pchając Austrię znowu wstecz.

3. Austria składała się z terytorium zwartego, złożonego z wielkich przylegających do siebie ziem. Prusy na początku XVIII wieku były rozrzucone na olbrzymiej przestrzeni od Mozy po Niemen, porozrywane przez inne państwa niemieckie i rozcięte przez terytorium polskie, na podobieństwo wielkich i małych wysp utopionych w obcym morzu. Poza Prusami Wschodnimi, które były polsko-litewskie, składały się z prowincji, z których każda miała swą odrębną fizjonomię historyczną, ale które wszystkie były czysto niemieckie. Ale i to państwo, jak Austria, nie miało dotąd własnej wspólnej nazwy. Należało do elektora brandenburskiego, księcia Rzeszy niemieckiej, który był ponadto księciem pruskim, czyli wasalem korony polskiej. I podlegał nominalnie jeszcze w XVII wieku dwu panom: cesarzowi i królowi polskiemu. Od roku 1660 zwolniony od zwierzchnictwa polskiego, poczuł się przede wszystkim Prusakiem i nazywał księciem pruskim, do czasu, kiedy za Fryderyka I w roku 1701 ogłosił się „królem w Prusach” i nazwą Prus, odtąd jako wspólną, nie objął wszystkich swych posiadłości. Ale jeśli Prusy dały nazwę temu państwu i stały się jego główną częścią, brandenburski Berlin po staremu pozostawał stolicą i tam zbiegały się wszystkie nici zarządu, tam się ogniskowało życie polityczno-społeczne tych dziesiątków części, które jednoczyły się dotąd naprawdę wyłącznie w osobie samego monarchy. Rządzone od dawna z tendencją do samowładztwa, otrzymały one ostatecznie swój charakter za Fryderyka Wilhelma, zwanego Wielkim Elektorem (1640-1688). W nieustannych wojnach po stronie Szwecji i przeciwko niej, przy Ludwiku XIV i przeciwko niemu, z nami i przeciwko nam rozszerzył on ogromnie swój stan posiadania i władzę w swoich ziemiach. Siłą, podstępem, zdradą i przebiegłością złamał stany prowincjonalne, zniszczył ich znaczenie, pozbawił je samodzielności, szlachtę zepchnął na poziom swych sług, miastom odebrał ich samorządy i na to miejsce postawił swą nieograniczoną władzę.

Swe stare i nowe prowincje połączył własną pocztą, a Odrę związał ze Sprewą kanałem. Po wszystkich krajach poumieszczał swoich urzędników, którym odbierał uposażenia w dobrach i dochodach państwowych a wyznaczał pensje pieniężne, całkowicie ich od siebie uzależnił, stosował do nich bardzo surowe metody dyscypliny, narzucił im ślepy posłuch dla swych rozkazów i uczynił z nich nieme narzędzia swego panowania nad społeczeństwem. Podniósł dochody swego państwa. Przez lepszą a planową gospodarkę w lasach znacznie powiększył wpływy z nich idące. Po miastach zaprowadził podatek pośredni od spożycia, tzw. akcyzę, dobra państwowe poddał zarządowi izb domenialnych, miasta izb wojennych i w ten sposób całe swe państwo objął jednolitą siecią administracji finansowo-politycznej. Na czele zarządu stali ministrowie w *Gabinecie* oraz Tajna Rada, przypominająca podobne instytucje we Francji i w Wiedniu.

Wielki elektor całą swą politykę gospodarczo-finansową tak miał nastawioną, by wyciągnąć ze swoich poddanych możliwie najwięcej pieniędzy. Zaludniał kraje opustoszone po wojnach przez umyślnie ściąganych kolonistów. W taryfie celnej zakazał wywozu i przywozu szeregu towarów, które zaczęły się zjawiać w Prusach na skutek podjętej tam, na wzór kolbertowski, akcji budowania młodego przemysłu. Zaprowadził monopol soli i niektórych innych przedmiotów powszechnego użycia, który dawał mu wielkie zyski. Będąc nieprzejednanym wrogiem katolików, opieką otaczał wszelkiego rodzaju protestantów poza swym kalwińskim wyznaniem, i przez tę swoją tolerancję ściągał do siebie tak cennych pod względem gospodarczym hugenotów francuskich. Żydom pozwolił mieszkać w Berlinie. Na tych żywołach oparł handel i przemysł swego państwa. Nosił się z zamiarami kolonizacji zamorskiej. Puścił pierwszy okręt na morze i uzyskał nawet kolonię na złotym wybrzeżu afrykańskim w Gwinei. To wszystko miało służyć jednemu celowi: zapewnić mu posiadanie znacznej armii stałej, którą doprowadził do blisko 30 tys. żołnierza. A wojsko było fundamentem jego rosnącego znaczenia w Europie, jego siły w państwie; ono też stało się głównym oparciem dla jego nieograniczonej władzy w stosunku do społeczeństwa, które aktami terroru utrzymywał w stałym strachu.

Syn jego Fryderyk III, potem jako król Fryderyk I (1688, 1701-1713) przejął już gotowe narzędzia wpływu. Swój prestiż podniósł przez przyjęcie tytułu króla i dokonanie koronacji, mimo szeregu upokorzeń w stosunku do cesarza, do Polski i innych państw, jakie kosztowało pozyskiwanie uznania dla tego nowego tytułu. Ale wobec swych poddanych był odtąd królem i to swoje

„królestwo” podtrzymywał szeregiem środków, działających na wyobraźnię. Zaprowadził order Orła Czarnego, otoczył się wspa-
niałym, choć dorobkiewiczowskim dworem, rozdawał tytuły, żył
w przepychu, wystawnie, budował się. Dla swej żony, wysoce
kulturalnej księżniczki hanowerskiej, wystawił pod Berlinem
Charlottenburg (dziś część tego miasta), a ona jako protektorka
kultury na tym jeszcze mocno barbarzyńskim dworze wzięła na
siebie rolę budzicielki nowych dzieł twórczych. Dzięki niej zało-
żona została Akademia Sztuk Pięknych w roku 1696, powstała
Akademia Nauk w roku 1700 i zaczął się ruch naukowo-literacki
w Prusach.

Wydatki rosły. Dochody nie wystarczały. Trzeba się było
uciekać do nowych podatków pośrednich i mimo to nie udawało
się osiągnąć równowagi budżetowej i w kasach zjawiał się groźny
niedobór. A jednak Fryderyk I, który podniósł Prusy do god-
ności królestwa, pozostawił przez to swym następcom jeszcze
jeden pierwiastek wzmocnionej władzy monarchicznej.

Jego syn Fryderyk Wilhelm I (1713-1740) był królem
już od samego początku. Nie potrzebował się niczego dorabiać
i miał pełne poczucie swej mocy. A jako natura despotyczna,
nieznośny dla swej rodziny i otoczenia, brutalny tyran dla podda-
nych, stał się prawdziwym samowładcą w państwie. Jedną z me-
tod rządzenia była jego laska, której wytrzymałości próbował
własnoręcznie na plecach swoich urzędników. Zaden z jego mi-
nistrów nie był przy nim niczym więcej jak tylko najstarszym
jego sługą, postawionym nad krajem niewolników. W szlachcie
złamał ostatecznie ducha oporu i godności. Zamienił ją w po-
wolne narzędzie samowładztwa: odbierał synów rodzicom, wy-
chowował ich w swojej szkole oficerskiej, a potem przeznaczał
do wojska lub do służby cywilnej. Wprawdzie zwolnił szlachtę
od obowiązku służby lennej, ale za to obciążył ją podatkiem w
pieniędzy (1717). Chłopów uważał jedynie za siłę roboczą, ale,
jak dbały o bydło gospodarz, nie pozwolił ich krzywdzić, bronił
od nadużyć ich panów i swoich urzędników, a w swoich dobrach,
domenach państwowych, obdarzył wolnością osobistą, utrzymując
obowiązki pańszczyźniane. Ale w zasadzie zaprowadził obowią-
zkową szkołę ludową (1717) i w praktyce pourządzał wiele takich
szkółek w państwie. Na miasta zapatrywał się jako na główne
źródło dochodów, stąd i opieka nad przemysłem. Chcąc podnieść
dochodowość swych włości, w miarę możliwości obsadzał je no-
wymi kolonistami, ściągając głównie do mało zaludnionych Prus
Wschodnich osiedleńców protestantów, uciekających z niemiec-
kich ziem katolickich.

W przeciwieństwie do swego ojca był nie tylko oszczędny, ale wręcz skąpy. Sprzedał srebra i inne przedmioty zbytku, nabyte przez Fryderyka I, rozpędził kosztowny dwór, urzędnikom pozmniejszał pobory, unikał wszelkiej wystawności i zbytecznych wydatków. Dom swój postawił na stopie najskromniejszej. Nad całą administracją finansową państwa rozłożył najściślejszy nadzór. Sam osobiście pilnował jej uczciwości i nadał tej kontroli ramy organizacyjne. Poddał wszystkie izby domeniałne i wojenne utworzonemu specjalnie *General Direktorium*, które następnie, rozrósłszy się w działy rzeczowe i prowincjonalne administracji państwowej, stało się naczelnym organem biurokratycznym, wspólnym dla wszystkich prowincji (1723). I nappełnił puste kasy grubym, zaoszczędzonym groszem.

Na jedno wydawał bez wahań: na swoje wojsko. Na armię nie żałował pieniędzy i doprowadził jej stany przed swoją śmiercią do blisko 84 tys. Oparł ją na połączonym systemie dawnego werbunku i częściowego nowego poboru. W tym celu podzielił państwo na kantony poborowe i każdy kanton zobowiązał do dostarczania określonej liczby rekruta (1733). Szlachcie, jak wiadomo, wychował na przyszłe kadry korpusu oficerskiego. Ale po staremu bawiąc się swym wojskiem miał przy swym boku gwardię olbrzymów poczdamskich, dokąd ściągał zewsząd wielkoludów, czy to kupując ich za żywy pieniądz czy też posyłając na połów takich ludzi do swych słabszych sąsiadów ekspedycje gończe. Wojsko swoje ćwiczył, ćwiczył i ćwiczył, na musztrach i paradach męczył i dręczył, aż doprowadził je do ślepej subordynacji, do znakomitej sprawności, do niesłychanej regulaminowej doskonałości. Lecz wojny unikał, gdyż uważał, że psuje ona dobrego żołnierza. A on na dobrym żołnierzu oparł swoją wspartą „na skale z brązu” (*rocher de bronze*) monarchię absolutną; taką ją przekazał synowi.

Fryderyk II (1740-1786) w chwili obejmowania tronu po swych przodkach uchodził za młodego entuzjastę, gorącego idealistę, za człowieka skłonnego do filozofii, muzyki i poezji, a obcego duchowi swego ojca, który go o mało co w swoim czasie nie skazał na śmierć. W gruncie rzeczy ten nieodrodny syn Fryderyka Wilhelma I, z niesłychaną zręcznością i przebiegłością umiejscowiający wykorzystac tę o sobie opinię, tym się różnił od ojca, iż był mniej brutalny osobiście, natomiast bardziej cyniczny. Zastąpił to chytrnością, umiejscowiając wykorzystac na swoją rzecz nie tylko bezpośrednią przewagę siły, ale także przez siebie kupowaną tzw. opinię publiczną świata, sumienia i głosy uczonych i pisarzy innych krajów, głównie francuskich. W swym niepowstrzymanym

pędzie do zagrabiania cudzych ziem, w swym nieustannym dążeniu do narzucania poddanym swej nieograniczonej woli tym się głównie różnił od swego poprzednika, że postanowił odziedziczone wojsko wypróbować i pokazać światu, co ono warte. Ono mu dało Śląsk w roku 1742, Wschodnią Fryzję w roku 1744 i nasze Pomorze w roku 1772. I uczyniło z Prus po wojnie siedmioletniej pierwszą potęgę militarną Europy.

A poza tym na wszystkich polach kontynuował prace Fryderyka Wilhelma I. Troskę o rolnictwo: osuszanie nizin Odry 1746-1753 i Noteci 1773-1780. W wielkim stylu podjęta olbrzymią akcją kolonizacyjną, która zdobyła, jak mówił król, całą nową prowincję. Pomoc udzielaną wielkiej własności, zrujnowanej po wojnach, w postaci zaprowadzonych towarzystw kredytowych, tzw. *Landschaft*'ów. Także w zakresie przemysłu i handlu rozwijała się akcja ochronna państwa: pod opieką państwa powstaje Bank (państwowy) i Kompania dla handlu morskiego, dwie zasadnicze organizacje przyszłego rozwoju gospodarczego Prus. Do tego dodać należy ważne bardzo komunikacje wewnętrzne, z ogromnym nakładem zbudowane kanały, łączące Elbę z Odrą i Odrę z Wisłą.

W zakresie szkolnictwa został teraz naprawdę wprowadzony przymus szkolny a szkolnictwo powszechne uporządkowane w duchu koncepcji terecjańskich, ale i z uwzględnieniem wymagań nowoczesnej pedagogiki, w Regulaminie dla Szkół Powszechnych (1768) i w Zarządzeniu o Oświacie (1779).

Poza tym król zaprowadził więcej nowoczesnego ducha w swym sądownictwie. Zniósł tortury jako środek dowodowy (1740), uporządkował i ujednolicił po długich trudach procedurę cywilną (1747) i przystąpił do nadania wszystkim swoim krajom jednego wielkiego prawa krajowego pruskiego, którego kodyfikacja, podjęta za jego panowania, zostanie zakończona dopiero za jego następcy.

Fryderyk II osobiście niezmordowanie doglądał administracji całego państwa, w której panował wprost paniczny strach przed tym jego wtrącaniem się, i sądownictwa, które wbrew pozorom swej niezależności musiało się stosować do jego rozkazów. Mimo niesłychanej oszczędności — potrafił on uezierać i pozostawić swemu następcy 55 mln talarów — mimo targowania się o każdy grosz wydatku Fryderyk nie cofał się przed budowami reprezentacyjnymi. Stworzył Poczdam, Operę w Berlinie i lubił się otaczać cudzoziemskimi znakomitościami, którzy roznosili po świecie sławę jego imienia. Choć i tu, jak w sporze z Wolterem, nie ustrzegł się małostkowych sporów o przyznane gratyfikacje.

W chwili obejmowania tronu Fryderyk II pisał: „Książę winien być pierwszym sługą swego państwa”. Mógł z czasem dodać, on, który umiał być prawdziwie tolerancyjny i umiał wykorzystać dla siebie po równi ludzi wszystkich wyznań, a nie cofnął się przed udzieleniem opieki jezuitom, których zakon papież rozwiązał, że „wszystko w państwie winno się dziać dla narodu, lecz n i c przez naród”. Jedyne wola monarchy i jego głębszy interes decydować miały o wszystkim. A w tym państwie on, Fryderyk, jak go Niemcy nazwali „Jedyny”, miał być królem i panem, ministrem i wodzem, sędzią i landratem, w razie potrzeby prostym feldfeblem, a zawsze po staremu — junkrem. Reszta to były tylko pionki w jego ręku.

III. ROSJA KATARZYŃSKA

Wykształcony jako naturalnie rozwinięty system ustrojowy we Francji, przyjęty i przystosowany do zmienionych warunków i innych czasów w Niemczech, absolutyzm, „absolutyzm Oświecenia” był jak cudzy płaszcz naciągnięty na ramiona rosyjskiego samowładztwa. W Rosji zawsze żywa była tradycja Iwana Groźnego (1533-1584), owego strasznego tyrana, co własnoręcznie zamordował swego syna, co osobiście torturował swych poddanych i całą niezmierną już terytorialnie Moskwę wydał w ręce swej straży przybocznej, strachem wszystkich przejmujących opriczników.

Nie zmieniła tego względna słabość pierwszych Romanowych od roku 1613, którzy powoli przywracali potęgę władzy nieograniczonej, z ujednoczeniem reorganizowanego Kościoła (kto tego nie przyjął, był wydany na prześladowania jako *raskolnik*), z ostatecznym *zakrepszczaniem*, przemianowaniem chłopów w rzecz niewolną, z podporządkowaniem hosudarowi szlachty i bojarstwa, z niewolą kobiet, z całkowitym odcięciem życia rosyjskiego od innych narodów i uprzywilejowaniem gwardii przybocznej carów, przekształconej w osobną kastę *strelców*.

Po śmierci cara Fedora (1672) następuje przeciwko temu reakcja. Rzecz w dziejach Moskwy niesłychana — z *teremu* (miejsce zamknięcia kobiet) wychodzi jego siostra, carewna Sofia, i w oparciu o *strelców*, za cenę uznania ich wszystkich pretensji, rządzi Rosją w imieniu dwu swoich małoletnich braci, idioty

Iwana i Piotra; ona pierwsza próbuje zbliżenia z Zachodem, szukając cywilizacyjnego oparcia w Polsce. Wtedy to nasz język, nasza kultura i obyczaje przenikają na dwór carewny, do wyższych warstw bojarskich i literatury rosyjskiej. W roku 1689 Piotr przy użyciu oddziału swych dawnych towarzyszy zabaw dziecinnych, zwanych *potiesznymi*, którzy stają się obecnie pierwszym nowoczesnym pułkiem w Rosji, przez wyzyskanie *preobrażeńców* obala panowanie swej siostry i przejmuje władzę w swoje wyłącznie ręce. I odtąd otwiera się długa seria rewolucji pałacowych (8 po kolei), które ciągną się bez przerwy do roku 1762 i które zastępują normalny sposób następstwa tronu w Rosji aż do czasów Katarzyny II.

Piotr Wielki (1689-1725), pod względem fizycznym olbrzym i siłacz, umysłowo bliski genialnych uzdolnień na wszystkich bodaj polach, technicznym, wojennym czy politycznym, był jakąś dziwną, niesamowitą mieszaniną psychiczną. Dziki i okrutny barbarzyńca, znajdujący rozkosz w własnoręcznym odrębywaniu głów *strelcom*, w czasie ich likwidowania po ich rzekomym buncie, zaknutowujący swego jedynego syna Aleksieja na śmierć, najordynarniejszy rozpustnik, miał wysokie zrozumienie dla spraw kultury i był prawdziwie wielkim mężem stanu. Obdarzony zdolnością przewidywania odległych wypadków, żelazną wolą i konsekwencją, w działaniu swym nie dawał się nigdy zepchnąć chwilowym niepowodzeniem, idąc uparcie do wytkniętego celu. A celem tym była nieograniczona władza, nie uznająca żadnych prawnych czy faktycznych hamulców poza jego wolą, która miałyby podnieść zacofany naród rosyjski, przeobrazić Moskwę w potężne zreformowane państwo i narzucić wszystkim sąsiadom i całej Europie środkowej przewagę Rosji.

Postanowił oprzeć swoje państwo na wzorach politycznych i społecznych Zachodu, ale nie polskiego, lecz głównie niemieckiego, i decyzję tę wykonał na przekór bezwładowi i przeszkodom, tkwiącym w głębi psychiki starego społeczeństwa moskiewskiego. Wywrócił przegrodę formalną i moralną, istniejącą w przesądach, które oddzielały Rosję od reszty świata. Zniszczył *strelców* i podeptał bojarstwo z jego tradycjami, otoczył się nowymi ludźmi bez przeszłości, których wydobył z nicości, a podniósł do najwyższych godności w państwie, towarzyszami swych grubych ucies i ciężkich prac; z takich Rosjan a zwłaszcza cudzoziemców, głównie Niemców, uczynił nową warstwę „orląt z gniazda piotrowego”. Z *preobrażeńców* wyprowadził swe główne i ukochane dzieło, liczną i potężną armię, opartą na szwedzkim, francuskim i pruskim przykładzie, podjął wysiłek wypró-

bowania tego narzędzia w walce, a potem po złamaniu świętego wodza Karola XII ruszył na wielką ekspansję, na ujarznienie Szwecji i Polski, na narzucenie swego wpływu wschodnim i północnym Niemcom, czemu służyły także związki małżeńskie jego bratanic i córki z książętami tamtych krajów.

Do końca życia w śmiertelnej walce z duchem dawnego państwa, który trwał w mieście Moskwie, postanowił i fizycznie odciąć się od tamtej stolicy. Po zdobyciu wybrzeża w Zatoce Fińskiej, po „wyrąbaniu okna na zachód” odrzucił tytuł cara moskiewskiego, ogłosił się imperatorem wszechrosyjskim i w miejscu nie nadającym się na zabudowanie, kosztem życia setek tysięcy robotników niewolnych, spędzonych z całego imperium, wystawił przy ujściu Newy nową stolicę, którą nazwał St. Petersburgiem. Zabrał się do tworzenia floty na podobieństwo tej, którą oglądał w Holandii, dokąd jeździł uczyć się jako prosty cieśla sztuki budowania statków. Naprzeciw Petersburga, na wyspie, którą nazwał Kronstadt, założył wielką bazę morską i port ochrony. Swoje cesarstwo wyposażył w nowe naczelne instytucje, nie wypuszczając zresztą władzy ze swych rąk i nie przekazując im żadnych prawdziwych w stosunku do siebie uprawnień. Nad imperium, podzielonym jednolicie na wielkie okręgi administracyjne, zwane guberniami, w których po staremu kwitły łapownictwo i kradzież dobra publicznego, stał od roku 1711 Rządzący Senat. A nad Kościołem, który utracił swą niezależność organizacyjną, został pozbawiony swego zwierzchnika — patriarchy — i poddany osobie samego cesarza Piotr ustanowił Świątobliwy Synod o charakterze przybocznej kancelarii dla spraw Kościoła (1721).

Utrzymując w najsurowszym rygorze chłopstwo, którego niewola jeszcze się spotęgowała, poniewierając i gnębiąc szlachtę i bojarstwo, łamiąc prawowite duchowieństwo, prześladując odszczępięńców, *raskolnik'ów*, ścigając i znęcając się nad Kozakami znad Dniepru i znad Donu, okazywał łaskawe oblicze tylko kupcom i rzemieślnikom, nielicznym Rosjanom i wielu sprowadzonym z zagranicy cudzoziemcom. Całe społeczeństwo spętał obowiązkiem służby dla państwa — chłopów w wojsku, a resztę ujął w hierarchię służbową. *Ranglista* (niemiecka terminologia przenika teraz powszechnie do rosyjskiego języka urzędniczego), obejmująca 14 *czin'ów*, czyli klas urzędowania od najniższych aż do najwyższych godności, tworzy jedną drabinę urzędowania, a ogarnia zarówno tych, którzy pnąc się wzwyż wstępowali na jej najniższe szczeble, jak i tych, którzy znajdowali się na jej szczytach, tych, którzy przez służbę mieli się dopiero czegoś

dorabiać i tych, którzy w służbie mieli utracić swą dawną historyczną samodzielność. A poza nimi i ponad nimi postawił organizację dozoru, denuncjacji i szpiegostwa, nielitościwych dochodzeń policyjnych, *preobrażenskiej prykaz*, którego szef miał być w państwie „okiem hosudara”. Spętawszy w ten sposób całe społeczeństwo, otoczony zgrają dorobkiewiczów, obcych pozostałemu narodowi, wsparty na coraz liczniejszej i potężniejszej armii Piotr pchnął Rosję na podbój Europy, w myśl „Testamentu Piotra Wielkiego”, którego nigdy nie napisał, tego znakomitego pamfletu z XIX wieku, w którym doskonale uchwycono prawdziwe dążności twórcy Rosji nowoczesnej, i wpędził ją przez uzależnienie następstwa tronu od każdorazowej decyzji ostatniego cesarza (1721) w chaos i anarchię XVIII wieku¹.

Tron carski staje się odtąd przedmiotem walki awanturników, łupem bandytów politycznych, złodziei grosza państwowego, zwykłych łobuzów i utrzymanków. Od 1725 do 1762 roku, z małą trzyletnią przerwą na panowanie Piotra II jest Rosja w ręku kobiet, nie mających w gruncie rzeczy praw do tronu, lecz pochodzących od Iwana i Piotra, a przy nich rolę urzędowych faworytów i rządców państwa sprawują ich kochankowie. Zwano ich chwilowymi władcami, *wremieńszczykami*. W roku 1730 stara arystokracja, wchodząc w skład utworzonej po Piotrze Zwierzchniej Rady *Wierchownoy Sowiet*, usiłowała na próżno uratować siebie i Rosję od jarzma niemieckiego i powołując na tron Annę spróbowała jej narzucić pewne warunki, na wzór polskich *pacta conventa*, które każdy nasz król musiał zaprzysięgać przed objęciem tronu, i w tych warunkach przewidywała swoją kontrolę nad monarchą i pragnęła zapewnić bezpieczeństwo osób całej szlachcie w państwie. Ale nikt się za nimi nie opowiedział i Rosja wpadła w jeszcze większą niewolę: zaczął się dla niej okres najstraszniejszego poniżenia pod ręką brutala, dawnego forysia, teraz księcia i kochanka carowej Anny, Birona, okres

1. Katarzyna I (1725-1727), żona Piotra I, dawna niewolnica i kochanka Mienszykowa, zupełnie niewykształcona, która nie umiała się podpisywać, za nią podpis kładła jej córka Elżbieta. Kochankiem wszechwładnym w państwie był Mienszykow.

Piotr II (1727-1730); faworytami byli ks. Dołgorukije, którzy chcieli cara ożenić ze swą siostrą. Anna Iwanowna, córka Iwana (1730-1740), dawna ks. kurlandzka; przy niej wszechwładny był Biron. Po niej carem był 15-miesięczny Iwan VI Antonowicz, prawnuk Iwana, za cara regencję sprawowała jego matka Anna Leopoldowna księżna brunświcka, w wojnie ze swym mężem, faworytem hr. Lynarem 1740-1741. Przy Elżbiecie kolejno największy wpływ mieli Lestocq, Razumowski, prosty kozak, którego ona obsypała łaskami i nawet zawarła z nim tajne małżeństwo, i Szuwałow.

zwany *biironowszczyzną*. Trwać tak miało do roku 1741, kiedy córka Piotra Elżbieta (1741-1760), wyniesiona na tron przez żołnierzy garnizonu petersburskiego, którym nie skąpiła swych łask, wniosła do pałacu cesarskiego swój zupełny brak kultury, swoje grubiaństwo, pogardę dla czystości, swoją dziecinną skłonność do strojów i ozdób oraz swoich kochanków. Ale wniosła także nienawiść do cudzoziemców i przywróciła w Rosji prawa Rosjanom.

Przez cały ten okres Rosja, łupiona po prowincjach przez gubernatorów, sędziów i niższych urzędników, którzy ją okradali bez miłosierdzia, obstawiona dozorem Tajnej Kancelarii, która zastąpiła *prykaz* piotrowski, rozszarpywana od góry przez tych, którzy dorwali się do władzy, przez Niemców obcych i nadbałtyckich, przez władców, których siła polegała na wojsku, na wzajemnym wygrywaniu intryg, na zamachach stanu, raz po raz przeciwko komu innemu urządzanych, była w rękę nawet nie „damo-władztwa”, lecz ordynarnej tyranii tych, którym udało się zdobyć tron lub opanować osobę „samowładczyni”. Rzecz niezrozumiała: Rosja istniała, nie rozpadała się, naród rosyjski, leżący w letargu, nie poruszył się w swej bierności a cesarstwo, pozbawione ludzi naprawdę uzdolnionych, nie przerywało swej ekspansji; mocne wyłącznie wojskiem, do ostateczności wiernym, osiągało stałe powodzenia, trzymając się właściwie w jedności tylko dzięki temu impetowi na zewnątrz.

W takiej sytuacji w roku 1762, po zamordowaniu swego zniechęconego i nic nie wartego męża, niefortunnego imperatora, siostrzeńca Elżbiety Piotra III, tą samą metodą co i za jej poprzedniczek, władzę bierze Katarzyna II (1762-1796). Cudzoziemka z pochodzenia i z kultury, z małego niemieckiego domu książęcego, podsunięta czy narzucona przez Fryderyka II Piotrowi holstein-gottorpskiemu, nie nauczyła się nigdy mówić po rosyjsku. Mimo to była pierwszą po Piotrze prawdziwie narodową władczynią Rosji i właściwą następczynią jego wielkich zamysłów, zarówno w zakresie dalekich planów jak i doraźnych poczynań. Pod względem obyczajowo-moralnym nie różniła się od swych poprzedniczek, chyba tym tylko, że przeszła je wszystkie. Teraz już nie rozpusta, lecz zorganizowany, urzędowy ni rząd rozsiadł się na tronie wszechrosyjskim. Pod jednym względem i w tej dziedzinie Katarzyna różni się od innych imperatorów. Ma kochanków bez liku, utrzymuje ich jawnie, często zmienia, obsypuje łaskami, tytułami, diamentami, niezmiernymi dobrami, setkami tysięcy dusz w dawnej Rosji czy głównie w zagrabionych ziemiach Polski, ale *nie* daje im władzy nad

Rosją. Chyba że który się na to nadawał, posiadał jak Potemkin talenty wojskowe i uzdolnienia polityczne, ale i w tym wypadku, nawet jeżeli wpływ jego był większy, nie różnił się on od ministrów. Władcą jedynym, niepodzielnym i nieograniczonym, i to wielkim monarchą, pozostawała ona sama. Państwem kierowała osobiście przez swych ministrów, z których pomysłami, humorami czy temperamentem umiała się liczyć.

Nawiązując do tradycji Piotra, prowadzi ona wielką politykę zagraniczną uwieńczoną powodzeniami, rozbiorem Polski i Turcji, przesunięciem granic państwa nad Bug, na wybrzeże Morza Czarnego, wchłonięciem Krymu, usadowieniem się na stałe na Kaukazie. I pod względem wewnętrznym idzie w dalszym ciągu po linii postępowania swego poprzednika. Przystosowuje organizację państwa do nowych jego rozmiarów. Rosję dzieli mniej jednolicie na 44 gubernie i na *ujezdy* (powiaty). Dla większego usprawnienia zarządu w swym olbrzymim państwie w wielu prowincjach łączy po kilka guberni w *generał-gubernatorstwa*, które posiadały i terytorialnie i politycznie większe uprawnienia od zwykłych gubernatorstw. Podjęła — bez powodzenia zresztą — walkę z *wzjatocznictwem*, które stało się wprost instytucją narodową w Rosji. Zaprowadziła również nową hierarchię sądową, a przez wyznaczenie sędziom większych uposażeń myślała i tu zapobiec dalszemu szerzeniu się łapownictwa. Ale na ogół okazała się w tej dziedzinie bezsilna, a może i nie myślała zanadto ostro zwalczać tego zła, przez które trzymała przecie w rękę wszystkich dostojników, mogąc w każdej chwili każdemu z nich wytoczyć proces i zniszczyć go, jak to było już stosowane we wszystkich walkach politycznych za poprzednich panowań.

Najmocniej oddziaływała na nowe ukształtowanie stanowiska szlachty. Przyciągając ją na swój dwór do Pałacu Zimowego w Petersburgu czy do Carskiego Sioła, całkowicie ją obłaskawiła. Każdy młody, dorodny szlachcic ciążył tam, bo go ciągnęła nadzieja niebываłej przyszłości, jeżeli wpadnie w oko swej pani. A niejedna panna tam dopiero mogła zrobić karierę życiową, bo jako „frejlina dworu” pozostawałaby pod bezpośrednią opieką „boskiej” imperatorowej i była następnie przez nią wydawana za mąż odpowiednio do faworów władczyni. Ale nie na tym polegał główny sens zmiany, która się dokonywała. Wchodząc ostatecznie i bez dalszego oporu w wysokie *czynownictwo*, szlachta przekształcała się ostatecznie w średnie i wielkie ziemiaństwo. Zakazując w 1767 chłopom wnoszenia skarg na swych panów, Katarzyna oddawała ich ostatecznie i niepodzielnie na łaskę i niełaskę pomieszczyków: odtąd ich niewola stawała się nieograni-

czona, knut i pałka jedynym środkiem dysponowania ich siłą roboczą, robocizna nieokreślenie wielka, a zwyrodnienia ludzkie wyładowywały się w postępowaniu panów i ich służby w stosunku do włościństwa w sposób przeraźliwy. Katarzyna w ten sam sposób przyciągnęła ku sobie ziemiaństwo ziem polskich, na które po wcieleniu rozciągnęła ten sam system stosunków wiejskich, co i w Rosji rdzennej.

Powszechnie zaprowadza ona po guberniach i *ujezdach* zgromadzenia szlacheckie, które wybierają swych przewodniczących, tzw. marszałków, i ci odtąd reprezentują szlachtę swych dzielnic. Zresztą uprawnień żadnych im nie nadaje. Ale zwiera w ten sposób szlachtę w jedną organizację i umacnia ją jako pierwszy stan w państwie, bez praw politycznych, ale ze wszystkimi przywilejami społecznymi i zupełną samowolą w stosunku do chłopapańszczyźniaka. A że równolegle carowa rozdawała dobra państwowe swym faworytom wraz z duszami, chłopami, którzy w ten sposób z wolnych włościń spadali na poziom niewolnych, że odbywało się gwałtowne obdzieranie Kozaków z resztek ich swobód i ich ostateczne przywiązywanie do gleby, nie dziw, że ferment oporu ogarnie masy chłopskie powszechnie, że przez południo-wschód Rosji przejedzie wielka fala rozruchów i że w końcu nastąpi gwałtowny wybuch, który o mało co nie podważył Rosji u posad. Jemielka Pugaczew stanął jako car Piotr, rzekomo cudem uratowany od śmierci, na czele tego ruchu społecznego, który rozlał się szeroko od Morza Kaspijskiego na północ i sięgnął prawie pod bramy Moskwy, i w roku 1774 doszedł do największego natężenia — rzezi, pożarów, gwałtów, zbrodni, nienawiści, i spłynął we krwi. Stłumiony bez litości przez wojska w 1775 roku, umocnił jeszcze i spotęgował samowolę ziemian obszarników, którzy niczego się nie nauczyli w tym doświadczeniu, i tym bardziej zdecydowanie stanęli ławą za carową, która ich uratowała: samodzierżawna Katarzyna staje się imperatorką pomieszczyków, są oni jej dobrowolnymi niewolnikami za cenę utrzymania w niewoli wielomilionowej rzeszy chłopskiej. Ale obok tego imperatorka podejmowała wielką akcję ponownego zaludnienia krajów opustoszonych przez wojny i klęski żywiołowe. A odebrawszy duchowieństwu jego majątki i przejąwszy blisko milion dusz w zarząd państwa (w specjalnej Komisji Ekonomicznej), przystąpiła do kolonizacji południa Rosji. Głównie dzięki opiece Potemkina, który liczył, że zbuduje tam jakieś państwo dla siebie, ludność tego kraju wzrosła czterokrotnie. I powstały w nim obok chutorów włościńskich liczne osady wiejskie. W nazwach swych miały utrwalić po wieczne czasy

ślawę Katarzyny: Jekaterinenburg (pod Uralem), Jekaterinosław (nad Dnieprem), czy Jekaterinodar (nad Kubaniem), którym te nazwy odebrał dopiero ustrój sowiecki.

Kupiectwo całej Rosji otrzymuje nową wspólną organizację; podzielone zostaje stosownie do swej zamożności i opłat podatkowych na trzy gildie i zajmuje drugie urzędowe miejsce w hierarchii społecznej Rosji.

W ogólnej praktyce życia rosyjskiego niewiele albo nic prawie nie zmieniło panowanie Katarzyny II, ale zaprowadziła ona takie zewnętrzne formy egzystencji, jakie świadczyć miały o wyższej stopie życia zbiorowego. Język francuski i kultura francuska zdobyły sobie prawo obywatelstwa na dworze imperatorowej, a stamtąd rozniosły się po całej wyższej warstwie ziemiańskiej. Mówiono więc odtąd między sobą i pisano prawie wyłącznie po francusku, sprowadzano gubernatorów Francuzów i, zwłaszcza od wybuchu rewolucji francuskiej (1789), od zjawienia się licznych emigrantów, oddawano wychowanie młodego pokolenia prawie wyłącznie w ręce tych francuskich „pedagogów”. Obyczaje, formy towarzyskie, sposób bycia pokrywają się mocnym pokostem francuskim dawnego porządku, francuszczyzna wypiera słabą i nieumocnioną jeszcze kulturę rodzimą. Po polskiej i niemieckiej przyszła teraz trzecia, francuska faza wpływu. Architekci, rzeźbiarze, malarze cudzoziemscy, głównie też Francuzi, pomagają carowej przebudować Petersburg: ona jest właściwym twórcą tego miasta, które się ostało na dawnym miejscu. Ona zbudowała Ermitaż, mosty na Newie, wybrzeża, gmachy rządowe i pomniki. To wszystko jej dzieło, albo raczej dzieła artystów, którzy jak Falconet (1716-1791) dali Rosji najwspanialszy pomnik, uszanowany przez bolszewików, olbrzymią na dzikim ogierze z brązu wyniesioną wizję wielkiego Piotra.

Na wzór francuski Katarzyna założyła Akademię Rosyjską (1783), Instytut Smolny dla dziewcząt szlacheckiego pochodzenia, dom wychowawczy w Moskwie itp. Zadawała ona sobie stały trud utrzymywania osobistej korespondencji z Wolterem, d'Alembertem, Diderotem i innymi filozofami francuskimi, rozumiejąc znaczenie ich wpływu na opinię Europę. Przed nimi niby to do dna odsłaniała swoją duszę, a zapewniła ich o swej miłości dla ludzkości, swej trosce o byt mas ludowych, nawet o swym ukochaniu wolności, dla której gotowa wszystko poświęcić. I nabierała na to tych wrażliwych na wzniosłe hasła pisarzy.

Pozory filozoficzności, filantropii, oświecenia umiała carowa

zachowywać i w stosunku do swych poddanych. Ona, najbardziej samowładna monarchini Europy, zwołała w roku 1766 wielką naradę społeczną dla przygotowania przyszłego kodeksu rosyjskiego. Zebrała blisko 700 przedstawicieli wszystkich stanów, warstw, grup i prowincji (prócz chłopów), kazała im odczytać swą Instrukcję, w której naczelne miejsce zajmuje teza: „Nie naród jest stworzony dla mnie, lecz ja dla narodu” i przez dwa lata pozwoliła im gadać. Po czym, bez żadnego pozytywnego wniosku, zawiesiła tę Wielką Komisję (1768) i nigdy jej więcej nie zebrała. Rozgłosowi stało się zadość i imperatorowa mogła po staremu rządzić, mogła nadal uprawiać swój bezwzględny absolutyzm, stosowany przez piękną kobietę o jedwabistych dłoniach, którego prawdziwymi symbolami były Tajna Kancelaria, knut i pałki. A reszta — to jak różyczki przyczepione w dniu tegoż mrozu rosyjskiego na grubym owszonym kozuchu chłopskim!

IV. NA CZYM POLEGAŁ „ABSOLUTYZM OŚWIECONY”

Zajmowaliśmy się historią wewnętrznych urządzeń Francji XVII wieku, Niemiec i Rosji XVIII wieku, i przy powierzchownym nawet zestawieniu tych różnych procesów historycznych nie mogliśmy nie dostrzec dużego podobieństwa i w instytucjach i w zasadniczych liniach postępowania ludzi, odpowiedzialnych za losy tamtych narodów i państw. Rozszerzając dalej ten swój ogląd, będziemy zmuszeni odnaleźć podobne rysy i w nieco późniejszych czasach we Francji i w innych krajach Europy. W takich Włoszech np. reformy Wiktora Amadeusza II (1675-1730) lub jego wnuka Wiktora Amadeusza III (1773-1796) w królestwie Sardynii, rządy Leopolda I (1765-1790) w Toskanii, w Portugalii era ministra Pombala za Józefa I (1750-1777), w Hiszpanii całe panowanie Karola III (1759-1788), wypełnione przemianami, albo w Skandynawii epoka Karola XI i jego syna, wściekłego autokraty Karola XII (1697-1718), a później Gustawa III (1771-1792), w Danii wreszcie rządy pomyłonego Krystiana VII (1766-1808) i krótkotrwałą dyktaturą jego wszechwładnego faworyta i ministra Struensego (1771-1772) — wszędzie te same metody postępowania, podobne dążenia i zbliżone formy organizacyjne życia politycznego. Niezaprzeczenie duży

wpływ wywierało świadome czy nieświadome naśladownictwo innych wzorów, francuskich czy częściowo pruskich, silniej działał urok dalekiego a imponującego Wersalu, ale najsilniejsze było to, co nazywamy „duchem czasu”. W pewnych okresach przez narody, stojące na tym samym lub zbliżonym poziomie rozwoju, przechodzą takie fale podobnych myśli, z jednego środowiska narodowego przenoszą się do innych pokrewne zamiary, równocześnie to tu, to gdzie indziej zjawiają się prawie takie same plany i projekty, powstają bodaj czy nie identyczne urządzenia, jak gdyby te różne społeczeństwa i państwa były rządzone jakąś jedną wolą i głową. Ale takiej woli wspólnej nie ma, natomiast istnieją podobne potrzeby, rodzi się podobny do nich stosunek, zjawiają się podobne skłonności i podobne sposoby ich zaspokajania, słowem szerzy się ten sam prąd czasu. Wiek XVIII jest tedy okresem prądu absolutystycznego. Ale absolutyzm XVIII wieku jest zupełnie różny od tego, który powstał i rozwinął się w XVI wieku, kiedy to szło przede wszystkim o zespolenie różnych części terytorialnych w jedno państwo, kiedy należało przełamać siłę wyższych warstw społeczeństwa i umocnić władzę jednego „księcia”, rozporządzającego odtąd życiem, miem i sumieniami swych poddanych. Obecnie ta władza już w zasadzie istnieje powszechnie. A ześrodkowujący w swym ręku całą potęgę państwa monarcha XVIII wieku czy też jego minister, obdarzony jego zaufaniem, podejmuje akcję ku zreformowaniu tego, co się już zastało.

Na pierwszym miejscu stawało organizowanie całej maszyny administracyjnej państwa w sprawnie działającą całość, podporządkowanie jej najczęściej nowym naczelnym organom zarządu u boku króla i rozwinięcie w bogatą sieć organów pośrednich i niższych, przeważnie również nowych, a od społeczeństwa zawsze oderwanych i obsadzanych przez oddane wyłącznie monarsze urządztwo, przez biurokrację. Do tej sieci administracyjnej dostosowuje się i sądownictwo: i tu i tam próbuje się znieść starodawne zakorzeniałe nadużycia i spaczenia, a oprócz funkcjonowanie urzędów na przepisach czy prawie, które bądź występują w formie uporządkowanych praw i zwyczajów dawnych bądź też całkiem nowych kodyfikacji, powstających mniej więcej powszechnie, jeżeli nie w zakresie całego życia zbiorowego, to przynajmniej dla najważniejszych jego gałęzi. Ustawy, zarządzenia, regulaminy czy przepisy idące w setki pozycji i tysiące artykułów wszędzie są główną, widoczną stroną organizacyjnej pracy absolutyzmu XVIII wieku w zakresie życia publicznego.

Obok tego odbywa się nieustanne wzmacnianie siły zbrojnej

państw, i wszędzie odbywa się to w podobny sposób. Armie stałe ulegają znacznemu powiększeniu liczbowemu: stopnie oficerskie są w nich z reguły zarezerwowane dla synów szlacheckich, a szeregi wypełniają się dziećmi ludu, głównie wiejskiego, przy czym werbunek schodzi na plan dalszy, choć nie zanika, a podstawą zapewnienia kadr wojskowych staje się pobór takiego czy innego stopnia powszechności. Wojska jednolicie i lżej zuniformowane otrzymują doskonalszą broń palną, artyleria zdobywa w nich przemożne znaczenie, podlegają one surowemu i długiemu szkoleniu na podstawie bardzo rozwiniętych regulaminów, a kadry oficerskie wypełnia się przeważnie przez kandydatów, przygotowanych w specjalnych szkołach wojskowych. Podobnie i flota w krajach nadmorskich nie tylko staje się prawie główną troską rządców, ale i załogi okrętowe, z zastrzeżeniem odrębnych warunków służby na okrętach i surowszej tam dyscypliny, są w swym trybie służbowym bardziej dopasowywane do warunków życia lądowej służby wojskowej.

Szczególnie znamienny jest dla tego typu absolutyzmu stosunek do Kościoła, zwłaszcza Kościoła katolickiego. W krajach katolickich panuje na ogół nietolerancja w stosunku do różnowierców i dążenie do podporządkowania hierarchii kościelnej władzy państwowej, w szerokiej skali różnic od galikanizmu aż do józeфинizmu, które są powszechnie naśladowane, ale w każdym kraju nieco inaczej. W krajach zaś protestanckich i prawosławnych, gdzie monarcha jest zarazem głową swego Kościoła, gdzie panuje tzw. cesaropapizm i istnieje zupełna uległość tego Kościoła wobec woli cara, zaczyna się tolerancja idąca tak daleko, że nawet organizacje zakazane w swych właściwych krajach tu znajdują przytułek. Dotyczy to jezuitów. Około połowy XVIII wieku następuje we wszystkich prawie krajach Europy generalny atak na zakon jezuitów. W państwach tych mieli oni wciąż ogromny wpływ na bieg spraw politycznych przez spowiedników, jakich dostarczali monarchom. W ręku swym trzymali monopol nauczania przynajmniej wyższych wartw i wywierali przygniatający wpływ na umysłowość społeczeństw, pozostających pod ich kontrolą. I wreszcie jako misjonarze robili wielkie interesy handlowe poza Europą. To wszystko wprowadziło ich w ostre konflikty z współzawodnikami i przy ich „absolutystycznym” systemie spowodowało ich katastrofę. Uderzenie pierwsze wyszło z Portugalii za Pombala (1758), potem ruch przeniósł się do Francji, gdzie parlamenty, głównie paryski i w Rennes, podjęły 1761 walkę z nimi, domagając się równocześnie wyzwolenia oświaty z zależności od zakonu; dało to początek temu ostremu nast-

wieniu, które z czasem przybrało formę antyklerykalizmu we Francji współczesnej, a wówczas zakończyło się edyktem króla Ludwika XV z 1764. Król właściwie usunął zakon z granic swego państwa, pozwalając zamieszkiwać jezuitom Francję jedynie w charakterze osób prywatnych. Wojna z jezuitami rozszerzyła się na Hiszpanię, Neapol i pomniejsze państwa włoskie i wyraźnie wskazywała na niechybny bliski koniec zakonu. Istotnie papież Klemens XIV bullą (zarządzeniem) swoim *Dominus ac redemptor* (są to pierwsze słowa owej bulli) z 21. VII. 1773 zniósł formalnie zakon. Odtąd jezuita mogli wstępować do innych zakonów, pełnić czynności duchowieństwa świeckiego, żyć jako prywatni — jako organizacja przestali istnieć. Wszystkie państwa katolickie się do tego zastosowały i tylko protestanckie Prusy i prawosławna Rosja nie tylko zapewniły jezuitom u siebie egzystencję, ale pozwoliły im nadal istnieć tam w charakterze zakonu, któremu pozostawiono nie majątki, lecz dawne uprawnienia, głównie pedagogiczne. Gdzie indziej ich majątki przeszły na państwo, które też musiało na siebie wziąć utrzymanie szkolnictwa publicznego. Szkoły stają się rzeczą świecką. Przed państwem staje obowiązek utworzenia nowego systemu oświatowego, zresztą nie wszędzie w jednakowym stopniu czyni się temu zadość. Na ogół przeważa troska o uniwersytety, które teraz powoli podnosi się z upadku, i o szkolnictwo powszechne, traktowane jako narzędzie wychowania nowego pokolenia dobrych poddanych. Z tym absolutyzmem zaczynał się pierwszy w dziejach wielki okres gospodarki kierowanej: z zakazami wywozów i przywozów jednych towarów, protegowaniem innych, z poszukiwaniem przez państwo zewnętrznych rynków zbytu dla produkcji swego gospodarstwa, ze zwrotem ku posiadłościom zamorskim, ku koloniom czy po prostu ku ziemiom innych, sąsiednich a słabszych państw, które można by pochłonąć przez swą wytwórczość, ze ściąganiem ludności z innych krajów do swego państwa i niewypuszczaniem własnych poddanych za granicę, z cieplarnianą hodowlą głównie przemysłu zbytkownego, z tendencją do niewypuszczania, do kapitalizowania swej waluty u siebie. Od kolbertyzmu państwa XVIII wieku przeszły do „kameralizmu”, który tym się różnił od pierwotnego francuskiego kierunku, iż pełen nieufności do społeczeństwa, do jego uzdolnień w kierowaniu własnymi losami, w prowadzeniu życia gospodarczego, oddawał całkowitą jego twórczość gospodarczą pod kierownictwo i kontrolę urzędnictwa. Państwo zakładało drogi, przebijało kanały, osuszało błota, znosiło przeszkody wewnętrzne w handlu krajowym i uważało, że ono jedno może kierować obywatelami w ich

prywatnej działalności. To już nawet nie monarcha miał o wszystkim decydować za poddanych, decyzja przechodziła na biurokrację, aż do najniższej włącznie, która jedna uważała siebie za posiadającą dostateczne kwalifikacje do prowadzenia nie tylko maszyny państwowej, lecz i całego skomplikowanego organizmu społeczno-gospodarczego. Do społeczeństwa należał obowiązek pełnienia czynności rąk, głową pozostawał niepodzielnie „mądry” i „uczony” urzędnik. I tak było nawet wtedy, kiedy fizjokratyzm był uznawany za objawienie nowej prawdy, fizjokratyzm, który w ostrym przeciwstawianiu się do wtrącania się we wszystko państwa domagał się dla rozwoju ekonomii zbiorowej zupełnej swobody. Z jednym zastrzeżeniem: państwo, które w swoich domenach zaczęło reformować los włościan i powoli uwalniać ich z poddaństwa osobistego, a tak było na Zachodzie i zaczynało się w Prusach, to państwo w jednej dziedzinie uznało wymagania fizjokratyzmu: nie tykało się stosunków między prywatną własnością i chłopem zarówno pod względem osobistym, jak i pańszczyźnianym, sobie warując jedynie prawo nadzoru nad tymi stosunkami, i ewentualnie zapewniając opiekę prawa chłopom.

Niezależnie od zwyrodnień natury osobistej, od rozrzutności, związanej zresztą z modą na przepych budowlany, od awanturniczego rzucania się w wojny, od nieustannych zamachów władców militarnie silniejszych na niezależność narodów słabszych, co jest nieodłączną właściwością każdego reżymu, opartego o samowolę jednostki, absolutyzm XVIII wieku wszedł na drogę stwarzania jakichś nowych wartości i przygotowywania społeczeństw do dalszych przemian, jakie miały mieć miejsce na przełomie tego i następnego stulecia. A te wartości, nie pozbawione uzasadnienia ideologicznego, związane z wymaganiami, jakie narzucała współczesna myśl badawcza, sprawiły, że jako prąd czy kierunek polityczny mógł się on odciąć od absolutyzmu po prostu, pod nazwą absolutyzmu „oświeconego”.

Zachodzi zatem pytanie, jakaż była jego ideologia? Ale nim się na nie odpowie, trzeba wyjaśnić, czym jest „ideologia” danego ustroju politycznego? Można by najogólniej powiedzieć, że jest to jego sens głębszy, ukryty pod powierzchnią wydarzeń bieżących, a występujący jako coś stałego w poczynaniach i postępkach, nawet pozornie najbardziej przypadkowych, ludzi owych czasów. To jest coś, z czego wypływają motywy czynów ludzkich, czym się tłumaczą postanowienia, a przez co stają się zrozumiałe formy urzędzeń, wreszcie to skąd czerpią swą energię jednostki i masy, co staje się podniętą dla ich ambicji, uzasadnieniem ich działania, argumentem dla ich poświęceń i ofiar. Naj-

prostsze uogólnienie zjawisk istniejących, ideologia jest w danym ustroju punktem wyjścia twórczości działaczy, moralnym założeniem postawy społeczeństwa i zamknięciem zbiorowych wysiłków. I jest zawsze w najzwięźlejszej formie odbiciem jakiegoś realnie istniejącego systemu.

Taką ideę ustroj absolutystyczny XVII-XVIII wieku znalazł w poglądach angielskich z okresu zakończonego przełomu wieku XVII. Kiedy po rewolucji politycznej a zarazem społecznej i religijnej, która doprowadziła do zlikwidowania starej monarchii i do ustanowienia na jej miejsce jedynowładztwa wodza zwycięskiej armii rewolucyjnej, Cromwella, oraz zapewniła całkowitą przewagę polityczną najsilniejszej warstwie nowego, mocnego, bogatego mieszczaństwa, Hobbes (1588-1679) dał swej ojczyźnie i Europie swego dziwnego „Lewiatana”. W nim zamknął tragiczny obraz świata, jaki dostrzegł w doświadczeniach rzeczywistości zbiorowej i który sprowadzał się prawie całkowicie do odrzucenia tradycyjnych poglądów. Życie ludzkie schodziło prawie wyłącznie do poziomu gry pierwiastków materialnych natury człowieka, z pominięciem idealnych w psychice ludzkiej. W zakresie stosunków między pojedynczymi ludźmi a zwłaszcza między narodami na pierwsze miejsce wysuwa się egoizm (samolubstwo), wszystko w nich zmierza do zwycięstwa silniejszego nad słabszym w myśl zasady, że człowiek jest człowiekowi wilkiem, *homo homini lupus est*. I w końcu Hobbes wskazywał na fakt wszechwładzy nieograniczonego państwa, stojącego ponad społeczeństwami i jednostkami, wszechwładzy która ujawnia się w jego despotyzmie jako w naturalnej właściwości istnienia.

Hobbes nie podawał w „Lewiatanie” jakiegoś swego ideału, lecz przedstawił w beznadziejnie jaskrawej postaci to, co widział, co triumfowało za jego czasów, a wyprowadzał swoją konstrukcję ze współczesnego podłoża społeczno-politycznego, wystrzajac jeszcze jego zarysy, zgodnie z tendencją do przesadzania, która występuje w literaturze angielskiej niejednokrotnie i trwa aż do dni dzisiejszych.

Połączenie ujęcia satyrycznego z głębokim uchwyceniem rzeczywistości, poglądy Hobbesa, odpowiadające temu, co powstawało także i na kontynencie europejskim, wpłynęły na kształtowanie monarchii nieograniczonej we Francji, przynosząc jej powstającym zjawiskom poparcie wielkiej teorii naukowej. Tylko że temu uzasadnieniu absolutyzmu w zewnętrznym przedstawieniu nada się tam następnie całkiem odmienne zabarwienie, despotyzm zamieni się w ojcowską władzę króla nad jego ludem, brutalność i egoizm otrzymają łagodną nazwę troskliwości i opieki nad losem

poddanych, a wszystko wyprowadzi się z nakazów nie filozofii współczesnej, lecz z przepisów Księgi odwiecznej mądrości. Na tle wspaniale rozwiniętej literatury, wynoszącej wielkie napiętności i bohaterskie uczucia człowieka (Corneille, Racine) i do głębi ośmieszającej przywary natury ludzkiej (bajkopisarz La Fontaine, komediopisarz Molière) tym potężniej rysuje się sięgająca prawie niebios postać władcy, którego prawa boskie zostały wyprowadzone z Pisma Świętego przez orła krasomówstwa tej epoki Bossueta (1627-1704) w utworze *Politique tirée des propres paroles de l'Écriture Sainte*. Takiemu władcy należało się poświęcenie bez granic, miłość i gotowość do wszelkiej ofiary.

Wiek Ludwika XIV przeminął, a on sam, zwyciężony, padł złamany. Ale posiew jego dzieła trwał i rozrastało się ono po całej Europie, a jego twórca po swej śmierci zwycięża ostatecznie idąc na zdobycie nowego świata, prowadzony genialnym piórem najświetniejszego pisarza Francji i Europy nie tylko XVIII wieku. Bo świetności i niebываłej wprost poczytności u współczesnych nie sposób odmówić Wolterowi. W swoim „Wiek Ludwika XIV” (*Siècle de Louis XIV*, 1751) stworzył on nie pismo pochwalne, nie panegiryk, lecz apologię, usprawiedliwienie i uzasadnienie wielkości znakomitego władcy. Będąc rzetelnym historykiem, dbałym w sposób jak na owe czasy wręcz wyjątkowy o prawdziwość podawanych faktów i o ich poparcie przez dokumenty najzupełniej niesporne, Wolter namalował wspaniały obraz panowania Ludwika, ale nie oddał całej jego prawdy. Ogłaszając w roku 1751 swoją książkę, która została rozchwyтана i nabyła znaczenia instrukcji politycznej w gabinetach Marii Teresy czy Fryderyka II, albo u Katarzyny i tylu pomniejszych, Wolter nie z Pisma Świętego, z którym pozostawał w otwartej wojnie, lecz z zasługi Ludwika, z jego roli dla twórczości duchowej, dla kultury umysłowej, dla cywilizacyjnych wartości zbiorowych narodów, trwałych i w następnym pokoleniu, z jego tytułów wyprowadzał prawo do nazwy Ludwik „Wielki”.

I w ten sposób w połowie XVIII wieku związał absolutyzm z tym, co wówczas posiadało w opinii powszechnej wartość, gdyż wtedy kultura i „oświecenie” wydawały się już właściwie pojęciami zupełnie identycznymi.

V. OŚWIECENIE XVIII WIEKU

1. Przez filozofię Oświecenia rozumie się zazwyczaj wielki

ruch myśli, który rozwinął się we Francji wieku XVIII. Obejmuje on równolegle tych, którzy poświęcają się badaniom specjalnym w zakresie matematyki, fizyki, chemii, zoologii itp., i tych, którzy uprawiają studia ogólne i pod nazwą filozofii myśleli o tworzeniu ogólnego poglądu na świat i człowieka, opartego na wynikach naukowych poszukiwań. Ale w tym XVIII wieku uczeni specjaliści dążą do powszechności, do uniwersalizmu, do filozofii, a filozofowie wychodzą z nauk specjalnych, uprawiając je także, oddając się jednak przede wszystkim budowaniu poglądu powszechnego.

Francuski ruch naukowo-filozoficzny wyprowadza się z dwu głównych źródeł. Powstał on jako sprzeciw, jako opór, jako reakcja na panowanie utartych zadawnionych zapatrywań i sądów, których nie wolno było tykać, na panowanie autorytetów, jako walka z istniejącymi porządkami, głównie jednak i przeważnie jako nieświadome dążenie do wyzwolenia myśli spod ucisku państwa absolutnego i nacisku poglądów, narzucanych przez Kościół. I bezpośrednio nawiązuje do wielkiego angielskiego filozofa Locke'a (1632-1704), który w wolniejszej politycznie atmosferze Anglii, gdzie wpływ Kościoła na umysł był o wiele słabszy, stworzył własny system poznania w „Badaniu nad rozumem ludzkim”, system prawie rewolucyjny. Uczył on, że człowiek nie przynosi ze sobą na świat żadnych idei przyrodzonych, że myśl jego, jego mózg jest jak czysta tablica, na której zapisuje się wszystko, co nabywa on przez zmysły, i że czego nie można ująć zmysłami, tego nie ma i w poznaniu. Locke jest właściwym twórcą nowoczesnego sensualizmu, tj. kierunku, który w zmysłach widzi *jedynę* źródło ludzkiego poznawania.

2. Wiek XVIII jest niesłychanie bogaty w twórców, w badania, w dzieła, w przedsięwzięcia naukowe. Paryż staje się prawdziwą stolicą olbrzymiego ruchu umysłowego. W tej wylegarni koncepcji i teorii szczególniejszą rolę odgrywają salony. Tam, pod opieką ich właścicielek, pań z wszystkich sfer, kobiet subtelnych, po swojemu wykształconych, wrażliwych na wszystko, co nowe i żadnych odgrywania roli w budzeniu ludzi, zbierali się przedstawiciele pracy twórczej i ludzie chciwi nowych zdobyczy intelektualnych, uczeni, filozofowie, poeci, pisarze, politycy, mężowie stanu, dziennikarze, przygodni przyjezdni, Francuzi z prowincji i cudzoziemcy. Takim stałym bywalcem salonu pani Geoffrin będzie późniejszy król polski, Stanisław August Poniatowski. W gorących, często namiętnych rozmowach, w gwałtownej wymianie zdań omawiano ostatnie książki, wysłu-

chiwano rzeczy jeszcze nie wydrukowanych, czytanych przez autorów, albo pism, będących w obiegu w rękopisie, dzielono się tym, co — jeszcze niegotowe — zrodziło się przed chwilą w rozgwarze dyskusji, i wynikami długich lat żmudnych poszukiwań i głębokich rozmyślań. A potem stamtąd te nowe dzieła i cały ten „klimat” nowego ruchu rozchodził się po całym Paryżu, po Francji, po całej Europie, docierał i do Ameryki Północnej i nawet aż do zaśnieżonej Moskwy.

Francja tego wieku jest wprost przesycona ilością pisarzy pierwszorzędnych w każdej dziedzinie. Tu wypadnie nam ograniczyć się jednak do najważniejszych, do tych tylko, bez których dorobku rozwój kultury powszechnej nie jest do pomyślenia i bez których dzieł nie można w ogóle zrozumieć twórczości francuskiej. Najstarszym z nich, jako pisarz, jest Montesquieu (1689-1755). Członek arystokracji urzędniczej, owej *noblesse de robe*, oprócz majątku otrzymał od niej zdolność do posiadania zdrowego sądu o rzeczywistości polityczno-społecznej. W swej twórczości nieustannie posuwał się naprzód, aż doszedł do prawdziwie najwyższego poziomu. Zaczął od „Listów perskich” (1721), w których w rzekomej korespondencji między dwoma wschodnimi ludźmi zjadliwie opisał obyczaje Paryża, Francji a właściwie i całego Zachodu europejskiego. W złośliwej satyrze ośmieszył wszystkich i wszystko, co miało wówczas znaczenie w jego ojczyźnie. Potem przeszedł do pracy bardziej pozytywnej, do konstruowania własnych poglądów na różne zjawiska życia zbiorowego. Już w ogłoszonych w roku 1734 *Uwagach o przyczynach wielkości i upadku Rzymian* dał nieoczekiwanie głęboki, prawdziwie naukowy zarys rozwoju historii wewnętrznej starożytnego Rzymu, który odbiegał całkowicie od rozpowszechnionych opowieści z historii rzymskiej, który wszedł w istotę życia społecznego tego państwa i kazał się spodziewać innego, jeszcze obszerniejszego dzieła tego samego rodzaju. Istotnie w roku 1748 ukazał się sławny *Duch praw*.

Znaczenie tego dzieła leży zarówno w jego wartościach naukowych jak i w jego treści politycznej. Montesquieu chyba pierwszy ujął najważniejsze warunki powstawania i rozwoju państw i wyjaśnił źródła ich różnorodności. Wskazał na „przyczyny” klimatyczne, ściślej geograficzne, na właściwości etniczne i „temperamentów”, charakterów i usposobień narodowych, jako okoliczności zasadnicze, tworzące takie czy inne formy politycznej egzystencji narodów. Dał nowoczesną, odmienną od Arystotelesa klasyfikację ustrojów państwowych, która zdobyła sobie odąd powszechne uznanie i właściwie utrzymała się jako obowiązująca

w nauce o państwie. Wyjaśnił, że właściwe formy ustrojowe nie mają i nie mogą mieć powszechnego zastosowania, lecz że zależnie od ducha narodu każdy przyjmuje u siebie taki czy inny ustrój. Uczył, że z drugiej strony charakter ustroju wywiera wpływ przekształcający w dobrym lub złym kierunku na naturę i charakter narodów.

Podając obok zasadniczych cech danych ustrojów ich zwyrodnienia i właściwości o tym świadczące, Montesquieu wytknął — i tu istnieje przejście od nauki do polityki — możliwość uniknięcia tych chorób, tej patologii, uniknięcia ostatecznego upadku, jeżeli przyjmie się i zastosuje dobrowolnie to wszystko, co jego zdaniem stanowi właściwości wzorowej konstytucji państwowej. Z obserwacji życia ustrojowego Anglii, przez jego wyniesienie na poziom ideału i wyprowadzenie teorii o jego cechach istotnych, Montesquieu zbudował swoją koncepcję państwa-wzoru. Takie państwo dzieli władzę zwierzchnią na trzy równorzędne i równoległe władze: wykonawczą, którą sprawuje król przez swych ministrów, prawodawczą w reprezentacji narodowej i sądową w niezależnych od dwu poprzednich organach sądowych. Podział władz jest zasadą gwarantującą równowagę w państwie i jedynym czynnikiem normalnego funkcjonowania życia zbiorowego. Nie poddając wprost krytyce absolutyzmu francuskiego z okresu jego upadku w dobie po śmierci Ludwika XIV, w której wypadło mu żyć i tworzyć, Montesquieu przeciwstawił idealny ustrój monarchii konstytucyjnej monarchii nieograniczonej i w ten sposób podważył jej istnienie u samych podstaw. I stworzył doktrynę, która weszła jako artykuł wiary do całego późniejszego rozwoju europejskiego w XIX wieku.

Mimo swoich prawie genialnych odkryć i pięknego, poważnego języka Montesquieu nie miał u współczesnych tego powodzenia, co jego bardziej powierzchowny, nieco młodszy rówieśnik — Wolter (1694-1778). Bo doprawdy był to prawdziwy fenomen płodności, wszechstronności, jaskrawej, błyskotliwej i olśniewającej bystrości i ruchliwości myśli i stylu. Dał on Francji epopeę narodową „Henriadę”, dramaty, w których połączył pierwiastki klasyczne z tradycją narodową i coraz modniejszymi motywami wschodnimi, dał komedie mało sceniczne, ale bardzo złośliwe, i satyry gryzące, był jednym z jej pierwszych nowelistów i powieściopisarzy i w obu rodzajach stworzył prawdziwe arcydzieła, by podać „Kandyda”, był przy tym historykiem zupełnie pierwszorzędnym, i pod względem metody i pod względem umiejętności zbierania i korzystania ze źródeł oraz artyzmu wykładu, i zawsze był „filozofem”. Głosił to, co już było w tym czasie

utrwalone w tej republice geniuszów, w której on był prawdziwym królem, i nigdy nie zapominał o swym właściwym powołaniu. Był urodzonym publicystą, namiętnym, jaskrawym, nieopanowanym krytykiem literatury i sztuki, smaku i gustu, obyczajów i zwyczajów, wierzeń i moralności. Tylko państwa ostrożnie nie tykał. Pod tym względem jego korespondencja, pisana do osób określonych, ale zawsze tak pisana, by mogła pójść w szeroki świat, była najpotężniejszym narzędziem propagandy jego zapatrywań, rozszerzania się jego wpływu i utrwalania jego sławy. Bez konsekwentnego stałego stanowiska zasadniczego, bez wyraźnej pozytywnej postawy, Wolter był przede wszystkim i głównie burzycielem: niszczył poglądy ustalone, rozbijał autorytety, napadał na przesady i uprzedzenia. Podważył zaufanie do twierdzeń wiary, szerzył krytycyzm w dziedzinie religijnej, moralnej czy umysłowej, obalał to, co istniało od wieków, i na to miejsce wprowadzał podniecone przez siebie dążenie do myśli samodzielnej. Na ogół układny wobec państwa i jego samowładztwa, choć nie przestawał się ujmować za ofiarami despotyzmu i nietolerancji, prowadził wojnę z Kościołem (ważny jego poemat „Darczan-ka”, w tłumaczeniu Mickiewicza) i z zależnością od tradycji przeszłości, i jest twórcą w Europie specyficznego wolnomysłicielstwa, przygotowującego grunt dla przyszłego swobodnie myślącego człowieka. Na podobnym stanowisku stało wielkie przedsięwzięcie naukowe, nie pierwsze zresztą tego rodzaju, które miało dać całokształt wiedzy ludzkiej, czyli *encyklopedię*, w postaci wielkiego słownika naukowego, podzielonego na rozprawy o różnych zasadniczych zagadnieniach naukowych i filozoficznych. Dzieło wspólnej inicjatywy i wspólnego kierownictwa dwu pisarzy, przyrodnika d'Alemberta (1717-1783) i Diderota (1713-1784), „filozofa” i powieściopisarza (istnieje po polsku jego bardzo śmieszny „Kubuś fatalista” w tłumaczeniu Boya), encyklopedia miała dać obraz całego ówczesnego stanu nauki i poglądów na sprawy polityczno-społeczne, religijno-moralne, estetyczne, słowem „filozoficzne”, i wpręgła do wspólnej pracy olbrzymi sztab prawie wszystkich wybitniejszych pisarzy francuskich tego czasu. Dzieło niejednolite pod względem zapatrywań, nierówne co do wartości poszczególnych artykułów, encyklopedia, której dwa pierwsze tomy ukazały się w roku 1751, zawieszona pod działaniem cenzury dwukrotnie (1752-1753 i 1757-1765), ukazywała się jednak wytrwale i została ukończona w roku 1773, zdobywając sobie niebywałe powodzenie w całej Europie.

Jest ona może najlepszym i najdoskonalszym wyrazem środo-

wiska. Filozoficzna w całej rozciągłości, lecz bez religii, z deizmem (system odrzucający objawienie, lecz uznający istnienie Boga nieosobowego i religii naturalnej) jako główną teorią, z moralnością bezreligijną i bez sankcji, z moralnością naturalną bez nadmiernego zresztą przyznawania przewagi przyrodzonym skłonnościom natury ludzkiej, z teorią poznania zbliżoną do Locke'a, z estetyką bardzo klasyczną i po staremu tkwiącą w nakazach „wielkiego” XVII wieku francuskiego, encyklopedia była politycznie liberalna, czyli była za monarchią, lecz bezwzględnie i stanowczo przeciwko wszelkim formom despotyzmu i ucisku. Monarchii wprost nie zagrażała.

Obok encyklopedii stało już w tym czasie wielkie dzieło osobiste jednego człowieka, jednego z najpotężniejszych twórców nauk przyrodniczych, Buffona (1707-1788). Autor wielotomowej „Historii naturalnej” (1749-1789), którą wykończył nie sam jednak, lecz przy pomocy wielu znakomitych współpracowników (i Staszic w tym brał udział), Buffon dał teorię ziemi (czyli geologię), historię naturalną człowieka, epoki natury, mineralogię i olbrzymią zoologię opisową. W nich starał się przedstawić ciągłość natury, rozwoju ziemi i świata zwierzęcego na niej; przeciwstawił się już pogładowi, by świat zwierzęcy miał stanowić od początku coś niezmiennego, choć jeszcze nie postawił teorii o zmienności gatunków zwierzęcych, wykazał związek istniejący między naturą odżywiania a charakterem świata zwierzęcego, zależność fauny od podłoża geograficznego i stąd istnienie pewnych gatunków tylko w tych a nie innych częściach ziemi. Buffon jest twórcą antropologii (zajmującej się człowiekiem ze stanowiska jego natury fizycznej) i etnografii (zajmującej się ludami ze stanowiska materialnego ujawniania się ich działalności) oraz geografii zwierząt. Jako pisarz o wielkich wartościach artystycznych, o stylu nieco napuszonym, lecz żywym, pociągającym, dowiódł publiczności, że można dać dzieło przyrodnicze, od którego nie sposób się oderwać, nawet jeżeli to będą opisy życia zwierząt, zdobywając dla tego świata powszechne zainteresowanie. Można powiedzieć, że dopiero on stworzył przed inteligentnym czytelnikiem francuskim i nie tylko francuskim nową zupełnie dziedzinę. Przez niego to środowisko odkryło istnienie natury i zaczęło zdobywać zmysł rozumienia i wyczuwania przyrody, takiej, jaka istniała prawdziwie, otaczająca dotąd głuchego na nią i ślepego człowieka. A to zbiegło się z wysiłkami innego pisarza, który w całkiem innej dziedzinie, od innej strony szedł świadomie na oderwanie współczesnych od cywilizacji, w której widział tylko źródło zła osobistego i zbiorowego, początek wszel-

kiej nierówności między ludźmi (mowa o „Początkach i podstawach nierówności między ludźmi” — *Discours sur l'origine et les fondements de l'inégalité parmi les hommes*, 1753-1755) i pragnął ich pchnąć z powrotem ku naturze, która, jego zdaniem, jest jedynym podłożem dla uszczęśliwienia człowieka.

J. J. Rousseau (1712-1778) był bardzo dziwnym pisarzem, tak jak był i dziwnym człowiekiem. Nierówny pod względem myśli, był również nierówny pod względem stylu, który gorączkowy, namiętny, wybuchowy porywał czytelnika, by znowu na innym miejscu niepokoić go naiwnością wysłowienia, prawie dziecinnością ujęcia, to znowu uwodził subtelnością języka, jaskrawością wyznań, sięgających aż do niebываłych dotąd w literaturze dziedzin życia, nie zawsze zresztą prawdziwych („Wyznania” w tłumaczeniu Boya), i olśniewał rozległością horyzontów. Był powieściopisarzem, pedagogiem, politykiem, ale nigdy nie zapominał o swym głównym zadaniu: był misjonarzem swej wiary w naturę.

Już w „Nowej Heloizie” (1861), powieści sentymentalnej, jest on głosicielem pierwszeństwa strony uczuciowej nad rozumową w życiu człowieka, który chce żyć naprawdę i być szczęśliwym. Należy odrzucić nadmierne poddawanie się wymaganiom rozsądku, czy w ogóle pierwiastka myśli, który sprowadza tylko zepsucie, a iść wyłącznie za uczuciem, za bezpośredniością, za czułą namiętnością. Serce człowieka nigdy nie zawodzi, gdyż życie uczuciowe to właśnie życie naturalne, to panowanie stanu naturalnego duszy.

W „Emilu” (1762) Rousseau postawił jako naczelne hasło wychowanie człowieka, oderwanie go od sztucznych warunków egzystencji w środowisku zepsutej cywilizacji i przywrócenie go do stanu naturalnego moralności. Dziecko powinno żyć na łonie natury, pozostawione samo sobie, wolne od przymusu i wad, jakie mu narzuca obecny ustrój, a wtedy rozwinie się ono swobodnie i najlepiej, gdyż człowiek posiada przyrodzone dobre skłonności, które dojść mogą do pełnego rozkwitu tylko w wolności, tylko na łonie natury. Wreszcie w tym samym roku ukazała się „Umowa społeczna”, główne polityczne dzieło Rousseau i najważniejszy jego tytuł do wpływu na przyszłe wypadki swej ojczyzny. I tu to samo: tak jak naturalny stan uczuciowy jest źródłem szczęśliwości osobistej, jak naturalny stan wychowania jest gwarancją powodzenia w rozwoju człowieka, tak naturalny stan wolności, przyrodzonej każdemu człowiekowi, jest warunkiem koniecznym doskonałości egzystencji zbiorowej. Ale ten stan jest zewsząd za-

grożony i dlatego człowiek nie może istnieć sam, lecz musi się zrzesać. Tylko przez dobrowolne ustąpienie swej przyrodzonej wolności na rzecz przez siebie tworzonego ogółu, na rzecz społeczeństwa, nie będzie on pozbawiony korzyści przyrodzonych. A temu służy umowa społeczna, przez którą wszyscy wolni z natury łączą się w dobrowolnie utworzoną całość, w społeczność. W ten sposób powstaje państwo, a w nim cała władza jest w ręku tych, na których wolni ludzie ją przelali. Wszystko załatwia się przez zbiorową decyzję (w głosowaniu większością głosów) i wszyscy spokojnie a bez zastrzeżeń poddają się temu, co postanawia społeczeństwo, zbudowane na tym pierwotnym kontrakcie. Tylko takie społeczeństwo, które dojść może nawet do nieograniczonej władzy ogółu nad jednostką, tylko taki ustrój jest naturalny. Wszystko zaś inne, a zatem i cały monarchizm jest przeciwny naturze, która jest wcieleniem dobra; jest on więc złem. Tylko że natura Rousseau tym się różni od natury Buffona, że kiedy tamta była rzeczywistym środowiskiem faktycznie istniejących warunków życia przyrody, ta była czymś, co nie istniało, była poetycką czy teoretyczną fikcją jakiegoś stanu szczęśliwości, który ponoć miał istnieć niegdyś, który rzekomo zanikł pod działaniem złych wpływów cywilizacji, a którego faktycznie nigdy nie było. I ten stan szczęśliwości ma się znowu odrodzić gdzieś w przyszłości, będąc celem, ku któremu w swym rodzaju winna zmierzać ludzkość. To ma być w pochodzie ludzkości naprzód ku szczęśliwości kres jej *postępu*, czyli nieustannego posuwania się wzwyż ku temu ideałowi.

3. Na tym wypadnie przerwać ten przegląd tak bogatej i tak różnorodnej działalności pisarzy Oświecenia francuskiego, oryginalnych twórców tej atmosfery; nie wyczerpiemy całego ich dorobku, by przejść do tego, co moglibyśmy nazwać głównymi elementami światopoglądu Oświecenia, zaznaczając od razu, że wypadnie tu wciągnąć także poglądy tych innych, którzy nie byli dotąd wymieniani.

Teoria poznania encyklopedyzmu, gdyż tak wolno nazwać całość tego ruchu, teoria wyprowadzająca się z Locke'a, jest w zasadzie przede wszystkim sensualistyczna. Jest to sensualizm o bardzo szerokiej skali odchyień, od ostrożnego uwzględnienia wartości doznań zmysłowych dla powstawania myśli ludzkiej aż do zupełnie jaskrawego materializmu, do uznawania myśli nie tylko za wytwór mózgu, ale jedynie za wynik chemicznej pracy, reakcji tego mózgu. Nawet jeżeli uznać ten ostatni pogląd za krańcowy wyskok zwolennika materializmu, pogląd wysoce naiw-

ny, możemy dziś dodać, to wolno stwierdzić, że w obozie encyklopedystów przeważa skłonność do opierania się na zewnętrznych podmiotach w ujmowaniu myśli ludzkiej, która w każdym człowieku układa się w całość zdolną do oceniania doznań odbieranych przez zmysły i ujmowanie na tej podstawie rzeczywistości, układa się w *rozum*, który jest naczelną istotną siłą duchową natury człowieka.

Wartość rozumu ludzkiego polega według encyklopedyzmu na zdolności pojmowania tego, co jest, i przekształcania tego, co on pojął. W ludzkim poznawaniu nie ma granic. Wszystko jest poznawalne przez rozum, wszystko jest odkrywalne — natura, człowiek, wszechbyt. Ale tylko to może mieć wartość dla człowieka, co może on stwierdzić przez rozum. Poza tym nie ma niczego, bo to, czego nie można ująć rozumem, w ogóle nie istnieje. Stąd rodzi się stosunek tego prądu do religii. Odrzuca on objawienie, którego zmysłowo-rozumowo pojąć nie może, jako leżące poza sferą kontroli rozumu, i przyjmuje tylko to, bez czego świat jako całość zharmonizowana nie mógłby istnieć i nie byłby do pojęcia. Więc deizm, o którym była mowa, albo teizm, uznający istnienie Boga osobowego u innych. Ale najbardziej konsekwentni materialści, którym świat wydawał się tylko mechanizmem w grze odwiecznych sił przyrody, w ogóle wykluczali ideę Boga ze swych poglądów i szerzyli ateizm. Rozum nie znający granic w poznawaniu wydawał się encyklopedyzmowi siłą porządkującą świat naturalny i świat ludzki, jednostkowy i zbiorowy, społeczny. Świat ludzki mógłby być urządzony rozumnie, a wtedy zaginą wszelkie krzywdy, jakie panują obecnie, zginą niesprawiedliwość, ucisk, nierówność i nastąpi stan powszechnej szczęśliwości.

To jest nie tylko możliwe do osiągnięcia, to jest nawet w wyniku nieustannej pracy rozumu nieuniknione. To jest właśnie droga postępu, owego stałego posuwania się każdego człowieka i całej ludzkości ku doskonaleniu się i naprawie własnego losu. Postęp, który był pojęciem szczególnie drogim tamtemu pokoleniu, jest według niego czymś stwierdzonym dla przeszłości i czymś, co z rozumowych przesłanek wypływa jako konieczność dla przyszłości. Postęp jako przyszła droga rozwoju ludzkiego zdobywa się w miarę wzrostu wpływu i rozszerzania się panowania rozumu. Mówiąc inaczej, warunkami realizacji postępu są z jednej strony rozwój nauk, a z drugiej rozpowszechnianie się oświaty. Nauka i oświata to dwa główne fundamenty panowania rozumu na świecie, a zatem i możliwości przebudowy tego świata w duchu postępowym. A że wszyscy ludzie są sobie równi, więc

odpowiednie wychowanie doprowadzi ich do tego samego, by w końcu mogli oni wszyscy iść tą samą drogą posuwania się ku ideałowi rozumu.

Precz ze wszystkim, co hamuje, co przeszkadza działaniu rozumu, precz z autorytetami, które są przeciwne jego wpływowi, niech zapanuje wszechwładnie wyłączna przewaga rozumu — nawet na przekór russowskiemu przywiązaniu do uczucia — jedynej twórczej, życiodajnej siły w świecie ludzkim. Niech rządzi światem rozum, *raison*, po łacinie *ratio*, od którego powstała nazwa tego całego kierunku filozoficznego: racjonalizm.

Wolność myśli, swoboda dociekania naukowego, odrzucenie trudności w szerzeniu osiągniętych zdobyczy w jak najszerszym zasięgu społecznym, oto warunki niezbędne dla postępu ludzkości, i te warunki muszą być zdobyte; oto najbliższy cel zabiegów i wysiłków ludzkich. Ale obok tych najbliższych z filozofii racjonalistycznej płynęły dalsze, choć może na razie nie tak mocno podkreślone konsekwencje jej założeń. Celem działania rozumu winna być walka nie tylko z uciskiem myśli, lecz z wszelką formą ucisku. Stąd obok wolności myśli racjonalista dążyć musi do pełnej wolności osobistej człowieka. A że temu na przeszkodzie stają istniejące urządzenia polityczne, cały mechanizm despotyczny absolutnego państwa, więc i ten mechanizm musi być poddany ostremu atakowi krytycznego rozumu.

I tak się stało. Już satyra monteskiuszowska była zastosowaniem do państwa i społeczeństwa ostrego kwasu reakcji rozumu, a ironia i złośliwość wolteriańska przegryzała do głębi korzenie struktury obyczajowo-moralnej starego porządku, obie działały niewidocznie, lecz skutecznie przy oklaskach i zachwycie tych, przeciwko którym racji bytu były skierowane.

Na miejscu urządzeń i porządku, przeciwnych rozumowi, wznoszono zwolna inny gmach, oparty właśnie na zasadach rozumowych, z tą wiarą, że będzie to gmach doskonalszy, a nawet wręcz idealny. W nim zapanuje wolność i równość wszystkich, te dwie najdroższe dla ludzi Oświecenia wartości, które każdemu człowiekowi w jednakowym stopniu przyznawał sprawiedliwy rozum. A na straży tych wartości stanie ustrój wyprowadzony z umowy społecznej, tej jedynej rozumowo uzasadnionej formy stosunku człowieka wolnego do ogółu, ustrój, w którym sprawiedliwości pilnować będzie równowaga wpływów poszczególnych naczelnych organów państwowych, oparta na podziale władz.

4. Objawiona w drugiej połowie XVIII wieku, w dobie

walki z jezuitami i zaciekłych bojów w obronie wolnej myśli, filozofia racjonalizmu wydawała się jej twórcom przede wszystkim dążeniem do zdobycia miejsca dla panowania rozumu w mózgach ludzkich. Warunki polityczne owego czasu i własne inteligencje nastawienie tych ludzi kazały im w tym widzieć główne zadanie życiowe. To dla nich samych posiadało w danej chwili znaczenie największe i to też mogło znaleźć najżywszy oddźwięk doraźny gdzie indziej. Zwłaszcza, że cały ich ruch nosi wybitnie światowy, powszechny, kosmopolityczny (uznający cały świat za swą ojczyznę) charakter. Sami oni do tego dążyli, by ich wszędzie uważano za swoich, i wszyscy gotowi im byli przyznać ten charakter w tym wówczas ustalającym się zapatrywaniu, że rozum może działać wszędzie jednakowo, niezależnie od stosunków miejscowych i okoliczności czasu. Tym się tłumaczy, że w okresie panowania absolutyzmu nie tylko pisma tych pisarzy znalazły przychylnie echo w państwach samowładczych, ale że nawet monarchowie despotyczni, pragnący uchodzić za oświeconych, szukali osobistego zbliżenia i odwoływali się do rozmyślań tych filozofów.

Czyż jakiś sprawiedliwy porządek w sądach, czyż przejście od procedury tajnej do jawnej i jednolicie uregulowanej, czyż skasowanie tortury albo oświata ludu, opieka nad nauką, nawet z pewnego rodzaju mecenasostwem (popieranie przez monarchę nauki i sztuki) a dalej jakaś troskliwość o los mas włościańskich w zmieniających się warunkach techniczno-gospodarczych, w dobie ustalania się kapitalizmu rolnego, dla którego siłą o wiele korzystniejszą od niewolnego pańszczyźniaka stawał się wolny najemnik rolny, czyż to wszystko nie znajdowało uzasadnienia w encyklopedii, a przez nią nie mogło uzyskać aureoli? Toteż nie dziw, że Diderot bywał wzywany, aby dawać rady Fryderykowi i Katarzynie, że Wolter jeździł na dłuższy pobyt do Berlina, a Diderot do Petersburga, że matematyk Maupertuis był prezesem pruskiej Akademii i że utrzymywali oni stałą korespondencję z d'Alembertem i tylu innymi filozofami paryskimi. Nie dziw także, że z drugiej strony Mably czy Rousseau dawali rady współczesnej szlacheckiej Polsce, nawet jej konserwatywnemu odłamowi, wychodzącym po konfederacji barskiej. Doraźne rady dla monarchii absolutnych czy republiki stanowej wywodziły się z założeń filozofii Oświecenia i przyginały się do wymagań konkretnego życia.

Ale w encyklopedii tkwiły także rady nie dla despotów, a dla ludów. Z niej płynęło pożądanie owego *contrat social*, które miało przynieść śmierć ideową absolutyzmowi z chwilą, kiedy

masy świadome swej siły w momencie bankructwa finansowego państwa absolutnego podniosą nań rękę, wypisawszy na swym sztandarze ruskowskie słowa, że każdy człowiek rodzi się wolny i że wolności tej nigdy nikt wyzbyć się nie może.

VI. POLSKIE REFORMY PAŃSTWOWE W XVIII WIEKU

Wiek XVIII w Polsce, przynajmniej od czwartego dziesiątka lat, jest okresem nieustannych wysiłków w kierunku reformy politycznej, przeważnie nie uwieńczonych powodzeniem i tylko wyjątkowo zakończonych pozytywnymi wynikami, aż wreszcie doszło do wielkiego dzieła Sejmu Czteroletniego. Z tego długiego łańcucha starań wypadnie wydobyć i podnieść tylko niektóre, te mianowicie, które posiadać będą wspólny charakter.

1. Na czele ruchu ku przeobrażeniu ustroju w praktycznym działaniu w pierwszej połowie stulecia stali dwaj bracia, różni umysłem i charakterem, ale sprzęgnięci zblizoną wolą i wspólnym natężonym dążeniem do przywrócenia Polsce jej utraconego stanowiska, jej siły i sprawności wewnętrznej, do umocnienia jej armii osłabionej od pamiętnej uchwały sejmu „niemego” z roku 1717, która ograniczyła liczbę wojska do 24.000.

Starszy, Michał ks. Czartoryski (1696-1775), kanclerz wielkolitewski, był jednym z największych polityków Polski i niezaprzeczenie naszym największym mężem stanu w tamtym trudnym stuleciu. Mądry, wykształcony i ostrożny, umysł wyjątkowo głęboki i przezorny, charakter śmiały, zdecydowany, nie cofający się przed ryzykiem ani odpowiedzialnością, kiedy chodziło o sprawy własne czy publiczne, polityk uparty, konsekwentny, o ambicji tworzenia rzeczy wielkich, a przy tym na wskroś trzeźwy, życiowy i realny, ten pierwszy magnat Rzeczypospolitej umiał, nie tak jak inni, sięgać wzrokiem daleko poza opłotki własnych tylko włości i patrzeć na wszystko ze stanowiska interesu narodu, a pełen „ducha rządzenia” (*esprit de domination*), całkowicie poświęcał się dziełu przebudowy ojczyzny. Wyrzekał się dla tego celu swych uprzedzeń i najtajniejszych umiłowañ, swego uzasadnionego wysokiego o sobie mniemania, naturalnej w każdym człowieku skłonności do spokojnego używania dóbr posiadanych, a niezmordowanie ruchliwy i pracowity, obdarzony wyjątkową

pamięcią (mówią, że znał do 100.000 swych współobywateli), łączył to z talentem pozyskiwania ludzi, przemawiania do nich i kierowania nimi i nie przestawał urabiać ich wszelkimi sposobami. Szedł przez życie związany ze swym młodszym bratem, ks. Augustem (1697-1782). Ten zaś, wojewoda ruski, pan przeogromnych posiadłości, był twórcą materialnej potęgi swego rodu i ostatecznego jego wyniesienia ponad wszystkie inne domy magnackie w Rzeczypospolitej. Bystry i wysoce „edukowany”, przejęty zdobyciami kultury zachodniej, charakter gwałtowny i dumny, lecz opanowany nabytą z czasem rozważą, ambitny ponad wszystko i uważający koronę królewską za jedyne godne siebie czy swego syna stanowisko w Polsce, nie tak jednolity w sobie jak brat, pełen dla niego admiracji i posłuchu, wiernie stał u boku ks. Michała, by wraz z nim stworzyć program, politykę i obóz „familii”, w której pod przewodnictwem starszego z nich skupiało się wszystko, co dążyło u nas do odnowienia Polski. Przez lata całe podejmowali oni za Augusta III na sejmach (1744-1750) starania o wyprowadzenie ojczyzny ze ślepej ulicy i nicości międzynarodowej, w którą ją wpełchnęli obaj królowie z domu saskiego, o nadanie jej organicznie lepszego rządu, o reformowanie sądownictwa. Celów swoich nie przeprowadzili: wśród samowoli magnackiej i rozpasania mas szlacheckich, wśród intryg dworu i jego pierwszego ministra Brühla, głównego mąciela Rzeczypospolitej, doczekali się śmierci Augusta III (5. X. 1763) i otwarcia nowego bezkrólewia. I teraz wbrew własnemu dawniejszemu stanowisku i na przekór głosowi sumienia uczciwych patriotów nie zawahali się odwołać do pomocy Rosji w tym błędnym lecz szczerym przekonaniu, że zdołają wygrać ją dla dobra Polski i uwolnienia jej od anarchii i *liberum veto*, owej zakały naszej nowoczesnej Rzeczypospolitej („wolnym nie pozwałam”), dzięki której każdy pojedynczy poseł mógł zerwać każdy sejm i sejmik i zahamować wszelką działalność prawodawczą w Polsce oraz uniemożliwić dalsze normalne funkcjonowanie państwa. Korzystając z tej pomocy przeprowadzili wybory według swej myśli, narzucili na sejmie konwencyjnym konfederację (1764), stworzyli sytuację, w której wszystko załatwiało się większością głosów, bez możliwości zrywania posiedzeń, a mając organizację konfederacką opanowali w kraju sądownictwo i wojsko, uzależnili od siebie ogół narodu rodzajem władzy dyktatorskiej i przeprowadzili na sejmie doniosłe zmiany. Z nich na takie tylko zwracamy uwagę. Dla przyśpieszenia wymiaru sprawiedliwości przeorganizowali i usprawnili działanie trybunału koronnego. Dla lepszego funkcjonowania skarbu powołali do życia

komisje skarbowe, koronną i litewską, którym przekazano ściąganie dochodów państwowych i rozporządzanie wydatkami, ale na które przelano nadto obowiązek prowadzenia całej gospodarczej polityki krajowej: miały one zajmować się miastami, które zostały zwolnione od sądownictwa prywatnego, od większości ciężarów prywatnych i od niektórych obowiązków publicznych, miały opiekować się handlem, budować drogi, uszpławiać rzeki, czynić starania o zdobywanie nowych rynków zbytu dla produkcji krajowej itp. Na sejmie zaprowadzili nowe cło generalne na wszystkie zboża, przez co uległo zniesieniu najważniejsze uprzywilejowanie warstwy szlacheckiej. Nakazali przeprowadzenie nowej lustracji (rewizji i opisu) majątków państwowych, płacących podatek na wojsko. Uporządkowali pobieranie podatku od Żydów itp.

Następnie utworzyli komisje wojskowe, również dla obu części państwa, do których miała przede wszystkim należeć administracja wojskowa i które miały wziąć na siebie rolę organu kontrolującego w stosunku do dotychczasowych nieograniczonych i właściwie nieodpowiedzialnych hetmanów (hetman to był naczelny wódz i zarazem minister wojny). Hetmanów było dwóch dla każdej części państwa — wielki i polny. Zresztą w myśl istniejącego u nas systemu politycznego obie komisje wypełnili delegatami od sejmu i senatu, a korzystając z chwilowej swej przewagi liczyli, że wprowadzą tam ludzi, którzy byliby z nimi (Czartoryskimi) całkowicie związani.

Więcej nie byli w stanie osiągnąć. Napotkali bowiem na bezwzględny i nieprzejednany opór Rosji i Prus, które nie pozwoliły im iść dalej w dziele odnawiania ustroju, które przeszkodziły w rzeczach najistotniejszych i zatrzymały wszystko w pół drogi. Sejm miał zostać po staremu machiną niezdolną do normalnej i praktycznej pracy. Niezadługo Rosja podważy samo dzieło roku 1764; choć komisje nie zostaną zniesione i sądownictwo będzie utrzymane na nowej stopie, sama zabierze się do „reformowania” Polski, by ją utrzymać w całkowitej wobec siebie uległości, zerwie z Czartoryskimi, którzy nie nadawali się na narzędzia rosyjskiej polityki, i zniszczy ich wpływ w kraju, a następnie po wojnie z Turcją i po konfederacji barskiej (1768-1772) zgodzi się na projekt Prus i wspólnie, z Fryderykiem II i Marią Teresą przeprowadzi pierwszy rozbiór Polski (1772).

A potem zmusi Polskę do odegrania tragicznej farsy „dobrowolnego” ustępowania rozbiornikom ziem zagrabionych i do przeprowadzenia na sejmie, który był wypełniony przez jej płatne

kreatory (1773-1775) zmiany urzędzeń z oddawaniem Polski pod opiekę i gwarancję „wspaniałomyślnej” imperatorowej. Nawet nie sejm cały, którego jeszcze się Rosja lękała, lecz jego delegacja zatwierdziła amputację terytorium narodowego i zaprowadziła nowości, które — trzeba to powiedzieć — nie wszystkie były pozbawione sensu i większej wartości.

Więc po pierwsze został na sejmie delegacyjnym 1773 roku utworzony — pod nazwą *Rady Nieustającej* — stały rząd Rzeczypospolitej, złożony pod prezydencją króla z 36 komisarzy od senatu i izby poselskiej. Rada Nieustająca miała być naczelnym organem rządowym, stojącym ponad królem i ponad ministrami, miała zwoływać sejmy, przedstawiać królowi do nominacji kandydatów na stanowiska senatorów i ministrów (którzy u nas pełnili swe czynności dożywotnio) oraz prowadzić zewnętrzne i wewnętrzne sprawy państwa. Dzieliła się na 5 departamentów. Do departamentu spraw zagranicznych należała polityka zewnętrzna i służba dyplomatyczna Rzeczypospolitej. Departament policji prowadził sprawy miast i kontrolował panujące w nich porządki. Departament wojskowy miał pod sobą komisje wojskowe i zarządzał sprawami armii. Do departamentu sprawiedliwości należał dozór nad funkcjonowaniem sądów i biegiem sprawiedliwości. Departament skarbowy, obejmując władzę nad komisjami skarbowymi, miał sobie powierzone prowadzenie górnictwa i hutnictwa, przemysłu manufakturowego i handlu. Wszystkie departamenty i sama Rada Nieustająca miały być wspólną władzą nad Koroną i Litwą łącznie.

Na następnym sejmie z roku 1776 Rada Nieustająca została jeszcze umocniona, komisje wojskowe zniesione, a ich prawa przesły na odnośne departamenty. Rada otrzymała prawo wydawania rezolucji czyli wyjaśnień niejasnych lub sprzecznych praw, które obowiązywać miały do czasu zatwierdzenia przez najbliższy sejm i uzyskała przez to pośrednią możliwość rozwijania prawa. W ten sposób, przygotowując zjednoczenie organizacyjne Korony i Litwy, obok administracji uzyskała ona pewne atrybucje prawotwórcze.

Dalej w rozwinięciu istniejącej organizacji u boku departamentu policji utworzono organy niższe, tzw. komisje dobrego porządku (*boni ordinis*), złożone z wojewodów i starostów miejscowych oraz przedstawicieli społeczeństwa danego okręgu, a powołane do porządkowania gospodarki miejskiej w terenie. Sam zaś departament zajmował się zewnętrznymi porządkami w miastach, ich bezpieczeństwem ogniowym, czystością ulic, higieną, ponumerowaniem domów itp. Departamentowi skarbowemu po-

wierzono opiekę nad zaprowadzeniem korzystnych warunków dla gospodarki ekonomicznej miast.

Dalej pod opieką Rady Nieustającej (przez władze administracyjne, przy udziale i przy pomocy miejscowych społeczeństw) zakładano wielkie szosy, łączące kresy południowe ze stolicami obu połów Rzeczypospolitej, uporządkowano bieg Dniestru i Niemna, połączono kanałami Niemen (kanał Ogińskiego między Szczera a Jasiołdą) i Wisłę (królewski — między Piną a Muchawcem) z Dniestrem, stwarzając dogodniejszy spław towarów do Morza Czarnego, dokąd wobec łamania przez Prusy zobowiązań i szykan na Wiśle usiłowano skierować główny wywóz z Polski. Myślano także o połączeniu Wisły z Morzem Bałtyckim z ominięciem posiadłości państwa pruskiego, ale tego kanału nie wykonano. Więc choć narzucona przez obcy gwałt w dobie największego upadku i wielokrotnie tylko potulne narzędzie w ręku rosyjskim, Rada Nieustająca była i wykonywała atrybucje prawdziwego rządu na podobieństwo tego, co się działo w innych państwach.

Po drugie sejm delegacyjny stworzył jednak coś jeszcze, czego wówczas gdzie indziej nie było. W czasie jego urzędowania przyszła bulla papieska rozwiązująca zakon jezuitów. Przed Polską stanęło pytanie, jak się ustosunkować do tego nowego a tak doniosłego zarządzenia. Po dłuższej walce, w której jezuitom udało się pozyskać protekcję niektórych możnych świeckich, swych dawnych wychowanków, postanowiono zastosować się do decyzji papieskiej, zakon uważać za nieistniejący, jego dobra przejąć na państwo i utworzyć specjalną Komisję Edukacji Narodowej, na którą miałyby przejść kierownictwo oświatą w Polsce i zarząd wszystkich majątków pojezuickich, przeznaczonych na jej utrzymanie. Utworzona uchwałą z 14. X. 1773, Komisja Edukacji Narodowej, wspólna dla Korony i dla Wielkiego Xięstwa Litewskiego, w składzie osób, z których połowa (4) wyszła ze szkoły ks. Michała Czartoryskiego, była pierwszym ministerstwem oświaty bodaj czy nie w całej Europie. Objęła wszystkie istniejące w Rzeczypospolitej szkoły, w tym dwa uniwersytety w Krakowie i Wilnie, oba zupełnie pod względem naukowym podupadłe, których podniesieniem i unowocześnieniem zajęła się energicznie. Zaprowadziła jednolitą sieć organizacyjną szkolnictwa, podzieliwszy całą Polskę pozostałą po pierwszym rozbiórce na 10 wydziałów (okręgów). W każdym wydziale powołała szkoły parafialne (dziś powszechne), podwydziałowe (dziś gimnazja) i wydziałowe (licea). Obok tych szkół, które otrzymały nazwę akademickich, utrzymała niektóre dawniejsze jako prywatne i wyposażyła szkoły państwowe w jednolicie uszeregowany stan

profesorski, który odmiennie niż w przeszłości miał się składać w przeważnej większości z nauczycieli świeckich. Wypracowała jednolity, nowoczesny i świecki program nauczania, w którym religia zajmowała wprawdzie ważne miejsce, ale na równi z innymi przedmiotami, jako „nauka chrześcijańska”. Przedmioty nauczania zostały uzgodnione z wymaganiami nowoczesnych nauk i poglądami racjonalistów. Całe nauczanie odbywało się po polsku, łacina została zepchnięta do poziomu innych przedmiotów. Historia była wykładana „pragmatycznie”, z podawaniem przyczyn zdarzeń i wypadków o charakterze moralno-wychowawczym. Bardzo silnie wysunięto przedmioty przyrodnicze: fizykę, chemię, tzw. historię naturalną i w miarę możliwości zaznajamiano uczniów z doświadczeniami. Stroną wychowawczą zajmowała się nauka moralna, której zadaniem było rozwijanie przywiązania do ojczyzny, słowem patriotyzmu i zmysłu państwowego. Szkoła powszechna, której rozwojowi KEN poświęciła najwięcej pracy, w programie swym obok przedmiotów teoretycznych miała praktyczne, dostosowane do potrzeb społecznych środowiska, z którego pochodzili jej uczniowie, więc na wsi ogrodnictwo i rolnictwo a wszędzie początki higieny.

KEN przez specjalne Towarzystwo dla Szkół Elementarnych zajęła się przygotowywaniem podręczników szkolnych, do czego obok pedagogów polskich powoływała cudzoziemców, Francuzów. Tak np. obstałowała u wybitnego filozofa Condillaca podręcznik logiki, oparty na założeniach sensualistycznych. Główne zasługi w tej pracy położyli Michał Poniatowski biskup, późniejszy prymas, brat królewski, syn Augusta ks. Adam Czartoryski, Ignacy Potocki, którego ks. Michał szykował na swego politycznego następcę, i sekretarz komisji, niezmordowany ks. Grzegorz Piramowicz.

Całe to dzieło KEN rozwijało się zupełnie samodzielnie. Rozporządzając znacznym własnym majątkiem, nie obciążając budżetu państwa, dokładnie i systematycznie pilnując, by jej rozporządzenia były ściśle wykonywane w obrębie całego państwa, kontrolując szkolnictwo prywatne, które musiało się też stosować do jej programu, KEN w ustawach roku 1783 otrzymała ostateczne sformułowanie swych zasad i całego systemu, który zaszczepiała narodowi polskiemu.

Sejm roku 1776, o którym była mowa, w jednym jeszcze kierunku uczynił krok naprzód po linii podobnych decyzji w innych państwach. Próby Czartoryskich na sejmie roku 1750 w zakresie uporządkowania prawa sądowego spełzły na niczym.

Na sejmie 1768 roku Rosja wprowadziła nie pozwoliła na podniesienie sprawy chłopskiej i uwolnienie włościan z poddaństwa, zabezpieczono ich jednak na przyszłość przed samowolą panów, o ile dotyczyło to życia chłopów. Odtąd chłopci mieli podlegać sądom grodzkim, ziemskim czy wiejskim za przestępstwa, natomiast panowie za rozmyślne zabójstwo chłopów odpowiadać musieli również przed sądami i mieli ponosić karę śmierci według przepisów Statutu Litewskiego.

W roku 1776 sejm poszedł dalej jeszcze. Powierzył on bytemu kanclerzowi Andrzejowi Zamoyskiemu ułożenie zbioru praw, który by uporządkował i ujedynolicił prawodawstwo cywilne, karne i sądowe Rzeczypospolitej oraz zniósł stosowanie tortur wobec kobiet oskarżonych o czary, karę śmierci na nie i w ogóle stosowanie tortur jako środka dochodzenia sądowego.

Andrzej Zamoyski, człowiek wyjątkowej prawości, prawdziwy wzór obywatela, którego słowa i czyny pozostawały zawsze w zgodzie ze sobą, który po pierwszym rozbiorze złożył godność kanclerską, inicjator reform włościańskich w swoich dobrach bieżuńskich, zdecydowany podnieść stan chłopski i poprawić jego los choćby własnym przykładem oczynszowania włościan (zamiana obowiązku bezpłatnej pracy w dobrach pańskich na opłaty pieniężne) zabrał się do powierzonego mu zadania z całym poczuciem odpowiedzialności za podejmowane dzieło. Dobrał sobie do pomocy ludzi, zasługujących na całkowite zaufanie lub pokrewnych poglądów. Sekretarzem został Józef Wybicki, młody poseł wielkopolski, który jedyny zgłosił w roku 1768 protest przeciwko machinacjom rosyjskim i który w roku 1777 wydał „Listy partyotyczne”, w których wśród innych spraw nalegał głównie wszelkimi możliwymi argumentami na podniesienie u nas sprawy chłopskiej, otwierając w ten sposób długi łańcuch nowoczesnych pomysłów reformatorskich. Innym głównym współpracownikiem eks-kanclerza był Joachim Chreptowicz, podkanclerz litewski, który w swoich majątkach darował chłopom wolność i zniósł większość robocizn.

Praca nad kodeksem posuwała się szybko i po dwu latach w roku 1778 Zamoyski mógł wydrukować „Zbiór praw sądowych”. Nie tyle uporządkował on w nim, ile na nowo zredagował, licząc się z wymaganiami zwyczajów historycznie ustalonych, prawodawstwo krajowe, przepełniając je, o ile chodzi o prawo kryminalne, bardziej humanitarnymi pomysłami, które zawdzięczał współczesnym uczonym jak Beccaria, zajmującym się tymi sprawami. Do prawa sądowego dodał społeczne. Zajął się

przede wszystkim losem chłopów. Nie zrywając z dotychczasowym stanem rzeczy, nie rewolucjonizując stosunków w Polsce, podzielił włościan na dwie grupy: przypisanych do gleby i wolnych, związanych kontraktem, na obie kategorie rozciągnął opiekę prawa, także i dla pierwszych przewidywał możliwości stopniowego ich uwolnienia od poddaństwa osobistego, włościankom w ogóle zapewniał swobodę ruchów. Zaprojektował zaprowadzenie obowiązkowej szkoły powszechnej we wszystkich wsiach. Miastom przywracał używalność dawnych praw lokacyjnych (pierwotne nadania), a mieszczanom zapewniał prawo nabywania nieruchomości ziemskich w niewielkim promieniu wokół większych miast. W stosunku do Kościoła, któremu przyznawał pierwsze miejsce, zamierzał wprowadzić kontrolę państwa nad bullami papieskimi, ograniczenie swobody wstępowania do klasztorów itp. Słowem projektował przygotowanie do doprowadzenia etapami ogółu włościan do stanu zupełnej swobody i zapewniał im opiekę sądownictwa państwowego. Miastom przywracał samorząd. A co się tyczy Kościoła, stał na stanowisku ingerencji państwa w te sprawy, ale wtrącania się umiarkowanego i bardzo ostrożnego. Niemniej w pracy swej istotnie przekroczył mandat, powierzony mu przez sejm, i kiedy wniósł swój „Zbiór praw” na sejm 1780 roku, spotkał się z najbardziej zaciętym oporem. Ręce podali sobie ambasador Rosji, która za nic nie chciała dopuścić do jakiegokolwiek zmiany egzystencji chłopów w Polsce, dokąd chłopci rosyjscy uciekali masowo i dokąd by uciekali jeszcze bardziej, nuncjusz papieski, który uznał, że Kościół byłby przez to narażony na utratę swoich najistotniejszych praw, i dzika ślepotą wstecznej szlachty, która krzyczała, że kanclerz chce córki ich powydawać za chamów, ich samych schłopić, słowem poniżyć cały stan, i „Zbiór praw” przepadł bezpowrotnie, odrzucony w sposób mający go poddać w sromotę. Zamoyski wyszedł z tego doświadczenia głęboko rozżalony i odtąd ostatecznie usunął się od życia politycznego. Stawało się oczywiste, że naprzód trzeba przełamać zbiorową myśl szlachty a potem dopiero przejść do praktycznej pracy reformatorskiej. Po paru latach z domu ordynata Zamoyskiego, który był związany z Puławami Adama i Izabeli Czartoryskich, skąd po całej Polsce rozchodził się wpływ nowych idei, i z Kurowem Ignacego Potockiego, przyszłego współtwórcy Konstytucji 3 maja, wyszły w roku 1787 „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego” Stanisława Staszica. W myśli politycznej narodu otwierała się nowa era. Rodził się duch pokrewny temu, z którego powstały czyny wojny o niepodległość amerykańską i pierwsze wysiłki rewolucji francuskiej.

2. W zupełnie innej dziedzinie Polska Stanisława Augusta (1764-1795) stała się widownią również bardzo znamiennych działań. Sam król, choć jeszcze bardziej obdarty z dawnych uprawnień korony, nie przestaje być ośrodkiem znacznego wpływu i na politykę państwa i na stosunki w narodzie. Przez rozdawnictwo dawniejszego orderu Orła Białego i ustanowienie nowego Św. Stanisława król zdobył sobie środek pozyskiwania ludzi i przyciągania ich ku dworowi, na którym brakło wprawdzie królowej — król pozostawał oficjalnie w stanie bezzennym — ale który nabywa mimo to świetności i blasku na podobieństwo współczesnych mu dworów monarchów samowładnych. Król dwór swój jeszcze uświetniał, czyniąc go wielkim ośrodkiem kultury. Zamek odnowiony i do gruntu przebudowany, stworzone na wzór małego Trianonu małe cacko, Łazienki wypełniają dzieła artystów, którymi się otacza Stanisław August; portrecista, malujący króla we wszelkich pozach, dyrektor jego budowli Bacciarelli (1731-1818), Canaletto (1720-1780), utrwalający widoki Warszawy i dziesiątki innych ozdabiali sale zamkowe, w których król, utrzymujący nieprawdopodobnie rozległą korespondencję osobistą z wybitniejszymi pisarzami i artystami Europy, zbierał u siebie wszystkich dystyngowanych ludzi kraju, uczonych i pisarzy, całą inteligencję.

A równoległe do króla na Zamku, Czartoryscy w Puławach czy w podstołecznych Powązkach mieli swój dwór, swoich poetów, uczonych i artystów i swoją politykę kulturalnego podnoszenia Polski. Usuwający się, wbrew woli starszej generacji familii, od korony Adam Czartoryski wybrał łatwiejszą i przed historią wdzięczniejszą rolę budziciela ducha w narodzie, komendanta Szkoły Rycerskiej, autora katechizmu rycerskiego i inicjatora pieśni o miłości ojczyzny, którą układał Krasicki dla kadetów i całego ówczesnego pokolenia.

Obok mecenasostwa, które sam król uprawiał w tak rozległym i silnym stopniu, odgrywał on rolę żywego centrum budzącego się ruchu przemysłowego w kraju. I to w dwojakim sensie. Brał więc osobisty udział w powstających spółkach fabrycznych, w których obok mieszczan zasiadali wielcy panowie i gdzie łączyły się kapitały rolne z miejskimi i mieszczańskim duchem przedsiębiorczości. Miały one na celu wytwarzanie w wielkich przedsiębiorstwach manufakturowych przedmiotów, które dotąd sprowadzano z zagranicy, a które z powodu ich drożyzny warto było produkować u siebie. Ale, co ważniejsza, ten tak ograniczony w swej władzy monarcha jest inicjatorem specjalnego rodzaju polskiego protekcjonizmu. Z poręki Stanisława Augusta i w naj-

ściślejszym z nim porozumieniu podskarbi litewski Tyzenhaus (1733-1785) podejmuje wielką akcję zakładania i rozwijania wszechstronnej twórczości przemysłowej na Litwie. Głównym ośrodkiem staje się samo Grodno, które rozkwita, zapełnia się licznymi fabrykami i znaczną liczbą robotników. Niesłusznie traktowana jako inicjatywa prywatna, była to działalność państwowa, prowadzona przez najbardziej do tej czynności uprawnionego ministra, który przy tej sposobności nie zapominał o swoich interesach. Ale pracy tej nie było sądzone trwać długo i zakończyła się ona bankructwem (1780). Mimo to zawiązki przemysłu w okręgu grodzieńskim miały doczekać się przejścia do następnej epoki.

3. A teraz streszczając: w Polsce, tej Rzeczypospolitej szlacheckiej z dożywotnim lecz pozbawionym istotnej władzy królem na czele, dokonywał się w XVIII wieku szereg zmian o charakterze dobrze nam już znanym. Oto główne — reforma zarządu państwowego, próba utworzenia jednolitego, naczelnego organu administracyjnego, państwowa i świecka organizacja oświaty, zmiany w sądownictwie ze zniesieniem dawniejszego systemu dochodzenia karnego opartego na torturze, projekt pełnego kodeksu, pomysły rozciągnięcia kontroli na Kościół, opieka nad miastami, urzędowa inicjatywa w zakładaniu przemysłu krajowego i kierownictwo jego życiem, drogi, kanały, domy handlowe na Bliskim Wschodzie, wszystko, co wpływa na rozwój handlu, podejmowane przez władze i korzystające z ich osłony, zbyt liczne budownictwo, prowadzone przez samego monarchę, i wielka działalność kulturalno-obyczajowa tegoż władcy. To wszystko zostało przeprowadzone w dawnych warunkach egzystencji sejmikowo-sejmowej, stale zagrożonej przez możliwości zrywania i obce wpływy, przy wszechwładzy jednej tylko warstwy — szlachty — która społecznie składała się z kilku odmiennych grup i jedyna posiadała pełnię praw w Polsce, a dokonało się z zapoczątkowania rodziny i ich następców: ich siostrzeńca króla, Potockich, ks. Adama, zięciów tegoż siostry Lubomirskiej, ich powinowatego Zamoyskiego. Starzy Czartoryscy, wrażliwi na prądy czasu, rozumieli, że w świecie, w którym panuje powszechnie absolutyzm, Polska nie może nie iść podobnymi drogami ku swemu odnowieniu, i może sami nie byli dalecy od myśli, że z tym absolutyzmem nie byłoby im wcale nie do twarzy, o ile by doszli do panowania w Polsce na stałe.

Z ich natchnienia zaczął się u nas kierunek, którego wyniki w wielu istotnych dziedzinach pokrywały się całkowicie z tym,

co w państwach absolutnych zostało zrobione najlepszego w imię władzy nieograniczonej i przez samowładnego monarchę, a co przy zupełnym braku władzy monarchicznej u nas wydawać by się mogło zupełnym dziwołagiem, gdyby nie działanie „ducha czasu”. Jemu zawdzięczać należy, że w Polsce republikańsko-magnackiej, uzależnionej od gwarancji rosyjskiej, znalazł zastosowanie szereg najważniejszych reform absolutyzmu oświeconego; mówiąc inaczej, że mieliśmy u siebie tyle symptomów twórczości politycznej tego kierunku, choć byliśmy wolni od ucisku owego *absoluti dominii*, bez tyranii jedynowładztwa własnego. Tę tendencję reprezentowali u nas wyrosli ponad poziom grupy magnackiej i ogółu szlacheckiego panowie, zdolni do odegrania w sprzyjających okolicznościach roli jakiegoś polskiego Henryka IV. Ale u nas już w tym okresie reformy zabarwione tchnieniem absolutyzmu oświeconego były równocześnie silniej niż gdziekolwiek indziej przeniknięte także innym „duchem”, który doszedł do swego najwyższego rozkwitu w wieku XVIII, tak że były od razu przejściem do następnej, nowoczesnej, narodowej i demokratycznej fazy rozwoju społeczności europejskiej. Mieliśmy wszystkie prawie dodatnie strony absolutyzmu oświeconego bez samego absolutyzmu i jego zwyrodnień, i weszliśmy równocześnie w swoisty polski racjonalizm.

VII. RACJONALIZM POLSKI

Jak Wł. Smoleński starał się wykazać, w Polsce XVIII wieku dokonał się „przełom umysłowy”, albo jakby to należało ściślej powiedzieć, przemiana moralna społeczeństwa. Zaczęła się ona już za Augusta III, zapoczątkowana, jeżeli nie sięgać dalej wstecz, przez ks. St. Konarskiego, który w dziedzinie myśli, a potem w sferze działania praktycznego odegrał rolę podobną do Czartoryskich i był z nimi ideowo i osobiście związany.

Jeżeli mógł u nas powstać tak szybko, prawie z dnia na dzień cały system oświatowy Komisji Edukacji Narodowej i jeżeli ten system rozwinął się tak świetnie, to dlatego głównie, że był poprzedzony przez inicjatorskie dzieło Konarskiego (1700-1773), przez jego *Collegium nobilem*, istniejące od roku 1747, w którym nasz znakomity pijar, głęboki pisarz polityczny i moralista zastosował te same metody wychowawcze, które następnie staną się dorobkiem ogółu narodowego, i przez Korpus Kadetów, założony przez króla w roku 1765 w myśl zaprzysiężonych *pactów*

conventów — ową pierwszą polską szkołę wojskową. W nich powstała właściwa pierwsza załoga ludzi odpowiednio, nowoczesnie, a przy tym czysto po polsku wyszkolonych, którzy mogli poprowadzić dalej pracę nad wykształceniem społeczeństwa; od pewnego czasu szerzyły się u nas także w rozległym zasięgu pomysły filozofów Oświecenia. Sądząc z ogłoszeń ówczesnych dzienników warszawskich o sprowadzanych do stolicy książkach obcych i po stanie wielkich bibliotek tamtego wieku, choćby np. wilanowskiej Potockich, widać, że wszystkie wybitniejsze nowe książki francuskie znajdowały się prawie natychmiast po ich ukazaniu się tu u nas, a taki np. „*Contrat social*” we wszystkich kolejnych wydaniach. Od połowy wieku rozwija się szeroka działalność wydawnicza tłumaczeń z francuskiego, zarówno Locke’a jak Woltera, Rousseau czy Montesquieu, albo Mablego i innych, nie mówiąc już o powieściach, komediach czy poezjach. I spotykamy się z niebywałą wprost popularnością encyklopedii: można by powiedzieć, że nie było większego dworu szlacheckiego w Polsce, w którym by nie było tego dzieła, i na pewno we wszystkich znaczniejszych bibliotekach ~~z a k o n n y c h~~ też go nie brakło. O bibliotekach mieszczańskich nie wiemy nic bliższego, w każdym razie mieszczaństwo warszawskie przysięgało na tę księgę mądrości. Jeżeli nie wszyscy ludzie roszcący sobie wtedy pretensję do nazwy inteligencji czytali encyklopedię, wszyscy ją widzieli, każdy o niej rozprawił i bardzo wielu posiadało ją u siebie, przynajmniej w kilku tomach. Stąd jest to książka, która przechowała się u nas chyba w największej ilości egzemplarzy, o ile chodzi o dzieła wieku XVIII.

Na tym podłożu obcych, ale w tej dziedzinie najważniejszych wpływów rozwinęła się własna samodzielna twórczość polska. Składała się ona z dwu równoległych dziedzin. Ówczesna literatura piękna jest u nas w swej ogromnej większości i w swoich najwybitniejszych przedstawicielach nastawiona negatywnie do wszystkiego, co stało na przeszkodzie „postępowemu” szerzeniu się nowych myśli. Charakterystyczna jest dla niej właściwie satyra i wyrosła z tego samego podłoża, choć łagodniejsza, przeważnie satyryczna społecznie bajka. Ostra i ciężka u Naruszewicza (1733-1796), lekka, na pozór łagodna, lecz cięta i bardzo dotkliwa u Krasickiego (nie licząc ogromnej satyry bezimiennej tych czasów), wyrosła ona z przeciwstawienia się szlacheckiej tępcocie, jej zacofaniu, nieuctwu, rozpuście i zupełnemu zanikowi poczucia moralności publicznej, tym wszystkim grzechom, które przyprawiły Polskę o anarchię i upadek. Ale nie szlachetczyzna jest tym głównym środowiskiem, z którego złośliwość poetycka,

siekąca na prawo i lewo bez litości, brała swe najdrastyczniejsze wzory. Uderzenie najważniejsze było wymierzone w obniżenie poziomu życia sług Kościoła, a tym, kto przewodzi temu kierunkowi, jest książe Kościoła, biskup warmiński. Jego „Monachomachia” i „Antymonachomachia”, od chwili ukazania się rozrywane przez wielbicieli talentu Krasickiego i przeciwników ostrości jego języka, były w upadek zakonów, w zanik wśród nich prawdziwego powołania, w ich nałogi i zepsucie, w pijaństwo, kłótniwość, małostkowość, ordynarną przyziemność, w zupełny brak wszelkiej lepszej myśli. Krasicki (1735-1801) obnażał wady i niedomagania duchowieństwa i przez to wstrząsał autorytetem Kościoła, choć wojny z nim nie prowadził; podniecał w ten sposób rodzące się i bez niego w społeczeństwie nastroje krytyczne w stosunku do religii. Bronią najstraszniejszą, bo ośmieszając bez pardonu, spychał duchowieństwo w oczach ogółu na poziom żywiołu, w stosunku do którego miało stać się modą krytykowanie, wykpiwanie, pozbawianie go szacunku; w ten sposób drogą pośrednią utrwał u nas specyficzne osiemnastowieczne wolnomyślicielstwo, które drwiło ze wszystkiego, co dotąd było uznawane za święte i nietykalne, przede wszystkim zaś z Kościoła. I na tym gruncie zdobył sobie popularność i nazwę „polskiego Woltera”, a że rozporządzał wyjątkowo świetnym, artystycznie wykończonym wierszem, łatwym do zapamiętania i recytowania, dorobek jego szedł szeroko w świat i trafiał wszędzie.

Krasicki, który dał dosyć powierzchowny i nie odbiegający od przeciętnego gustu szlacheckiego ideał społeczny w „Panu Podstolim”, w „Przygodach Doświadczyńskiego” wykazał inną stronę swego talentu: sięgając do drogiego sercu człowieka XVIII wieku „stanu naturalnego”, przeobraził go, nie odbiegając od przeciętnego przekroju, w idealny obraz natury, wyposażony w oryginalne i z bogatej fantazji wydobyte rysy.

Krytycyzm i śmiałość myśli, walka z przesadami i przeżytkami przeszłości, idealny stan natury — oto główne elementy polityczno-obyczajowo-społeczne twórczości Krasickiego. Ale obok tego, mimo sceptycyzmu, skłonności do nieuznawania w ogóle żadnych stałych zasad, istniało u niego i przez niego szło na Polskę wielkie odświeżające tchnienie nowoczesnego patriotyzmu, opartego na wyłącznym potężnym uczuciu.

Temu uczuciu dał znakomitą podbudowę rozumową Naruszewicz w swym wielkim dziele, „Historii Narodu Polskiego”. Pod względem teoretycznych poglądów na historię, jej zadania, jej metodę na wskroś świecką, samodzielną, krytyczną, oryginalną,

na sposób zbierania i opracowywania materiałów źródłowych, a wreszcie na naturę opracowania i wykładu, który w prawdziwym ujmowaniu faktów rzeczywistych powinien się kierować tylko jednym obowiązkiem — mówienia prawdy, Naruszewicz jest najczystszy wolterianinem i pierwszy u nas w czasach nowożytnych postawił nowoczesne wymagania metodologii historycznej (nauka o naukowym postępowaniu w badaniach historycznych). Ale jest także od czasów Długosza, naszego wielkiego historyka wieku XV, pierwszym jego prawdziwie godnym spadkobiercą. Wbrew swoim poprzednikom, którzy zajmowali się tylko dziejami władców, on pierwszy również z narodu uczynił godny przedmiot badania historycznego. I w swym dziele na gruncie niesłychanie rozległych poszukiwań dowiódł ciągłości istnienia tego narodu od prawniku, co najmniej od VIII stulecia, od wspólnych dziejów ogólnosłowiańskich aż do dni dzisiejszych, łącząc w ten sposób smutną współczesność narodowego istnienia z odwiecznymi i świetnymi ubiegłymi wiekami historycznymi. Patriotyzmowi polskiemu oddał znakomitą usługę, dając mu doskonałe rozumowe uzasadnienie.

W tym wieku rozkwitu nauki w społeczeństwach francuskim, włoskim czy angielskim, i u nas w Polsce obok historii nastąpiło odrodzenie i rozwój nauk przyrodniczych. Może i związane przez wspólny światopogląd filozoficzny, są to badania poświęcone określonym rzeczowym zagadnieniom naukowym z różnych działów naukowych, które rozporządzały już nowoczesnymi narzędziami poszukiwań i opierały się przeważnie na doświadczeniach w pracowniach lub pracach w terenie.

Kluk (1739-1796), później botanik Jundziłł (1761-1847), astronom Poczobut Odlanicki (1728-1810), a zwłaszcza bracia Sniadeccy, z których starszy, Jan (1756-1820), już wówczas posunął naprzód badania matematyczne a do filozofii wprowadził trzeźwy krytycyzm odważnej samodzielnej myśli i rozwijał dalej założenia filozofii Locke'a, to byli zwiastunowie ruchu naukowego, którego początki sięgały wieku XVI, który się odradzał u nas po przeszło wieku upadku, a miał się w pełni rozwinąć w następnym stuleciu. Nauki konkretnej o faktach i przemianach w życiu przyrodniczym, dających się stwierdzić doświadczalnie, a wyjaśnić rozumowo.

Drugą samodzielną dziedziną rozszerzania się w Polsce nowoczesnych poglądów było poważne czasopiśmiennictwo, była publicystyka. Na początku głównie literackie, zajmujące się ogłaszaniem utworów własnej lub tłumaczonej z innych języków twórczości, pisma te rozniosły się stopniowo na sąsiednie dzie-

dziny naukowe i filozoficzne, by w końcu zająć się głównymi problemami życia ekonomicznego, politycznego i społecznego. Po *Monitorze* (1764-1784), do którego redakcji należał sam król, biorący w nim także udział w charakterze współpracownika, przyszedł krótkotrwałe *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, 1769-1776, a potem znakomity i dla rozwoju naszej umysłowości zasadniczy *Pamiętnik polityczny i historyczny* 1782-1792 oraz *Magazyn warszawski pięknych nauk i różnych wiadomości dawnych kunsztów* 1784-1785. Dzieło prawie że wyłącznie samego swego redaktora, Piotra Świtkowskiego (1744-1793), byłego jezuita, a mimo to gorącego, szczerego i odważnego wyznawcy nowych haseł, człowieka, który kształcąc się nieustannie, namiętnie, z oddaniem i poświęceniem, oddał siebie całego na usługi swemu zadaniu: w dobie przygotowań do reformy *Pamiętnik* zajął prawie główne miejsce i dla ówczesnego pokolenia stanowisko najbardziej znamienne.

Wszechstronny pod względem szerokości swoich zainteresowań i pod względem terytorialnego zasięgu swoich wiadomości, nie ograniczał się do krajów europejskich, ze szczególnym upodobaniem zajmując się Anglią i Francją, a nie zapominał i o najmłodszym państwie, o Stanach Zjednoczonych, którego urzędzenia wydawały się dla nas szczególnie ważne. I w szeregu wielkich artykułów poruszał wszystkie zagadnienia, najważniejsze ze stanowiska „Oświecenia” oraz najbliższych potrzeb ówczesnego życia polskiego. Bo te dwie strony egzystencji wydawały się splecione w jedną nierozłączną całość: wierzano, że tylko to, co odpowiadało nowoczesnej myśli teoretycznej winno znaleźć u nas zastosowanie, bo ono jedno przynieść może i przyniesie te niezbędne skutki, bez których nie można marzyć o odnowieniu polskiej rzeczywistości. Zresztą artykuły te nie noszą charakteru teoretycznego: autorowi ich nigdy nie chodziło o stawianie kwestii oderwanych od rzeczywistości, lecz o przygotowanie możliwości rozwiązywania pytań praktycznych, toteż zajmuje się on sprawami praktycznymi, które są tak ujmowane, by dawały odpowiedzi na zasadnicze troski ówczesnej myśli patriotycznej, a tak redagowane, że raz po raz przebijają w nich uwagi natury ogólniejszej. A te zagadnienia natury „filozoficznej” sprowadzają się do następujących głównych tematów.

Na pierwsze miejsce zostały w *Pamiętniku* wysunięte zagadnienia dla ówczesnego Polaka najzupełniej jeszcze nowe, pionierskie, a mianowicie dotyczące znaczenia zjawisk gospodarczych w nowoczesnym świecie. I to ze stanowiska ujmowanego nie pod kątem widzenia podwórka średniozamożnego folwarku szla-

checkiego, ani nawet wielkiej posiadłości magnackiej na kresach, lecz w związku z rozwijającą się wielką organizacją tej dziedziny w innych krajach, gdzie handel stawał się czynnikiem najważniejszym. Wysłunięcie znaczenia handlu było zarazem uderzeniem w najgłówniejszy społeczny przesąd szlachecki, wciąż u nas żywotny, który odmawiał ludziom, zajmującym się zawodowo tym zajęciem, stanowiska społecznie i obyczajowo równego potomkom czy też rzekomym potomkom dawnych rycerzy. Boć obecnie w Polsce zawodu rycerskiego już naprawdę nikt nie uprawiał. Tym się tłumaczył stosunek *Pamiętnika* do mieszczaństwa. Uległo ono u nas w ciągu wieków poniżeniu, przez co nastąpiło załamanie równowagi społecznej, a stąd i siły Polski, i tylko przez przywrócenie pozycji mieszczaństwu mogłoby nastąpić również odnowienie siły naszej ojczyzny.

Znaczenie nowoczesnej techniki w życiu przemysłowym i w rolnictwie stanowi ważny punkt informacji *Pamiętnika*. Udoskonalenia wprowadzone do fabryk, wynalazki parowe, usprawnienie i nowe funkcjonowanie manufaktur na Zachodzie miały wzbudzić u nas wiarę we własne siły, ale zarazem uczyć zaufania do przemysłowości rozumu ludzkiego w ogóle. Informacje o zmianach w uprawie roli, o nowych narzędziach i nowych rodzajach roślin rolniczych (np. kartofli) miały nadto działać zachęcająco na naszą gospodarkę rolną, zapewniając w oparciu o cudze doświadczenie o potrzebie zaprzestania trójpólówki i przejścia do wydajniejszej, bardziej postępowej kultury rolnej.

Biorąc negatywnie, wszystko to miało dowodzić szkodliwości starych, odziedziczonych uprzedzeń, które należało jak najszybciej pokonać, jeżeli się pragnęło podnieść Polskę na wyższy poziom życia. Pozytywnie stawało się nawet ze stanowiska praktycznego argumentem na rzecz znaczenia nauki. **N a u k a** w jej ówczesnym stanie wydawała się stać na wyjątkowo wysokim poziomie i stawała się w rozumieniu *Pamiętnika* całokształtem wartości, do których zbliżać się wolno tylko w skupieniu prawdziwego nabożeństwa. Bo też widziano w niej zdolność nieograniczonego obejmowania coraz to nowych zjawisk i uważano, że już obecnie doszła ona do swego szczytowego momentu rozwoju. Wiara w bezkresną doskonałość nauki jest może najbardziej uderzającym dogmatem Świtkowskiego, wiara w to, że ta doskonałość wymaga jedynie poznania jej osiągnięć, by w praktycznym działaniu ograniczyć się do stosowania konsekwencji tych wyników. Ale to już należy do zakresu pracy ludzi działania praktycznego.

Umysłowo i społecznie szczytowe rezultaty osiągnięć nauki

wieku XVIII zamykają się w dwu głównych doktrynach, które przyjąć należy za podstawę wszelkiej pracy intelektualnej i dalej rozwijać. Są to racjonalizm, jako system najogólniejszego poglądu na życie, i fizjokratyzm, nauka o stosunkach gospodarczo-społecznych świata. Z połączenia wymagań tych dwu teorii, leżących każda w innej płaszczyźnie, wyrósł podstawowy pogląd *Pamiętnika* na przyczyny upadku Polski i na możliwości wydobywania się z tego stanu rzeczy. Chłop, który według powszechnie znanego opisu Staszica prawie że utracił swe ludzkie oblicze w Polsce, jest przecie jedynym prawdziwym twórcą wartości gospodarczych kraju. Niski poziom egzystencji chłopskiej jest źródłem powszechnej nędzy i początkiem klęski narodowej. Jedyne wyjście z niej może nastąpić przez podniesienie masy chłopskiej, co jest nie tylko żądaniem fizjokratyzmu, lecz zarazem i nakazem etyki racjonalistycznej. Tylko przez zajęcie się losem ludu i wydobywanie chłopów z jego skrajnej niedoli nastąpić może prawdziwe odnowienie państwa, a to jest właściwym celem starań każdego uczciwego patrioty w Polsce. W ten sposób zostanie u nas osiągnięty postęp społeczny, który musi być częścią postępu ludzkości w ogóle, a to jest przecie zadaniem rozwoju wszelkiej egzystencji na świecie.

Podniesienie się narodu da się osiągnąć jedynie przez postawienie oświaty na właściwym poziomie. Do prawdziwej bowiem oświaty należy stworzenie warunków postępu zarówno w życiu jednostek, jak i narodów. Przez nią dokonywa się kształtowanie ducha narodu, i przez nią jedynie może być osiągnięte przeobrażenie ludu. Pchnięcie narodu wzwyż ku większej doskonałości realizuje się przez szerzenie prawdziwej oświaty, tj. oświaty utrzymanej w skali nowoczesnej myśli naukowo-filozoficznej, a to jest główny, a może i jedyny sposób jego odrodzenia. Do czasu przynajmniej, do chwili, kiedy sprawa powiększenia armii narodowej nie stanie przed sejmem w postaci pytania, które mogło być załatwione praktycznie. Nie doceniając znaczenia materialnej, fizycznej siły jako ochrony państwa i strażniczki niepodległości narodowej, *Pamiętnik* uderzał głównie w tę jedną strunę: nowoczesna, filozoficznie-racjonalistyczna, wolnomyślna, na zdobyczach współczesnej nauki oparta „prawdziwa” oświata winna być pierwszym i najgłówniejszym celem tych wszystkich, których sercu bliska jest szczerą troską o wyzwolenie ojczyzny spod obcej przemocy i wewnętrznej anarchii, którzy dążą do jej prawdziwego postępu. I to będzie właściwa droga, prowadząca do jej wyzwolenia.

Zamykając się nieświadomie w obrębie programu Komisji

Edukacji Narodowej i nadając mu w okresie przed zebraniem się sejmu wielkiego więcej „precyzji”, publicystyka nasza głosiła jako naczelną hasło dla myśli społecznej w Polsce słuzenie postępowi, który jako pojęcie nie wymagał nawet bliższego uzasadnienia, słuzenie przez pracę oświatową ludowi, przede wszystkim chłopu.

Zwalczany zaciekle przez wszystkie żywioły wsteczne w narodzie, przez główny organ ciemnoty, *Gazetę Warszawską*, którą wydawał również eks-jezuita, ks. Łuski, wierny dawnym zacyfowanym zasadom swego zakonu, *Pamiętnik* stawał się doniosłym czynnikiem unowocześniania myśli publicznej w Polsce. Istniał u nas wówczas jeszcze bardzo rozpowszechniony gatunek pamiętnikarski, tzw. *silva rerum*. W każdym bodaj zamożniejszym domu ziemiańskim przechowywała się taka księga pamiętnicza, do której zapisywano obok wiadomości o ważniejszych wypadkach życia gospodarczego ciekawsze plotki sąsiedzkie i polityczne powiatu, ziemi czy nawet kraju, i to wszystko, co się mówiło, czytało lub dyskutowało. I oto w tych *silwach* znajdzie się obok przepisanych ustępów z Rousseau czy Montesquieu dużo bardzo ważnych poglądów Świtkowskiego i Krasickiego. W ten sposób szedł w szeroki ogół ziemiański ten posiew nowoczesnych myśli, przedstawionych w polskiej szacie, i w najgłuchsze okolice docierała troska o odnowienie moralno-umysłowego oblicza narodu.

Literatura piękna i publicystyka podawała dłoń działaczom KEN i w narodzie szerzyły się zapatrywania, które były nie tylko osobistym dorobkiem ich autorów, ale które nabierały wartości prądu, który łączył się w organiczną całość z głębszym podłożem społecznym. Nie było to coś zewnętrznego i przypadkowego, lecz wyrastało z coraz powszechniejszego dążenia, od czasu pierwszego rozbioru, ze świadomości, iż naród, jeżeli chce istnieć, musi zabrać się do swego odnowienia od podstaw, a to może być osiągnięte tylko w zgodzie z „duchem czasu”. A tym był u nas ów osiemnastowieczny oświatowo-filozoficzny kierunek wiary w postęp.

VIII. TRADYCJE RACJONALIZMU POLSKIEGO W XIX WIEKU

1. Kiedy po konfederacji barskiej, która była pierwszą naszą walką o niepodległość, walką nieudolną, rozproszoną i bezładną,

rozrzuconą po całym kraju, ale w gruncie rzeczy bardzo krwawą i kosztowną, kiedy po tym podnieceniu moralno-patriotycznym przyszedł nieoczekiwany wstrząs: niczym nieuzasadniony rabunek, pierwszy rozbiór Polski, naród wpadł w odrętwienie i zupełne załamanie się ducha. Wydawało się, że nie ma już dlań wyboru i że czeka go beznadziejna przyszłość. U jednych, u ludzi marnego serca, wywołało to zapamiętanie się w podłości, w interesach brudnych a osobistych, w wyłącznym na wszelkie sposoby dorabianiu się majątków, w używaniu życia bez myśli o Polsce. U innych, szlachetniejszych, po pierwszym krótkim okresie apatii nastąpiło obudzenie się umysłów i gorączkowe, natężone poszukiwanie wyjścia dla całego narodu.

Winę za to, co się stało zrzucano z samych siebie, obciążając wyłącznie swych dotychczasowych historycznych wychowawców, jezuitów. Spóźnione echo tych poglądów odnajdzie się jeszcze po upływie wieku u pokrewnych natur w drugiej połowie XIX wieku. „Moim zdaniem upadek moralny szlachty zaczyna się dopiero od Zygmunta III, czyli od stanowczego triumfu nad umysłami szlachty Kościoła ś-go (czytaj jezuitów). Gdyby Batory żył dłużej,... gdyby Zygmunt III zamiast być twardym półgłówkiem był zupełnym idiotą i pozwolił panować za siebie Janowi Zamoyskiemu,... gdyby wtedy rodząca się swawola możnowładców ukrócona była jak przez Richelieugo we Francji, a zarazem jezuitom wrota kraju zamkniętymi zostały... gdyby duchowieństwo nie pochwyciło w kleszcze swe wychowania młodzieży i nie sfalszowało natury narodu, pchając go ku prześladowaniom dysydentów i prawosławnych... prawdopodobnie nie płakalibyśmy dziś nad 'rzekami Babilonu'. Jednak czy można obwiniać szlachtę o to, że poddała się na koniec wpływom, od których i tak broniła się dłużej niż wszyscy jej sąsiedzi,... Nie wina to przecież niedołężności takiej, która by jej tylko właściwą była, ale prostych przyczyn dziejowych, z których najważniejsza — niski naonczas stopień nauki, brak zatem odpornych orężów”. To napisała wprawdzie Orzeszkowa do Jeża w listopadzie 1876 roku, ale mogli tak pisać Staszic, Kołłątaj i obaj bracia Potoccy.

I wobec tego, w przeciwstawieniu do jezuitów, z prawdziwą namiętnością świeżo nawróconych, z zapałem neofitów rzucono się w XVIII wieku w przeciwną krańcowość: z naiwną wiarą przyjmowano wszystko, co głosiła współczesna nauka i filozofia świecka Zachodu, i jedyny wszechstronnie skuteczny środek leczniczy na wszystkie niedomagania życia polskiego widziano w uprawianiu tej nauki, w jej kulcie, w rozwijaniu i szerzeniu oświaty nowoczesnej, wolnej od wpływu Kościoła, w pod-

noszeniu kulturalnym mas ludowych, w podtrzymywaniu postępu wśród warstw zamożnych, wśród inteligencji szlachecko-mieszczańskiej, w pracy u podstaw, obliczonej na długie lata, którą stawiano na czele programu odrodzenia narodu.

Tych lat los nam odmówił. W przyspieszonym tempie wypadło podjąć reformę państwa i społeczeństwa, a potem zabrać się do ostatniej beznadziejnej walki o wolność pod Kościuszką przeciwko przeważającej przemocy trzech potęg, od których wyszedł pierwszy rozbiór, aż nastąpił koniec politycznej egzystencji dawnego państwa polskiego (1795). Tym razem jednak nie nastąpiło zupełne załamanie się społeczeństwa. Co w nim było dzielnego, energicznego, bohaterskiego, porzuciło kraj i ruszyło na zachód, przedzierając się przez obstawione kordony, by u boku rewolucyjnej i republikańskiej Francji utworzyć pod Dąbrowskim własne wojsko, „legiony polskie”, i z bronią w rękę dobijać się niepodległości. Ale i obecnie wysiłków naszych nie uwieńczył wynik pomyślny. Nowa Francja pod Napoleonem stopniowo pozawierała ze wszystkimi nieprzyjaciółmi traktaty pokoju, naprzód z Prusami, potem z Austrią i Rosją (1801). Sama utrzymała się w swej zwycięskiej pozycji, Polskę opuściła. A wtedy w dusze tych, co tworzyli legiony, wgrzyzło się zwątpienie, i z chwilą otworzenia się możliwości wrócili do kraju, by tam wraz z tymi, co przeżywali podobne nastroje, zabrać się (od roku 1801) do uprawiania poglądów, jakie rozwinęła Warszawa stanisławowska. I znowu wysunęli oni na czoło wierzeń kultu rozumu i w imię tegoż rozumu głosili równość wszystkich ludzi w narodzie i wszystkich narodów w ludzkości. I znowu uznali za najważniejsze dążenie do tworzenia własnej kultury, własnej literatury i nauki, i do szerzenia prawdziwej wiedzy wśród mas ludu chłopskiego. I znowu, teraz silniej i wyłączenie niż dawniej, zamykali się w tym programie pracy od podstaw, a odcinali od rzeczywistości współczesnej i nie chcieli myśleć o walce orężnej, bo ta wydawała się chwilowo, w warunkach ówczesnego układu potęg europejskich, niemożliwością...

Po raz trzeci taki sam pogląd na świat powrócił po ostatniej naszej walce o niepodległość w wieku XIX. Bohaterskie powstanie 1863 roku zakończyło się katastrofą. Zwycięskie ostały się potęgi rosyjska i niemieckie. Nad ziemią naszą skrwawioną zawisł najstraszniejszy ucisk, jakiegośmy potem nie zaznali aż do czasu drugiej wojny światowej. Walkę wydano nie tylko politycznym dążeniom narodu, ale samym podstawom jego egzystencji. Niszczono polski żywioł biologiczny na Litwie, Rusi i w za-

borze pruskim, a w Królestwie polskim deptano naród, wydawano śmiertelną wojnę naszej inteligencji, podjudzano chłopą przeciwko pozostałym warstwom i przeciwko Polsce. Naród nasz rozrywano od wewnątrz, a przypiekano od zewnątrz. Zdawało się, że nie ma mocy dla powstrzymania tej strasznej fali zagłady, która z nieubłaganą siłą waliła się na nas, jeżeli nie wzmocni się oporu narodu u samych jego podstaw, jeżeli, zamknąwszy oczy na wszystko inne, odciąwszy się od bezpośredniej przeszłości, nie odda się jedynie i wyłącznie wiązaniu korzeni jego bytu, wzmocnieniu siły ich trwania, podtrzymywaniu jego wzrostu, przy równoczesnym rozwijaniu jego myśli według wskazań nowoczesnej nauki, którą uznano za najwyższy wykwit ducha ludzkiego. Praca u podstaw — oświata, nauka „pozytywna”, twórczość dla wspólnego postępu własnego społeczeństwa i ludzkości — oto całość tego pozytywistycznego kierunku, który miał po raz trzeci wyjść z Warszawy, by rozejść się na całą Polskę po roku 1864.

Znakomity przedstawiciel tego kierunku, głęboki znawca naszej kultury i literatury, Piotr Chmielowski w swym zarysie literatury polskiej ostatnich od tego roku lat szesnastu z całą jasnością wskazał na związek istniejący między jego czasami a naszym Oświeceniem osiemnastowiecznym, odślanając w ten sposób historyczne pochodzenie pozytywizmu warszawskiego drugiej połowy wieku XIX. Pisał on: „Jak naówczas, tak i teraz wystąpiono w imię światła przeciw obskurantyzmowi, w imię tolerancji przekonań przeciw ślepemu dogmatyzmowi, w imię postępu przeciw zastojowi. Jak wówczas, tak i teraz poglądy nowe, reformatorskie pojawiały się stopniowo, występowały nader umiarkowanie względem istniejących i wiekami utrwalonych nie tyle przekonań, ile nałogów myślowych; radykalne doktryny albo nie miały zwolenników wcale, albo tak nielicznych, raczej odosobnionych, że oni bardzo mały wpływ na społeczeństwo wywierać mogli. Jak wówczas, tak i teraz to, co było u nas najdrażliwsze — zawsze kwestia religijna — zostało z dyskusji niemal usunięte, a krytyka jawna, otwarta, tyczyła się nie dogmatów, ale obrządków zewnętrznych i duchowieństwa. Jak wówczas, tak i teraz względy na okoliczności zewnętrzne z bytem kraju związane hamowały zbyt zapalczywe i za daleko sięgające zapędy, poskramiały zbyt ostre wycieczki przeciw niektórym przynajmniej stronom życia społecznego”. A teraz różnice według Chmielowskiego. W wieku Oświecenia rozpowszechnicielami nowych poglądów byli przeważnie ludzie spośród duchowieństwa, obecnie nastąpiły „zupełne wyzwoliny umysłowe spod przewagi duchowieństwa”, nowe idee szerzą przede wszystkim i prawie wyłącz-

nie ludzie świeccy. A co się tyczy treści poglądów, o które się toczy walka: „Prawda, że tak samo jak w wieku XVIII wystąpiono pod sztandarem wiedzy, ale wiedza dzisiejsza a wiedza zeszlowieczna to dwa stany rzeczy nie całkiem różne wprawdzie, lecz wielce od siebie odległe. Suchy racjonalizm „wieku Oświecenia” w krytyce swojej kierował się przede wszystkim zdrowym jedynie rozsądkiem, a zdrowy rozsądek, jak wiadomo, nie starczy na wszystko. Zdrowy rozsądek umie być bardzo jasnym, wielce nieraz dowcipnym przewodnikiem po krainie przeszłości i życia obecnego, lecz nie potrafi zbadać głębokich tajników zarówno religii, jak sztuki, zarówno natury, jak społeczeństwa; nie zrozumie i nie oceni należycie ani mitów, które będzie chciał tłumaczyć alegorycznie, albo śmiać się z nich zechce, ani średnich wieków, które ryczałtem potępi; nie wzniesie się do tej przedmiotowości, jaka potrzebna jest przy ocenie dziejów, ale wszystko osądzi według jednego szablonu; nie zdobędzie się na wszechstronność, koniecznie potrzebną przy rozpatrywaniu różnych usposobień ludzkich, ale je wszystkie do jednego mianownika sprowadzi; nie przejmie się głęboką poezją uczuć serdecznych, a rzewnych, albo wizji mglistych i fantastycznych, bo śmiech, tak licujący z jego naturą, niedaleko zapuścić mu się dozwoli w krainy duszy ludzkiej...”. A odcinając się od przeszłości, jako coś zupełnie nowego i oryginalnego pozytywizm swoje stanowisko odpowiednio uwypuklał, albo raczej przesadzał: „Wiedza dzisiejsza daleko szersze obejmuje widnokreśli, gdyż oko jej z jednej strony rozjaśniło się potężnym wiekowym rozwojem ducha, a z drugiej zaostrzyło się za pośrednictwem wielkiego czynnika, jakim jest doświadczenie, eksperyment”. I konkluzja: „A jak już sam nastrój ogólny jest inny, tak też i treść idei nowych przedstawia się odmiennie. Nie idzie tu teraz o reformy polityczne, gdyż te nie od nas zależą, nie idzie o reformy szkolne, gdyż te również spod dyskusji praktycznej się wymykają; nie idzie nawet o reformy literackie, gdyż styl i język nie uległ skażeniu, co więcej, nawet w kwestii wychowania ludu, który przyszedł do samoistności w obywatelstwie, sporu zasadniczego bynajmniej nie ma; rzecz cała obraca się w sferach inteligentnych (raczej: intelektualnych czyli umysłowych), a kwestia sporna dotyczy środków, jakich używać potrzeba, ażeby w walce o byt nie zginąć, lecz owszem przekazać potomkom dziedzictwo ze znacznym dobrokiem. Jeżeli mówię o środkach, to mam na uwadze głównie środki umysłowe: cały zakres duchowych czynników, które życie narodu podtrzymują. Walka w tym względzie toczy się już nie przeciw przesądom i zabobonom, z których otrząsnęliśmy

się w wieku XVIII, ale przeciw fałszywemu albo rutynicznemu pojmowaniu dróg życia społecznego²”.

2. Na mocy prawa kontrastu, które rządzi rozwojem życia społecznego, z absolutyzmu świat zachodni musiał przejść w stan przeciwny, w rewolucję, po której z wolna ustalał się na stopie porządku konstytucyjnego, a ten ustrój kompromisowy budował się na zasadach moralnych i politycznych, jakie wyływały z założeń filozoficznych racjonalizmu XVIII wieku. We Francji wcześniej, w Niemczech o pół wieku później. Na Wschodzie zaś, w Rosji, absolutyzm coraz zacieklejszy w połowie wieku XIX doprowadził w końcu do tym bezwzględniejszej i długotrwałej rewolucji. A w międzyczasie rosyjski ruch opozycyjny rósł i wzmacniał się, a dochodził do głosu, kształcąc się na wzorach francuskiej teorii racjonalistycznej, zaczerpniętej z poprzedniego stulecia, której żądania dostosowywano do odmiennych i zmienionych warunków rosyjskiego życia zbiorowego tego stulecia.

U nas z naszej teorii politycznej wieku XVIII wyprowadzono oprócz pełnego systemu pozytywistycznego także inne konsekwencje. Na czasy ustroju konstytucyjnego w Królestwie Polskim przypadają poglądy polityczne opozycji parlamentarnej, tzw. stronnictwa kaliskiego (1820-1830), które biorą swój początek z połączenia tradycji historycznej sejmów dawnej Rzeczypospolitej z poglądami polityczno-społecznymi polskiego Oświecenia oraz Sejmu Czteroletniego (1788-1792), a i później we wszelkich okresach zmniejszającego się ucisku i budzenia się nadziei na możliwość odnowienia życia konstytucyjnego czy to w Królestwie Polskim czy też w Galicji odradzała się także teoria polityczna, która korzeniami swymi tkwiła głęboko w polskim osiemnastym wieku, i wiara w jej skuteczność — z wolnomyślicielstwem, z przekonaniem o prawie każdego człowieka do jednakowych praw w społeczności i z dążeniem do ustalenia porządku państwowego na zasadach ścisłego rozgraniczenia władzy politycznej naczelnych organów, zwłaszcza władzy wykonawczej i parlamentarnej.

Marceli HANDELSMAN

2. P. Chmielowski, *Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu*, wydanie drugie, 1886, str. 23-25.

RECENZJA Z MOSKWY O POLSKICH PODRĘCZNIKACH HISTORII

(Wydawnictwo G ł o s, Warszawa 1980)

Przedstawiamy materiały z posiedzenia mieszanej polsko-radzieckiej komisji do spraw podręczników historii. Komisja ta, obradująca (w odróżnieniu od komisji polsko-niemieckiej) w całkowitej tajemnicy, działa prawdopodobnie od jedenastu lat. Tekst, który publikujemy, pochodzi z ostatniego jej posiedzenia na jesieni 1979 roku; został przywieziony przez stronę radziecką i przekazany Instytutowi Programów Szkolnych. Niestety, nie wiadomo, jak potoczyła się realizacja tych propozycji, ukazujących przerażający stopień ingerencji naszego wschodniego sąsiada w nauczanie historii w polskich szkołach podstawowych i średnich.

1. Dawno minęły już czasy, gdy czołowi polscy uczeni tworzyli historię — sumienie narodu. Mało kto pamięta dziś o wielkich sporach polskiej historiografii, o książkach, czytanych z zapartym tchem przez całą polską inteligencję. Tylko zawodowi historycy znają jeszcze piarstwo Szujskiego, Bobrzyńskiego, Korzona, Smoleńskiego, Askenazego czy Handelsmana. Wielkie i namiętne spory tamtych lat rozmyły się, przeobrażając historię w mdłą papkę, którą ze wstrętem przełyka się tylko raz w życiu — w szkole. Ramy niniejszej przedmowy nie pozwalają na dokładną analizę przyczyn tego stanu rzeczy; warto jednak zauważyć, że głównym winowajcą jest materializm historyczny, a raczej jego zwulgaryzowana forma obecna, zwłaszcza w podręcznikach szkolnych, które — przy braku dobrych pozycji popularnych — są dla młodzieży często jedynym źródłem wiedzy historycznej.

Podręczniki te, nudne i schematyczne, zaczynają ponadto mijać się z prawdą tym częściej, im bliżej historii najnowszej. Szczególnym tego przykładem jest podręcznik historii najnowszej Romana Wapińskiego, już od wielu lat znieprawiający umysły młodzieży szkolnej.

Piszemy to, aby skorygować nieco wrażenie, jakie można wynieść z lektury poniższej recenzji. W świetle przedstawionego dokumentu może się bowiem wydawać, że nasze podręczniki wolne są od ideologicznych zniekształceń. Tak nie jest; paradoksalnie okazało się jednak, że nawet zakłamaną książką Romana Wapińskiego stała się obiektem ataków ze strony radzieckich historyków. Proszę zwrócić uwagę, że nawet w tym tajnym i adresowanym do specjalistów opracowaniu pewnych zarzutów nie formułuje się wprost; pisze się np., że „... oświadczenie radzieckie (...) mogłoby rozwiać pokutujące jeszcze niekiedy w Polsce pewne niewłaściwe interpretacje szeregu zagadnień”.

2. W koncepcji radzieckich uczonych historia jest nauką która służy przede wszystkim ilustracji i uzasadnianiu bieżących tez politycznych. W imię tzw. racji stanu każe się autorom polskich podręczników przedstawiać dzieje stosunków polsko-rosyjskich w całkowitej niezgodzie ze stanem faktycznym. Tendencja proponowanych fałszerstw jest taka, aby w miarę możliwości nie pisać o żadnych konfliktach między naszymi narodami; celowe jest natomiast uwypuklanie tego, „co zawsze je łączyło i jednoczyło”. Szczególnie złowrogie wydają się próby fałszowania lub wymazania z polskich podręczników walk wyzwoleniczych Polaków w XIX wieku. Proszę zwrócić uwagę na propozycję zastąpienia słowa „Rosja”, „Rosjanie”, terminem „carat”. Okazuje się wtedy, że cały naród rosyjski solidaryzował się z walką Polaków o niezawisłość narodową, a obydwie narody walczyły z caratem. To nie z wojskami rosyjskimi, lecz z caratem walczyliśmy w 1830 roku. Nie należy też przypominać dzieciom i młodzieży o rusyfikacji (tego terminu nie zastąpiono jeszcze pojęciem „caratyzacji” — ciekawe, dlaczego?) i ucisku narodowościowego. Tendencje te dotyczą, rzecz jasna, nie tylko historii Polski XIX wieku. Niecelowe więc staje się opowiadanie o zajęciu Smoleńska w 1611 roku i o wzięciu do niewoli licznych jeńców; zwłaszcza zaś wspomnienie o „triumfie polskiego oręża” wywołuje wściekłość radzieckich historyków. „Uważamy — piszą — że w celu internacjonalistycznego wychowania młodego pokolenia ważne jest dawanie bardziej obiektywnych i dokładnych ocen zaborczych wojen feudałów”. Ten prezentyzm przebiega ze stron poniższej re-

cenzi zwłaszcza we fragmentach dotyczących Ukrainy, Białorusi i Litwy. Tendencja jest tutaj wyraźna: udowodnić, że ziemie te właściwie przypadkiem znalazły się w granicach Rzeczypospolitej; wykazać, że to obce etnicznie ciało właściwie od początku istnienia Polski wykazywało raczej tendencje odśrodkowe, a Polacy gnębili dążenia emancypacyjne np. „powstałego na bazie staroruskiej” narodu ukraińskiego, w pełni ukształtowanego już w XVI wieku. (Podobnych rewelacji uważny czytelnik znajdzie więcej; polemika z nimi wymagałaby przedmowy przekraczającej objętością omawiany tekst).

3. Zwracamy uwagę na szowinizm, kipiący z omawianego tekstu. Widać tu jak na dłoni wszystkie kompleksy cywilizacyjne, kulturalne i polityczne autorów recenzji. Domagają się podkreślenia roli pułków smoleńskich w bitwie pod Grunwaldem, czy uwypuklenia „roli, jaką odegrała bohaterska walka Rusi w osłabianiu najazdów hord tatarskich na Zachód”. W innym miejscu szowinizm ten skłania autorów recenzji do pomniejszenia udziału wojska polskiego w szturmie Berlina. Pod szyldem „szowinizm” należy też umieścić próby upiększenia własnej historii: od polemiki z ogólnie przyjętą (nie tylko przez „historiografię burżuazyjną”) teorią najazdu normandzkiego jako czynnika wyjaśniającego genezę Rusi, poprzez żądanie poszerzenia rozdziałów o kulturze Rusi Kijowskiej czy Rosji XVII wieku, aż do upiększania oblicza rosyjskiego ruchu rewolucyjnego w XIX wieku, czy wreszcie natarczywe domaganie się wdzięczności za radziecką pomoc gospodarczą dla Polski po drugiej wojnie światowej.

4. Jest wreszcie kategoria cynicznych kłamstw, całkowicie fałszujących obraz zwłaszcza najnowszej historii Polski. Do nich należą np. twierdzenia autorów recenzji, omawiających wkroczenie wojsk radzieckich do Polski 17 września 1939 roku: „Manewr Armii Czerwonej był jedyną możliwą wtedy formą pomocy narodowi polskiemu i pozwolił ponad 2 milionom Polaków, którzy ruszyli na wschód uniknąć jarzma hitlerowskiego zarówno w 1939, jak i w 1941 roku”.

5. Pozostaje jeszcze sprawa, która powinna być racją bytu komisji. Jest rzeczą oczywistą, że wszelkie błędy merytoryczne powinny być poprawione. Dwudziestostronicowa recenzja zawiera wzmianki o siedmiu takich błędach — np. o zamianie ilustracji moskiewskiego Kremla na Kreml kazański. Takie błędy trzeba poprawiać; tylko po co zwoływać w tym celu komisję?

Tyle wstępu. Na marginesie warto zauważyć, że recenzja kończy się złowrogą uwagą o zrealizowaniu „życzeń i uwag specjalistów radzieckich, przedstawionych podczas spotkań polsko-radzieckich w 1969 i 1973 roku”.

Składnię gramatyczną, interpunkcję i słownictwo oryginału pozostawiono bez zmian.

Redakcja

UWAGI WSTĘPNE DO NAŚWIETLENIA HISTORII ZSSR W POLSKICH PODRĘCZNIKACH SZKOLNYCH

Otrzymane przez pracownię nauczania historii Naukowo-Badawczego Instytutu Treści i Metod Kształcenia ANP ZSRR polskie podręczniki, wydane w latach 1975-1977, zostały przeanalizowane z punktu widzenia naświetlenia w nich i interpretacji historii ZSRR. Poza pracownikami pracowni z treścią podręczników zostali zapoznani również pracownicy naukowcy Instytutu Historii ZSRR, Akademii Nauk ZSRR i Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR, którzy przygotowali pisemne recenzje tych podręczników.

W niniejszym materiale nie będziemy omawiać walorów i pozytywnych stron podręczników, a skupimy się na przedstawieniu szeregu uwag i propozycji, zmierzających do dalszego umocnienia roli podręczników historii w wychowaniu młodego pokolenia w duchu przyjaźni między narodami, proletariackiego internacjonalizmu socjalistycznego i walki z wszelkimi przejawami nacjonalizmu i szowinizmu.

Na wstępie przedstawiamy kilka ogólnych uwag i poglądów, które następnie są skonkretyzowane w odniesieniu do poszczególnych podręczników.

1. W podręcznikach w szeregu przypadkach pominięte zostały istotne zjawiska i fakty z historii Rosji, których znaczenie ma charakter szerszy i dotyczy nie tylko historii naszego kraju, lecz które miały określony wpływ również na historię Polski (np. bohaterska walka narodu rosyjskiego z najazdem mongolsko-tatarskim i ogólnoeuropejskie znaczenie tej walki; trzy pokolenia rewolucjonistów w Rosji, ściśle związane z polskim ruchem narodowo-wyzwoleńczym itp.).

2. W szeregu przypadkach nie dokonuje się zasadniczego zróżnicowania w charakterystyce caratu rosyjskiego (wroga nie tylko narodu polskiego, ale i rosyjskiego) i samego narodu rosyjskiego, jego przodujących sił (które były przyjazne i sprzymierzone z ruchem narodowo-wyzwoleńczym i rewolucyjnym w innych krajach, w tym również w Polsce).

3. W podręcznikach zbyt mocno akcentuje się to, co rozdzielało w przeszłości naród polski i rosyjski, a zbyt mało uwagi poświęca się temu, co zawsze je łączyło i jednoczyło (związki między obydwoma narodami w walce z caratem i klasami panującymi, wzajemne związki kulturalne).

4. W podręcznikach zbyt mało uwagi poświęca się charakterystyce osiągnięć kulturalnych narodu rosyjskiego i innych narodów naszego kraju.

5. W szeregu przypadkach w naświetleniu historii ZSRR występują nieścisłości. Omawia się wydarzenia i zjawiska drugoplanowe i pomija się znacznie ważniejsze, dokonuje się niewłaściwych akcentów. W sposób niedostateczny przedstawia się generalny, zasadniczy przewrót w polityce naszego kraju w wyniku zwycięstwa Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i stworzenia przez nią warunków dla rozwoju i umocnienia przyjaźni między narodem polskim i rosyjskim.

Odnośnie poszczególnych podręczników historii pragnęlibyśmy zwrócić uwagę ich autorów przede wszystkim na następujące główne problemy:

Podręcznik historii dla kl. V. Autor G. Markowski, 1976, s. 143.

1. s. 100-101 — w opowiadaniu o Rusi Kijowskiej i chrzcie, który przyjęła w 968 roku nie powiedziano o tym, że nabożeństwa odbywały się w języku słowiańskim (jak powiedziano o tym dalej, w opowiadaniu o Księstwie Wielkomorawskim). Byłoby wskazane wspomnieć również, że istniała tu także literatura, kroniki itp. w języku słowiańskim (staroruskim).

2. s. 131 — mówi się, że Tatarzy „opanowali ruskie grody jeden za drugim”, przytacza się słowa kronikarza ruskiego, że był płacz i łkanie, żal i smutek w miastach i wioskach, ale nie mówi się o bohaterskiej obronie Rusi przed najeżdżcą, która osłabiła jego uderzenie na zachód.

1. s. 63 — w paragrafie „Rzeczpospolita jako państwo wielonarodowościowe” mówi się, że główne narodowości na terytorium państwa to Polacy, Rusini i Litwini. W tym okresie (XVI w.) należy już mówić o powstałych na bazie narodowości staroruskiej nowych narodach rosyjskim, ukraińskim i białoruskim, przy czym kształtowały się one w szczególnych warunkach społeczno-politycznych i kulturalnych Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rzeczypospolitej.

2. s. 88 — pojęcie „Moskwa”-księstwo, jako jedno z centrów kształtowania się scentralizowanego państwa rosyjskiego (Rosji) zostało tu pomyłone z Moskwą-miastem (paragraf „Geneza Moskwy” — mowa jest o Wielkim Księstwie Moskiewskim w XVI w.).

3. s. 88-89 — dokonuje się nieuzasadnionej analogii między walką Litwinów z Krzyżakami i z Moskwą („Litwini rozumieli, że jak w swoim czasie z Krzyżakami, tak teraz z Moskwą nie będą oni w stanie walczyć własnymi siłami”). Ale przecież w rzeczywistości mówi się o zupełnie różnych rzeczach — o obronie przed najazdem Krzyżaków rdzennie litewskich ziem oraz o utrzymaniu zagarniętych ziem rosyjskich, ukraińskich i białoruskich!

4. W podręczniku nie wspomina się o utworzeniu zjednoczonego państwa rosyjskiego w wyniku walki z Tatarami, Krymem, rozdrobieniem feudalnym, Litwą. Fraza o uzyskaniu dostępu do morza jako o najważniejszym dla Rosji problemie w połowie XVI w. nie jest zbyt dokładna, ponieważ przedtem należało rozwiązać szereg ważniejszych dla Rosji zagadnień, dotyczących zabezpieczenia własnej niepodległości, o których się nie wspomina.

5. s. 92 — nie dokonano naświetlenia walki społecznej w Rosji w XVI w. i na początku XVII w. Niezbyt udane wydaje się wyjaśnienie przyczyn wojny polsko-rosyjskiej w połowie XVII w. dążeniem magnatów ukraińskich do opanowania ziem rosyjskich. Zostało to podkreślone również w pytaniu do tekstu (s. 94).

6. Niewłaściwe jest stwierdzenie, że Ruś w ciągu kilku wieków nie uznawała władzy papieża. Rosja nie uznawała jej nigdy. Błędnie, zamiast moskiewskiego Kremla, jak wynika z podpisu dano ilustrację kazańskiego Kremla (s. 93).

7. s. 94 — w rozdziale o powstaniu na Ukrainie nie powiedziano, że był to ruch narodowo-społeczny i że był skierowany przeciw szlachcie i klasom posiadającym Rzeczypospolitej (s. 96). Nie jest jasne, jakim „dodatковым czynnikiem” (s. 95) w tym powstaniu byli Kozacy. Ponieważ o Bohdanie Chmielnickim mówi się, że był szlachcicem, ale nie powiedziano, że był Ukraińcem, to o jego wystąpieniu „przeciwko szlachcie” powstaje niewłaściwe wyobrażenie jako o walce wewnątrzszlacheckiej i wewnątrzfeudalnej. Przy charakterystyce tego, co jednoczyło powstańców, wymienia się „prawosławną cerkiew” (s. 97). Ale był to tylko jeden z przejawów ludowości, a o innych jej przejawach się nie wspomina.

8. Niezbyt właściwy jest podpis pod mapą na s. 195: „ziemie polskie po trzecim rozbiore”. Większa część terytorium na mapie to ziemie ukraińskie, białoruskie, litewskie i łotewskie, które zostały przyłączone do Rosji, a ziemie polskie przyłączone do Prus i Austrii zajmują tylko zachodnią część mapy.

Podręcznik historii dla kl. VII. Autor J. Skowronek, 1977, s. 302.

1. Powstanie dekabrystów na s. 53-54 omawia się w paragrafie „Kontakty z rewolucjonistami rosyjskimi”. W paragrafie tym nic się nie mówi o istnieniu Związku Północnego, nie wspomniano ani jednego uczestnika powstania, a przecież Pestel w swojej „Ruskiej Prawdzie” mówił o potrzebie niepodległości Polski (*à propos*, na s. 272 został wymieniony Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz, który w latach I Wojny Światowej dawał mętne obietnice dotyczące autonomii Polski). Bez wątpienia jest tu miejsce dla pełniejszego mówienia o tym wydarzeniu, pożądane jest zdjęcie Pestela, który zginął nie tylko w walce z samodzierżawiem i prawem pańszczyźnianym, ale również o wyzwolenie Polski. Niezbyt jasno przedstawiona jest historia Polski na przełomie XVIII i XIX w., która doprowadziła do powstania. Nic nie mówi się o walce z prawem pańszczyźnianym, Pugaczowie, Radiszczewie.

2. Podobnie jest z reformą chłopską 1861 r. Mówi się o niej w rozdziale „Królestwo Polskie w połowie XIX w.” (s. 123-124). Opowiadanie to jest oderwane od historii Rosji drugiej połowy XIX w. (s. 183). W rozdziale o wielkich odkryciach naukowych i technicznych na s. 160-163 nie wymieniono nazwisk uczonych rosyjskich, nawet takich jak Mendelejew, Popow.

3. Jako ilustracje opowiadań o Rosji, trzykrotnie przedstawiono więzienia: jeden z rawelinów Twierdzy Pietropawłowskiej

ze stojącym na warcie żołnierzem (s. 187), więzienie kazańskie (s. 189) i obraz przedstawiający skazańca prowadzonego przez straż (s. 247). Czy nie lepiej byłoby zamiast więzienia kazańskiego, w którym w 1887 r. przebywał W. I. Lenin, dać ilustrację, przedstawiającą Uniwersytet Kazański, nazwany jego imieniem i w którym studiował? Byłoby w ogóle wskazane w sposób bardziej celowy wykorzystywać w podręczniku ilustracje jako uzupełniający materiał informacyjny z zakresu historii Rosji.

Podręcznik historii dla kl. VIII. Autor A. Szcześniak, 1977, s. 295.

1. Na s. 3 mówi się o tym, że „rozpad trzech państw zaborczych” i likwidacja ich państwa wytworzyła warunki do powstania niepodległej Polski. Wydaje się, że byłoby lepiej termin „rozpad” zastąpić innym, ponieważ nie może on mieć zastosowania ani do Niemiec, ani do Rosji.

2. Celowe wydają się następujące uściślenia:

— jako pierwsza napadła na Rosję w 1918 r. nie armia niemiecka, jak podano na s. 47, ale Rumunia w styczniu 1918 r.,
— plan elektryfikacji Rosji był zatwierdzony na VIII Wszechrosyjskim Zjeździe Rad,

— na czele III Międzynarodówki stało nie Biuro, lecz Komitet Wykonawczy (s. 50).

3. Wzbudza wątpliwości następujący tekst na s. 52: „Po śmierci Włodzimierza Lenina na czele partii stanął Józef Stalin. Zaczął on osiągnięcia państwa przypisywać wyłącznie sobie i najważniejsze problemy rozwiązywał sam, naruszając przez to zasady demokracji wewnątrzpartyjnej. Zjawisko to nazywa się 'kultem jednostki'”. Według nas byłoby bardziej poprawnie mówić o kulcie jednostki Stalina później, w drugiej połowie lat 30-tych. Wspominanie o tym już w 1924 r. jest nie tylko nieprawidłowe historycznie, ale również z pedagogicznego punktu widzenia niecelowe, ponieważ może przeszkodzić polskim uczniom we właściwej ocenie i percepcji osiągnięć narodu radzieckiego w budownictwie socjalistycznym pod kierunkiem Partii Komunistycznej, co zostało zresztą właściwie podkreślone na s. 55-56 podręcznika.

Podręcznik historii dla kl. I technikum. Autor J. Dowiat, 1976, s. 368.

1. s. 84-87 — niedokładnie przedstawiono podział Słowian na południowych, zachodnich i wschodnich. Do Słowian wschod-

nich zaliczono poza Rusią również Bułgarów i Serbów, którzy w rzeczywistości zaliczani są do Słowian południowych. Nie podano kierunków rozlokowania Słowian wschodnich, tak jak to zostało zrobione na południu i zachodzie.

2. s. 116-117 — o państwie staroruskim po raz pierwszy mówi się w rozdziale „Bolesław Chrobry w walce o niezawisłość”, w paragrafie „Wyprawa na Kijów”. Przede wszystkim wyprawa Bolesława Chrobrego na Kijów nie miała na celu obrony niezawisłości Polski, lecz była zorganizowana dla grabieży „bogatego Kijowa”, jak mówi się o tym w tekście. Dlatego też opowiadanie to nie może znajdować się pod tak zatytułowanym rozdziałem. Ponadto wątpliwa jest celowość mówienia o „bogatym Kijowie”, o „dnieprowskiej stolicy” bez opowiedzenia o samym państwie staroruskim, którego stolicą był Kijów, ze swą oryginalną kulturą, słowiańskim piśmiennictwem, szerokimi kontaktami z Europą i ze Wschodem. Chociaż imię Jarosława Mądrego wspomina się kilkakrotnie, a na s. 122 daje się fotografię miniatury i słowiańskiego (pisanego cyrylicą) tekstu radziwiłłowskiej kroniki z opowiadaniem o powstaniu w Polsce, byłoby pożądane opowiedzieć również o kronikach staroruskich, o rządach Jarosława Mądrego i o jego ojcu Włodzimierzu, który wprowadził na Rusi chrześcijaństwo.

3. s. 151 — na mapie „Polska w okresie rozdrobnienia feudalnego” wskazani są sąsiedzi Polski: państwo krzyżackie, Królestwo Węgierskie, a w odniesieniu do księstw ruskich tylko „Rus” bez politycznej definicji. W ogóle nic nie mówi się o księstwach ruskich i republikach XII-XIII w., a szczególnie o Nowogrodzie, o rozdrobnieniu feudalnym Rusi przed najazdem mongolskim. Zapewne dlatego zupełnie niejasne są przyoczyny, dlaczego „w latach 1237-1240 podporządkowana im była [Tatarom] Rus i znalazła się na ponad dwa wieki pod jarzmem Tatarów”. Nic nie mówi się o walce ruskich księstw i miast z najazdem mongolskim, o upadku rzemiosła, świątyń itp. W związku z tym nie jest zupełnie jasne, jak powinien odpowiedzieć uczeń na pytanie na s. 164: „Porównaj rolę najazdów tatarskich w historii Polski i Rusi”. Rozdrobnienie feudalne i niejednorodność Rusi, jako jedna z ważnych przyczyn jarzma tatarskiego nie mogą być uwzględnione przy odpowiedzi na pytanie 4 na s. 186: „Jakie wydarzenia w XIII w. były przyczyną upadku znaczenia politycznego Rusi kijowskiej?” W podręczniku mówi się o udziale w wyprawach tatarskich na Polskę w drugiej połowie XIII w. zależnych od Tatarów książąt ruskich (s. 164),

ale nic się nie mówi o roli, jaką odegrała bohaterska walka Rusi w osłabieniu najazdów hord tatarskich na Zachód.

4. s. 200 — na mapce Wielkiego Księstwa Litewskiego pokazani są jego sąsiedzi: Państwo Krzyżackie, Królestwo Polskie, Państwo Mołdawskie, ale dlaczego nie został wymieniony sąsiad na wschodzie i północy, na którego terytorium znajdowały się zaznaczone na mapie miasta: Kaługa, Moskwa, Twer, Rzew, Wielkie Łuki, Nowogród, Psków?

5. s. 203-206 — w tekście opowiadania o Bitwie pod Grunwaldem nie wspomniano o udziale i wytrwałości w krytycznych momentach walki pułków smoleńskich (ruskich); wymieniono tylko wojska litewsko-ruskie Witolda i oddział tatarski. Na planie bitwy na s. 206 stanowiska pułków smoleńskich zostały zaznaczone. A przecież jak pisał o tym polski historyk średniowieczny Jan Długosz, trzy chorągwie Smolan „z uporem walczyły... zastępując sobie na nieśmiertelną sławę bohaterów”.

6. Historia powstawania Rosji jako niepodległego i wielonarodowościowego państwa nie została przedstawiona w podręczniku. O wyzwoleniu spod jarzma mongolskiego w 1480 r. wspomniano jedynie w tabeli chronologicznej na s. 296. Na s. 259-261 po raz pierwszy mówi się o Rosji w związku z Wojną Liwońską z powodu rywalizacji Polski z Moskwą na północno-zachodnich ziemiach rosyjskich. Nazwanie Rosji „Moskwą” stanowi średniowieczną polską tradycję i nie odpowiada ani jej nazwie, ani znaczeniu. To samo dotyczy „wojen moskiewskich” (s. 259 „nadbaltyckich”). Rewel, Wenden, Dorpat (s. 259, 261) należałoby uzupełnić współczesnymi nazwami tych miast.

7. s. 314-315 — mówiąc o wojnach Polski na terytoriach sąsiednich państw, np. Rosji, podręcznik podkreśla „triumf polskiego oręża”, zwraca uwagę, że „jeszcze w 1611 r. padł Smoleńsk i Zygmunt III powrócił triumfalnie do Warszawy, prowadząc licznych jeńców”. Uważamy, że w celu wychowania internacjonalistycznego młodego pokolenia, ważne jest dawanie bardziej obiektywnych i dokładnych ocen zaborczych wojen feudałów.

8. s. 316-321 — w podręczniku niekonsekwentnie i nie zawsze dokładnie używa się pojęć — „Rosjanie”, „naród ukraiński”, nie podaje się wyjaśnienia powstania narodowości ukraińskiej na bazie staroruskiej, w szczególnych warunkach rozwoju politycznego i historyczno-kulturalnego. Na mapie Rzeczypospolitej

XVII wieku nie zaznaczono Ukrainy, Białorusi jako oddzielnych wspólnot etnicznych, różniących się od Polski. Na mapie na s. 277 również nie wydzielono terytoriów litewskich, łotewskich, białoruskich i ukraińskich. Są one zaznaczone jako terytoria polskie.

Podręcznik historii dla kl. I liceum. Autor J. Dowiat, 1977, s. 528.

1. Wzbudza wątpliwości prawidłowość doboru podanych w podręczniku informacji o powstaniu państwa ruskiego w centrum w Kijowie. Na s. 247 mówi się, że „na ziemiach Słowian wschodnich powstały w IX w. dwa państwa wokół dwóch największych miast: na północy — Nowgorodu, a na południu — Kijowa. Na przełomie IX-X wieku zostały one zjednoczone pod władzą Rurykowiczów (wywodzących swój rodowód od wodza normandzkiego Ruryka) w jednolite państwo ruskie ze stolicą w Kijowie”. Biorąc nawet pod uwagę to, że autor podręcznika nie ma możliwości szczegółowo przedstawić przyczyn powstania Państwa Staroruskiego, nie można pogodzić się z interpretacją tego zagadnienia, z przeznaczeniem dla polskich uczniów, w duchu teorii normandzkiej, rozpowszechnionej w historiografii burżuazyjnej, ale dawno odrzuconej przez historiografię radziecką.

2. Szkoda, że w podręczniku brak jest danych o walce klasowej w państwie staroruskim. Byłoby również pożądane rozszerzenie rozdziału o kulturze Rusi Kijowskiej (lub państwie staroruskim).

3. Należałoby podkreślić rolę Rusi w uratowaniu Europy od najazdu tatarsko-mongolskiego.

4. Przy opisie Bitwy pod Grunwaldem nie przedstawiono udziału wojsk ruskich, choć dowody na to są powszechnie znane.

5. Szkoda, że zupełnie nie wspomina się o Rusi w rozdziałach o kulturze średniowiecznej XIV-XV wieku (§ 79, 81, 82). Byłoby pożądane podanie w tych rozdziałach również materiału o kulturze ruskiej i ruskim mieście i przedstawić przy tym szerszy materiał ilustracyjny, szczególnie w odniesieniu do XV wieku.

Podręcznik historii dla kl. II liceum. Autorzy: J. Gierowski, J. Leszczyński, s. 431.

1. Popętniono pewne nieścisłości w nazwie państwa ruskiego. Nazywane jest ono w podręczniku Wielkim Księstwem Mos-

kiewskim lub Moskwą (s. 114, 118), podczas gdy począwszy od 1471-1478 roku (od czasu przyłączenia Nowogrodu) państwo to nosiło nazwę Ruskiego, a głowa tego państwa — tytuł „pana wszech Rusi” (tytuł cara wszech Rusi, o którym piszą autorzy w odniesieniu do Iwana IV, nie istniał). Od połowy XVI wieku, a nie od końca XVI wieku, (s. 212) państwo to nosiło nazwę Rosji.

2. Niezbyt jasne przedstawienie wzajemnych stosunków między Wielkim Księstwem Litewskim i Koroną Polską do zawarcia Unii Lubelskiej w 1569 r. powoduje trudności w zrozumieniu wzajemnych stosunków między Rusią i Polską do połowy XVI wieku. Wojny rusko-litewskie, trwające od końca XV do połowy XVI wieku, zostały scharakteryzowane również niedokładnie i niejasno, stwarzając wrażenie, że były to wojny rusko-polskie. Nie jest jasne, kto zamieszkiwał terytoria, które zostały przyłączone do Rusi na przełomie XV-XVI wieku.

3. Nie jest jasna istota walki klasowej zarówno na terytorium państwa Ruskiego (s. 70), jak i na terytorium samej Polski, gdzie wybuch tej walki w połowie XVI wieku wiąże się w podręczniku wyłącznie z działalnością Bohdana Chmielnickiego (s. 228).

4. W wydarzeniach z początku XVII wieku uwagę zwraca się głównie na wojnę wyzwolenczą narodu rosyjskiego, a ruch Bólotnikowa został odsunięty na dalszy plan (s. 216-217). Należałoby uściślić, że przyczyną wybuchu walki klasowej w państwie Ruskim na przełomie XVI-XVII wieku było nasilenie ucisku feudalnego, a nie kryzys dynastii (s. 215).

5. W ogóle w całym podręczniku szczególną uwagę zwraca się na historię polityczną Rosji, a na dalszy plan odsuwa się historię społeczno-gospodarczą. Ani słowem nie wspomina się o odbudowie gospodarki w XV wieku, likwidacji skutków jarzma tatarsko-mongolskiego, o przesłankach tworzenia wszechrosyjskiego rynku, rozwoju rzemiosła i powstawania manufaktur w XVII wieku (przy czym historia gospodarcza XVIII wieku została przedstawiona właściwie, s. 257).

6. Niedostatecznie przedstawiono rozwój kultury rosyjskiej w XVII w. — uczniowie wiedzą tylko, że język polski i polska kultura były bardzo „modne” w Rosji w końcu XVIII wieku (s. 201). O kulturze XVI i XVIII wieku nie mówi się praktycznie nic.

7. W ilustracjach, szczególnie w drugiej części tomu, prze-

ważają carowie. Zupełnie brak działaczy kultury, przywódców ruchów narodowych (poza Bohdanem Chmielnickim), pomników architektury itp.

Podręcznik historii dla kl. III liceum (c. I). Autorzy: A. Galos, J. Gierowski, J. Leszczyński, 1977, s. 264.

1. W podręczniku słabo przedstawiono ruch rewolucyjny w Rosji, a w związku z tym również rosyjsko-polskie związki rewolucyjne. Po powstaniu Dekabrystów (*à propos*, wśród powieszonych pięciu Dekabrystów został pomyłkowo wymieniony „poeta Aleksander Bestużew”, a nie M. P. Bestużew-Riumin), nic nie mówi się o jakichkolwiek ruchach rewolucyjnych w Rosji. Przy omawianiu wydarzeń rewolucyjnych 1848 r. w Europie mówi się, że w Rosji nie było rewolucji, ponieważ feudalizm był tam jeszcze bardzo silny (s. 117, 148). Powstaje przy tym wrażenie że był to *jedyny* kraj w Europie, gdzie nie było rewolucji z w/wymienionego powodu. Naszym zdaniem rozsądniej byłoby powiedzieć o tym, że w Rosji sytuacja rewolucyjna powstała później, na przełomie lat 50-60-tych XIX wieku. W podręczniku nie przedstawiono — niestety — sytuacji rewolucyjnej. Na s. 157 mówi się o obozie *radykalnym*, podczas gdy lepiej byłoby powiedzieć o obozie rewolucyjno-demokratycznym. Spośród rewolucyjnych demokratów wspomina się Hercena (bez Ogariowa) i Czernyszewskiego, przedstawionego jako „*przywódcę grupy młodzieży radykalnej pochodzenia szlacheckiego*”. Tak w podręczniku określa się „*raznoczyńców*”. Wynika z tego, że była to grupa polityczna, a nie warstwa społeczna (wychodzący akurat nie ze szlachty, a z najróżniejszych stanów). Byłoby pożądane wprowadzenie niezbędnych uściśleń w tekście podręcznika. Dobrze byłoby również wymienić organizację „*Ziemia i Wola*”. Ponieważ na s. 157-158 nie scharakteryzowano sytuacji rewolucyjnej i ruchu rewolucyjnego, to nie wspomina się również o jego związkach z polskim powstaniem 1863 roku, będącym elementem ogólnej sytuacji rewolucyjnej w Imperium Rosyjskim. Na s. 166 mówi się, że termin powstania był wyznaczony na wiosnę 1863 r., ponieważ „*zima nie sprzyjała rozpoczęciu walki*”, tej przyczyny uczeń powinien upatrywać w warunkach atmosferycznych, a nie w tym, że wiosną planowany był wybuch wystąpień chłopskich w Rosji i właśnie dlatego ten termin był uzgodniony przy zawarciu polsko-rosyjskiego związku rewolucyjnego. O zawarciu tego związku mówi się bardzo niewyraźnie (s. 164), ponieważ po raz pierwszy wspomniana tam organizacja „*Ziemia i Wola*” może być pojmo-

wana jako organizacja emigracyjna, w związku z tym, że związek polskich rewolucjonistów był z nią zawarty w Londynie. Rosyjski ruch rewolucyjny lat 70-80-tych byłoby właściwiej nazwać „nielegalnym”, a nie „konspiracyjnym” (s. 218). Byłoby pożądane zwrócić uwagę uczniów nie tylko na taktykę terroru, ale i na inne formy i cele walki; wspomnieć chociażby o „pójściu między lud”, o „narodnictwie rewolucyjnym” jako kierunku. Wśród bohaterów „Narodnej Woli” wymieniony został tylko Hryniewiecki, ale nie wymieniono przywódców ruchu A. Żelabowa i S. Pierowskiej. Szkoda, że nic nie mówi się o kontaktach polskiego „Proletariatu” z „Narodną Wolą”. W głębszym zrozumienia specyfiki rozwoju rosyjskiego ruchu rewolucyjnego pomogłoby umieszczenie w podręczniku fragmentu artykułu W. I. Lenina „Pamięci Hercena” o etapach rosyjskiego ruchu wyzwolenczego.

Na s. 218 z kontekstu, gdzie mówi się o powstaniu ugrupowań marksistowskich, może wyniknąć wrażenie, że grupa „Wyzwolenie pracy” Plechanowa została utworzona w samej Rosji, a nie za granicą. Choć autorzy podręcznika doprowadzają chronologię wydarzeń historycznych do końca XIX w., a czasami nawet do początku XX, to ani słowem nie wspomina się o ruchu robotniczym w Rosji, o strajkach (np. strajk Morozowski). Nie wspomina się o utworzeniu RSDPR, o I i II zjeździe naszej partii, o powstaniu bolszewizmu, o przesunięciu centrum rewolucyjnego do Rosji i jego przyczynach.

2. W podręczniku pomija się zagadnienie ucisku chłopów ukraińskich, białoruskich i litewskich przez obszarników polskich.

Na s. 52 zamiast powiedzieć o włączeniu do Królestwa Polskiego ziem ukraińskich, białoruskich i litewskich, mówi się o „terytoriach, wchodzących w skład trzeciego zaboru rosyjskiego”. Na s. 58 terytoria te zostały nazwane „ziemiami, wchodzącymi wcześniej w skład Rzeczypospolitej”. Na s. 70 mówi się o Polsce „w granicach przedrozbiorowych”, nie wyjaśniając sensu tego sformułowania.

W związku z tym, że temat ucisku narodowego i narodowych antagonizmów został pominięty, nie wyjaśnia się, dlaczego np. powstanie 1830-31 r. na Wołyniu i Podolu miało mniejszy zakres (s. 62). Na s. 110 i 115 wystąpienie chłopów przeciwko szlachcie w Galicji w 1846 r. wiąże się z podjudzaniem rządu austriackiego i uciskiem społecznym, a o ucisku narodowym znów

się nie wspomina. Dopiero na s. 142 po raz pierwszy mówi się o istnieniu ukraińskiego problemu narodowego w Galicji.

3. W podręczniku cały rozdział został zatytułowany „Wojna polsko-rosyjska” (s. 60), o wojnie mówi się na s. 58 i 101. Mowa tu o walce zbrojnej narodu polskiego z caratem w latach 1830-1831 i o stłumieniu tego powstania. Tak samo to zagadnienie naświetlane jest w naszej historii i dlatego u nas nie używa się terminu „wojna rosyjsko-polska”. Działania wojenne 1831 r. w Rosji nie były w najmniejszym stopniu wojną narodową. Przy omawianiu powstania byłoby bardziej prawidłowym w sposób zróżnicowany mówić o wojskach carskich i o przodujących siłach narodu rosyjskiego. Wydaje się, że nie odpowiada celom wychowania internacjonalistycznego młodego pokolenia Polski użycie przy opisie walki zbrojnej takich słów jak „Rosjanie” lub tym bardziej „Moskale” (s. 62, 63, 66). Lepiej byłoby wykorzystać termin „carat”, „wojska carskie” itp. Sprawiedliwie należałoby wspomnieć o współczuciu ze strony rewolucyjnie nastroszonych ludzi w Rosji (Hercen, Ogariow, poeta-dekabrysta Odojewski itp.) dla powstańców polskich. Tym bardziej, że poniżej mówi się o współczuciu demokratów zachodnio-europejskich dla polskich powstańców, którzy musieli emigrować.

4. Przy opisie Kongresu Wiedeńskiego wydaje się niezbyt precyzyjne przedstawienie układu sił głównych europejskich mocarstw i ich pozycji wobec sprawy polskiej. Jako główna postać kolejnego rozbioru Polski przedstawiony został Aleksander I, którego popierały tylko Prusy, Francja, natomiast Austria, a szczególnie Anglia, przedstawione zostały w zbyt różowym świetle (s. 6, 8). Ponadto występuje pewna sprzeczność, kiedy na s. 13 mówi się o zmianie postawy Aleksandra I, który na Kongresie Wiedeńskim występował w roli liberała w stosunku do Polski.

5. Rozdziały, poświęcone kulturze, wywołują szczególnie wiele wątpliwości. Poruszając tylko motywy rosyjskie należy podkreślić szereg momentów. Na s. 35 Puszkina został określony najpełniejszym reprezentantem romantyzmu w literaturze rosyjskiej. Wydaje się, że należałoby wspomnieć o Żukowskim, ale dla polskich uczniów szczególnie istotna jest znajomość nazwisk Puszkina i Lermontowa. Jednocześnie właściwiej byłoby powiedzieć, że romantyzm wywarł na ich twórczość wpływ, ale najważniejsze jest to, że byli oni twórcami realizmu w literaturze rosyjskiej. W ogóle przy prezentacji zagadnień literatury i jej głównych kie-

runków w XIX w. dopuszczono się szeregu nieściśłości, szczególnie odnośnie charakterystyki znaczenia twórczości wybitnych pisarzy rosyjskich — Tołstoja, Dostojewskiego i innych. Zupełnie nie została przedstawiona rola społeczna przodującej literatury rosyjskiej XIX w. i jej związków z ruchem wyzwolenicznym. Zdziwienie wzbudza nazwisko Dostojewskiego po omówieniu symbolizmu i w tej samej frazie, w której mówi się o literaturze skandynawskiej.

Na s. 257 mówi się, że w muzyce XIX w. powstają szkoły narodowe w oparciu o muzykę ludową. W związku z tym wymienia się w Rosji Czajkowskiego, ale Glinka — twórca rosyjskiej muzyki narodowej — nie został wspomniany ani przy tej okazji ani wcześniej.

Na s. 75 mówi się, że „represje dotknęły również instytucje kulturalne” i dalej: „w szkołach wprowadzono język rosyjski jako obowiązkowy przedmiot nauczania”. Przecież znajomość jeszcze jednego języka obcego jest raczej pożyteczna. I sprawa nie polegała na samym wprowadzeniu do szkół języka rosyjskiego, ale na tym, *w jaki sposób był on wprowadzony i w jakiej sytuacji* były prawa do nauczania języka polskiego. W szkołach Polski Ludowej język rosyjski jest również nauczany — czy to źle?

Na s. 14 dziwnym jest widzieć imię Rylejewa *Konrad* zamiast Kondratij. Na s. 198 po raz pierwszy mówi się o Bakuninie, w związku z jego walką przeciwko I Międzynarodowce. Uczeń nie wie nawet, że był to rewolucjonista rosyjski, który wspierał powstanie 1863 r. w Polsce. Jednocześnie na tej samej stronie szczegółowo mówi się o Proudhonie, przy czym przytacza się już wcześniej podane informacje.

Podręcznik historii dla kl. III liceum (cz. II). Autor Roman Wapiński, 1977, s. 280.

1. W podręczniku jednostronnie podkreśla się antypolską politykę ucisku Rosji carskiej; wiele i często bez potrzeby mówi się o polityce rusyfikacyjnej. W rzeczywistości brak jest zróżnicowanego stosunku do pojęć „Rosja” i „Rosjanin”, brak jest myśli, że należy odróżniać oficjalną, autokratyczną Rosję carską od Rosji Czernyszewskiego i Lenina.

2. Uściślenia wymaga sformułowanie na s. 211-212: „Choć komunizm wojenny był tylko specyficznym zjawiskiem czasów Wojny Domowej i Interwencji i trudno uważać go za jaką-

kolwiek koncepcję rozwoju gospodarczego, to jednak pozostawił on głęboki ślad w sposobie myślenia działaczy partii bolszewickiej. Sprzyjał on m.in. powstaniu przekonania o ogromnej korzyści metod administracyjnych w gospodarce”. Pożądanym byłoby dokonanie bardziej wnikliwego, szczegółowego sformułowania istoty polityki komunizmu wojennego i jej charakteru poddyktowanej potrzebą chwili.

3. Przy charakterystyce PPS (s. 60-61) nie zostało powiedziane, że od 1906 r. PPS propagowała separatyzm w stosunku do rosyjskiego ruchu rewolucyjnego i wrogość do każdego Rosjanina.

Podręcznik historii dla kl. IV liceum i kl. III technikum. Autor Roman Wapiński, 1975, s. 224.

1. Wydaje się, że byłoby wskazane umieścić w podręczniku krótkie wspomnienie o tym, że 2. IX. 1939 r. następnego dnia po napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę Ambasada Radziecka wystąpiła do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z zapytaniem, dlaczego Polska nie zwróciła się do ZSRR z prośbą o dostawę broni i amunicji i że propozycja Związku Radzieckiego została zlekceważona przez rząd polski.

2. Ponieważ nie podano daty ucieczki rządu z Warszawy, ale powiedziano (s. 14), że emigrował on do Rumunii 18. IX. 1939 roku, tj. następnego dnia po wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Ukrainy Zachodniej i Białorusi, to między tymi wydarzeniami powstaje jak gdyby związek przyczynowy, którego w rzeczywistości nie było. Mówi się tam również, że działania radzieckie miały na celu „nie dopuścić do zajęcia przez wojska niemieckie Ukrainy Zachodniej i Białorusi”. Pomija się przy tym milczeniem podstawowe motywy działania ZSRR, przedstawione przez Rząd Radziecki 17. IX., o czym byłoby pożądane powiedzieć. Można byłoby również zaznaczyć, że manewr Armii Czerwonej był jedyną możliwą wtedy formą pomocy narodowi polskiemu i pozwolił ponad 2 milionom Polaków, którzy ruszyli na wschód, uniknąć jarzma hitlerowskiego zarówno w 1939 r. jak i w 1941 r.

3. Po przekazaniu informacji o utworzeniu na emigracji rządu Generała W. Sikorskiego, autor podkreśla, że utworzeniu tego rządu towarzyszyła krytyka polityki „Sanacji”, ale krytyka ta pomija stosunek rządów sanacyjnych do ZSRR (s. 17). Czy mo-

głaby być ona inna, jeśli rząd Sikorskiego natychmiast po pojawieniu się w Angers ogłosił się w „stanie wojny” w stosunku do ZSRR. Być może lepiej byłoby, jeśli by uczniowie wiedzieli o tym wtedy, kiedy po raz pierwszy dowiadują się o pojawieniu się rządu emigracyjnego tj. na s. 17, a nie na s. 83?

4. Szkoda, że w materiałach źródłowych, gdzie umieszczone są wyjątki z debat w Izbie Gmin i z przemówienia Hitlera, nie było miejsca na oświadczenie radzieckie, które mogłoby rozwiać, pokutujące jeszcze, niestety, niekiedy w Polsce, pewne niewłaściwe interpretacje szeregu zagadnień.

5. Wspomina się, że przemiany wewnętrzne w Rumunii i Bułgarii „ułatwiły rozwój radzieckich działań ofensywnych na Węgrzech i na terytorium Jugosławii” (s. 42). Czy nie byłoby lepiej powiedzieć, że rozgromienie armii rumuńskiej w operacji Jassy - Kiszyniów sprzyjało upadkowi reżimu faszystowskiego w Rumunii?

6. Ważne byłoby uściślenie frazy, że „główny ciężar walki z agresją faszystowską w Europie spoczywał na siłach zbrojnych ZSRR i jego zachodnich sprzymierzeńcach” (s. 42). Wiadomo, że w rzeczywistości właśnie na Związku Radzieckim spoczywał główny ciężar walki z agresją faszystowską.

7. Szkoda, że wśród radzieckich dowódców z czasów II wojny światowej zostali wymienieni jedynie K. Rokossowski i N. Watutin. Dobrze byłoby zapoznać polskich uczniów z nazwiskami również innych sławnych dowódców radzieckich.

8. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego we Francji został wymieniony na s. 44, a o Związku Patriotów Polskich w ZSRR, o Dywizji im. T. Kościuszki, o bitwie pod Lenino mówi się tylko na s. 102-103. O tym, że polska flaga została zatknięta nad Berlinem, uczniowie dowiadują się na s. 51, a następnie na s. 54 mówi się o tym ponownie, natomiast o drodze, jaką przeszli polscy patrioci w ZSRR, zanim doszło do zatknięcia tej flagi, uczniowie dowiadują się w krótkiej formie dopiero po przeczytaniu ponad 50 stron podręcznika, przez co naruszone zostały związki przyczynowo-skutkowe. Zaznacza się, że w walczących oddziałach Wojska Polskiego było 185 tysięcy żołnierzy i oficerów, ale nigdzie nie wspomina się, że za wyzwolenie Polski oddało życie cztery razy więcej żołnierzy radzieckich.

9. Mówiąc o *lend-lease*, autor podręcznika podkreśla, że z 50

miliardów dolarów, wydatkowanych zgodnie z tą pomocą, na rzecz ZSRR przypadło 11 miliardów. Szkoda, że nie powiedziano w podręczniku o bohaterstwie radzieckim na tyłach frontu, o rozwoju radzieckiego przemysłu wojskowego, o hasle „wszystko dla frontu”. Byłoby także istotne wspomnieć o tym, że zachodni sprzymierzeńcy ZSRR sabotowali otwarcie drugiego frontu aż do czasu, kiedy wytworzyła się sytuacja, z której jednoznacznie wynikało, że ZSRR jest w stanie samodzielnie rozgromić całkowicie hitlerowskie Niemcy i wyzwolić wszystkie okupowane kraje.

10. O Konferencji Poczdamskiej mówi się po prostu, że w podjętej decyzji ZSRR, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania ustaliły nowe granice Niemiec, w tym również granicę polsko-niemiecką na Odrze i Nysie Łużyckiej (s. 66). Wydaje się, że byłoby celowym opowiedzieć uczniom o przeciwdziałaniach mocarstw zachodnich, o tym, że w Jałcie nie doszło do porozumienia w tej sprawie. Istotnym byłoby powiedzieć tu również o Polsko-Radzieckim Porozumieniu o Przyjaźni, Pomocy i Współpracy Wzajemnej.

11. Szkoda, że przy omówieniu budownictwa podstaw socjalizmu w Polsce nie wspomniano o pomocy i współdziałaniu ZSRR, o współpracy w ramach RWPG.

Przedstawione wyżej uwagi i opinie mogą być przedmiotem dyskusji i wymiany poglądów na spotkaniu dwustronnym polskich i radzieckich specjalistów, w toku którego mogą być rozpatrzone również i inne uwagi, które nie zostały przedstawione obecnie. Analiza podręczników, wydanych w ostatnich latach wykazała, że zrealizowano już w nich szereg życzeń i uwag specjalistów radzieckich, przedstawionych podczas spotkań polsko-radzieckich w 1969 i 1973 r.

DOKUMENTY

Jan CIECHANOWSKI

ARMIA POLSKA W ROSJI W ŚWIETLE DZIENNIKA SZEFA SZTABU Z 1942 ROKU

Praca ta jest zbiorem najważniejszych wyciągów z *Dziennika Szefa Sztabu Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR* za okres od 1 stycznia do 10 września 1942. *Dziennik* ten, którego oryginał znajduje się w Instytucie Historycznym Generała Sikorskiego pod sygnaturą C. 592, stanowił podręczną książkę notatek i protokołów prowadzonych własnoręcznie i na gorąco przez płk. dypl. L. Okulickiego od stycznia do kwietnia a następnie, przez gen. Z. Bohusza-Szyszkę, którzy w 1942 kolejno pełnili obowiązki Szefów Sztabu gen. Andersa. W kwietniu płk Okulicki został wysłany przez gen. Andersa do Iranu, a jego funkcję objął gen. Bohusz-Szyszko, pierwszy Szef Misji Wojskowej w ZSSR¹.

Dziennik ten, choć do tej pory prawie zupełnie niezany i niewykorzystany, jest niezmiernie ważnym i ciekawym źródłem do dziejów PSZ w Rosji. Ukazuje on bowiem jak gen. Anders i jego najbliżsi i najbardziej zaufani współpracownicy oceniali położenie wojska w Rosji, ich stosunek do Naczelnego Wodza, sowieckich i brytyjskich aliantów, sprawy ewakuacji do Iranu, ppłk. Z. Berlinga, oraz całego szeregu innych ważkich kwestii i problemów, z którymi stykali się w czasie ich pobytu w Rosji.

Pośrednio z *Dziennika* dowiadujemy się do jakich spraw i zagadnień dotyczących wojska polskiego największą wagę przy-

1. Gen. Bohusz-Szyszko obszernie pisze o swej służbie w Rosji w swych wspomnieniach pt. *Czerwony Sfinks*, Rzym 1946.

wiązywały władze sowieckie, oraz co je mogło skłonić do wyrażenia zgody na jego ewakuację do Iranu.

Wyciągi te, celem zapewnienia im większej przejrzystości, podałem zgodnie z zagadnieniami, które omawiają, a nie w porządku czysto chronologicznym, w którym zapisy te były sporządzone. Wybrałem zaś te, które uważałem za najważniejsze i rzucające najwięcej świeżego światła na dzieje armii gen. Andersa, oraz jego własne postępowanie wobec swoich zwierzchników, podkomendnych i aliantów. Opuściłem jedynie wzmianki czysto incydentalne, oraz dotyczące epidemii tyfusu, która nawiedziła wojsko w pierwszej połowie 1942, w czasie jego pobytu w Uzbekistanie. O epidemii tej pisano już zresztą dość dużo².

Wyciągi zaopatrzyłem w przypisy tam, gdzie mogły one szerzej naświetlić omawiane w nich wydarzenia i kwestie. Nie zmieniłem stylu notatek i nie poprawiałem błędów, które się do nich wkradły, poza ortograficznymi.

Mam nadzieję że ukazanie się *Dziennika* zachęci zarówno historyków jak i b. żołnierzy PSZ w Rosji do ponownego spojrzenia na ich dzieje, oraz omówienia stosunków jakie panowały pomiędzy gen. Andersem i Naczelnym Wodzem, gen. Sikorskim, w latach 1941-1943. Do tego rodzaju prac *Dziennik* stanowi jedno z najlepszych i niczym niezastąpionych źródeł dokumentarnych. Szerszemu zaś gronu Czytelników *Zeszytów Historycznych* zapoznanie się z *Dziennikiem* pozwoli na lepsze zorientowanie się w sprawach wokół których nagromadziło się wiele niedomówień i nieścisłości. Ukáže wielu kluczywych decyzji, których konsekwencje miały przemożny wpływ na dalszy rozwój polsko-sowieckich stosunków w latach 1942-1945.

Jan CIECHANOWSKI

ROZMOWA GEN. ANDERSA Z GEN. NKWD ŻUKOWEM (PEŁNOMOCNIKIEM RZĄDU ZSSR DO SPRAW POLSKICH)

Dn. 2. I. g. 1.00

Gen. Żukow zwrócił się i zakomunikował, że jest upoważniony przez Rząd sowiecki do zapytania: s) kiedy armia polska będzie gotowa wyruszyć do boju?

2. Patrz np. Z. Bohusz-Szysko, *op. cit.*, str. 186 i dalsze.

Odpowiedź gen. A(ndersa):

Po konferencjach na Kremlu 4. XII. 41 i powrocie do Kujbyszewa dn. 8. XII. 41 byłem zaproszony do gen. Panfilowa¹, gdzie w obecności gen. Bohusza gen. P(anfilow) omawiając dalsze tworzenie armii i przerzucenie jej na płd. przyjął datę 15. XII jako początek poboru do nowych dywizji. Po moich uwagach, że jest to technicznie, ze względu na długość czasu transp(ortu), wydanie zarządzeń b. utrudnione — została data przesunięta na 20. XII. Jednak faktycznie nie dano mi możliwości wystać ofic. ani nie dano odpowiednich zarządzeń pomimo moich ciągłych interwencji, tak że w rzeczywistości pobór dotychczas się nie zaczął.

Jak melduje płk Rudnicki² wysłany przeze mnie do Taszkientu, SAWO obiecuje rozpocząć pobór w najbliższych dniach.

Zresztą nawet szereg miejscowości, przewidzianych do postojów niektórych dywizji zostało dopiero przed paru dniami zmienionych jako zupełnie nieodpowiednie.

Jeżeli chodzi o przerzucenie armii, to zaledwie połowa transportu dotąd przyjechała na płd. Otrzymuję dotąd średnio 1 transport dziennie i nie spodziewam się osobiście wyjechać ze Szt(abem) wcześniej jak 6. II. 42. Może jednak nastąpi opóźnienie. Należy przy tym przyjąć pod uwagę, że przyjazd do Taszk(ientu) będzie trwał 7 dni, w tych warunkach obecność moja na płd., gdzie jest bezwzględnie konieczna, opóźni się niepotrzebnie. Prawie 2 miesiące) zostało opóźnione przysłanie mundurów i ubrania dla żołnierzy znajdujących się na płd., gołych i głodnych, którzy jak miałem meld(unki) marli w niektórych okolicach po 30 dziennie. Ludzie ci są na pewno okropnie wycieńczeni i trzeba będzie dłuższego czasu aby doszli do siebie.

Będąc w Moskwie 4 i 5. XII. 41, a następnie w Kujbyszewie dn. 8. XII. podczas prowadzonych rozmów z przedst(awicielami) armii Sow. na zapytanie, kiedy przewidują gotowość a(rmii) p(olskiej) wymieniam w przybliżeniu datę 1. VII. 42 z zaznaczeniem, że formowanie nowych jedn(ostek) nastąpi natychmiast i wszyscy zgłaszający się do wojska będą mieli tech(niczne) możliwości tam się znaleźć, oraz od otrzymania uzbrojenia, sprzętu tech. ang.-amer., gdyż Prez. Stalin zaznaczył wyraźnie, że rząd Sow. może mi dać uzbr. na ekwiwalent 2 dyw. piech. a 11.000 ludzi.

-
1. A. P. Panfilow, z-ca Szefa Armii Czerwonej.
 2. K. Rudnicki, z-ca d-cy 6 D.P.

Czy dzisiaj ta data będzie aktualna nie wiem. Stwierdzam, żeśmy stracili niezmiernie wiele cennego czasu niepotrzebnie i wyłącznie z waszej winy. Czy czas ten da się nadrobić, nie wiem. Nie orientuję się zupełnie w stanie mat. ludzkiego znajdującego się na pld. i w warunkach formowania tam wojska.

Zależy to także od ułatwienia mi przez was techn. możliwości otrzymywania broni przez Persję. Już dziś mam gotowych 50 samoch. do odebrania w Teheranie i 100 wozów cięż. nad Zatoką Perską. Zwróciłem się z prośbą przez naszą amb. o wysłanie ogólnych wiz dla szoferów. Do tej pory nie mam odpowiedzi. Tak samo dotąd nie mogłem wysłać od dawna przygotowanych do ewakuacji 1500 lotników jedynie z powodu formalności wyjazdowych). Należy pamiętać, że mam zgodnie z umową ewakuować do Anglii i na Bliski Wschód 25 tysięcy ludzi. Z drugiej strony posiadamy w waszych oddziałach dziesiątki tysięcy Polaków, gotowych żołnierzy, którzy w setkach listów błagają o przyjęcie do armii polskiej). Ludzi tych uspakajam jak mogę obietnicą, którą otrzymałem, że wszyscy znajdą się w szeregach a.p., ale niestety trwa to już miesiąc bez rezultatu.

Dlatego też uważam, że jeżeli chodzi o gotowość bojową a.p. to jest to wyłącznie w waszym ręku. Co do nas, to tak ja jak i wszyscy moi podkomendni, chcielibyśmy jak najprędzej otrzymać zadania bojowe, rozumiejąc doskonale, jakie to ważne dla Polski.

Czy Rząd Sow. uważałby za celowe w najbliższym czasie wysłać na front gotowe polskie jednostki. Rząd Sow. uważałby (uważa — JMC) że miałyby to ogromne znaczenie polityczne i wojskowe dla samej a.p., ponieważ dałyby jej praktykę bojową.

W wyjaśnieniu gen. Ż. nadmienił, że mogłaby to być 5 dyw., która by otrzymała uzupełnienie broni do etatu i która by mogła mieć ładny sukces na froncie i tym samym miałyby to duże znaczenie polityczne.

Odpowiedź gen. A.

Kategorycznie oświadczyłem, że nie mogę podzielać tego punktu widzenia. Przede wszystkim, jeżeli chodzi o sprawę wojskową, to przy tej wielomilionowej armii i olbrzymiej ilości dyw., które posiadają Sow. jedna nasza dyw. i to w tak minimalnym stanie jak 11.000, przy tak słabym uzbrojeniu, dla zaznaczenia działalności a.p. tutaj nie będzie miała żadnego znaczenia. Dyw. ta siłą faktu będzie wtłoczona w ramy korpusu sow., będzie się biła w armii sow., sukcesy jej pojedyncze pomimo całej energii dców

i niewątpliwej żołn. mogą być minimalne, gdyż to zależy od zadania jakie otrzyma i dców, którzy będą nią dowodzić. Wyjście tej dyw. przedwcześnie na front zrobi wrażenie, że poszczególne jedn. wojskowe nasze będą wyciągane i w przyszłości z a.p. Wpłyne to niesłychanie ujemnie na morale całej armii. Z drugiej strony dążę do jak najspieszniejszego wyruszenia do boju z całą armią. Uważam, że a.p. winna uderzyć całością swych sił. Wtedy jestem pewien sukcesu, oddźwięku który będzie silny nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Podniesie to także morale mojego wojska, gdyż jasne jest, że pomimo wszystko dyw. nasze będą się lepiej biły w składzie naszej armii. Uważam tę stronę za tak ważną, że gdybym otrzymał taki rozkaz od N.W. to bezwzględnie zmuszony byłbym, chociażby dlatego, żeby nie stracić swego autorytetu w oczach żołnierzy, stanąć osobiście na czele tych jednostek, które by miały wyruszyć do boju, choćby to była tylko 1 dywizja. Gdy sprawa formowania naszego wojska była od samego początku należycie ruszona, to już dzisiaj cała a.p. mogłaby być w linii bojowej. Straciliśmy 15 miesięcy czasu, dużo wartościowych żołnierzy nie z naszej winy.

Gen. Ż.

A jednak wasze oddziały poszczególnymi grupami były się na różnych frontach, np. taka mała jedn(nostka) polska jak Bryg. Karp. pod Tobrukiem. Poza tym takie boje 1 dyw. dałyby wam dużo doświadczenia boj(owego).

Gen. A.

Przed wszystkim brygada na Bliskim Wsch. powstała z Polaków, którzy się tam znaleźli i dlatego też tam brała udział w walkach. Poza tym z przewidzianych do ewak. 25.000 ludzi 10 tys. przewidziane jest na uzupełnienie właśnie tej jedn(ostki), która po przeformowaniu, jako dyw. panc. mat. ma przyjść tutaj do nas i wejść w skład mojej armii. Co do dośw. boj(owego) to dośw. jednej dyw., która gdyby nawet teraz wyszła na front, technicznie nie weźmie udziału (w walce) wcześniej jak w końcu kwietnia, to doświadczenie jej nie odbije się niczym na całej armii.

Proszę zakomunikować rządowi Sow., że osobiście jestem stanowczo przeciwny temu. Nie widzę w realizacji projektu nic dodatniego, a na odwrót wszystko ujemne. W tej sprawie odniosę się do Londynu do gen. Sikorskiego i odpowiedź zakomunikuję.

SPRAWA GEN. ZYGMUNTA BERLINGA I BAZA W KRASNOWODSKU

20. 2. Ppłk Berling zamelduje się u d-cy P.S.Zbr. (gen. Andersa) z rzeczami¹.

3. 3. Wyznaczenie ppłk. dypl. Berlinga na d-cę ośrodka ewak. w Krasnowodsku².

Rozkaz ofic. — w dniu dzisiejszym ukarałem przy raporcie płk. d(ypl.) Berlinga 7-dniowym aresztem domowym za naruszenie dyscypliny wojskowej, przez niestosowne zachowanie się w stosunku do d-cy dyw. gen. bryg. Boruty³.

22. 3. *Konferencja z płk. Hullsem*⁴

Ewakuuje się obecnie około 40.000 ludzi, to nie koniec.

26. 3. Depesza do Berlinga żeby meldował co dzień liczbę ewakuowanych z Krasnowodska ofic., szereg., rodzin. Ile pozostaje do ewakuacji. Stan ogólny na miejscu., żywność, zdrowotność itp.⁵

1. Od września 1941 ppłk Berling pełnił obowiązki szefa sztabu 5 D.P. W sprawie opinii gen. Andersa o ppłk. Berlingu patrz: Z. S. Siemaszko, „Rozmowa z gen. Andersem”, *Kultura* Nr 7-8/1970, str. 30 i dalsze; oraz W. Anders: „Bez ostatniego rozdziału”, Londyn 1959, str. 111-112. Gen. Berling o swej służbie w Wojsku Polskim w Rosji pisał w latach 1967-73. Patrz: „Wspomnienia”, *Kultura* (Warszawa): 16. 4; 23. 4; 30. 4; 21. 5; 1967, 5. 3; 12. 3; 19. 3; 1972. „Ostatni Transport”, *Za i Przeciw* z 18. 6. 1967 oraz „Anders wychodzi z Armią do Iranu”, *Życie Literackie* z 23. 7. 7. 10. 1973.

W sprawie roli gen. Berlinga w latach 1939-1944 ponadto *vide*: Jan Nowak, „Sprawa generała Berlinga” *Zeszyty Historyczne* nr 37/1976, str. 39 i dalsze; Z. S. Siemaszko „Polemika z artykułem Jana Nowaka pt. 'Sprawa gen. Berlinga'”, *Zeszyty Historyczne* nr 38/1976, str. 224-229; Jan Nowak, „Jeszcze w sprawie Berlinga”, *Zeszyty Historyczne* nr 41/1977, str. 210-216. Oraz D. K., „Nieznane materiały o Berlingu”, *Zeszyty Historyczne* nr 41/1977, str. 216-220.

2. Ośrodek ten utworzono po decyzji Stalina powziętej 18. 3. 1942 co do ograniczenia stanów Armii Polskiej w Rosji do 44.000 ludzi oraz ewakuacji nadwyżek na Środkowy Wschód. W ramach tzw. „pierwszej ewakuacji” odbytej między 24. 3 a 3. 4, wyjechało z Rosji 43.858 osób — 33.069 żołnierzy i 10.789 osób cywilnych. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, Tom II, „Kampania na Obczyźnie”, część 2, Londyn 1975, str. 268-278. Dalej: PSZ, Tom II. Część 2.

3. M. Boruta-Spiechowicz od września 1941 do marca 1942 d-ca 5 D.P.

4. Płk L. R. Hulls, brytyjski oficer łącznikowy przy Armii Polskiej w ZSSR.

5. Depeszę tę ponowiono 31 marca.

31. 3. Ewakuacja odbywa się w wielkim porządku i ściśle według planu. Ostatni statek odpłynie z Krasnowodska 2 kwietnia. Około 45 tys. ludzi, w tym około 35 tys. wojska.

6. 4. *Gen. Żukow*

Ewakuacja dalsza co najmniej na 6 tygodni niemożliwa, bo transport zajęty na wiosenne przewozy.

7. 4. *Mjr (NKWD) Tiszkow z polecenia gen. Żukowa*

Władze sowieckie otrzymały niesprawdzoną wiadomość, że płk Okulicki dał rozkaz przeniesienia bazy do Pahlewi z Krasnowodska. W Związku z tym gen. Żukow oświadcza, że nie zgadzają się na wyjazd ppłk. Berlinga do Iranu.

8. 4. Zapytany o ppłk. Berlinga i przyczynę interwencji Rządu Sow. — odpowiedział: „No bo niezbyt go lubicie za to, że jest do nas przyjaźnie usposobiony”.

28. VII.

Rozmowa Gen. A(ndersa) z ppłk. Berlingiem

Gen. A. naświetlił ppłk. B. położenie i sprawę ewakuacji wojska do Iranu⁶.

Dla ppłk. Berlinga:

1. Odpis depeesz gen. Żukowa.
2. Rozkaz do d-ców dyw. o wyładunku okrętów.
3. 7D.P. żeby wzięła namioty na 3 tys. ludzi.
4. Kwestia odbioru pieniędzy i pokwitowań w Krasnowodsku.
5. Broń konwojentów zdana w Krasnowodsku.
6. Sprawa dołączania się ludzi do transportu. Wykluczone, by takie fakty miały miejsce. Trzeba być lojalnym w stosunku do Sowietów. Zrobić komisję i Polaków puścić jeśli są wartościowi. Żadnych obyw. sow., lub czy nie jest żulik (sic), Żydów, Ukraińców i Białorusinów — nie brać w żadnym wypadku.
7. Meldować ma płk B. o każdym okręcie.
8. Chorzy — jeśli ciężkie choroby — szpital w Krasnowodsku.
9. Korek w Krasnowodsku bo statki stoją naładowane i nie ma kim (ich) rozładować. Zwrócił się Berling ale bolsz. nie zgodzili się na pomoc ludzi z naszej Bazy.

⁶ Chodzi tu o drugą ewakuację — sierpniową z ZSSR.

10. D-ca Bazy melduje, że w Krasnowodsku siedzi stale około 50 Żydów. Zwrócić się do Żukowa aby ich wysiedlono.

Sprawa listu płk. Berlinga w którym mówi że Boruta wspominał mu o tendencji O. II zlikwidowania p. Berl(inga).

Twierdzi płk, że gen. Boruta dwukrotnie to powtórzył w obecności świadków (p. Maria Mikka⁷).

Gen. polecił płk. B. złożyć w tej sprawie pisemny meldunek.

Gen. Boruta oświadczył, że opowiadał mu Berling o jego rozmowie z Merkułowem⁸. Merkułow miał oświadczyć, że cieszy się, iż gen. A. to jest typ ofic. carskiego lubiącego ordery itd., a że gen. Boruta to jest człowiek szeroko patrzący na świat i sprawy.

Płk Berling kategorycznie zaprzecza. Takiej rozmowy nie było. Płk B. złożył Borucie meldunek na piśmie w tej sprawie. Na zapytanie o czym mówiono z Merk. B(erling) oświadcza, że mówiono o dywizji, wojsku itp., o gen. A. w ogóle nie było mowy. Wspominano tylko o gen. B(orucie) i Berlingu, ale tylko zdawkowo. Gen. A. i to polecił mu zameldować.

Następnie gen. A. porusza sprawę kobiety. Płk B. oświadcza że mówił o tym z płk. Okulickim. Gen. B. uprzedzał, że z powodu tej kobiety rozejdą się. Namawiał nawet ją do pojechania z nim do Iranu⁹.

Sprawa szabli

Zwrócili się ofic. łączn. do Berl(inga) czy nie obrazi się gen. Bor(uta) jeśli mu na imieniny dadzą szablę. Szabla była dana. Gdy przyjechał mjr Orłow — stosunki zmieniły się radykalnie. Pierwsza rozmowa była już b. przykra. Orłow nie dał już kontaktować się z żadnymi władzami sow. Wszystko tylko przez nich. Boruta temu sprzeciwił się i z tego wynikł konflikt. Rozmowa była tego typu, że Berling chciał sam by Orłow nie miał świadka. Zdenerwowanie Boruty istniało już dawno. Np. rekwizycja siana. Depeszę w tej sprawie Berling otrzymał. Gen. Boruta co dzień kogoś oskarżał. Były to niezwykle trudne warunki. Nie można było z nim wytrzymać. W Dżałal-Abadzie doszło do kulminacji. Generała nie lubili ofic. O jego przemówieniach — generała — chodziły dykteryjki. Stosunek do PSK. Płk B. mówi że mocno z tego

7. Późniejsza żona gen. Berlinga.

8. V. N. Merkułow szef Komisariatu Ludowego Bezpieczeństwa Państwowego.

9. W marcu 1942 roku gen. Boruta-Spiechowicz wyjechał do Iranu, gdzie był d-cą wojsk ewakuowanych z ZSSR.

powodu dostał po skórze. W stosunku do żołnierzy efekciarstwo. Żołnierze go lubili jednak, bo umiał z nimi rozmawiać. Ale efekt ze autorytet d-cy od kaprała do gen. leżał.

Prośba por. Wicherkiewicza.

Płk B. mówi, że jest to uczciwy, porządny człowiek ale ma kota w głowie, bo myśli że do innej Polski jak komunist(yczna) wracać nie może. Mało inteligentny. Oczy ma mętne. Jest kandydatem do domu wariatów. W rozmowie nic się kupy nie trzyma.

Tłumaczy płk B. iż rozumie sytuację (Wicherkiewicza) bo tak zakochał się, że w innym środowisku jak bolszewickie żyć nie może. Nie ma ani przyjaciół, ani też sympatyków¹⁰.

DRUGA EWAKUACJA: ROZMOWY Z ROSJANAMI I ANGLIKAMI

Rozmowa gen. Andersa z ppłk. Tiszkowem, 3. 6. 42

1. T(iszkow) pyta się czy nie mógłby gen. A. wstępnie omówić z nim zagadnienia naszej armii, gdyż to mogłoby wpłynąć na tok rozmów ze Stalinem.

Gen. A. mówi, że pierwszym zagadnieniem jest sprawa rekrutacji. Oblicza że około 60 tys. możemy jeszcze pobrać.

10. W ramach drugiej — sierpniowej ewakuacji od 9. 8 do 1. 9 wyjechało z ZSSR do Iranu 69.247 osób — w tym 2.430 oficerów, 36.701 podoficerów i żołnierzy, 112 urzędników wojskowych, 1.765 PSZ, 2.738 junaków i junaczek oraz 25.501 osób cywilnych. PSZ, Tom II, część 2, str. 295.

Dnia 7. 10 gen. Anders meldował Naczelnemu Wodzowi: „Warunki ewakuacji były bardzo trudne, robiłem wszystko możliwe, aby z terenu ZSSR wydobyć najbardziej wartościowy materiał... Niestety trudności były olbrzymie. Nie mogliśmy nawet wyewakuować dużej ilości rodzin naszych żołnierzy, którzy stamtąd wyszli. Musieliśmy zabrać to, co było na miejscu koło wojska. Niestety duża część po którą posłaliśmy nie zdążyła dojechać...”.

Gen. Anders do Naczelnego Wodza na nr 91, 7. 10. 1942 Ldz. 918/Tjn./Sztab/42, IGS, A. XII 30/19 G.

Płk Z. Berling, por. T. Wicherkiewicz, por. T. Juskiewicz i p. Maria Mikka pozostali w ZSSR.

2. Ewakuacja naszych rodzin, młodzieży i dzieci możliwie jak najwięcej.

W odniesieniu dzieci jest zapewnienie przyjęcia bez ograniczenia liczby. Dzieci będą wysłane do Erytrei, Płd. Afryki itd.

3. Pytanie — to sprawa naszej armii. Musi to być załatwione ze Stalinem.

Sprawa główna to uzbrojenie. Dla 1 dywizji idzie już i będzie prędko. Uzbrojenie właściwe musi być za 2-3 miesiące bo już z fabryk przekazane do przewozu morskiego.

D-ca Środ. Wschodu¹ ma dla siebie i jednostek które byłyby mu przesunięte. Więc byłoby z punktu technicznego wygodniej tam armię przesunąć. Względy strategiczne również za tym przemawiają. Kaukaz i drogi południowe. Odcięcie uderzające we wszystkich sprzymierzonych.

Płk T. zapytuje czy ta myśl wynikła z rozmów w Londynie, czy też w powrotnej drodze²?

A. przyznaje, że w Londynie nie wszyscy są o tym przekonani. Dużo było wysiłku, by przekonać że Sow. będą się biły aż do zwycięstwa. Wielu ludzi nie wierzyło, że Niemcy uderzą na wschód a nie na zachód. Trzeba było ich przekonać.

T. Czy wymaga to jeszcze dodatkowych omówień obydwóch rządów, czy też może być załatwione przez Dtwo Armii³?

A. Mówi że sprawa ta jest w płaszczyźnie załatwienia natychmiastowego przez oba Dtwo, bo nie można tego decydować inaczej.

T. Stawia rozmowę w płaszczyźnie politycznej: że zgodnie z umową wojskową nie byłoby może dobre wyprowadzenia całego wojska.

A. Przytacza przebieg rozmów o ewakuacji i rozbudowie armii. Sikorski potem (sic) ewakuacja połowy naszej armii.

1. Marszałek Sir Claude Auchinleck.

2. W sprawie rozmów gen. Andersa w Londynie patrz: W. Anders, *Bez Ostatniego Rozdziału*, Londyn 1959, str. 125-129; Ł. Mitkiewicz, *Z gen. Sikorskim na obczyźnie*, Paryż 1968, str. 264-290; i J. Ciecchanowski, „Protokoły odpraw u gen. Wł. Sikorskiego z 24 i 27 kwietnia 1942 r.”, *Zeszyty Historyczne* nr 52/1980, str. 182-207.

3. W dwa dni po tej rozmowie 5. 6. 1942, gen. Sikorski powiadomił gen. Andersa, że: „Rząd R.P. na posiedzeniu dnia 26 maja powziął jednomyślną uchwałę, że pozostanie części sił zbrojnych na terenie ZSSR jest w obecnej dobie i sytuacji koniecznością o decydującym znaczeniu politycznym. W związku z tym starania o uruchomienie poboru i ewakuacji należy prowadzić tylko w odniesieniu do nadwyżki ponad 44.000 żołnierzy”. Depesza Nacz. Wodza do gen. Andersa z 5. 6. 1942. IHGS, A. XII. 30/19. 8.

Stwierdza, że nie ma wyraźnego zezwolenia rządu, lecz będzie decydował zależnie od sytuacji⁴.

T. Reasumuje: więc jeśli dobrze znam myśl Pana — to sądzi Pan, że jeśli nie góra do Mahometa, to Mahomet do góry. Iść tam gdzie jest uzbrojenie.

A. Tak. Poza tym sprawa wyżywienia i nafty, które tam nie istnieją.

T. Podlicza że sprawa ewakuacji będzie obejmowała około 130 tysięcy ludzi.

Czy żołnierze będą bili się chętnie na innych frontach?

A. zapewnia honorem swoim żołnierskim, że tak. I tu i tam, aby z Niemcami.

T. Porusza sprawę ludności cywilnej przy rejonach.

A. Poleca potwierdzić rozkazy

a) nie sprowadzać rodzin,

b) nie karmić z pajek (porcji),

3) urządzić na roboty zdolnych do pracy.

4) Rząd Sow. — ustalił pewną obowiązującą liczbę dni pracy. Konieczność dopilnować organizacji⁵.

ROZMOWA GEN. A(NDERSA) Z PPŁK. TISZKOWEM
NA LOTNISKU PO POWROCIE Z KUJBYSZEWA
Z 7 NA 8. VII. 42

Płk Tiszkow oświadczył gen. A. poufnie, że ma wiadomości z Moskwy o wyjściu Armii Polskiej na Średni Wschód.

Dodał, że Stalin zdecydował się na to i że inicjatywa wyszła od niego, ze względu na to, że uważa Średni Wschód i Kaukaz za najbardziej newraliczny punkt w tym roku.

4. Gen. Anders w sprawie drugiej ewakuacji meldował Nacz. Wodzowi 2. 12. 1942, że: „w związku z rozkazami otrzymanymi wówczas od Pana Generała, nie stawiałem formalnego wniosku o przesunięcie naszych wojsk do Iranu ani w formie pisemnej, ani też ustnej. Mimo to dnia 26 lipca 1942 otrzymałem telegram zawiadamiający mnie o decyzji Rządu Sowietkiego w sprawie ewakuacji W.P.”. Meldunek gen. Andersa do Nacz. Wodza z 2. 12. 1942, IHGS, A. XII. 30/19. J.

5. Reszta rozmowy dotyczyła spraw czysto incydentalnych bez większego znaczenia.

Miał jak gdyby oświadczyć, że zgadza się całkowicie z oceną sytuacji wojsk. polit., podanej mu przez gen. A. po powrocie z Londynu, podkreślając że gen. A. jasno widzi sprawy. Ocena była następująca na zapytanie władz Sow.: dn. 28. V. 1942 r.

1. Wierzę w całkowite zwycięstwo sprzymierzonych. Szczególnie obecnie gdy Ameryka z całym swym potencjałem ludzkim i zasobami weszła do wojny. Lecz uważam rok obecny za najbardziej krytyczny i przełomowy w wojnie.

2. Niemcy będą za wszelką cenę starali się osiągnąć w tym roku znaczne sukcesy. To może im się udać, gdyż postawili wszystko na kartę i zebrali cały potencjał wojenny do tegorocznej rozprawy.

Jest to ich ostatni wielki zryw ale nie trzeba wątpić, że będzie b. silny. Uważam, że głównym celem Niemiec w tym roku będzie rozbicie armii rosyjskiej. Będą jednakowoż głównie napierali na Kaukaz i Średni Wschód, mając przed oczyma odcięcie dostaw do Rosji od południa. Działanie to wiąże się również z chęcią zdobycia ropy kaukaskiej. Prawdopodobnie będą się też starali unieвозмоwić dostawy przez Murmańsk i Archangielsk.

3. Jeżeli chodzi o Libię, to jest ona w przededniu poważnych zmaganiań anglo-niemieckich, których rezultatu przewidzieć nie można, ale które co najmniej odciągnie dużo sił angielskich do obrony Egiptu.

4. Jeżeli chodzi o front rosyjski to uważam, że główny wysiłek niemiecki pójdzie dla oddzielenia armii południowej od północnej, aby dalej przygotować natarcie na Kaukaz. Są prawdopodobne działania niemieckie na wyspę Cypr i desanty w Syrii.

5. Nie jest jeszcze pewne stanowisko Turcji, gdyż przede wszystkim w razie sukcesów Niemców będzie bardzo pod naciskiem tych ostatnich. Ponadto Turcja ma dużo elementu germanofilskiego jeszcze z tamtej wojny. (Co zresztą potwierdzają trzy ostatnie fakty: a) pożyczka 100 milionów dla Turcji od Niemiec, b) niewyjaśnione zamknięcie granicy z Irakiem, c) proces Papena¹ który poszedł całkowicie po linii niemieckiej².

Biorąc pod uwagę że zaplecze Śr. Wschodu (Persja) jest w dużej części germanofilskie, że Anglicy w razie potrzeby zmuszeni będą wojska z Syrii i Palestyny ściągnąć do Egiptu, że Rosja według moich wiad. zabrała prawie wszystkie swoje siły z Iranu — uważam, że Niemcy w razie sukcesów, czy to w Rosji czy w Libii,

1 i 2. Franz von Papen, ambasador niemiecki w Turcji. Chodziło tu o sprawę zamachu na von Papena. O szczegóły patrz: M. Sokolnicki, *Dziennik Ankarcki* 1939-1943, Londyn 1965, str. 324 i dalsze.

a nie liczyć się z tym nie można — będą na pewno miały za cel Średni Wschód, a może i więcej.

Dlatego też uważam, że z punktu widzenia wojskowego i w ogóle przyszłego zwycięstwa, Średni Wschód w tym roku odgrywa najbardziej kapitalną rolę.

ROZMOWA GEN A(NDERSA) Z AMBASADOREM
ANGIELSKIM P. SIR ARCHIBALDEM CLARE KAR'EM¹
DN. 7. VII. 1942 W KUJBYSZEWIE

Po przybyciu do Taszkientu z Londynu za zgodą Naczelnego Wodza zwróciłem się telegraficznie do Stalina celem omówienia rozbudowy i dalszego losu Polsk. S. Zbr.² Na zapytanie Dtw'a rosyjskiego jakie sprawy chcę poruszyć ze Stalinem podałem:

a) Rozpoczęcie dalszej rekrutacji w związku z obietnicą Stalina³ i ewakuacji poborowych na Średni Wschód dla uzupełnienia znajdujących się tam naszych wojsk.

b) Ewakuacja rodz. wojskowych a przede wszystkim dzieci, szczególnie tych, które znajdują się w obrębie armii, oraz

c) Ewentualne przesunięcie Armii Polskiej na Śr. Wschód ze względu na konieczność połączenia się wszystkich S.P. razem. Konieczność znalezienia się jak największej ilości wojska na najbardziej groźnym w tym roku terenie, jakim jest Śr. Wsch. Niedostatecznej ilości żywn. dla wojska w Rosji, co powoduje nie tylko głodowanie ludzi, ale i ogromną ilość chorób żołądkowych oraz duży % (procent — JC) kurzej ślepoty. Fatalne warunki klimatyczne dla W.P. i brak wody. Brak benzyny, placów ćwiczeń, amunicji itd. dla szkolenia. Wreszcie trudności, które mamy już dzisiaj z dostawami z Persji, ogromnie utrudnią i opóźnią uzbrojenie Armii Polskiej.

Co dzień ofic. Łączn. meldowali mi, że lada dzień zostaną zaproszeni na rozmowę ze Stalinem. Te obietnice urwały się nagle

1. Powinno być: Sir Archibold Clark Kerr.

2. Gen. Anders powrócił do ZSSR 28. 5. 1942.

3. O szczegóły patrz: W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, Londyn 1959, str. 112 i dalsze.

od pobytu Mołotowa w Londynie⁴. Od tej pory musiałem już się dopytywać o termin zobaczenia się ze Stalinem. Odpowiadano mi, że muszę odczekać (do — JC) przylotu Mołotowa do Moskwy, następnie, że odbywa się sesja Wierch. Sowietu, że obecnie zajmują się ratyfikacją umowy angl.-sow., jednym słowem czułem, że sprawa się odwleka z niewiadomych mi powodów.

W międzyczasie na mój meldunek do N.W. Nr (701)⁵ otrzymałem zupełnie nieoczekiwany dla mnie ale kategoriyczny rozkaz Nr (Depesza N.W. z 11. 6.)⁶. Niezrozumiała dla mnie była zmiana decyzji w tej sprawie w Londynie⁷. Niezrozumiały też dla mnie był motyw, iż armia ma pozostać tu dla wyższych celów politycznych. Niezrozumiały także był wniosek gen. S(ikorskiego) z trzygodzinnej rozmowy z Mołotowem⁸, że Sowiety nie wypuszczą stąd armii, gdyż na miejscu wyczuwałem tu wręcz coś przeciwnego. Miałem jednak związane ręce rozkazami N.W. i pozostało mi jedynie oczekiwać dalszego biegu wydarzeń na froncie. Byliśmy wszyscy przekonani, że życie samo naprostuje do jednego logicznego rozwiązania sprawy.

W międzyczasie zaczęliśmy odczuwać coraz większe utrudnienia ze strony władz Sow. Musieliśmy cały czas walczyć o otrzymywanie żywności, benzyny itp. Czepiano się do wszystkich drobiazgów, podrzucano szereg fałszywych oskarżeń — w najdrobniejszych głupstwach, utrudniano przejazdy, aresztowano ludzi itd. Wiadomości z Ambasady były jeszcze gorsze. Zaczęto aresztować delegatów, zamykać placówki. (Z powodu zostawienia w restauracji przez deleg. amb. Roli-Janickiego teczki z dokumentami,

4. Mołotow bawił w Londynie pod koniec maja 1942 r.

5. Gen. Anders meldował Nacz. Wodzowi 7. 6. 1942 m.in., że: „Nasza sytuacja wojskowa zbliża się tutaj ku katastrofie... Nie ma żadnych nadziei na polepszenie, odwrotnie położenie pogarsza się stale”... „Wskutek powyższego morale wojska utrzymuje się wyłącznie nadzieją wyjścia z ZSSR i wielką dyscypliną narodową”. Depesza gen. Andersa do Nacz. Wodza z 7. 6. 1942, IHGS, KGA 9. Depesza ta była odpowiedzią gen. Andersa na depeszę Nacz. Wodza z 5. 6. 1942 mówiącą, że pozostanie części sił zbrojnych w ZSSR jest koniecznością polityczną.

6. Gen. Sikorski pouczał gen. Andersa iż jego meldunek zawierał „elementy niezmiernie niebezpieczne dla sprawy”, oraz, że jedynie rząd mógł bronić skutecznie polskich interesów i armii na terenie ZSSR. Depesza Nacz. Wodza do gen. Andersa z 11. 6. 1942, IHGS, A. XII. 30/19. 9.

7. Stanowisko Nacz. Wodza w sprawie ewakuacji wojska polskiego z ZSSR było chwiejne. Np. 24. 4. 1942 N. W. oświadczył gen. Andersowi że chciałby „stopniowo wyewakuować z Rosji wszystkich”. J. Ciechanowski, „Protokoły odpraw u gen. Sikorskiego z 24 i 27 kwietnia 1942”, *Zeszyty Historyczne* nr 52/1980, str. 187.

8. Patrz: E. Racyński, *W sojusznicy Londynie*, Londyn 1960, str. 143-144.

świadczącymi o pracy wyw.⁹). Otrzymałem szereg depesz od ambasadora, proszących o przyjazd mój do Kujbyszewa ze względu na jego wyjazd z ZSSR¹⁰.

Ze względu na nawał pracy i konieczność osobistego uregulowania wielu spraw, a także z braku samolotu musiałem mój wyjazd nieco odłożyć, licząc się ciągle zresztą z tym, że będę wezwany do Moskwy.

Otrzymałem depeszę od Nacz. Wodza (z 3. 7.). Jeszcze przed otrzymaniem takowej udało mi się otrzymać samolot, więc zdecydowałem się wylecieć z Szefem Sztabu i odpowiednimi dokum., licząc się że może z Kujb. będę musiał lecieć do Moskwy. Powiadomiłem o tym Ambasadora¹¹. Na kilka dni przedtem wyleciał do Moskwy bryt. of. łączn. ppłk Hulls wezwany przez ambas. angielskiego. Przylecieliśmy do Kujb. późno w nocy. Zaraz potem zameldował się u mnie płk Hulls, który tego dnia powrócił z Moskwy. Z polecenia amb. ang. podał mi co następuje: Mołotow zwrócił się w imieniu Stalina do amb. Kara¹² z propozycją, że wobec ciężkiej syt. Anglików w Libii i ewent. komplik(acji), które mogą jeszcze powstać na Śr. Wsch. zgadza się na przesunięcie armii polskiej gen. Andersa na tamtejszy teren i przypuszcza, że Polacy będą także z tego zadowoleni. Amb. ang. zatelegrafował o tym do swojego rządu i wiedząc o pobycie gen. A. w Kujbyszewie prosi go koniecznie o zaczekanie na jego przylot z Moskwy dla omówienia ważnych spraw. Przewiduje swój przylot następnego dnia późnym wieczorem.

Dn. 3. VII otrzymałem telegram od gen. Sik. w którym podkreślone zostało, że wyjście armii inspirowane przez Rząd Polski rządowi anglosaskim, które wymogły tę decyzję na Stalinie¹³. Póź-

9. O szczegóły patrz: St. Kot, *Listy z Rosji*, Londyn 1956, str. 348-349.

10. Chodziło tu o ambasadora Kota.

11. Gen. Anders informował amb. Kota 1 lipca — „wylot mój ustalony 2. VII, godz. 5. Uważam dla sprawy polskiej i naszej egzystencji za niezbędne wyprowadzić wojsko na Średni Wschód i to jak najpilniej. Następnie częściami wywozić wszystkich urlopowanych, byłych poborowych oraz przy tej okazji co się da z ludności cywilnej, szczególnie dzieci. Całą powagę i pilność tego zagadnienia omówimy w Kujbyszewie”. *Dziennik Szefów Sztabu*, 1 lipca.

12. Powinno być Kerra.

13. Depesza N.W. do gen. Andersa i amb. Kota, 3. 7. 1942. N.W. podawał: „W odpowiedzi na presję rządów anglosaskich, inspirowaną przez rząd polski, Stalin zawiadomił ambasadora brytyjskiego w Moskwie, że rząd sowiecki zgadza się na ewakuację wojsk polskich organizujących się w Rosji na Środkowy Wschód. Rząd Polski przyjął tę inicjatywę i wyraził zasadniczą swoją zgodę, łącząc z tym jednakże w obecnej fazie kwestię dalszej rekrutacji, utworzenie ośrodka zapasowego oraz ewakuacji dzieci i ludności cywilnej znajdujących się w rejonie wojska”. IHGS, A. XII/30/19. E.

niej przysła depesza od gen. Sikorskiego) do ambas. Kota, że ewakuacja armii jest skutkiem *message'u* gen. Sik. do Stalina (o ile pamiętam w *message'u* tym była zawarta tylko prośba o dalszą rekrutację).

W następnej depeszy Premier podał, że omawiał z Rządem Bryt. sprawy ew(akuacji) wojska, dalszej rekrutacji i ew. 20 tys. ludn. cyw.¹⁴

Dn. 7. VII. na g. 9 — byłem zaproszony do mieszkania amb. angielsk., który prosił przez płk. Hullsa o widzenie się w cztery oczy. Ambas. ang. powtórzył mi rozmowę swoją z Mołotowem, powiedział, że był zaskoczony tą propozycją, gdyż nie miał przedtem polecenia od rządu i żadnych kroków pod tym względem nie czynił, że telegrafował o tym natychmiast do swojego rządu i otrzymał odpowiedź, że rząd J.K.M. jest tą propozycją zaskoczony, że żadnych kroków przedtem nie czynił, ale jest tą decyzją uradowany. Sprawę tę omawia z Rz. Polskim i wyniki poda do wiad(o-mości) ambas. angiels. w Kujbyszewie¹⁵. Pod sam koniec naszej rozmowy przysła depesza od Rz. Ang. z żądaniem aby Clack Kar¹⁶ zwrócił się do Rz. Moskiewskiego o ewakuację rodzin wojsk. i dzieci i natychmiastowe wszczęcie rekrutacji do W.P.

Amb. ang. miał tę sprawę tegoż dnia przedstawić Wyszyńskiemu dla przekazania Rz. Sow. Na zapytanie ambasad. ang. i wysuwane trudności w sprawie ewak. cyw. przekonałem go, że żołnierz którego rodzina tutaj zostanie i na pewno umrze z głodu, będzie się bił znacznie gorzej; że ludn. polska wywieziona przymusowo i znajdująca się na tym terenie, jest w rozpaczliwym położeniu, że jest częściowo skazana już teraz na zagładę, a że ludność znajdująca się w obrębie naszej armii — którą podtrzymujemy przy życiu z części naszych żebraczych porcji — wymrze całkowicie. W liczbie tej jest olbrzymia ilość dzieci i kobiet i że zgadzamy się nawet na to, że jeżeli po wyjściu na teren Iranu będą trudności żywn. to oddamy część naszego wyżywienia, które

14. Chodziło tu chyba o memorandum złożone przez amb. Raczyńskiego w Foreign Office 3. 7. 1942. IHGS, A. II 49/Sow./4.

15. Dnia 16 lipca gen. Sikorski omawiał z min. Edenem sprawę ewakuacji wojska z Rosji. IHGS, PRM 68. W dzień po tej rozmowie Churchill depešował do Stalina: „odpowiadałoby naszym wspólnym interesom, gdyby trzy polskie dywizje, które Pan tak uprzejmiem zaofiarował, połączyły się ze swoimi rodakami w Palestynie, gdzie możemy je kompletnie uzbroić”. Prosił też Stalina o umożliwienie Polakom wysłania z wojskiem znacznej ilości kobiet i dzieci utrzymujących się zasadniczo z faszanku żołnierskiego. *Korespondencja*, Warszawa 1960, tom I, nr 56, str. 51-52.

16. Clark Kerr.

tam jest 2 1/2 razy większe niż tutaj, żeby ludn. cyw. utrzymać przy życiu.

Nawet gdyby wymarł pewien % ludzi, przynajmniej reszcie uratujemy życie. My wymagamy tak niewiele, że jakieś miejsce na obozy, namioty, wzgl. stare szopy uratują tych ludzi.

Wreszcie że obliczamy nasze zasoby rekruckie na co najmniej 60 tys. rdzennych Polaków. Natomiast stykamy się ciągle ze złą wolą ze strony Sowietów i uważam, że ponownie Rosja coraz mniej się z nami liczy i szykanuje, jedynie bardzo silny i ciągły nacisk anglo-amerykan. może nam i wspólnej sprawie dopomóc.

Ambas. ang. oświadczył, że dotąd Anglicy rzeczywiście mało wywierali nacisku w tej sprawie, a to dlatego, że Rząd Polski specjalnie o to nie prosił i wydawało się Anglikom, że Rząd Polski te sprawy załatwia lepiej. Poznawszy jednak całą sytuację polską i widząc okropne położenie naszej ludności, uważa, że rzeczywiście nacisk ang.-ameryk. może być skuteczniejszy. Tym bardziej, że stwierdza, że od podpisania ukł(adu) bryt.-sow.¹⁷ a może niestety niepomysłnej sytuacji na froncie ros. stosunki anglo-sow. ostatnio bardzo się poprawiły.

Na pożegnanie oświadczył mi że rozumie dokładnie moje stanowisko we wszystkich punktach mianowicie jak ewak. armii, rekrutacji, a szczególnie najtrudniejszego dla nich problemu — ewak. ludn. cyw. Obiecał że ze swojej strony przedstawi te sprawy w tym duchu swojemu rząd. i zrobi wszystko co może, by ulżyć naszej doli. Rozmowa i pożegnanie były wybitnie przyjazne od początku do końca.

Pptk Tiszkow 29. 7.

Plan (ewakuacji) zatwierdzony przez Rząd. Początek dn. 5. VIII. br. Jutro rano otrzymamy całość planu¹⁸.

Gen. Żukow na wstępie konferencji dn. 31. VII. 42¹⁹ oznajmia, że Rząd Sow. pragnie okazać szczególnie posuniętą dobrą wolę i przychylność dla spraw wojska p(olskiego) i osoby gen. Andersa zgadzając się na ewakuację całości sił w tak trudnych wojennych warunkach.

Sprawa poboru. Rząd Sow. nie zgadza się na jakiegokolwiek for-

17. Notatkę tę parafował gen. Anders.

18. Formalną zgodę na ewakuację wojska gen. Anders otrzymał 26. 7. 1942 — patrz: Wł. Anders, *op. cit.*, str. 133.

19. W sprawie oficjalnego protokołu z tej konferencji patrz: *Polskie Siły Zbrojne*, tom II, „Kampania na obczyźnie”, część 2. Londyn 1975, str. 291 i dalsze.

mowanie lub pobór, ponieważ Rz. Polski wbrew umowie nie widzi możliwości użycia ich na froncie sow.

Gen. A. stawia sprawę, że to nie są nowe formowania lecz kwestia uzupełnień dla wojska. Gen. Żukow prosi o danie mu jeszcze dzisiaj depechy w tej sprawie, gdyż ma polecenie wysłania wszystkiego pozostawiając tylko misje wojsk. itp.

Gen. Żukow 5. 8. 42

Odpowiedź Stalina — odmowna co do pozostawienia Bazy i poboru.

ROZMOWA GEN. A(NDERSA) Z GEN. ŻUKOWEM
(DOTYCZĄCA POŁOŻENIA MILITARNEGO I RUCHU
OPORU)

14. 7. 42.

Gen. Żukow przyznaje, że nie doceniano siły Niemców, wartości ich żołnierza i technicznych możliwości. Mówi, że położenie na froncie jest krytyczne, bo Niemcy dysponują dużymi zasobami ludzkimi. Błędem było też mniemanie że nie mają benzyny. Przypuszczalnie mają oni dużo benzyny syntetycznej, bo nie krępują się zupełnie z jej użyciem dla samolotów i czołgów. Dużo mówi się o okrążeniu Niemiec. W tamtej wojnie byli oni rzeczywiście okrążeni, ale obecnie to sprzymierzeni są w obawie, że będą okrążeni.

Przyznał, że sytuacja jest bardzo poważna, w szczególności jeśli chodzi o Południe i Kaukaz, że może być katastrofa jeśli wystąpi Turcja po stronie Niemiec, gdyż w połowie są tam nastroje germanofilskie. Uważa, że Turcja ma kluczową pozycję jeśli chodzi o pola naftowe w Baku i Iraku, gdzie odległości są stosunkowo niewielkie, że port Batum nie ma wielkiego znaczenia, natomiast Noworosyjsk jest o wiele, wiele poważniejszy, gdyż został ostatnio przez Sow. bardzo rozbudowany. Gdyby jednak Turcja wystąpiła po naszej stronie, to odciągnęłoby przynajmniej ze 20 dyw. nie-

mieckich. Dziwi się, że Niemcy dotychczas nie próbują wysadzać desantów w Syrii.

Następnie poruszył bohaterską postawę Serbów. Twierdzi, że według ich wiadomości Serbowie posiadają armię około 250 tys. która się bije z Niemcami i Włochami i że są miasta serbskie które są po prostu okrążone przez partyzantów serbskich.

Stawia pytanie dlaczego podobnej walki nie prowadzą Polacy na tyłach niemieckich, bardzo słabych ze względu na przestrzenie komunikacyjne.

Gen. A. odpowiedział, że Serbowie biją się w zupełnie innych warunkach, w niedostępnych górach, że mają do czynienia głównie z Włochami, że Niemcy mniej uwagi zwracają na Serbie, bo to nie jest ich zagadnienie, że Polska ma zupełnie inne warunki geograficzne, że jest już trzy lata pod okupacją niemiecką, że Polska nie gorzej od Serbów walczy z Niemcami, lecz w warunkach w których się znajduje nie może mieć armii oficjalnej, ma natomiast armię podziemną, która stale walczy wspaniale ponosząc ogromne straty. Jest to walka może mniej efektywna, ale nie mniej skuteczna.

Jeśli zaś chodzi o nasze ziemie wschodnie to jest to przede wszystkim wina władz sowieckich, że zlikwidowano tam i wywieziono nasz najbardziej patriotyczny i mocny element. Ogołociono te połacie kraju prawie całkowicie z inteligencji i najsilniejszego mat. polskiego jak osadnicy, chłopci, urzędnicy itp. W tych warunkach oczywiście tworzyć organizację bojową jest niezmiernie ciężko.

Gen. Żukow tłumaczył się, że b. wielu jednak nie wywieźli, że gdyby oni nie wywozili ludn. polskiej to Ukraińcy by ją zlikwidowali. Gen. A. zaprzeczył kategorycznie. Gen. Żukow mówi dalej że wywieziono dużo Ukraińców przez co osłabili oparcie Niemców na tych terenach. Gen. Ż. przyznaje, że były zrobione pewne błędy¹.

Gen. Ż. zapytał: „Jak Pan myśli czy Japonia wejdzie w tym roku do wojny z nami czy nie?”. Gen. A. odpowiedział, iż jest zdania, że jeżeli nasze sprawy wojskowe będą stały źle, to Niemcom uda się wyrzucić nacisk na Japonię, aby uderzyła na Daleki

1. W marcu 1942 r. gen. Anders donosił do Londynu, że: „Rząd Sowiecki rozumie że w okresie obecnym działania partyzanckie na tyłach, jak i terror wyrażający się w zabiciu kogoś z gestapo lub policji będą powodowały niepotrzebne straty i represje. Natomiast działanie zdecydowanej grupy ludzi na liniach komunikacyjnych jak np. Warszawa - Baranowicze przyniosłoby niewątpliwą korzyść dla wspólnej sprawy”. Pismo gen. Andersa do Nacz. Wodza, 31. 3. 1942, IHGS, A. XII. 30/19/J.

Wschód. Uważam, że pomimo całego rozkwitu wojennego i techniki, głównymi czynnikami zwycięstwa jest morale wojska i kraju i zniszczenie żywych sił. Dlatego też Niemcom będzie zależało na tym, żeby dla swoich dalszych działań nie zostawić na swoim skrzydle groźnego potencjału waszych sił wojskowych. Będą uważali, że zajęcie Dalekiego Wsch. i wojna z Japonią osłabi kolosalnie (stan — JC) moralny sił wojskowych i kraju. Uważa że to nastąpi najpóźniej w sierpniu. Żukow na to odpowiedział że to jest rzeczywiście niebezpieczne, bo Japonii będzie zależało na tym, by bazy lotn. sow. na Dal. Wsch. nie służyły Anglikom i Amerykanom.

Co do ewakuacji naszych wojsk g(en.) Ż. nie dostał jeszcze żadnych instr., uważa że sprawa idzie drogą dypl. i dlatego to długo trwa. Gdyby to robiło wojsko — to zrobione byłoby tak prędko jak poprzednim razem. W ogóle gen. Żuk. był wyjątkowo przygnębiony.

Dn. 21. VII. Rozmowa z gen. Żukowem.

Gen. Żukow

Ogromne nastroje antysowieckie w wojsku. Szczególnie płk Gałuszczyński, który od marca w Karausu a potem w Kermine. Mjr Krywko już w obozie zdradzał nastroje proniemieckie a teraz rozprawia, że armia niemiecka rozbije cały świat, a najlepsze byłoby zawarcie pokoju osobno z Niemcami.

Kpt. Kozłowski w Guzarze występował niejednokrotnie przeciwko umowie sowiecko-polskiej. Ujemnie wyraża się o gen. Sikorskim, rządzie, Andersie, twierdzi, że muszą przyjść inni, nowi ludzie i w ogóle w Guzarze nastroje wybitnie anty-rządowe i contra Anders.

Rtm. Froelich w Guzarze, że nieodpowie (dni) rząd, że nie ma żadnego uznania w społeczeństwie polskim i w narodzie. Bardzo ostro wypowiada się zawsze przeciwko Rosji.

Kpt. Świetlik mówił, że nigdy nie będzie się bił na sow. froncie, że nikt w ogóle bić się nie powinien, że za nas powinni bić się Sowiety.

Ppor. Romanowski wypowiadał głośno, że jak pójdą do boju a będą oficerowie NKWD pierwszy im wsadzi kulę.

Kpt. Góra w Guzarze chciał wojować po stronie Niemców. Nie będzie tu wojował, bo Związek Sowiecki będzie i tak rozbity.

W 6 D.P.

Ppłk Sołtysik podkreśla ciągle wyższą kulturę Niemców. Że Hitler przez parę lat zrobił więcej, niż inni przez cały czas. We wszystkich pogadankach wychwala Niemców.

W 5 D.P.

Ppor. Jabłoński ciągle udowadnia, że Związek Sowiecki będzie rozbity a Niemcy nie.

W *Guzarze w pułku spec.*

Terrorystyczne propozycje co do osoby Stalina.

W 6 D.P.

Gen. Tokarzewski w dywizji ciągle mówi o Lwowie, że chciał nawet dywizji dać nazwę „Lwów”.

Oficer oświatowy 6 D.P. por. Retinger miał powiedzieć, że Rosja Sow. to jeden obóz jeńców.

Kpt. Syganiec w pogadankach twierdzi że Kijów jest polski i Polska powinna być na Dnieprze. Trocki. Wrogi stosunek, pogadanki.

W Sztapie Armii, por. Niekwidowicz (?) — chodzi do szpitala i tam mówi do personelu, że Niemcy zwyciężą i że tu musi być bunt.

Uwaga ogólna, że Dtwo 6 D.P. wychowuje 6 D.P. na wspomnieniach przeżytych cierpień i ciągle mówi się o Wilnie i Lwowie.

Są tam pewne namioty przy których na wsch. jest namalowany Dniepr a na zach. Odra. Gen. A. zaznaczył, że trudno komuś nie mówić o tych miastach jeśli tam się urodził. Ż. nie te miasta uważamy za polskie. Herby Wilna i Lwowa w kasynie, chociaż nie ma herbu Warszawy. Uważają to za agitację ukrytą, która właśnie stanowi system.



Atak na O. II.

O. II zajmuje się głównie komunistami, a nie niemieckimi agentami. Na spis dany im proszą o szczegółowe dane dlaczego my uważamy ich za niemieckich agentów. (Przemysleć to zagadnienie).

Ci pro-niemieccy sądzą, że Niemcy wygrają, że oni przy pierwszym spotkaniu z Niemcami poddadzą się i znajdą się w ten sposób w kraju.

Trzeba robić propagandę taką, że Niemcy wojnę przegrają, że bez zwycięstwa nie będzie Polski.

Gen. Żukow zapytuje co O. II z tymi wiadomościami robi? Np. o takim Gałuszczyńskim?

W 5 D.P. nauczyli się Gut Bay² a nie śpiewają nic po rosyjsku.

Ostrze O. II. skierowane jest przeciwko komunistom i prosowieckim. Żukow jest przekonany że O. II ma ewidencję prosov., a nie ma tych co mówią przeciw (Sowietom).

Gen. Żukow podaje że 1) Rząd Sow. podaje to do wiadomości i zapytuje czy nie należałoby wyciągnąć konsekwencji w stosunku do winnych, 2) czy nie należałoby, by propaganda była bardziej przyjaźnie nastrojona dla Sowietów; że byłyby pożądane pogadanki o tym co też w Sow. przez ten czas zrobiono. Np. Dniepropietrowsk, który trzeba było zniszczyć. Albo np. Snajperzy, 22 tankistów, Sewastopol.

Żeby przedstawić, że cała przemysłowa Europa pracuje na Hitlera, a Sowiety potrafiły przeciwstawić się (Niemcom).

Reasumując co do O. II.

Żeby zwrócił uwagę na element aktywny kierowniczy, przeciwsowiecki.

W związku z propagandą — że jest to aparat dowódczy, aparat partii. Żadnych odchyień. Ż. „u nas jest inaczej”. Jeśli nie ma oficerów to dać podchorążych. Stwierdzają, że Guzar jest wyraźnie przeciw rządowy, przeciw Sik(orskiemu) i przeciw Anders(owi) personalnie.

Zbyt dużo Piłsudczyków.

Odebrał zaświadczenia dla ludzi na przyjazd tutaj.

Uprzedza, że został wydany rozkaz aresztowania tych ludzi i wysłania ich do odległych kątów na specjalne roboty, ale przyrzekł że z chwilą decyzji o wyjeździe da rozkazy ich sprowadzenia.

W Jungi Jul Gorsow obiecał dać pracę. Ale nie znalazło się ani jednego człowieka. Natomiast przychodzą do Górskiego żądają pomocy i grożą denuncjacją.

Gen. Bohusz co dzień zwraca się do Tilikowa.

*Krongulski*³. Zarządzenie telefoniczne dn. 33. VII. Potwierdzenie pisemne.

Np. ochotn. Jelańska ma opiekować się rodzinami. *Komendę Uzupelnień we Wrewskoje sprawdzić i zlikwidować.*

2. Powinno być: *Good bye.*

3. Ppłk dypl. W. Krongulski, szef Oddziału I.

Podobno przyjęli tam szereg sow. obywateli.

Rodziny sprowadza szczególnie 6 D.P. i to głównie 17 p.p. (Ppłk Domoń).

Akty o ćwiczeniach z bronią w winnicy. Kradzieże owoców (ochotniczeki) wyrąbanie gaju przez Baon S.

W 6 D.P. lotnisko nie w porządku są doły, krowy i barany które trzeba usuwać w wypadku lądowania.

Tiszkow zwraca uwagę na niekaranie przeciwsow. Kipiani⁴.

Grupa proniemiecka we Wrzewskoje (.) (nie można odczytać). Sierż. Kupieński, kpr. Kazimierzak, plut. Kaczorowski, st. sierż. Kowalski tworzą zwartą sitwę namawiają się o przejście.

W 5 D.P. szofer Łystanko i podch. Podtuła.

Insp. PSK — żeby nic od niej nie wychodziło. Nie ma prawa nic o niczym ani nikogo uprzedzać.

W Aszchabadzie dwóch podofic. prowadziło agitację antysowiecką w szerokim stylu. Jutro ma płk Tiszkow wręczyć papier.

SPRAWA „ORŁA BIAŁEGO”

Dn. 4. II.

W początku stycznia 42 zwrócił się do d-cy płk. Wołkowycki¹ i w prywatnej rozmowie wyraził swe zdanie, że w pewnych artykułach *Orła Białego* znajdują się ustępy co prawda nieistotne, ale niepotrzebne z ich punktu widzenia. D-ca stwierdził, że w *Orle B.* nie było nic, co by współpracy szkodziło, ale rzeczywiście pewne zwroty — aczkolwiek prawdziwe, mogły być nie umieszczane. Miało to miejsce podczas dłuższej nieobecności d-cy w siedzibie d-cy podczas zmiany szefów B.P. i Ośw.². Zresztą nie zależy d-cy absolutnie, żeby w *O.B.* były umieszczane rzeczy, które się nie podobają. Ponieważ d-ca nie wie na co specjalnie kładą nacisk, dam polecenie Szef. B.P. i Ośw. rtm. Str. Wojtk.³, by się zgłosił do płk. Wołk. i detalicznie omówił całą sprawę. D-ca zaznaczył przy tym, że od pewnego czasu sam kontr(oluje)

4. Ppłk A. Kipiani, szef Służby Sprawiedliwości.

1. Pułkownik NKWD.

2. Biuro Propagandy i Oświaty.

3. Rtm. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz.

Orł. B. a podczas jego nieobecności robi to SS.⁴. Podkreślił także, że wobec niezwolnienia jeszcze z więzień i obozów 8.000 ofic., którzy znajdują się w nie do wiary ciężkich warunkach na Kołymie, N. Ziemi itd., wobec tego, że żoł. na pld. czekają miesiącami na wcielenie do wojska, a tymczasem mrą dziesiątkami z głodu i zimna, kiedy na miejscu jest dla nich całkowite umundurow., którego nie można przesłać li-tylko z powodu braku transportu i zezwolenia na formowanie jedn. na pldn., podkreślanie naszej współpracy — jak powiada płk. Wołkowyski — i przyjaźni, może następować powoli, gdyż inaczej podrywałoby wiarę w prawdziwość podawanych wiadomości. Płk W. przyznał słuszność i na 2-gi dzień po rozmowie z rtm. Str. Wojtk., którego zaprosił na śniadanie oświadczył mi, że jest zachwycony rtm. Str. W., że wyjaśnili i ustalili całkowicie poglądy na kier. O.B., i że jest pewien jak najlepszej współpracy. D-ca stwierdza, że od tej pory kontrolując osobiście pismo, nie znalazł ani 1-go słowa, które by mogło urazić najbardziej posuniętą drażliwość.

Dn. 27. I. otrzymałem od Amb.⁵ depezę, w której podaje mi do wiadomości rozmowę z Kom. Wyszyńskim⁶...

Kom. Wyszyński podał Amb. oświadczenie R(ządu) Sow. do wiadomości, że pismo O.B. nie spełnia swego zadania współpracy na tut. terenie, zaznaczając (że) pewne ustępy z I-szych numerów O.B., jak np. że niepotrzebnie w życiorysie gen. A.⁷ umieszczono, że siedział tak długo w więzieniu na Łubiance, bo przecież niepotrzebne jest, by żołn. wiedzieli o tym. Szczegóły tej rozmowy przesłał mi p. Amb. w prot. ogólnym swej rozmowy z kom. Wyszyńskim.

Dn. 28. I. płk Wołk. zwrócił się do rtm. Str. Wojtk. i miał z nim rozmowę, jak meldował Str. Wojtk. (zał.⁸). Ponieważ płk Wołk. nie zwrócił się do mnie ani tego dnia ani nast., mimo, że w tym czasie ze mną się widział i rozmawiał kilkakrotnie w innych sprawach, wezwałem go do siebie zapytując o powyższe. Oświadczył mi, że dane o tym przywiezie mi gen. Żukow. Oświadczyłem mu bardzo energicznie, że wypraszam sobie raz na zawsze, żeby takie mater. przedtem nim oficjalnie są podane do mej wiad. były kolportowane wśród mych podkomendnych. Nie jest to przyjęte w naszej armii, a prawdopodobnie i w czerw.,

4. Szef Sztabu (płk Okulicki).

5. Ambasador Kot.

6. Rozmowa odbyła się 26. 1. 1942 — patrz: Stanisław Kot, *Rozmowy z Kremlem*, (Londyn 1956), str. 219 i 221 — dalej *Rozmowy*.

7. Gen. Anders.

8. Załącznika brak.

bo podważa autorytet d-cy i wprowadza ferment. Płk W. przyznał mi rację i przeprosił.

Dn. 1. II. przyleciał do B(uzułuku) gen. Żukow. Podczas rozmowy zainterpelowałem go w tej sprawie. Oświadczył mi, że otrzymam co do tego pismo z Moskwy, gdyż rzeczywiście Rząd Sow. uważa, że pewne wiadomości podawane w I-szych Nr. O.B., aczkolwiek nieistotne, są jednak niepotrzebne i że oni u siebie wprowadzili dla tych celów wojsk. cenzurę dla ochrony tajemnic wojskowych i takiego spec. mają nam przysłać. W każdym razie nie będzie nim płk Wołk. Podałem mu do wiadomości powyższe o płk. Wołk. i zastrzegłem, że zajmę stanowisko po otrzymaniu pisma z Moskwy. Jednocześnie na jego zapytanie dlaczego O.B. nie pisze nic o Armii Czerw., o jej działalności i bohaterskich czynach na froncie, pokazałem mu Nr O.B. w którym omawiane są sukcesy i przyczyny ich armii Sow. Jednocześnie zaatakowałem go b. silnie, że pomimo moich wielokrotnych prób i otrzymanych obietnic dotychczas nie otrzymujemy żadnych gazet sow. a w szczególności *Krasnoj Zwiezdy* organu wojsk. ani też żadnych inf. i danych biura inform. W tych warunkach nie ma absolutnie żadnych materiałów, a te co posiadamy są tylko z radia lub spóźnionych dzienników zagr.

Dotychczas jedyną inf. o działaniach na froncie był przygodny odczyt gen. Kurdiemowa wygłoszony na moją prośbę i który całkowicie został przez nas wyzyskany. Gen. Żukow nie tylko przyznał mi słuszność, ale powiedział wyraźnie: „wina jest po naszej stronie”. Natychmiast spowoduję, żeby A.P. otrzymywała wielką ilość gazet, w szczególności *Krasnoj Zwiezdy* i wyciągi z Kom. Inf. Biura”.

SPRAWA PODSŁUCHU

SS¹ zameldował mi, (zał.² —) o wykryciu dwóch mikrofonów podsłuchowych w wentylatorach w jego gabinecie i u d-cy Sap. Załączając dwie słuchawki i kawałek zasadniczego kabla na 8 podwójnych przewodów, który został wgięty w wentyl kanc. gł. i prowadzi do suteryny gdzie znajduje się arch. sow. Zabroniłem wszelkich dalszych poszukiwań i dałem rozkaz, aby o tej

1. Szef Sztabu. Daty meldunku nie podano.

2. Załącznika brak.

sprawie w ogóle nie mówiono. Tegoż dnia wezwałem płk. Wołk.³ i oddając mu *corpus delicti* zapytałem co to znaczy. Płk W. zaczął się dość mętnie tłumaczyć, podkreślając, że nic o tym nie wie. Oświadczyłem, że mnie te rzeczy co prawda nie przeszkadzają, że tak u mnie w gabinecie, jak i w biurach mogłyby być setki słuchawek założone i to nie ma dla mnie żadnego znaczenia, ale czy płk W. zdaje sobie sprawę, jakie wrażenie wywołałby ten fakt, gdyby się dostał do wiadomości ogółu i czy by to db. wpłynęło na naszą coraz bardziej krystalizującą się współpracę i przyjaźń sojuszniczych armii.

Zaznaczyłem, że dlatego zabroniłem dalszych poszukiwań i rozmów na ten temat, mając wyłącznie na uwadze tę współpracę i rozwój db. stosunków dla wspólnego celu, tj. walki z Niemcami. Dlatego też sprawą tą się więcej nie interesuję tylko podaję powyższe do wiadomości. Płk W. oświadczył, że sprawa ta jest dla nich niezmiernie przykra, że nie mogą jej tak zostawić i przeprowadzą dokładne dochodzenia. Zaznaczył, że to musiało być założone znacznie przedtem i nie zostało wbudowane dla nas. Odpowiedziałem że to możliwe, jednak czy płk W. nie uważa, że powinienem był być o tym powiadomiony natychmiast po zajęciu budynku i że także uporczywe nieoddawanie nam lokalu archiwum, do którego prowadzi oddzielne wejście może obecnie po wykryciu podsłuchu w tamtą stronę odprowadzonego wzbudzić pewne podejrzenie.

Jeszcze raz zaznaczyłem, że to jest ich sprawa a nie moja.

Obydwie słuchawki oraz wyjęte przewody zapakował w papier rtm. Klimkowski⁴ i przy mnie wręczył płk. W.

Dn...⁵ gen. Żukow⁶ po przylocie do Buzułuku oświadczył mi, że najwyższe władze NKWD przepraszają mnie za to, co się stało, stwierdzając, że nic o tym nie wiedziały i przesłały z nim spec. ofic. śledczych (których mi przedstawił) dla zbadania sprawy. Oświadczyłem gen. Ż. to samo co płk. W. i na propozycję aby pójść razem obejrzeć archiwum odpowiedziałem odmownie, zgodziłem się jedynie na to, żeby mój oficer wskazał miejsca gdzie w.w. przedmioty został odnaleziony.

W załączeniu meldunki SS, płk. Bąkiewicz⁷ i inż.⁸ którzy brali udział w badaniu kom. sow. w gmachu Sztabu.

3. Wołkowyski, pułkownik NKWD.

4. Adiutant gen. Andersa.

5. Daty brak.

6. Generał NKWD.

7. Szef Oddziału II.

8. Nazwiska nie podano.

Dn. 3. II. wieczorem przyjąłem u siebie płk. W. wraz z 2-ma oficerami śledczymi NKWD, którzy podali mi tymczasowy wynik dochodzenia. Stwierdzono jakoby, że żadne czynniki NKWD ani centralne ani miejscowe nie są zamieszane, że w domu tym od szeregu lat znajdowały się najróżniejsze instytucje, które możliwe dla swoich celów założyły instalację. Mają już pewne poseszlaki, ale sprawa ta wymaga jeszcze należytego rozpracowania. Tymczasowy wynik śledztwa meldowali do Moskwy. Komisariat ludowy polecił zawiadomić mnie o powyższym i podkreślić, że NKWD ze sprawą tą nie miała nic wspólnego. Odpowiedziałem, że przyjmuję to do wiadomości i podkreślam jeszcze raz, że cała ta sprawa, jak powiedziałem pierwszy raz płk. W., jest dla mnie skończona i gdyby gen. Ż. nie rozpoczął na ten temat rozmowy, w ogóle o powyższym nie wspominałbym więcej. Obiecali mi pomimo to podać do wiadomości rezultaty śledztwa.

SPRAWY ŻYDOWSKIE

Wizyta rabinów przedstawicieli 13 rodzin rabinackich z Buchary
9. 6. 42

1. Odczytuje modlitwę błogosławiącą gen. Andersa i gen. Boh(usza).

2. Wyraża prośbę o poparcie ich starań na wyjazd, by tam popierać sprawę Polski i jej całości wspominając o Lwowie i Wilnie.

Gen. Anders: Naświetla położenie. Po zajęciu Kresów Wsch. przez Sowiety gros Żydów tam zachowywało się źle. To samo w obozie. Była jednak część Żydów, która tak nie zachowywała się. (Zachowywała się inaczej).

Na początku armii zwalniały władze (sowieckie) Żydów i Ukraińców. Przeprowadziliśmy zasadę równości obywateli i żadnego antysemityzmu. Potem władze (sowieckie) odmówiły dawania Żydów do armii (29. XI. 41¹). Zaczęli potem robić wyjątki

1. W istocie 1. 12. 1941 rząd sowiecki oświadczył, że gotowość uznania za „polskich obywateli osoby narodowości polskiej”, zamieszkałe na terenach przyłączonych do ZSSR w listopadzie 1939, nie może być „podstawą” do analogicznego uznania za polskich obywateli osób innych narodowości, a w szczególności Ukraińców, Białorusinów i Żydów”. Nota Rządu Sowieckiego do amb. Kota 1. 12. 1941, IHGS, A. II 49/Sow./3. Patrz też: Z. Bohusz-Szysko, *Czerwony Sfinks*, Rzym 1946, str. 180-182; oraz Wł. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, Londyn 1959, str. 98 i dalsze.

dla tych, którzy urodzili się w Polsce (zwraca uwagę na) trudności, które robiły potem w związku z tym władze sow. Przy ewakuacji wojska — wysyłano rodziny². Ale nie pozwalano wysyłać Żydów, Ukraińców itd. Ale zamknięto oczy więc trochę rodzin żydowskich wysłano. P. Szapiro podał do prasy amerykańskiej, że Żydzi wywiezieni do Iranu oświadczają o b. wielkim antysemityzmie. Poza tym na to, że pomimo umowy wysłano 1500 Żydów. P. Szachter Pihil podaje swoje stanowisko w Polsce i tu w obozie.

Gen. A.: Jako d-ca armii myśli tylko o sprawie polskiej. Obiecuje im pomoc. Zwracano uwagę na fakt, że Żydzi rozpowiadają, że Polacy ich nie chcą. Szkodzi to sprawie.

Rozmowa z rabinami 30. VII

Gen. A. podaje, że od rządu sow. otrzymał zawiadomienie, że zgadza się tylko na wywóz rodzin Żydów służących obecnie w wojsku. Listy mają być osobno zrobione z podaniem kto, gdzie i jak. Na inne osoby — w żadnym wypadku. Na dzieci na razie nie ma odpowiedzi. Są to fakty smutne, ale na to nie mam rady... Rabini dziękują za starania. Anders mówi, że zrobił co mógł. Niektórzy NKWD-(yści) rozpowiadają, że to władze polskie nie chcą (Żydów).

Dlatego jeśli ktoś otrzyma zezwolenie³. Podaje gen. An. o wypadkach fałszu w prasie (o złotych łatach itp.). Jest to zagadnienie, to chińska ściana przez którą przeskoczyć nie można. Rab(in) pyta się czy nie można byłoby wcielić do wojska. Gen. A. tłumaczy sprawę poboru w związku z datą 29 listopada. Rabin prosi o to, żeby pamiętać o nich na terenie Iranu i poczynić dalsze starania.

Rozmowa gen. Andersa z Delegacją Żydowską z Werweskiej 11. VIII

1. Gen. (Anders) podaje im stanowisko rz(ądu) sow. w odniesieniu do mniejszości, które były na terenie Kresów przed 29 listopada 1939 r. Tych obyw. nie dają do wojska i wyłapują tych którzy są w wojsku.

2. Chodziło tu o tzw. „pierwszą ewakuację”.

3. Treść tego zdania jest nie jasna.

2. Podaje im generał do wiadomości treść protokołów rozmów z Żukowem⁴.

3. Gen. Anders podaje im wypadki odmowy na (wyjazd) Żydów o których prosił, bo prosił o nich Rząd Polski, a którzy nie mogli udowodnić, że nie byli na terenie okupacji w dniu 29. XI. 1939 r. Gen. Żukow nie zgodził się w żadnym wypadku na ich wyjazd.

4. Na ponowną moją interwencję w sprawie Żydów gen. Żukow oświadczył — gen. Anders meldował Nacz. Wodzowi, że Rząd Sowiecki „ewakuację obecną traktuje jako ewakuację armii i wyłącznie rodzin wojskowych. Zgadza się na wywiezienie jedynie najbliższych rodzin tych Żydów, którzy pełnią służbę faktycznie w oddziałach znajdujących się obecnie na terenie sowieckim. Żadnych innych Żydów bez wyjątku do ewakuacji nie dopuszcza. Uprzedza, że obejście tego zarządzenia może zerwać całą ewakuację. Wobec powyższego wydałem wszystkim dowódcom kateryczne rozkazy. Zwróciłem się jeszcze raz przez gen. Żukowa o pozwolenie wywiezienia dzieci żydowskich znajdujących się w sierocińcach ambasady i wojska”. Gen. Anders podkreślał że Żydzi prosili gen. Sikorskiego „o pomoc i opiekę”. Gen. Anders do Nacz. Wodza, 5. 8. 1942, Ldz. 7283, IHGS, A. XII./30/19/J.

KONFERENCJA W SPRAWIE PSK¹

Wnioski

1. Przyjmujemy nie tylko ze średnim, ale i bez wykształcenia, ale nie może być analfabatką.

2. Te ochotniczki, które mają warunki mogą być przyjęte do PSK.

Nie mające nadal pozostają na kredytach rzeczowych.

Obecnie jest

PSK	—	1427
Rezerwa		241
		<hr/>
		1668

3. Przysięga obowiązuje — nie mniej jak 2 mies. pracy. Przed przysięgą musi odbyć się wszędzie egzamin z przedm. wojsk. jak sł. wew., obowiązki itd.

Przyjęcie nadal tylko d-ca PSZbr.

1. Pomocnicza Służba Kobiet.

Zwolnienie to samo.

Zwolnienie nie może być wnioskowane na podstawie ustnych przesłanek.

- a) kary dyscyplinarne
 - b) kary sądowe
 - c) wyniki formalnego dochodzenia.
4. Uregulowanie życia wewnętrznego

- a) dla komp. sztab.
- b) dla komp. i plut. w oddziałach liniowych
- c) dla Guzaru który jest okresem próbnym.

Rygory nie mogą być gorsze niż dla żołnierzy. Nie wolno robić obozu dyscyplinarnego.

5. Uposażenie

Bez przydziału — na żołdzie.

Z przydziałami — pensja

Rodziny wojskowych i urzędników służących czynnie w armii w ZSSR — pobierają żołd i kocioł. Wyjątek — duże rodziny.

Za zezwoleniem D-cy PSZbr. w ZSSR.

III. Grupy uposażeniowe.

6. Mianowania na stopnie podofic. po ukończonym kursie instruktorskim.

7. Prawa dyscyplinarne.

8. Junacy i junaczki.

9. Sprawa Korpusu Sióstr PCK — omówić.

Konferencja 18. V. 1942 r.

Gen. A(nders) stwierdza że sprawa jest formalna, bo zatwierdził to gen. Sik(orski).

Jest zagadnienie ważne — konieczność przyjmowania kobiet do pracy, które do PSK nie nadają się.

1. W rozkazie nie umieszczać, że analfabetek nie przyjmuje się, ale w wytycznych tak, bo analfabетка nie może być użyta w innych działach jak praca wyłącznie fizyczna.

Obowiązuje przydatność praktyczna.

Droga wyjątku — niżej ale przydatność praktyczna.

2. Zagadnienie wieku odpada bo jest b. mało.

3. Do przyjmowania i zwolnienia musi być powód pisemny.

Żeby nie było pomawiań o protekcję.

Kwestia polityczna — O. II.

Kwestia moralna — jeśli jedno tylko oświadczenie — musi być.

Kredyty rzeczowe

1. Nie wolno przyjmować obcokrajowców.

My Polacy — a potem inni.

2. Musi być wgląd i opieka Komendantki PSK

Komendantki mają być opiekunkami. Referentki PSK są tymi naturalnymi opiekunkami.

Z kredytów rzeczowych mogą być tylko te, które są rzeczywiście niezbędne. Musi być nadzór polityczny i moralny. Muszą być utrzymane. Muszą mieć zapewnioną opiekę PSK.

Ustalić minimalny etat dla W.J. (Wielkich Jednostek — J.C.).

Pewna rezerwa szkolenia.

Szpitalnictwo — uprzywilejowane.

Etat garnizonów. Aparat dywizji.

Użycie kobiet.

1. Maszynistki w sztabach dywizji. Kobiety muszą pracować, by zwolnić mężczyzn i w tej pracy ćwiczyć się.

2. Odznaki pozostają bez zmiany.

3. Nie może być obozu karnego. Muszą być traktowane nie gorzej od żołnierzy. Przeniesienie w inne miejsce. Nie może być żadnych swobód ekstra.

Odprawa komendantek. Okólnik — by nie robić bez powodu zbiorów.

Pobory: trochę mniej niż podoficer ale dodatek wyrównawczy.

Rodziny — żołd i pensja.

Junaczki i Junacy.

Pieniądze — ambasada. Ubrania lub sukno — ambasada. Wyżywienie — my.

ZAGADNIENIA RÓŻNE

1. I.

N.R. witano w Sztapie PSZbr. w nast. sposób. o godz. 22.30 dn. 31. XII przedstawienie zespołu rewiowego pt. „Wesoły Sylwester”. Koniec przedstawienia godz. 24.00. Dca PSZbr. gen.

dyw. Anders składa wszystkim życzenia. O godz. 0,30 w pryw. mieszkaniu gen. A. zebrali się: gen. Bohusz¹, gen. Wolikowski², płk Okulicki³, płk Rudnicki⁴, rtm. Klimkowski, por. Romanowski, Kostkiewicz i Grodzicki⁵ oraz panie Żylińska, Migowa, Mager⁶, Terajewicz, Grabska i Romanowska. W miłym nastroju do godz. 6.00. O godz. 9.30 msza św. W sztabie godz. 12.00 składanie życzeń dcy najpierw przez dców wj. następnie przez Sztab.

4. I.

Rozkaz do dców wj pamiętać należy, że wszelkie przemówienia propagandowe księży (kazania) muszą mieć pewien plan — nie mogą być dorywcze, muszą iść po linii dcy. Wszyscy muszą się zapoznać z przemów(ieniami) A(ndersa) i Nacz. Wodza. Każde przemów., kaz(anie) — jasna myśl przewodnia. Pamiętać stale, że org. wojsko do walki o wolność i niepodległość ojczyzny i w tym duchu urabiać wojsko — kazania mają być napisane.

14. I.

Beria wydał surowy rozkaz o zwolnieniu wszystkich Polaków z więzień.

18. I.

Na konferencji między Sikorskim i Stalinem uzgodniono, że a.p. będzie tak duża ile starczy Polaków. Na razie zatrzymujemy się na 6 dp a 11.000 i 30.000 jedn. pozadyw. i jeśli będzie nadmiar ludzi to przystępujemy natychmiast do tworzenia 7 dp.

18. II.

Rozkaz do dziekana armii zabraniający zajmowania się ludnością miejscową. Ograniczyć się do opieki relig. dla żołn. i rodzin wojskowych.

3. III.

Rozkaz do d-ców garnizonów

Pamiętać należy, że chodzi o wielką Rzecz o sformowanie a.p.

1. Gen. Z. Bohusz-Szyszko, szef Misji Wojskowej w ZSSR.
2. Attaché Wojskowy w ZSSR.
3. Szef Sztabu PSZ w ZSSR.
4. Z-ca d-cy 6 DP.
5. Adiutanci generała Andersa.
6. Winno być Mayer.

dla wywalczenia Ojczyzny i dlatego wszystkie napotkane trudności, przykrości, także osobiste ambicje i sympatie powinny być całkowicie usunięte na bok. Jeszcze raz podkreślam, że katgorycznie zabroniłem rozpamiętywania osobist. przejść, omawiania przeszłych cierpień i nieszczęść. Wszystko co było nie jest istotne, a uzewnętrznienie tego jest wybitnie szkodliwe dla całości naszej sprawy. Kto tego nie rozumie będzie jako szkodnik sprawy polskiej surowo ukarany i wyeliminowany z naszych szeregów. Polska się krwawi i jęczy w niewoli, patrzy na nas jak na swoich zbawców, jak na swoich ukochanych rycerzy od których czeka wolności. Dlatego też musimy tworzyć armię z twarych charakterów, silną ciałem i duchem, która w boju o Polskę nie zawiedzie.

4. III.

Rozkaz do dców Garnizonów

Rozumiem niesłychane trudności z jakimi spotykają się na miejscu, wiem, że w wielu wypadkach władze lok. nie idą na rękę, przeszkadzają i utrudniają. Jest to szczególnie ciężkie w obecnej fazie org. i nieszczęścia epidemii tyfusu. Pomimo wszystko należy utrzymać najlepsze stosunki towarzyskie i na tym tle wyzyskiwać największe możliwe korzyści dla sprawy.

To samo się tyczy ofic. łącznikowych, przy czym ofic. łączn. Szt. Gł. załatwia wszystkie sprawy mat., wyjazdy i inne czysto wojskowe, natomiast of. łączn. NKWD załatwia wszystkie sprawy polit., usuwa ew. konflikty z miejscowymi władzami, kwaterunek i wszelkie kontakty z władzami sow.

Jeśli nie ma ofic. łączn. Szt. Gen. wszystkie sprawy załatwia ofic. NKWD.

Praktyka wykazała, że w większości wypadków władze miejscowe aczkolwiek obiecują załatwienie sprawy, jednak bez interwencji ofic. NKWD wszystko przeciąga a często w ogóle nie załatwia.

8. III.

Z rozmów z władz(ami) sow. wyczuwałem niejednokrotnie, że obietnica otrzymania broni nie jest dotrzymana i podejrzewam, że chodzi jedynie o ewak(uację). Syt(uacja) gosp. coraz cięższa i w najbl(iższych) mies. możl. katastrofa, ludność cyw. obsiadła dyw. Jej stan katastr(ofalny), pomagamy co możemy, ale to nie rozwiąże sprawy. Masa dzieci — nie ma gdzie wyrzu-

cić — trzeba by do Indii, a tymczasem ani 1 transp. dotychczas nie wyjechał. Brak namiotów.

22. III.

Depesza do Londynu

Mam niezmiernie ważne i zasadnicze zagadnienia do zameldowania i omówienia z Naczelnym Wodzem, które następnie muszą być przedstawione rządowi brytyjskiemu. Mam już na miejscu samolot do Kairu oddany przez Stalina do mojej dyspozycji. Proszę o załatwienie z Anglikami samolotu dla mnie i dwóch towarzyszących mi oficerów z Kairu do Londynu, tak aby lot nie doznał opóźnienia. Proszę podać mi datę powrotu Naczelnego Wodza⁷ i dzień w którym muszę być w Kairze. Ewakuacja wojska do Iranu rozpoczęta kolejami. Pierwszy transport odchodzi do Pahlewi z Krasnowodska 26 marca⁸. Zakończenie masowej ewakuacji przewidziane 2 kwietnia. Po tym terminie mogę i powinienem jak najspieszniej znaleźć się w Londynie.

(—) Anders.

28. III.

Konferencja z gen. Żukowem

Liczba (wojska) 44 tys.

6. IV.

Gen. Żukow:

Oficerowie Łącznikowi mają wrażenie, że w oddziałach naszych zbyt mało uwagi zwracają na przygotowanie i wyszkolenie bojowe, szczególnie w 6 DP. Jest to koleżeńską uwagę.

Ewakuacja dalsza co najmniej na 6 tygodni niemożliwa, bo transport zajęty na wiosenne przewozy.

Sprawa aktywności księży, chrzczenie dzieci, rozdawanie obrazków św. itp. Rząd Sow. zwraca na to uwagę jako na wtrącanie się w ich sprawy.

10. IV.

Mjr Tiszkow.

7. Gen. Sikorski od 20. 2 do 6. 4 bawił w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych.

8. Mowa tu o pierwszej ewakuacji.

We wszystkich oddziałach wyszkolenie nie bardzo bojowe. Np. nie robi się zupełnie zaprawy marszowej i służby boj. podczas marszu. Wych. fizyczne — tylko sportowe. Nie robią zupełnie toru przeszkód. Ćwiczenia taktyczne — jeszcze nie prowadzi się ćwiczeń kompanijnych. W wyszkoleniu pojedynczym nie stosuje się makiet np. karabinów z drzewa do walki na bagnety, butelek z piaskiem, kamieni zamiast granatów itp.

16. IV.

Pochwała dla płk. Okulickiego⁹

Płk dypl. Okulicki, obecny Dca 7 DP, współpracował ze mną jako Szef Sztabu od pierwszych dni organizacji naszej Armii w ZSSR.

W tych najcięższych chwilach, kiedy 7 miesięcy naszej współpracy można śmiało policzyć za 7 lat, płk dypl. Okulicki wykazał tyle niespożytej energii i hartu ducha oraz tyle żołnierskich zalet, jak poprzednio w wojnie 1939 r. i następnie w ZWZ.

Ani na chwilę nie zawiódł mego całkowitego zaufania, był wzorem lojalności służbowej i odwagi cywilnej. Cieszę się niezmiernie że dziękując mu za wielką pomoc wykazaną naszej sprawie, mogę wyrazić całkowitą pewność i wiarę, że taki żołnierz nie zawiedzie nigdy na żadnym stanowisku w pracy dla Polski.

29. IV.

Mjr Tiszkow.

Gen. Żukow polecił omówić sprawę poboru. Stawia sprawę że pobór zostaje przerwany do oddziałów polskich.

30. V.

Depesza do Londynu położenie Armii

Wewnątrz wojska wszystko w całkowitym porządku. Sprawa wyżywienia katastrofalna. Niektórych produktów nie otrzymujemy 70-90 %. Żołnierz głodny. Ogólna sytuacja aprowizacyjna w terenie bardzo zła i pogarsza się stale. W sprawie realizacji naszych postulatów zacząłem rozmowy. Zdaje się będę musiał lecieć do Moskwy. W prywatnych rozmowach dano mi do zrozumienia, że gdyby nawet nastąpiły trudności z powodu działań

9. W tym czasie Szefem Sztabu gen. Andersa został gen. Bohusz-Szyszko a gen. Okulicki został wysłany do Persji.

wojennych, Rosja liczy na pomoc Anglii i Ameryki i w żadnym wypadku pokoju separatystycznego nie zawrze. Stwierdzono przesunięcie znaczniejszych sił na Kaukaz. Większość formującego się na naszym terenie wojska sow. wyszła już na front prawie nieuzbrojona.

Całe nasze wojsko przesyła Panu Generałowi żołnierskie pozdrowienia.

11. VII.

Odprawa Dowódców W.J.

Gen. A. podaje genezę i przyczyny ewakuacji.

Ocena gen. podana władzom sow.

- a) Średni Wschód jest najczulszym punktem.
- b) Sewastopol nie może trzymać się dłużej jak do 1 lipca.
- c) Duże zagrożenie w Libii, więc siły z Palestyny i Syrii będą wzięte, więc każdy desant (niemiecki) może mieć powodzenie.
- d) Dążenie Niemiec do odcięcia dróg komunikacyjnych z perską zatoką a więc katastrofa dla życia.

WSPOMNIENIA

Alfred KOLATOR

ŻAGARYŚCI

Ostatnio coraz częściej pojawiają się w prasie emigracyjnej wzmianki o wileńskich żagarystach i grupie Dembińskiego, jako o zespole ludzi wybitnie inteligentnych i bardzo aktywnych w życiu kulturalnym Wilna, nikt natomiast nie wskazuje na osiągnięcia tej grupy, co mianowicie wniosła do polskiego życia kulturalnego. Nazywają czasem tę grupę Drugą Awangardą. Trudno to dziś powiedzieć, gdy nie ma się pod ręką jej dorobku literackiego, natomiast znana jest ona głównie z politycznych procesów sądowych. Czy procesy te były niesłuszne, krzywdzące zapalną a utalentowaną młodzież wileńską? Czy poza tą grupą nie istniały inne centra przejawiające aktywność kulturalną w życiu Wilna lat trzydziestych naszego stulecia? Brak źródeł nie pozwala na danie wyczerpującej odpowiedzi na te pytania, ale opierając się na jako tako działającej jeszcze pamięci, oraz na pracy Anny Jędrzychowskiej — *Zygzakiem i po prostu*, Czytelnik 1965 — i na pracy profesora Wiktora Sukiennickiego — *Dokumenty. Legenda i rzeczywistość*, Instytut Literacki, Paryż 1967 — można by rzucić snop światła na niektóre osoby należące do tej grupy, jak również powiedzieć coś niecoś o jej działalności.

Z całą pewnością „Żagary” nie były jedynym przejawem życia kulturalnego Wilna, były one jedynie krótkotrwałą efemerydą, istniejącą niewiele ponad rok czasu, aczkolwiek grupa żagarców nadal istniała i pod najrozmaitszymi postaciami działalność swą przejawiała, zrodziła się jednak na pewnym podłożu kulturowym, w pewnej specyficznej atmosferze Wilna, a wyszła z odrodzonego Uniwersytetu Stefana Batorego.

Odrodzony w 1919 roku uniwersytet wileński (USB) musiał mieć trochę czasu, ażeby zacząć promieniować na zewnątrz, ażeby wychować grono własnych wychowanków. Pierwsi wychowankowie, całkowicie już wychowani przez uniwersytet, pojawili się dopiero w 1923-1924 roku, dotychczasowi absolwenci rozpoczęli studia na innych uniwersytetach, a w Wilnie je kończyli. USB został powołany do życia w czasie wojny, toteż pierwszymi studentami jego byli głównie studenci w mundurach. Nawet wśród profesorów, początkowo bardzo nielicznych, zjawili się — co prawda trochę później — też profesorowie, którzy świeżo zrzucili mundur żołnierski. Kto np. wiedział, że sławny profesor Stanisław Pigoń jako major WP dzielnie dowodził pociągiem pancernym, a zwracający na siebie uwagę postawą i zachowaniem prof. Bossowski był oficerem huzarów austriackich. Skończyła się wojna, oni przeszli na pole swego właściwego powołania, do pracy naukowej i pedagogicznej.

Atmosfera ciągłości kulturalnej w Wilnie istniała, istniała żywa tradycja filomatów-filaretów i do tej tradycji w odrodzonej Rzeczypospolitej natychmiast nawiązano. Zewnętrznie ujawniało się to przez działania „Śród literackich” odbywanych w celi Konrada w murach po-bazylianskich, a organizowanych przez Związek Zawodowy Literatów. Tu odbywały się odczyty i prelekcje nie tylko dla członków Związku Literatów, ale i dla szerszej publiczności z miasta. Organizatorzy starali się o uatrakcyjnienie zebrań i zapraszali na „Środy literackie” do celi Konrada nie tylko miejscowe znakomitości, jak Czesława Jankowskiego, naczelnego wówczas poetę w Wilnie, Helenę Romer-Ochenkowską, świetną pisarkę, Stanisława Cat-Mackiewicza, znakomitego publicystę i świetnego redaktora *Słowa* wileńskiego, poetkę Masiejewską-Kobylińską, Dobaczewską, siostrę redaktora *Robotnika* Mieczysława Niedziałkowskiego (zmarła niedawno w wieku sędziwym w Poznańskim) i wielu innych. Zapraszano prelegentów spoza Wilna. Przyjeżdżała z odczytami Kazimiera Iłakowiczówna, a gdy spodziewano się większej frekwencji urządzano odczyt w większej sali na mieście. Na odczyt Stanisława Przybyszewskiego na temat: „Kobieta w mojej twórczości” zabrakło miejsc na sali „Lutnia” (Mickiewicza 8). To samo było na odczycie Ferdynanda Ossendowskiego, mówił o swych podróżach po Afryce i wyświetlał przezroczą. Pani Ossendowska dała w tejże sali koncert skrzypcowy. Odczyt Juliana Tuwima zorganizowano w Teatrze Wielkim przy Wielkiej Pohulance. Z wykładami na krótszy lub dłuższy czas przyjeżdżali na USB sławni profesorowie z innych uniwersytetów jak np. prof. Marian Zdzie-

chowski, prof. Wincenty Lutosławski, prof. Oskar Halecki, prof. Feliks Konieczny i wielu, wielu innych. Na wykłady te przychodziła i szersza publiczność kulturalnego Wilna, a odbywały się one wówczas w największej sali V-tej na wydziale humanistycznym.

Istniały w Wilnie dwa teatry: Wielki przy ulicy Wielka Pohulanka i sala „Lutnia” przy ulicy Mickiewicza 8. Wychodziły trzy poważne pisma codzienne: *Słowo* — red. Stanisław Cat-Mackiewicz, *Kurier Wileński* — redaktorzy (kolejno) Chomiński, Kazimierz Okulicz, Józef Święcicki, i *Dziennik Wileński* — redaktor Obst. Istniały zespoły muzyczne (później powstało konserwatorium muzyczne), chóry śpiewacze, z których najśłynniejszym był chór „Harfa” pod batutą profesora Jana Żebrowskiego. Istniała grupa malarzy i grafików (Bractwo Św. Łukasza). Obrazy Kwiatkowskiego trafiały do muzeów europejskich i amerykańskich, sławny był grafik Hopen i wielu innych. USB najwcześniej przejawiał swą akcję na zewnątrz poprzez Wydział Sztuk Pięknych jeszcze za życia dziekana Wydziału profesora Ferdynanda Rusczyca. Pierwsze dzieła „Sztuk” to rzeźby, kukiełki do Szopki Akademickiej, prace przy konserwacji kościołów, główki znakomitości wileńskich wypełniały cele Konrada. Wcześniej ujawnił talent rzeźbiarz Litwin Rafał Jachimowicz — rzeźba Madonny dla kościoła Św. Teresy, a potem 2-ga nagroda (po Szukalskim) na projekt pomnika Mickiewicza w Wilnie.

Jednym słowem sprzyjająca atmosfera dla rozwoju życia kulturalnego w szerokim tego słowa znaczeniu. Na polu twórczości literackiej powstanie grupy „Żagarów” poprzedziła grupa STO (Sekcja Twórczości Oryginalnej) z głównymi jej działaczami: doktorem Władysławem Arcimowiczem, Stefanem Falkowskim, Martą Aluchną Kolatorową, Wacławem Korabiewiczem, Kazimierzem Hałaburdą, Józefem Maślińskim i już w tym zespole spotykamy Teodora Bujnickiego, Annę Kompielską i zapewne kilka jeszcze innych osób, ale poczynając od Dorka Bujnickiego i Anny Kompielskiej (Jędrychowskiej) wejda oni już do grupy „Żagarów”. STO wydała dwa zbiorki poezji „Spod Arkad” i „Patykiem po niebie”, a nadmiar wierszy, który nie mieścił się już w zbiorach umieszczono w roczniku USB *Alma Mater Vilnensis*, w tym roku obfitszym i ozdobniejszym (1929 albo 1930 rok). Doktor Arcimowicz też redagował „Pax”, który w następstwie przekazał Antoniemu Gołubiewowi. Większość z powyżej wymienionych kończy studia, opuszcza uniwersytet, zjawiają się na ich miejsce inni, młodszy. Warunki materialne w czasach bezpośrednio po wojnie były dość ciężkie, toteż miłośnicy poezji zbierali się po mieszka-

niach prywatnych, głównie u Arcimowicza, lub innych członków rodzin, albo u Wacka Korabiewicza, bo choć jeszcze nie żonaty, ale mamusia zawsze postarała się o kolację dla uczestników. Stopniowo zespoły się rozrosły i zebrania odbywały się w Kole Polonistów lub w innych organizacjach akademickich. Życie na uniwersytecie już się ustaliło, zaczęło wychodzić w świat coraz więcej wykształconych wychowanków, szły lata, zmieniały się ideały i zadania pokolenia. Studenci i absolwenci, o których była dotychczas mowa, to ci, którzy choć słabym jeszcze ramieniem, ale przyczyniali się do odzyskania niepodległości Polski, do budowy młodego państwa. Młode pokolenie przyszło do „gotowego”, nie miało problemów swych starszych braci, przed nimi zjawily się nowe, ich problemy. Polska już jest, uniwersytet ukończony pomyślnie, a co z pracą? Nie było jej dosyć dla wszystkich, a tymczasem niejedyn absolwent z czarno-błękitną wstążeczką w kłapie marynarki i dyplomem magistra w kieszeni jeśli nie dostał posady urzędnika państwowego lub samorządowego, mógł w ogóle żadnej nie dostać, bo słabo rozwijający się przemysł niewiele mógł zatrudnić, trochę prawników — tak, ale humanistów? Również prawnicy i medycy (adwokaci i lekarze) spotykali się z konkurencją. W naszych miastach i miasteczkach znaczny odsetek ludności stanowili Żydzi, było rzeczą naturalną, że wśród nich również byli lekarze, oni stanowili też konkurencję, powstają tarcia, wzmacnia się przez cara pozostawiony antysemityzm. Dopóki ten Żyd, na Kresach przeważnie litwak, nie był konkurentem, nie stwarzał problemu i nie był problemem, teraz nim jest, mówi źle po polsku, w domu używa często języka rosyjskiego, czym drażni otoczenie, które sobie Polskę wywalczyło i ten antysemityzm przenosi się na uniwersytet, przyszli adwokaci i lekarze chcą wyeliminować konkurencję w zarodku w przyszłych skąpych warsztatach pracy. Na zewnątrz akcja ta jest kompromitująca, dla rządu stwarza problem; w państwach demokratycznych nie może być obywateli lepszej i gorszej klasy. Trzeba też przyznać, że na uniwersytety poszła młodzież zamożniejsza, taka, która mogła opłacać naukę i ponosić koszt utrzymania w mieście. Świadczenia państwowe i stypendia były bardzo nieliczne i mizerne, stąd nic dziwnego, że na uniwersytetach dominował element zachowawczy, tymczasem oświata powszechna, duży rozwój szkolnictwa średniego dorzucał do uniwersytetów coraz więcej elementu pochodzącego ze sfer niezamożnych. Problem młodzieży na uniwersytetach komplikował się, państwu zależało na łagodzeniu konfliktów, rząd starał się pozyskać opinię studiujących na uniwersytetach, starał się przyciągnąć młodzież do siebie,

wyrwać ją z silniejszej ekonomicznie Narodowej Demokracji, która jak dotychczas, jeśli nie panowała całkowicie wśród młodzieży akademickiej, to posiadała wśród niej dominujące wpływy. Na tle tak ogólnie zarysowanej atmosfery przejdźmy na odcinek uniwersytecki, a głównie interesujący nas odcinek Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Organizacją, która ewentualnie odciągnęłaby młodzież akademicką od endecji, a przywiodła pod wpływy sfer rządowych miał być „Legion Młodych”. Trzeba przyznać, że sfery rządowe, samorządy i wojsko robiły wszystko, by młodzież pozyskać. W ogóle społeczeństwo ustosunkowywało się życzliwie do młodzieży i starało się przychodzić jej z pomocą. W pierwszym rządzie wojsko; kasyno oficerskie w sposób dyskretny wydzielało określoną ilość obiadów i zapraszało na nie studentów. Urzędy, jak poczta (PKO) organizowały doraźne akcje propagujące oszczędność, i na prelegentów i propagatorów akcji zapraszano studentów, by im w ten sposób pomóc materialnie. Również magistrat wynajdywał niekoniecznie pilne zajęcia, byle tylko zatrudnić choćby czasowo studenta. Nie mogę przytoczyć tu wielu przykładów, ale wskazuję jedynie na ogólnie życzliwą atmosferę w stosunku do studentów uniwersytetu.

Na terenie wileńskim już samo nazwisko — Piłsudski — było wielką atrakcją, a tu słychać, że w „Legionie Młodych” jest czynna Wanda Piłsudska (córka Adama), że bardzo śmiało tam sobie poczynają, dyskutują takie tematy, które w carskiej Rosji znamionowały zbliżanie się rewolucji. Mówią śmiało o nowych problemach i bolączkach społecznych. Zachęca do tego kapitan Galinat, jest też tam z 1-go pp. Leg. porucznik Malec, a to co oni mówią, to dosłownie świat wywraca. Podobne nurty radykalno-społeczne panują również w organizacji religijnej studentów „Odrodzenie”. Padają nazwiska; z „Legionu Młodych” Stefana Jędrychowskiego¹, z „Odrodzenia” Henryka Dembińskiego. Choć z różnych, a zdawałoby się przeciwstawnych światopoglądowo organizacji, głoszą to samo — r a d y k a l i z m s p o ł e c z n y. Na takiej to płaszczyźnie zgodnych zapatrywań tworzą grupę literacką. Grupą zainteresował się wpływowy w tym czasie redaktor *Słowa* Stanisław Cat-Mackiewicz, dał jej kącik w *Słowie*, tj. wydzielił dodatek młodzieżowy i oddał go do dyspozycji młodzieży uniwersyteckiej — macie, dzieci, bawcie się.

Na wniosek Bujnickiego dodatek nazwano „Żagary” (co znaczy gałązki chrustu). Poza wspominkami starszego pokolenia,

1. Jędrychowski szybko rozstał się z „Legionem Młodych”.

ongi radykalnych studentów na dawnych uniwersytetach rosyjskich, i sfery rządowe zwracają swe zainteresowania na Wschód. Wiadomo, w kraju pod względem ekonomicznym jest krucho, a tu od kilku lat uspokoiła się granica polsko-sowiecka, zniesiono na niej zasieki z drutów kolczastych, wprawdzie KOP czuwa, ale już nie eskortuje pociągów osobowych na liniach kolejowych na Kresach Wschodnich. Gdzieś w roku 1934 profesor Wiktor Sukiennicki wyjeżdża w celach naukowych do Sowieców. A może tam otworzą się jakieś możliwości na ekspansję gospodarczą, bo tu ciasno u nas, ciasno. Z Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej jedzie do Moskwy na praktykę studentka Aniela Krukowska, pisze pracę o polityce narodowościowej w ZSSR. Prof. Stanisław Swianiewicz napisał później pracę „Lenin jako ekonomista”. Zainteresowanie Wschodem wzrasta, w kinach wileńskich wyświetlają filmy sowieckie (*Wiesiołyje rebiata* i inne), śpiewają „Bubliczki”. W „Żagarach” piszą coraz śmieiej, czyta je nie tylko młodzież, ale i starsze pokolenie. „Żagary” okazały się zdecydowanie dobrym pismem, tylko ten ich radykalizm... Mimo to sfery rządowe i społeczeństwo ustosunkowują się do „Żagarów” jak najbardziej życzliwie. Jako ilustrację dla ówczesnych nastrojów przytoczę przebieg zebrania inteligencji wileńskiej na aktualnie poruszane w „Żagarach” problemy. Daty zebrania nie pamiętam, odbywało się ono w konwencie „Polonii” (w sali korporacji „Polonia”). Przewodniczył zebraniu rektor USB profesor Witold Staniewicz, podówczas minister rolnictwa. Referował sprawę możliwości ekspansji gospodarczej inżynier Łuczkowski, naczelnik wydziału z województwa. Obecni na zebraniu między innymi generał Stanisław Skwarczyński, pułkownik Tadeusz Pełczyński i inne znakomitości wileńskie. W dyskusji padały płomienne wypowiedzi. Zabierał głos pułkownik Pełczyński. Na marginesie wypowiedzi pułkownika generał Skwarczyński zażartował sobie: — On dopiero teraz zaczyna się stawać socjalistą, myśmy nimi już byli. To właśnie wskazuje na swojską, przyjazną atmosferę. Oczywiście młodsze pokolenie używało sobie do woli, co skłoniło rektora Staniewicza do następującej uwagi: — Panowie, na miły Bóg, używajcie przynajmniej jakiegoś umiarkowanego języka, a to taki na przykład Łobodowski woła: „Niech dźwigi Gdyni podadzą ręce dźwigom Magnitogorska”. Nie straszcie i tak już „napuganych” burżujów. (Taki żartobliwy zwrot, jak „napuganych” burżujów był w Wilnie zrozumiały, a jednocześnie świadczył o niegroźnym ustosunkowaniu się ministra rządu do pompatycznych wypowiedzi dyskutującej studenterii).

Jednakże „Żagary” przeholowały w swym radykalizmie i redaktor Mackiewicz cofnął im swoje poparcie. Część „żagarowców” znalazła się niebawem na ławach oskarżonych, w tak zwanym procesie „Lewicy Akademickiej”, część zaś, z Jerzym Zagórskim na czele, przeniosła się ze *Słowa do Kuriera Wileńskiego* i pod patronatem redaktora Kazimierza Okulicza zaczęła wydawać nowe pismo, jako dodatek do KW, pod tytułem „Piony”. Dyskusje akademickie przenosiły się z kół naukowych, jak Koło Polonistów, i innych organizacji studenckich, jak „Odrodzenie” czy „Legion Młodych” poza uniwersytet. Organizowano doraźne spotkania studentów ze starszym pokoleniem. W tym czasie mecenas Ignacy Zagórski powołał do życia Klub Dyskusyjny Inteligencji, czym stworzył płaszczyznę, na której spotykali się wybitni przedstawiciele starszego pokolenia w Wilnie, ze sfer rządowych, wojskowych, wileńskiej palestry, literaci, w ogóle ludzie inteligentni i myślący, a interesujący się problemami społecznymi. Niektóre tematy z owych dyskusji były powtarzane w Radio Wileńskim jak np. dialog ks. profesora Bronisława Wilanowskiego, dziekana Wydziału Prawa i Nauk Społecznych na USB versus Stefan Jędrychowski. Młodzi wnosili dużo entuzjazmu i świeżej oryginalnej myśli do owych dyskusji, starsze społeczeństwo życzliwie stwarzało warunki do wspólnej wymiany myśli.

W Wilnie, niemal „świętym” mieście, publiczność wychowana w cieniu tyłu kościołów i miejsc kultu religijnego jak Ostra Brama, Kalwaria, była raczej konserwatywna, choć nie brak było wśród niej byłych członków organizacji rewolucyjnych na uniwersytetach dawnej carskiej Rosji, młodzież zaś nawet w organizacjach religijnych jak „Odrodzenie” radykalizowała się. Chodziło o to, czy możliwy jest dialog dwóch przeciwstawnych sobie idej. (Jak widzimy idea dialogu Kościół — lewica laicka nie jest wynalazkiem Adama Michnika w obecnej Polsce, jest raczej nawrotem do wileńskich „Żagarów” i „Odrodzenia”).

Nie mam źródeł, żeby zagadnienie rozpracować szerzej, chciałbym jedynie skoncentrować się na kilku osobach, bardzo głośnych w owym czasie i spróbować odpowiedzieć na pytanie: Czy ich przekonania były szczere, wynikające z młodzieńczego zapału, czy też osoby te zabrnęły za daleko w swym radykalizmie i nadużywały zaufania życzliwego sobie społeczeństwa?

Zajmę się więc z konieczności kilku „wybitnymi” osobami „grupy”, „bandy” czy jak tam jeszcze nazywali się „żagarowcy”. Mózgiem i faktycznym przywódcą był komunista Stefan Jędrychowski. Doskonałą jego charakterystykę podaje Wacław Zagór-

ski w swej książce „Wolność w niewoli”. (Nakładem autora i czytelników-przedpłacicieli, Londyn 1971). Wyczerpującą charakterystykę Jerzego Putramenta podaje Czesław Miłosz w „Zniewolonym umyśle”, Paryż, Instytut Literacki, 1953. Gamma — to Putrament. Miłosz poświęca mu cały rozdział swej książki.

Opracowanych charakterystyk innych uczestników grupy nie ma, ale może ich sylwetki ukazać się czytelnikowi na podstawie niżej cytowanych faktów. Najpierw przytoczę opinię profesora Wiktora Sukiennickiego, wychowanka a następnie docenta USB (*Legenda i rzeczywistość*, Instytut Literacki, Paryż 1967): „... drugie pokolenie studentów USB tj. pokolenie Stefana Jędrzychowskiego, Henryka Dembińskiego, Muty Dziewickiej *et consortes*... W pokoleniu tym ... miały miejsce najbardziej zasadnicze zmiany 'przekonań' i przynależności partyjnej w tempie zaiste kinematograficznym... Posiadało na ogół dość odmienne cechy tego, co się nazywa charakterem. Ta też zapewne elastyczność poglądów spowodowała, że po wileńskich procesach sądowych postanowiono demonstracyjnie przystąpić do PPS, czym wprowadzono w błąd PPS, gdzie myśłano, że 'grupa' pozbyła się ciągłotek moskiewskich, a to było tylko kamuflażem”. Według profesora Sukiennickiego „grupa” ... „nie przystąpiła szczerze, uczciwie, samodzielnie i lojalnie do PPS, ale poszła jak Walenrodzi w porozumieniu i za zgodą, czy może nawet na zlecenie KPP (Komunistycznej Partii Polski)”.

Dwa rozdziały wymienionej pracy profesora Sukiennickiego, a mianowicie: „Jak został nawiązany kontakt z Moskwą” (str. 74-81), oraz rozdział „Od Po Prostu do kłęski wrześnieowej” (str. 102-107) wskazują wyraźnie na powiązania „grupy” z Moskwą i jej zależności od partii komunistycznej.

Najwięcej sprzecznych opinii wywoływała osoba Henryka Dembińskiego. Mimo skazującego wyroku sądowego przez sąd w Warszawie, do dnia dzisiejszego niektórzy nie wierzą w jego winę, bo jakże — wyszedł ze środowiska katolickiego, był żarliwym katolikiem, o świetnym, błyskotliwym umyśle, miał wspaniałe osiągnięcia naukowe, był miłej powierzchowności, świetnym mówcą, pociągającym za sobą młodzież, „grupa” wzięła po nim nazwę — „Grupa Dembińskiego”. Czy był komunistą i prowadził „grupe” na bezdroża? Nie wszyscy chcą w to uwierzyć, a jednak... Na wiecach i zebraniach akademickich zapędzał oponentów w kozi róg, jedynie student Ochocki z młodzieży narodowej jako tako dotrzymywał mu kroku, tak każdego porażał wiedzą, erudycją, a głównie — wymową. Mówił świetnie, z zapalem, zawsze głośno, nawet w prywatnych zakonspirowanych

mieszkaniach, że aż zwracano mu uwagę: — Henryk, na ulicy cię słyhać, szpicel usłyszy. Był przede wszystkim zewnętrznym szyldem (i głosem) „grupy”, toteż uznając wszelkie jego walory umysłowe, ze względu na jego manifestowanie się, co bliżsi koledzy nazywali go „tubą”, bo jednak za mózg grupy uważano Stefana Jędrychowskiego. Oskarżonego Dembińskiego brali w obronę profesorowie uniwersytetu. (Nie zawsze, ale bardzo często, im kto jest mądrzejszy w księgach, tym naiwniejszy w życiu — profesorowie). To samo było z wojskiem, bronili go oficerowie, świetnie skończył podchorążówkę, z pierwszą lokatą, taki nie mógł być zły. Broniła go opinia publiczna, bo taki sympatyczny, a tymczasem... „gdyby nie jego katolicyzm, nierównie szybciej znalazłby się w szeregach partii, niż miało to nastąpić”. — pisze Jędrychowska (str. 69).

Po ukończonych studiach na USB Dembiński wyjeżdża na stypendium najpierw do Wiednia, a następnie do Rzymu, gdzie w tym czasie przebywał kurator „Odrodzenia” z ramienia USB, ks. profesor Walerian Meyszowicz. W końcu grudnia 1934 roku Dembiński powrócił do Wilna i wręcz zapytał Kazimierza Petrusewicza: — „Czy należycie już wreszcie do Partii?”. „Czy po tym pytaniu potrzebne było jakiegokolwiek badanie poglądów Dembińskiego?” — pyta Jędrychowska. Ongiś spodziewano się, że to on „ochrzci” komunistów, a tymczasem okazało się, że oni go przekonali. Dembiński pociągnął za sobą swą przyszłą żonę — Zofię Westfalewiczównę i innych.

Nie bardzo chętnie powołuję się na obfitsze źródło, dotyczące żagarystów, a mianowicie na książkę Anny Jędrychowskiej — „Zygzakiem i Po Prostu” (Czytelnik, 1965), bo przypomina w niej owego anegdotycznego Murzyna, który spowiadał się z popełnionych zbrodni, na co spowiednik powiedział: — ty się nie spowiadasz, ty się chwalisz. Podobnie postępuje Jędrychowska.

Aczkolwiek rangą najstarszym w grupie Dembińskiego był Kazimierz Petrusewicz, asystent na wydziale przyrodniczym USB, to na uwagę zasługuje osoba Muty (Marii) Dziewickiej; była bardzo aktywna, bezkompromisowa i stąd nazywano ją „wściekłą”. Rodzina jej była zaprzyjaźniona z adwokatem Kruszewskim z Kolonii Kolejowej. W jego gabinecie nad biurkiem wisały portrety Lenina i Stalina, przez Mutę Kruszewski przekazywał pieniądze delegatom MOPR-u (str. 95), była też Muta łączniczką z komunistyczną komórką robotniczą w fabryce „Igła”.

Więcej osobami pojedynczymi tej grupy zajmować się nie

będę, ale omawiając sprawy ogólne grupy, niejedną osobę dopinając jej charakterystyki.

„W styczniu 1933 roku 'grupa' zebrała się w mieszkaniu siostr Dziewickich i nastąpił ów akt prawny — założenie Związku Lewicy Akademickiej 'Front', o ile można uważać za akt prawny założenie organizacji nielegalnej” (Jędrichowska str. 103). Jako delegaci „Frontu” wyjechali do Warszawy Stefan Jędrichowski i Muta Dziewicka. Oczekiwał ich ktoś z partii w zakonspirowanym mieszkaniu. Kierownictwo KPP (Komunistyczna Partia Polski) nie przypuszczało, że „Front” nie był związany z KPZB (Komunistyczna partia Zachodniej Białorusi) i wyznaczyło łącznika z KPZB — był nim Andrzej Nowicki.

Przy „Froncie” powstała komórka KZM (Komunistyczny Związek Młodzieży). Pierwsi zostali doń przyjęci: Stefan Jędrichowski, Muta i Irena Dziewickie, Jan Stefan Kapała, Michał Winecki, Kazimierz Petruszewicz. Sekretarzem Komórki i jednocześnie kierownikiem „Frontu” została Muta Dziewicka. Grupa postanowiła wydać ulotkę, ale nie było ani maszyny do pisania, ani powielacza, Jan Kapała „wypożyczył” skądś maszynę do pisania, a Muta przyniosła z jakiejś organizacji akademickiej powielacz. Andrzej Nowicki, przedstawiciel KPZB przeraził się tego, potraktował „zdobyczne” przedmioty jako kradzież, ale mu wytłumaczono, że to nie kradzież a „ekspropriacja” dokonana w szlachetnym celu. Powielacz pozostał w komórce, a przedstawiciel KPZB zrezygnował ze swego stanowiska opiekuna komórki. Drugim opiekunem komórki został Julek Lewin, ale też niedługo, a trzecim Bolek Mirkin, robotnik, który opiekował się już nielegalną organizacją żydowskiej młodzieży akademickiej „Funk”.

Pierwsze przejawy działalności „Grupy” to działalność na terenie „Bratniaka”, cechuje już je taktyczne podejście do wyborów. Wybory wyznaczono w czasie, gdy miały odbywać się rekolekcje, liczone na nieobecność wierzących studentów i Wydziału Teologii. Tymczasem rekolekcje przesunięto, a nie udało się już odwołać terminu wyborów, wydać nowych ulotek. Już tu spróbowano oszustwa, spróbowano wyprowadzić w pole domniemanego przeciwnika, wymanewrować go, wczesna lekcja komunistycznych wolnych wyborów, ale nie udało się, czemu „szlachetna” młodzież próbuje fałszerstwa? Tricków wyborczych?

Przyszły procesy sądowe, dwóch członków „Grupy” (Druto i Smal) zostało skazanych i poszło do więzienia, ale i w więzieniu ... „działała komuna więzienna, pozostało podporządkować jej tryb życia, brać udział w akcjach, które prowadziła i czekać” (Jędrichowska).

Procesów sądowych było kilka, niektórzy członkowie „grupy” wychodzili z nich obronną ręką, co nie znaczy że nie byli winni, ale że nie zgromadzono przeciwko nim dostatecznie przekonujących dowodów, a sądy polskie nie były pochopne do skazywania tym bardziej, że oskarżonych otaczała atmosfera sympatii społeczeństwa, które nie chciało uwierzyć w przewiny tak miłych, inteligentnych chłopców i dziewcząt, ale ci sympatyczni poczynali sobie coraz śmielej. 14 maja 1937 roku aresztowano Jędrychowskiego i Dembińskiego. Jędrychowska podaje (str. 233): ... „rozszyfrowanie komunistów lwowskich przez policję wiązało się z grubszą aferą. Policja austriacka aresztowała w Wiedniu działacza komunistycznego, Stefana Cywińskiego. Podczas rewizji znaleziono między innymi kartotekę komunistów lwowskich. Droga współpracy kartoteka została przekazana policji polskiej. Ten wypadek przyspieszył wybuch sprawy Dembińskiego, którego nazwisko było tam również wymienione”.

Znalazły się dowody na sformułowanie oskarżenia, że: „W okresie od 1935 do połowy 1937 na terenie Wilna i innych miejscowości Polski w celu zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego i oderwania od niego województw wschodnich weszli w porozumienie między sobą i innymi osobami, tworząc jednolity front ze spiskiem komunistycznym w Polsce, zmierzający do celów wyżej oznaczonych”. Proces odbył się 15 grudnia 1937 roku w Warszawie.

Na procesie wyszło na jaw, że na Zjeździe Pracowników Kultury we Lwowie w 1936 roku Dembiński, który już oddawał Lwów i Wilno bolszewikom, wznosił okrzyk: „Towarzysze moi ze stolicy Zachodniej Białorusi — Wilna polecieli mi złożyć pozdrowienie bohaterskim towarzyszom Lwowa — stolicy Zachodniej Ukrainy”. (A my w swej naiwności myśleliśmy, że te terminy przyniesli bolszewicy w chwili nieszczęścia Polski w 1939 roku. Nie, wcześniej już wynalazł je towarzysz Dembiński). Czytając książkę Jędrychowskiej widzi się jej usiłowania, by dowieść, jak wcześniej kształtowała się grupa młodzieży komunistycznej w Wilnie — i to właśnie nasunęło mi skojarzenie z anegdotycznym Murzynem na spowiedzi — usiłuje ona przedstawić grupę jako ofiarę nagonki połączonych sił endecji i sanacji. Z drugiej strony stara się przedstawić grupę jako inteligentny i przebiegły zespół, który stara się okpić sąd. Ciekawe, jak grupa dążąca do obalenia istniejącego porządku prawnego skwapliwie ucieka się pod osłonę zwalczanego prawa. Tu specjalnie składa słowa uznania dla obrońców-adwokatów. Nie będę omawiał różnych stosowanych przez obronę tricków, przytoczę jedynie kilka

charakterystycznych momentów tej szczególnej „chytrości”. Na pierwsze wystąpienie świadka oskarżenia Piotra Blesmanowicza, kierownika oddziału politycznego w Urzędzie Śledczym, specjalisty od spraw komunistycznych, adwokat obrony stawia pytanie: — jakie świadek ma wykształcenie?

— Niezupełnie ukończoną szkołę powszechną — rzekomo odpowiada świadek.

Czy było to możliwe, zapyta czytelnik, no i jaki to ma związek ze sprawą? Oto próba wystawiania na kpinę sądu i w ogóle władz. Grupa wysoce inteligentna nie będzie podlegać niewykształconym urzędnikom, pragnie sprawdzić kwalifikacje urzędnika, ale nie sprawdzała kwalifikacji przedstawiciela KPZB, Bolesława Mirkina, robotnika, tylko mu się bezwzględnie podporządkowała. Czy miał kwalifikacje? Tak, partyjne, komunistyczne.

Jędrzychowska mówi (str. 106): „Bolek przyjął tę funkcję niechętnie, obawiał się inteligenckich wydziwiał, ale rozkaz organizacji był kategoryczny. Przyszedł do Muty, przyjęła go radośnie i serdecznie. Z nieufnością spotkał się ze Stefanem Jędrzychowskim, obawiał się, że młody człowiek zlekceważy robotnika bez średniego wykształcenia, tymczasem przedstawiono go w swoim środowisku jako kolegę, studenta uniwersytetu, studenta matematyki”. Znowu ten brak skrupułów, jak przy „ekspropriacji” powielacza, komunistów etyka „burżuazyjna” nie obowiązuje. Jednym ze świadków obrony była Wanda Wasilewska, wpłacała pieniądze na „Po prostu”. (Był zapis na jej nazwisko na 500 złotych). Innym świadkiem była Ewelina Wróblewska, działaczka niepodległościowa, ale (str. 248) ... „rozstała się z ideologią Piłsudskiego, gdy ten oświadczył, że wysiada na przystanku, któremu na imię niepodległość”.

Mimo stosowania przez obronę różnych wybiegów sąd skazał Henryka Dembińskiego i Stefana Jędrzychowskiego z artykułu 96 Kodeksu Karnego w połączeniu z artykułem 93 KK (artykuły te mówią o zawiązaniu spisku, mającego na celu obalenie przemocą ustroju) na cztery lata więzienia i pozbawienie praw obywatelskich i honorowych na lat dziesięć.

Obronę prowadzili adwokaci, przeważnie starzy rewolucjoniści przeciwko rządowi carskim; nawykli do walki z rządem carskim i tu bodajże nie spostrzegli, że mają do czynienia już nie z tym rządem, nie z tymi sądami, ale nawyk i rutyna adwokacka robiły swoje. („Bzdura ten wyrok — powiedział jeden z adwokatów — sąd pominął zasadę — *tres collegium faciunt*”).

W marcu 1938 roku Dembiński, a następnie Jędrychowski zostali zwolnieni z więzienia za kaucją, a skargę kasacyjną wyznaczono na wrzesień 1939 roku i tu Hitler napadając na Polskę przyszedł oskarżonym w sukurs.



Już po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku — mówi Jędrychowska (str. 287) ... „chłopi otoczyli grupę uchodźców. Henryk rzucił swoją legitymację. Jeden z chłopów wziął ją do ręki i przeczytał nazwisko. Twarz mu się nagle rozjaśniła. „Towarzyszu Dembiński, krzyknął z radością i rzucił się do Henryka, całując go w oba policzki. Tak was chciałem poznać”. Dalej Jędrychowska konkluduje: ... „Szlak większości grupy szedł przez czerwony Lublin i zakończył się metą w czerwonej Warszawie”. Może dla kompletniejszego obrazu wileńskiej grupy byłych żagarystów chyba nie zawadzi jeśli powtórzę za Jędrychowską (str. 275): „W lipcu 1938 roku Dembińscy wypoczywali nad Bałtykiem. Michał Szulkin przyniósł wieść: Komunistyczna Partia Polski została rozwiązana. Wspólnie ze Stefanem Jędrychowskim rozważano sprawę w nowej sytuacji. Wniosek był tylko jeden: należy pracować dalej. Grupa wileńska zareagowała na wiadomość o rozwiązaniu KPP podobnie, jak Dembiński i Jędrychowski: Nie można siedzieć beczynnie”. Jędrychowska ogranicza się do zakomunikowania, że KPP została rozwiązana, ale powstrzymuje się od podania do wiadomości czytelników, że po sfingowanych procesach moskiewskich członkowie KPP zostali przez Stalina wymordowani.

A więc chyba jasne się staje, że na podstawie własnych swoich źródeł grupa wileńskich żagarystów była nie tylko komunistyczna, ale była najwierniejszą grupą stalinowską. Tak, to byli nie tylko komuniści, to byli stalinowcy.

Alfred KOLATOR

Witold PTASZNIK

SPÓŹNIONY RAPORT DOWÓDCY PLUTONU „BUKARESZT”

Czterdzieści lat minęło od chwili, kiedy „żagwiący wrzesień” wyrzucił przez most zaleszczycki na „rumuńskie bezdroża” rząd,

niedobitki oddziałów wojskowych i tłum cywilnych uchodźców. Pisał o tych tragicznych chwilach z goryczą Władysław Pobóg-Malinowski („Fragmety wspomnień”). Józef Beck, polski minister Spraw Zagranicznych, definiował problem zobowiązań rumuńskich w *Dernier rapport*. Zostały ogłoszone zapiski ambasadora Rogera Raczyńskiego, dotyczące przejścia naczelnych władz polskich do Rumunii i rezygnacji b. prezydenta R.P. prof. Ignacego Mościckiego. Interesujące szczegóły z tego okresu znajdujemy we „Wspólnej drodze” Kajetana Morawskiego. Alfred Poniński polemizuje w *Zeszytach Historycznych* z oskarżeniami pod jego adresem w „Najnowszej historii politycznej Polski”. Literatura przedmiotu obejmuje również „Prace i czynności” gen. F. Składkowskiego, „Dziennik ankarski” M. Sokolnickiego, „Wspomnienia z 1939 roku” J. Łukasiewicza i „Cykl rumuński” Jana Kowalewskiego. Ppłk dypl. Tadeusz Zakrzewski podczas wspólnego pobytu w Stambule w 1941 roku mówił mi, że opracował swe wspomnienia z tego okresu w formie książki.

Dla pełni obrazu może będzie dobrze, jeżeli oprócz świadectw ministrów, ambasadorów, generałów i historyków spojrzymy na ten czas oczyma młodego adepta służby zagranicznej.

Zaczynam od chwili, kiedy we wrześniu 1937 roku, przed powtórny wyjazdem do Paryża dla dokończenia pracy naukowej, zostałem nieoczekiwanie wezwany do Centrali MSZ w Warszawie. T. Drymmer, dyrektor wydziału personalnego, przyjął mnie bardzo uprzejmie. Otrzymałem propozycje wyjazdu do Bukaresztu na referenta wydziału handlowego poselstwa R.P., na etacie konsulatu (konsul R.P. Adam Mikucki był równocześnie radcą handlowym poselstwa). Równocześnie dyrektor obiecywał mi po rocznej praktyce powołanie do Centrali na kurs pracowników etatowych, celem złożenia ostatecznego egzaminu dyplomatyczno-konsularnego.

Jechałem do Rumunii pełen etuzjazzu, z nadzieją poznania tego ciekawego kraju. Rumuni mają przeszłość trudną i tragiczną. Historia rozpoczyna się od najazdów greckich (Histria — pierwsza kolonia grecka). Potem były walki z Cesarstwem Rzymskim i klęska Decebala. Po wycofaniu się Rzymian, naciskanych przez Gotów, następuje dziesięć wieków pełnych zamieszania, najazdów i ciemności. Napady węgierskie przynoszą wpływy zachodnie, którym przeciwstawia się nacisk turecki. Przychodzi wreszcie okres własnej państwowości, rozpoczęty przez Alexandru J. Cuza. Rumuni w ciągu tych walk i przeciwności nabyli wiele doświadczeń i może dlatego, że nie mieli tak dumnej państwowości i tradycji jak nasza, umieli lepiej znosić najazdy i lepiej

dawali sobie radę z najeźdźcami. Potwierdza tę opinię historia ostatnich lat.

Ambasada R.P. przy ulicy Alexandru, w pięknej dzielnicy willowej, sąsiadowała w pałacykiem Magdy Lupescu. Konsulat R.P. przy strada Polona, niedaleko bulwaru Dacia miał obok ładny park. Mimo pozorów placówka polska w Bukareszcie nie była jednak wypoczynkiem, ani przyjemną rozrywką dyplomatyczną. Praca nad pogłębieniem trudnego sojuszu, czujność na zagrożenie od wschodu i stałe baczenie na penetrację niemiecką. Również tradycyjna przyjaźń z Węgrami i trudności w stosunkach polsko-czeskich stale gorszyły Rumunów.

W tych warunkach pierwszym zadaniem dyplomacji polskiej w Bukareszcie było pozyskanie współpracy rumuńskiej w naszych planach konsolidacji państw Międzymorza wobec wspólnego zagrożenia od wschodu i zachodu.

Przez długi okres polityka zagraniczna Rumunii była prowadzona przez ambitnego i niechętnego Polsce min. Titulescu. Po Titulescu, z którego wpływami przez szereg lat walczył Arciszewski, przyszedł czas pozytywnych zmian w stosunkach sojuszniczych; za min. Gafencu wydawało się, że nie ma przeszkód dla współpracy i wzajemnego zrozumienia. Mówiono nawet o osobistej przyjaźni Becka z Gafencu. Było jednak wiele spraw niewyjaśnionych, wiele nieudomówień i wiele rezerwy. Kilkakrotne wizyty Becka i rozmowy z Królem (Gańcz) nie wyjaśniły wszystkiego.

W tych warunkach praca ambasady miała wielkie znaczenie. M. Arciszewski był niewątpliwie na miarę naszych potrzeb. Pracował konsekwentnie, nie ograniczał się do utrzymywania kontaktów oficjalnych, ale utrzymywał żywą łączność ze społeczeństwem rumuńskim. Pamiętam jego ciekawe odczyty publiczne o literaturze polskiej, które cieszyły się dużym zainteresowaniem w Bukareszcie. Jego następcą, amb. Raczyński, również wiele czasu poświęcał kontaktom ze społeczeństwem rumuńskim.

Przez Bukareszt szedł nasz tradycyjny szlak komunikacyjny z Bałkanami i z Bliskim Wschodem. Jednak wszystkie nasze inicjatywy w tych kierunkach musiały oczywiście mieć oparcie w Rumunii.

Do Bukaresztu wyrywali się również na urlopy nasi urzędnicy konsulatu R.P. z Kijowa. Spędzali swobodnie i przyjemnie czas w mieście, które szczyliło się mianem „Paryża Wschodu”. Mieliśmy od nich wiele wiadomości o Rosji z pierwszej ręki.

Praca moja w Bukareszcie szła w kilku kierunkach. Referat handlowy poselstwa dzieliłem początkowo z kolegą Kozłowskim.

Po roku Kozłowski wystąpił z Ministerstwa i zostałem sam. Bardzo chętnie pomagałem kolegom w konsulacie. W ten sposób zapoznałem się z całokształtem tej interesującej pracy. Załatwiałem także sprawy związane z opieką prawną nad obywatelami polskimi do czasu przyjazdu wicekonsula. W okresie letnim przeciętnie dziesięć tysięcy turystów polskich przybywało nad Morze Czarne. Było wtedy zawsze dużo pracy. Personel poselstwa i konsulatu był nieliczny. Ponieważ byłem młodym urzędnikiem, używano mnie często, z czego zresztą byłem zadowolony, do rozmaitych prac o nieustalonym charakterze, jak np. przewożenie poczty dyplomatycznej na statki polskie albo reprezentowanie władz konsularnych w zarządzie Klubu Polskiego w Bukareszcie.

Drugiego dnia po moim przyjeździe do Bukaresztu płk Zakrzewski przysłał po mnie swój samochód, zapraszając na przyjęcie, które urządził u siebie dla oficerów rumuńskich. W ten sympatyczny sposób zostałem wprowadzony do współpracy z *attachatem* wojskowym, współpracy, która z czasem miała stać się bardzo bliska. Wyjeżdżaliśmy często z mjr. M. Zimnałem w teren, szczególnie podczas manewrów. Najwięcej uwagi zwracano na granicę węgierską i bułgarską, może dlatego, że na te kierunki nie było ułatwień oficjalnych.

Minister Mirosław Arciszewski odnosił się do mnie bardzo życzliwie, chętnie omawiał moje raporty ekonomiczne i interesował się szczegółami pracy.

Konsulat R.P. w Bukareszcie był konsulem stosunkowo małym, ale „pracowitym”. Codziennie kilkadziesiąt osób przewijalo się przez jego biura. Archiwum miało około 10.000 teczek „osobowych”, oprócz odrębnego archiwum „rzeczowego” Wydziału Handlowego ambasady, który mieścił się w budynku konsulatu.

W Rumunii było prawie 100.000 osób pochodzenia polskiego i liczna rzesza Żydów, obywateli polskich, stale zamieszkujących Rumunię. Szczególnie czynne były wydział paszportowy i wizowy oraz dział opieki społecznej konsulatu.

Wydział handlowy ambasady prowadził kontrolę całego obrotu handlowego polsko-rumuńskiego, który opierał się na wymianie *clearing*’owej. Zadaniem jego było również przygotowanie okresowych zmian w układach handlowych oraz sprawozdania z życia gospodarczego Rumunii.

Zaraz po przybyciu zacząłem intensywnie uczyć się rumuńskiego, i w krótkim stosunkowo czasie mogłem już czytać swobodnie oraz niezłe porozumiewać się w tym języku. Lekcji udzielał mi Jonel Janowici, student z rodziny polskich Ormian. By-

łem młodym człowiekiem, który niedawno ukończył studia, łatwo więc przyszło mi nawiązać przyjazne stosunki ze studentami rumuńskimi. Pozwoliło mi to nie tylko poznać młodzież rumuńską, ale również zbliżyć się do problemów tego kraju, który po wojnie przechodził ostry kryzys konsolidacji uzyskanych zdobyczy terytorialnych. Drastyczna reforma rolna, budowa własnego przemysłu, przekształcenie zacofanego kraju w duchu reformy i wielkich aspiracji narodowych stawiały przed młodym pokoleniem wielkie zadania. Widziałem wśród nich wielu zdolnych i inteligentnych ludzi, a przede wszystkim gorących patriotów. Duża część tej młodzieży niestety poszła potem w szeregi Żelaznej Gwardii. Dziś, kiedy wiemy, na jakie manowce została ona sprowadzona, łatwo jest potępieniem przechodzić nad tym do porządku dziennego. Wtedy jednak wielu z nich pociągały wzory faszystowskie, kiedy się mówiło o osuszaniu błot pontyjskich, dyscyplinie moralnej, postępie społecznym, a nikt jeszcze nie znał odwrotnej strony medalu.

Niepokojąca od początku oznaką tego ruchu był oczywiście bezwzględny terror jako forma walki o władzę. Zamordowanie premiera Jon Duca na stacji w Sinaia, parodia procesu w Jassach pod naciskiem sfanatyzowanego tłumu, wszystko to było groźną przestrogą. Nastąpiła ostra reakcja. Ministrem Spraw Wewnętrznych, a potem premierem, został Armando Calinescu. Trzynastu przywódców Żelaznej Gwardii zostało rozstrzelanych, tysiące członków uwięzionych i poddanych torturom, tysiące sympatyków prześladowanych. Zginął przywódca ruchu Zelea-Codrianu. Często słyszałem, że pochodził z polskiej rodziny Zielińskich, czemu on sam gorąco przeczył. Na zwolenników Żelaznej Gwardii i na cały kraj padł cień niepewności i przerażenia. W tych warunkach władze polskie ze względów humanitarnych udzieliły azylu wielu zbiegłym do Polski członkom Żelaznej Gwardii z Horia Simu na czele. Udali się oni następnie do Berlina i tam nastąpiło ostateczne uzależnienie polityczne tego ruchu od Niemiec. Polska nie chciała psuć swych dobrych stosunków z Rumunią i nie udzieliła, poza azylem, żadnego poparcia temu ruchowi.

Sprawy dotyczące Żelaznej Gwardii nie miały bezpośredniego wpływu na stosunki polsko-rumuńskie, ale zaciążyły nad losem narodu rumuńskiego i przez to są dla nas ważne. Uważam za konieczne wyjaśnić tu pewne okoliczności, które są mi znane, a które zostały w sposób niezgodny z prawdą przedstawione przez Alfreda Ponińskiego, radcę Ambasady R.P. w Bukareszcie. A. Poniński nie przeszedł do wdzięcznej pamięci rodaków z

okresu swej pracy podczas wojny. Nie jest moim zadaniem ani bronić, ani oskarżać, nie mogę jednak pominąć milczeniem następującego jego oświadczenia (*Zeszyty Historyczne* nr 6): „Było tajemnicą publiczną, że Poselstwo R.P. w Bukareszcie zajmowało przez szereg lat wybitnie dla Żelaznej Gwardii przychylnie stanowisko, zgodnie z ponawianymi co pewien czas instrukcjami z Centrali. Odnośne dyrektywy wiązały się organicznie z „radosną twórczością” paru protegowanych przez dyrektorów T. Drymmera i T. Kobylańskiego ambitnych urzędników, zajmujących się nawiązaniem współpracy między „komórkami” polskimi, a ich rzekomymi odpowiednikami rumuńskimi. Kolejni referenci młodzieżowi przydzieleni do Poselstwa w Bukareszcie zaangażowani byli po uszy w imprezach zbliżonych z gwardzistami”.

Podczas mego pobytu w Rumunii referentem młodzieżowym był Olgierd Nosowicz. Poprzednika nie znałem, ale słyszałem o nim wiele dobrego. Nawiązywał stosunki z młodzieżą rumuńską wszystkich stronnictw i kierunków politycznych, przyjaźnił się szczególnie z młodzieżą stronnictwa ludowego (Maniu). Olgierd Nosowicz pracował w tym samym duchu, ale nie prowadził tak ożywionej działalności jak jego poprzednik. Rumunia nie miała rodzimej arystokracji, zaledwie parę rodzin pochodzenia greckiego z tytułami książąt. Nosowicz, nie zaniedbując zresztą swej pracy, snobował się nieco, utrzymując zażyłe stosunki ze „złotą młodzieżą”. Z Nosowiczem byłem w dużej przyjaźni i uczestniczyłem w wielu jego kontaktach z młodzieżą rumuńską, zwłaszcza uniwersytecką. Kontakty z Żelazną Gwardią były zawsze nacechowane dużą ostrożnością i umiarem, chociaż w sztabie Gwardii było kilku Rumunów pochodzenia polskiego. Nie wiem jakie dyrektywy otrzymywał radca Poniński, wiem natomiast z całą pewnością, że Nosowicz miał instrukcje utrzymywania dobrych stosunków ze wszystkimi kierunkami politycznymi na równi, aby wiedzieć co wszyscy myślą i czują. Zadanie czysto informacyjne, gdyż Nosowicz nie reprezentował żadnych „komórek”, a tylko wykonywał polecenia swoich przełożonych. Olgierd Nosowicz, por. rezerwy saperów, zginął tragicznie w Katyniu. Por. Olizar, więzień Starobielska, jeden z nielicznych, którzy ocaleli, opowiadał mi o pięknej postawie Nosowicza w tych trudnych chwilach niewoli.

Od samego początku mego pobytu w Rumunii zaprzyjaźniłem się z wielu studentami rumuńskimi pochodzenia polskiego. Część z nich pochodziła z Bukowiny i Besarabii, niektórzy z rodzin polskich z okolic Chocimia. Byli wśród nich również Ormianie

polscy. Prałat K. Łukasiewicz, stryj naszej koleżanki z konsulatu Kamili Łukasiewicz, pochodził ze starej rodziny polskich Ormian i był nestorem kolonii polskiej w Rumunii. Studenci polscy studiowali przeważnie na Politechnice bukareszteńskiej, na wydziale medycznym Uniwersytetu i Akademii Handlowej. Zostałem przez nich zaproszony na honorowego filistra Korporacji „Jagiellonia”. Wiele miłych chwil spędziłem w ich gronie, nie przeczuwając, że oni właśnie będą stanowić główną podporę w chwilach próby wojennej w wielu naszych skomplikowanych i poufnych pracach, związanych z ewakuacją wojska z Rumunii i z pewnymi specyficznymi zadaniami, które mi powierzał *attaché* wojskowy. Chcę dać dziś świadectwo ich ofiarności i poświęceniu dla sprawy. Wielu z nich cierpiało prześladowania i więzienia. Ambasada nie mogła oficjalnie interweniować w ich obronie i trzeba było szukać innych dróg. Wiem, że niektórych potem karnie wysyłano na front rosyjski. Pod Stalingradem zginął mój nauczyciel rumuńskiego i przyjaciel, sierżant Jonel Janovici. Starłem się usilnie przeprowadzić ich ewakuację do wojska polskiego we Francji. Napotkałem jednak na nieoczekiwane trudności ze strony mjr. Zimnala, który szermował argumentem, że nie możemy narażać „całej ewakuacji” na ewentualny konflikt ze sztabem rumuńskim dla ratowania kilkunastu Polaków, obywateli rumuńskich. Kto jednak znał technikę ewakuacji, wiedział, że nie było takiego ryzyka. Wywalczyłem jedynie wysłanie do Francji Jana Rutkowskiego, prezesa „Jagiellonii”, i jego siostry Jadwigi. Rutkowski skończył medycynę w Edynburgu i był potem adiutantem Szefa Służby Zdrowia gen. Szareckiego.

Było również w Bukareszcie kilku studentów polskich na stypendiach w Akademii Rolniczej oraz dwie stypendystki Kościoła Prawosławnego z Pińska. Z urzędu opiekowała się nimi ambasada, a po koleżeńsku „Jagiellonia”. Dwie sympatyczne prawosławne Polki mieszkały w klasztorze sióstr, nie pamiętam już jakiego zakonu. Wynikały stąd czasem pewne trudności z uzyskaniem zezwolenia przełożonej na wyjście na miasto poza godzinami zajęć uniwersyteckich.

Latem 1937 roku stosunki polsko-rumuńskie uległy dużemu ożywieniu. Wielki Książę Michał podczas udanej wizyty w Polsce zaprosił w imieniu króla prezydenta Mościckiego. Prezydent wkrótce przybył z oficjalną wizytą do Rumunii i był następnie rewizytowany przez króla. Niedługo potem poselstwo polskie zostało podniesione do rangi ambasady. Pierwszym ambasadorem został Roger Raczyński i z tego tytułu był również dziekanem Korpusu Dyplomatycznego.

Kolonia polska w Bukareszcie nie była liczna. Tworzyli ją przede wszystkim przedstawiciele i personel instytucji polskich oraz przemysłowcy i polski personel fabryk włókienniczych. Prawie cały przemysł tekstylny w Rumunii został zorganizowany przez przemysłowców łódzkich. Przedstawiciel Polskich Kolei Państwowych Matoga przez szereg lat sprawował funkcje prezesa Klubu Polskiego, wiceprezesem był przemysłowiec łódzki Rozental.

Polska utrzymywała stałą linię lotniczą z Palestyną. Przedstawicielem „Lotu” był Tadeusz Zembrzusi. Na lotnisku w Bukareszcie mieliśmy stałą obsługę techniczną oraz jedną załogę samolotową do zmiany.

Stale połączenie żeglugowe między Konstancą a portami Bliskiego Wschodu utrzymywały dwa statki, „Kościuszko” i „Polonia”. Przedstawicielem linii był Tadeusz Dębicki.

Prasę polską obsługiwał Stefan Werner, stały korespondent *Gazety Polskiej* i *Polski Zbrojnej*, a serwis oficjalnej agencji prasowej PAT prowadził inż. Piotr Mizunka. Piotr Mizunka sprawował równocześnie funkcje sekretarza Polsko-Rumuńskiego Towarzystwa dla Eksploatacji Rud Manganowych, potrzebnych Polsce. Po rozmowach na szczeblu sztabów głównych zostało zawarte porozumienie, na mocy którego utworzono mieszane towarzystwo polsko-rumuńskie celem wydobywania i komercjalizacji rud manganowych na zakupionych od metropolity czerniowieckiego terenach. Mizunka cieszył się dużą popularnością wśród swych byłych kolegów uniwersyteckich, z których wielu zajmowało wtedy poważne stanowiska w społeczeństwie. Ambasada często korzystała z jego pomocy w ważnych nieraz okolicznościach.

Polski przemysł wojenny reprezentował przemysłowiec lwowski Paschalski, któremu pomagał przez pewien czas Steniczka.

Na wiosnę 1938 roku ambasada przygotowywała wyjazd premiera-patriarchy Mirona Cristea do Polski. Szczególnie oddawał się tym przygotowaniom Alfred Poniński. Marzył zawsze o ambasadzie w Watykanie i chętnie specjalizował się w stosunkach ze wszystkimi wyznaniem. Przyznać trzeba, że czynił to bardzo zęcznie i dla dobra sprawy. Przed samym wyjazdem patriarchy radca Poniński zorganizował w Klubie Polskim odczyt o Mickiewiczu. Na odczyt zaproszono szereg osobistości ze świata dyplomatycznego, dworu i społeczeństwa rumuńskiego. Poniński miał świetnie przygotowany wykład i mówił z dużą swadą po francusku. Reżyserował dokładnie wszystkie szczegóły.

2 maja 1938 roku zostałem wysłany do Lupeni, położonego w górach Apuseni. Jechałem z ochotą, przekonany, że zobaczą mały ośrodek polski. Nikt właściwie nie umiał poinformować mnie dokładnie co tam zastać. To co zobaczyłem przeszło wszelkie moje oczekiwania. Zagubiona w górach, stara, sprzed wieku emigracja polska. Trzy tysiące Polaków, pionierów górnictwa węglowego w Rumunii. Wiedziałem, że przemysł naftowy w Rumunii organizowali swego czasu Polacy, czego dowodem słownik techniczny używany w tym przemyśle i między innymi takie w nim słowa jak „kierownik”. Zaskoczony zostałem jednak swym odkryciem w Lupeni. Spodziewałem się zobaczyć szkołę polską, ponieważ ambasada płaciła nauczycieli, ale nie wyobrażałem sobie jej rozmiarów. Akademia 3 maja trwała pięć godzin i wypełniły ją przeważnie popisy dzieci. Biskup katolicki, oczywiście Węgier, miał dłuższe przemówienie. Po raz pierwszy od uzyskania niepodległości kolonię polską w Lupeni odwiedził przedstawiciel ambasady. Byłem wzruszony i zażenowany entuzjazmem tych ludzi.

Kryzys czeski poruszył umysły w Rumunii. Polityka tzw. Małej Ententy była zawsze popularna. Nie mieliśmy wtedy dobrej prasy i komentarze przyjaciół rumuńskich były dosyć gorzkie.

Ambasada urządziła w Klubie Polskim wielkie zebranie dla uczczenia powrotu Zaolzia do Polski. Miałem referat historyczny.

Wielkanoc zawsze obchodziliśmy podwójną, najpierw katoliczką w Katedrze, a potem prawosławną w Biserica Kretulescu. W tym roku Wielkanoc obu wyznań wypadła tego samego dnia. Mizunka urządzał u siebie śniadanie wielkanocne. Z uroczystości prawosławnej wracaliśmy o pierwszych brzaskach dnia, uważając, aby nie zgasły świece. Zebrało się spore grono młodzieży polsko-rumuńskiej. Nastrój panował pogodny, ale nie tak wesoły jak dawniej. W tej pełnej przyjaźni atmosferze było nam dobrze i miło, ale już wtedy nasuwały się refleksje, że są to ostatnie złote blaski przed burzą, która nadchodzi. Nad Bukaresztem świeciło słońce i wstawał piękny dzień. Niedługo potem zostaliśmy zaproszeni na wieś przez znajomych Rumunów. W tej wyprawie brała udział „młodzież” ambasady. Przyjęcie przyjemne, doskonała kuchnia rumuńska i oczywiście cygańska muzyka. Późną nocą wracałem do Bukaresztu. Przyjechałem z Bronkiem Sobańskim, który jeszcze pozostał, zabrała mnie uprzejmie żona szefa sztabu. W drodze rozmowa zesłała mimo woli na palące tematy. Pani Samsonowici mówiła: „Jesteśmy sercem i duszą z wami, pomożemy wam we wszystkim, macie zapewnione dostawy ropy i wszelkich surowców, którymi dysponujemy”. Mimo całej ser-

deczności tej wypowiedzi miałem wrażenie, że ta inteligentna i wrażliwa na nasze problemy dama mówi nieco z pozycji obserwatora, a nie współnika w tej ryzykownej imprezie.

W czerwcu 1939 roku ambasador postanowił urządzić przyjęcie dla rządu i Korpusu Dyplomatycznego. Mam wrażenie, że koszty zostały pokryte przez samego ambasadora, ponieważ w tym celu zmieniałem dla niego prywatnie na giełdzie dosyć dużą sumę. Stroną techniczną zajmował się *attaché* ambasady Bronisław Sobański, pomagał mu Olgierd Nosowicz.

Tereny Yacht Clubu dały piękne ramy. Cztery namioty z orkiestrami umieszczone w „strategicznym” miejscach, stoły bufetowe ugięły się od potraw i napojów. Siedemset osób wzięło udział w tym przyjęciu. Na jeziorze były do dyspozycji gości łódki z przewoźnikami w ludowych rumuńskich strojach. Znaczący twierdzili, że było to największe i najpiękniejsze przyjęcie jakie widział Bukareszt.

Urlop w 1938 roku wykorzystałem dla odbycia ćwiczeń wojskowych w kraju, zostałem więc wynagrodzony w 1939 roku urlopem w pierwszym terminie tj. koniec czerwca-lipiec. Spędziłem go w Konstancy na śladach Owidiusza, w towarzystwie beztroskiego Pawła Prokopieniego.

Po powrocie wykończyłem ostatecznie swój raport o bogactwach naturalnych Rumunii. Przygotowywałem go przez szereg miesięcy, zbierając odpowiednie materiały. Raport był obszerny, 450 stron maszynowego pisma. Podobno oceniony został pozytywnie w Centrali. Zostałem poinformowany, że ministerstwo wydrukuje go dla użytku placówek.

Niedługo potem otrzymałem od mego przyjaciela z rumuńskiego MSZ odpis zawartego przed paru dniami tajnego traktatu rumuńsko-niemieckiego. Traktat ten oznaczał duże podporządkowanie gospodarcze Rumunii. Konsul Adam Mikucki przedstawił raport ambasadorowi, który polecił przesłać go „do rąk Ministra”.

Nadchodził czas próby. Stosunek Rumunów do nas przechodził kilka faz. Zasadniczo uznając konieczność sojuszu obronnego przeciw Rosji, Rumuni podchodzili do Polaków dosyć chłodno. Uczuciowo związani byli z polityką Małej Ententy. Poza tym były w stosunkach z nami pewne historyczne urazy. Prawie każdy Rumun, kiedy uważał, że jest już na przyjacielskiej stopie z Polakiem, z mieszanymi uczuciami dumy i zadowolenia pytał, czy pamięta beznadziejny bój naszej szlachty w lasach bukowińskich za Olbrachta. Bez wątplenia ciążyło na nas piętno najeźdźców i Rumuni nam to pamiętali. Marszałek Piłsudski wiele czynił, aby ten sojusz ożywił. Stosunki popsuły się znowu

przez Zaolzie i nasze nieudane starania pogodzenia ich z Węgrami. Czuli wyraźnie, że sercem zawsze jesteśmy po stronie Węgrów, z którymi mieli beznadziejny spór o Siedmiogród. Wszystko to uległo nagłej zmianie, kiedy stawiliśmy twarde opór żądaniom niemieckim. Ogarnęła nas w Rumunii fala przyjaźni, życzliwości jak nigdy przedtem. Polityka rządu rumuńskiego, pod naciskiem niemieckim, miała swe wahania i swe słabości, ale społeczeństwo rumuńskie było zawsze z nami we wszystkich późniejszych kryzysach, w całej późniejszej naszej niedoli.

Zbliżające się wypadki wyczuwało się łatwiej za granicą. Sierpień 1939 roku przeszedł na stałym oczekiwaniu. 25 sierpnia byliśmy na obiedzie u mjr. Zimnala. Zawiadomiono z ambasady o nadejściu ważnych szyfrów. Poniński pierwszy powstał ze słowami: „Panowie, chwila nadeszła”. Chwila jednak nadeszła dopiero 1 września. Komunikat radiowy z Warszawy podawał pierwsze wiadomości o nalotach niemieckich.

Kajetan Morawski w swej z dużym talentem napisanej książce „Wspólna Droga” mówi: „Roger nie dysponował personelem ani dostatecznie liczny, ani dostatecznie wyrobionym, by sprostać trudnym zadaniom i opanować sytuację”. Istotnie personel nie był liczny i nie był przygotowany na te zadania, które na niego spadły, ale szkoda, że tak wytrawny polityk, wrażliwy pisarz, człowiek o zrównoważonym i niepospiesznym sądzie nie dostrzegł oczywistej prawdy. Ten „nieliczny” i „nieprzygotowany” personel w chwilach próby inteligentnie, z talentem, ofiarnie i w sposób ludzki sprostał, mimo wszystkich trudności, „tym trudnym zadaniom” i „opanował” sytuację. Kiedy ostatecznie zorganizowano ambasadę, konsulat i wiele komitetów i komisji, pięciuset oficerów i osób cywilnych było zatrudnionych w tej pracy, ale pierwszy najgorszy impet wytrzymać musiało tych „niewielu”.

„*Ordre de bataille*” w chwili wybuchu wojny w Bukareszcie:

A m b a s a d a R.P.

Ambasador — Roger Raczyński.

Radca — Alfred Poniński.

Sekretarz — Tadeusz Narzymski.

Attaché — Bronisław Sobański.

Attaché — Leon Kryj.

Attaché Wojskowy — ppłk dypl. Tadeusz Zakrzewski.

Zastępca — mjr Marian Zimnal.

Sekretariat: — Stanisława Czestyńska,
— Janina Krzymuska.
Rachuba — Jan Karolkiewicz.

K o n s u l a t R.P.

Konsul i Radca Handlowy Ambasady — Adam Mikucki.
Wicekonsul — Ludwik Bartel.
Referent Handlowy Ambasady — Witold Ptasznik.
Sekretariat — Kamila Łukasiewicz,
— Wanda Brzezińska.
Archiwum — Marian Zbąski.

Każdy według swej funkcji, wykształcenia i przygotowania wniósł co miał najlepszego, ale dwa nazwiska powinny przejść do wdzięcznej pamięci rodaków ze szczególnym wyróżnieniem: Kamila Łukasiewicz i Marian Zbąski. Po ewakuacji władz pozostali w Rumunii, aby dalej służyć sprawie polskiej, więzieni i prześladowani wytrwali wierni do końca.

Konsulat R.P. został podczas wojny podniesiony do rangi konsulatu generalnego R.P. W Rumunii były również konsulaty R.P. w Czerniowcach i Kiszyniowie, wicekonsulat w Klużu oraz konsulaty honorowe w Gałaczu i Konstancy. Działalność ich podczas wojny została bardzo zredukowana.

Zaraz pierwszego dnia wojny płk Zakrzewski zawiadomił mnie, że za zgodą ambasadora będę otrzymywał od *attaché* wojskowego pewne zadania do wykonania, i te mają pierwszeństwo przed innymi obowiązkami służbowymi.

Jako pierwsze zadanie polecono mi rozpoznanie możliwości zakupu szeregu surowców według przygotowanej listy. Zabrałem się pośpiesznie do pracy i już następnego dnia mogłem poinformować mjr. Zimnała, że Rumuni okazują duże zrozumienie naszej sytuacji i że zakupy nie napotkają na żadne trudności.

Następne zadanie miało na celu przygotowanie ułatwień portowych w Konstancy dla transportów materiałów wojennych. Jako pierwszy awizowano transport batalionu czołgów z Francji. W Konstancy również nie miałem żadnych trudności. Dużą pomoc miałem w b. pracowniku dyrekcji portu Feliksie Wesołowskim. Umówiłem z nim formę komunikowania się i utrzymania łączności.

Kiedy wróciłem do Bukaresztu, wiadomości z frontu były złe. Informacje mieliśmy z rozmaitych źródeł i orientowaliśmy się w sytuacji z dużą dokładnością. Oczywiście wiązaliśmy jesz-

cze nadzieje z przyobiecana pomocą aliantów, która nie nadchodziła. Przejżdżało wtedy przez Bukareszt wielu ludzi. Początkowo wyglądało to normalnie. Różne misje, specjalne poruczenia, nowe funkcje. Potem zaczęło to już przypominać lot ptaków przed nadchodzącą burzą. Zaczęliśmy patrzeć na ten *exodus* z coraz większą troską, smutkiem i niechęcią. Słyszało się też czasem dziwne rozmowy i zaskakujące opinie. Radca Adam Vetulani, jeden z „wytrawnych” urzędników MSZ, przejeżdżał 10 września przez Bukareszt na Bliski Wschód. Zapytany przez młodego urzędnika konsulatu, czy nie obawia się interwencji rosyjskiej, zapewniał, że z tej strony nie potrzebujemy się obawiać żadnego niebezpieczeństwa. Radca mówił szczerze i nie dla porzepszenia serc.

15 września wieczorem zostałem pilnie wezwany do *attacbatu*. Płk Zakrzewski wręczył mi zapieczętowaną kopertę z poleceniem doręczenia jej płk. Kalkusowi, dowódcy Lotnictwa Polskiego. Oczywiście miałem przekroczyć granicę polsko-rumuńską i odszukać w kraju płk. Kalkusa. Udałem się niezwłocznie i bezpośrednio z ambasady na stację kolejową i następnie do Czerniowic.

16 września w godzinach rannych przyjechałem do Czerniowic. Granica polsko-rumuńska została już zamknięta i silnie obstawiona wojskiem. Moje próby nielegalnego przejścia granicy skończyły się niepowodzeniem. Legitymacja urzędnika ambasady uratowała mnie przed aresztowaniem. Wieczorem prosiłem konsula Bujnowskiego o pomoc i interwencję. Konsul obiecał mi to załatwić nazajutrz i dać nawet do dyspozycji swój samochód, równocześnie ofiarował gościnę w konsulacie. Mimo zmęczenia nie mogłem spać tej nocy i zastąpiłem urzędnika dyżurnego, który czuwał od dłuższego czasu. W ten sposób stało się, że 17 września o godzinie 7-ej rano pierwszy odebrałem dramatyczną depeszę ministra Becka: „Dziś o godzinie 5-ej rano oddziały rosyjskie przekroczyły granicę polską pod Borszczowem i w innych miejscach. Polskie Siły Zbrojne stawiały opór. Jest to klasyczny przykład agresji. Zawiadomić wszystkie placówki polskie za granicą. Józef Beck”.

Niezwłocznie zawiadomiłem konsula i pomagałem w redagowaniu i wysyłce depesz do przedstawicielstw polskich za granicą.

Na granicy, za mostem w Zaleszczykach stał już sznur samochodów i zwarty tłum uchodźców. Niebo jak zwykle tego września pogodne, około południa na wysokim pułapie nadciągnęła eskadra Dornierów. Przez tłum przeszła fala niepokoju. Samoloty zawróciły na północ. Nie wiem, dlaczego Poniński pisze

o tym incydencie jako o bombardowaniu pogranicza, po którym rząd rumuński miał złożyć ostry protest na „osobiste żądanie króla”.

Okolo godziny 17-tej zaczęły przelatywać granicę samoloty polskie. Naliczyłem siedemdziesiąt aparatów. Niebo leciało nam na głowy. Tymczasem trzeba było wypełniać swe obowiązki. Z konsulatu przywieziono worek paszportów polskich dla grupy lotników, którzy mieli bezpośrednio jechać do portu w Konstancy. Otrzymuję polecenie przeniesienia paszportów przez most. Nieoczekiwanie na granicy nie miałem trudności. Zobowiązałem się słowem honoru wobec oficera rumuńskiego, że wrócę. Dla czego im tak zależało na moim powrocie, nie wiem. Za mostem pierwsze stały wozy ciężarowe Banku Polskiego. Po powrocie udałem się do konsulatu. Dziś już nie pamiętam kto mnie prosił, aby pojechać z nim samochodem na stację kolejową i przywieźć stamtąd Juliana Tuwima z żoną. Podobno miał trudności z policją. Oczywiście pojechałem i przywiozłem Tuwima do konsulatu, choć żadnych trudności nie stwierdziłem.

Wieczorem w konsulacie spotkałem ambasadora, któremu już potem stale towarzyszyłem do samego powrotu do Bukaresztu. Kopertę do płk. Kalkusa poradził zwrócić płk. Zakrzewskiemu.

Konsulat zaczął się zapełniać uchodźcami, wszystkie pokoje i korytarze były zajęte. Na mieście hotele przepełnione. Udało się nam wreszcie uzyskać pokój w hoteliku „Europa”. Przedzremaliśmy z trudem do rana i o godzinie siódmej rano wyjechaliśmy pociągiem do Bukaresztu.

Przyznam się szczerze, że nie wiedziałem wtedy jak wielka odpowiedzialność spadła na barki mego szefa. Rząd został internowany, prezydent izolowany, nowy ośrodek polityczny jeszcze nie został utworzony. Władza nie leżała na ulicy, nie było jej wcale. W tych warunkach i okolicznościach Roger Raczyński jako jedyny reprezentant Rzeczypospolitej w Rumunii uznawany przez władze rumuńskie i przez przedstawicielstwa obce stał się *de facto* realnym ośrodkiem władzy państwowej. To może również było źródłem późniejszej legendy o „triumwiracie bukareszteńskim”. Pół żartem pół serio mówił mi o tym Zakrzewski. Podczas przejazdu gen. Sikorskiego przez Bukareszt odbyła się rozmowa, w której uczestniczyli gen. Sikorski, ambasador Raczyński i płk Zakrzewski. *Attaché* wojskowy miał wtedy podporządkować się generałowi i uznać go za przyszłego szefa rządu. Stąd, jak to żartobliwie formułował, „byłem twórcą Naczelnego Wodza”. Szkoda, że sam ten żart zaczął traktować na serio, czym poważnie naraził się generałowi Sikorskiemu.

Rogierowi Raczyńskiemu przypadło w udziale trudne i odpowiedzialne zadanie ratowania ciągłości prawnej władzy państwowej. Wywiązał się z tego zadania z godnością i taktem. Na tle tak wielu ludzi słabych lub przeciętnych, którzy zapełniali podówczas bukareszteńską scenę, postać Raczyńskiego wyrasta na prawdziwego męża stanu. Oczywiście można mu czynić pewne zarzuty. Osobiście wtedy i dziś odnosiłem wrażenie, że mógł w tych chwilach znaleźć więcej zrozumienia i przyjaźni dla swego b. szefa Józefa Becka. O tym wszystkim wtedy nie wiedziałem, siedząc naprzeciwko ambasadora w przedziale kolejowym pociągu zdążającego z Czerniowiec do Bukaresztu. Roger Raczyński był człowiekiem przystępnym, ludzkim i łatwym do nawiązania bezpośredniego kontaktu. Naturalny dystans służbowy zacierał się w tych wyjątkowych chwilach.

Mówiliśmy oczywiście o niedawnych przeżyciach. Nie było w tej rozmowie żadnych krytyk, tym mniej ocen ludzi. Było trochę historiozofii, pewnych porównań z naszych dziejów. Zdawali sobie sprawę, że wypadnie nam na nowo podejmować walkę o wolność, którą tak krótko mogliśmy się cieszyć. Potem o sytuacji Rumunii, o stosunkach polsko-rumuńskich i o naszych aliantach zachodnich. Były to uwagi ogólne. Ambasador był opamiętany i spokojny, choć nie taił wzruszenia. Może zresztą i lepiej, że nie mówiliśmy wtedy o *droit de passage* i *droit de hospitalité*, że nie wyjaśnialiśmy terminów „obietnica” i „przyjęcie zobowiązania”. Dużo potem zużyto atramentu na te tematy. Były to czasy, kiedy ludzie skłonni byli do ciężkich oskarżeń i pośpiesznych sądów, a więc „zdradziecka pułapka rumuńska”, naiwne opowiadania o niewykorzystanych możliwościach przerzucenia samolotem władz państwowych do Konstancy i stąd statkiem na zachód itp. (patrz wspomnienia Alfreda Ponińskiego).

Po koszmarnej nocy w Czerniowcach byliśmy po prostu zmęczeni, a w Bukareszcie czekała nas wyczerpująca praca i zadania. Zaczęliśmy drzemać i ja zasnąłem na dobre. Obudziłem się już na przedmieściach, okryty płaszczem ambasadora. Ten przyjacielski gest pozostał mi w pamięci.

W Bukareszcie uchodźcy zwartym tłumem otaczali już ambasadę i konsulat. Trzeba było ich przede wszystkim zaopatrzyć w dokumenty i zorganizować pomoc materialną. Poza tym należało załatwiać wiele spraw, które wynikały z nieprzewidzianych sytuacji w jakich się ci ludzie znaleźli. Oczywiście już samo utrzymanie porządku i spokoju stanowiło poważne zadanie. Jest rzeczą naturalną, że tłum ludzi którzy utracili wszystko, wielu głodnych i zatroskanych o los najbliższych, reaguje nerwowo i nie

można uniknąć incydentów. Nie widziałem jednak wrogiej postawy wobec tych, którzy ofiarnie nieśli im pomoc. Oczywiście uwagi moje dotyczą przede wszystkim konsulatu R.P., gdzie pracowałem. Wokół ambasady było może trochę inaczej, ponieważ tam był pewien motyw polityczny.

Przez moje biuro skromnego i młodego urzędnika przewijali się jak w kalejdoskopie ludzie, którzy do niedawna zajmowali najważniejsze stanowiska w państwie, elita kulturalna i społeczna kraju i z nimi cały legion rodaków, z takich czy innych przyczyn wyrzuconych uchodźczą falą na rumuński brzeg. Każdy miał jakąś prośbę. Każdy miał coś do załatwienia. Trzeba im było pomagać we wszystkim, bez przedwojennych i normalnych formalizmów. Oczywiście jedynym ograniczeniem była troska o zachowanie szacunku dla pieczęci państwa i tego co ona reprezentuje.

Jako pierwsza tymczasowa forma pomocy została uzgodniona z Narodowym Bankiem Rumuńskim wymiana 400 złotych (po kursie 20 lei za złotego) dla każdego uchodźcy. Następnie zorganizowana została stała pomoc w oparciu o pewne depozyty złota polskiego w Narodowym Banku Rumuńskim.

Sprawy finansowe i handlowe zostały następnie skoncentrowane w ręku nowego radcy finansowego, byłego dyrektora departamentu Ministerstwa Skarbu Sadkowskiego.

Pod koniec roku 1939 zostałem wezwany przez radcę Ponińskiego z poleceniem uczestniczenia w ostatniej fazie rokowań związanych z wysyłką złota polskiego z Rumunii do nieokreślonego bliżej kraju. Główne transporty złota już przeszły przez Rumunię i obecnie chodziło o złoto i przedmioty wartościowe zebrane na F.O.N. Rumuni kwestionowali ten transport, mieli wątpliwości i przypuszczali, że jest to po prostu przemysł złota prywatnych osób. Ze strony rumuńskiej decyzja zależała od inż. Matei Bujoiu, ministra handlu zagranicznego. Przypadkowe okoliczności zbliżyły mnie prywatnie do osoby ministra, z którym byłem na stopie dużej zażyłości i przyjaźni. Okazało się, że sugestia włączenia mojej osoby do polskiej ekipy wyszła od rumuńskiego ministerstwa. Byłem dosyć skrupowany, kiedy minister poprosił mnie o rozmowę sam na sam z pominięciem hierarchii służbowej. Przed rozmową sugerowano mi zaferowanie ministrowi znacznej sumy jako „podarku”. Tłumaczyłem jak umiałem, że znając ministra będzie to niewłaściwe i niecelowe. Po wstępnej rozmowie o charakterze osobistym minister zapytał mnie konkretnie, czy mogę zareczyć słowem honoru, że złoto z przygotowanego przez ambasadę transportu jest własnością państwa polskiego. Na moją afirmatywną odpowiedź otrzymałem oświadcze-

nie, że nie będziemy mieli żadnych trudności w wysyłce. Na zakończenie wspomniałem o sugestiach moich mocodawców. Ograniczył się do suchej odpowiedzi: „Powiedz tym panom, że rząd rumuński udzieli zezwolenia, ponieważ jego odpowiedzialny minister daje wiarę swemu przyjacielowi, i że to słowo jest dla niego więcej warte niż ofiarowane mu miliony”. Wyszedłem szczerze zażenowany. Tę część opowiadania piszę z pewnym oporem. Dziś ta historia z wielu względów może wydawać się pretensjonalna, fantastyczna, a przede wszystkim niemożliwa do potwierdzenia. Zdaję sobie sprawę, że narażam mój meldunek na wątpliwości, ale świadomie podejmuję to ryzyko dla pamięci tych dawnych przyjaciół rumuńskich, którym tak wiele zawdzięczamy, a o których nikt nigdy z naszej strony nic serdecznego nie napisał.

Na wigilię Bożego Narodzenia zostałem wysłany do obozu naszych internowanych żołnierzy w Targu Jiu. W obozie były jeszcze zwarte jednostki wojskowe z oficerami i podoficerami na czele. Miałem ściśle instrukcje z ambasady, aby poinformować przede wszystkim o utworzeniu nowego rządu i nowych władz wojskowych. Na placu zbiórek stało około pięciu tysięcy żołnierzy. W beznadziejności życia obozowego sam fakt, że jest emisariusz, który przywiózł informacje i instrukcje, że jest znowu dowództwo i rozkaz wystarczył na wykrzesanie nowej nadziei i entuzjazmu. Odśpiewanie hymnu narodowego było jakby odnowieniem przysięgi i wiary. Musiałem potem przejść namioty i baraki, wszędzie serdecznie witany i żegnany.

W pierwszych dniach stycznia mjr Zimnal polecił mi zakupić dwadzieścia kompletów narciarskich. Został sformowany oddział do wykonania specjalnego zadania w Polsce. Oddział składał się z instruktorów narciarskich ze szkoły wysokogórskiej. Zostałem wyznaczony na dowódcę. Treść zadania miała być podana w ostatniej chwili przed wymarszem. Na miejsce koncentracji wyznaczone zostało Vatra Dornei w Karpatach Wschodnich. Tam spędziliśmy dwa tygodnie na dyskretnych ćwiczeniach. W ostatniej chwili zadanie zostało odwołane i wróciliśmy do Bukaresztu.

5 lutego 1940 roku zostałem wezwany do *attachatu*, gdzie płk Zakrzewski podał mi do wiadomości, że z tym dniem jestem zmobilizowany i pod jego rozkazami. Równocześnie odczytał rozkaz Naczelnego Wodza o utworzeniu w Rumunii „Oddziału Specjalnego” w dyspozycji Naczelnego Wodza. Zostałem niezwłocznie zaprzysiężony jako żołnierz tego oddziału. Dowódcą O.S. został płk dypl. Leon Kolbuszewski, szefem sztabu mjr dypl. Henryk Piątkowski, adiutantem i równocześnie dowódcą plu-

tonu „Bukareszt” ppor. rez. Witold Ptasznik. Było oczywiste, że musiano przywiązywać duże znaczenie do tej formacji, skoro wyznaczono na dowódcę tak wybitnego oficera jak płk Kolbuszewski (pseud. Kraszewski), późniejszy szef III oddziału 2-go Korpusu, i na szefa sztabu mjr. Piątkowskiego, pierwszego oficera taktycznego Naczelnego Wodza, późniejszego generała, jednego z najświetniejszych oficerów. Swego szacownego stanowiska adiutanta młody oficer rezerwy nie zawdzięczał oczywiście swym kwalifikacjom wojskowym. Decydującą okolicznością w tej nominacji była raczej znajomość kraju, języka rumuńskiego i fakt posiadania legitymacji urzędnika ambasady z datą 20 października 1937 roku.

Organizacja oddziału przewidywała utworzenie kilku samodzielnych kompanii w różnych punktach strategicznych kraju, wyposażenie w broń, której nie brakowało na składzie w *attachacie* wojskowym, i przygotowanie do zadań na Polskę. Wiedzieliśmy w tym czasie, że Niemcy mają już liczne oddziały, dobrze uzbrojone, uformowane przez Niemców rumuńskich w Siedmiogrodzie. Broń dla oddziałów niemieckich przewożona była w cysternach, które z Niemiec jechały po ropę naftową do Rumunii. Udało mi się pozyskać dla sprawy kilku Polaków pracujących na kolejach rumuńskich, i otrzymywaliśmy dokładne wiadomości z numeracją wagonów, którymi szła broń. Informowaliśmy lojalnie sztab rumuński, ale nie było żadnej reakcji władz. W tej sytuacji O.S. był pewnego rodzaju ubezpieczeniem polskich urzędów i instytucji oraz zapleczem przeprowadzanej ewakuacji wojska.

Zostały utworzone kompanie w Turnu-Severin, Orsova i Konstancy. Dowódcą kompanii w Konstancy został mjr Raciński, późniejszy z-ca d-cy 4 Brygady 3 DSK. Pluton w Bukareszcie ubezpieczał ambasadę R.P. Dowódca plutonu utrzymywał również łączność z kompaniami. W koncepcji O.S. było także coś z „najkrótszej drogi do Polski”, w każdym razie to hasło wtedy po raz pierwszy usłyszałem.

Upadek Francji i spodziewane wojskowe podporządkowanie Rumunii Trzeciej Rzeszy wpłynęło decydująco na losy O.S.

Zapadła decyzja przeniesienia batalionu O.S. na Bliski Wschód, gdzie formowana była Brygada Karpacka, która po kapitulacji Francji przeszła zbrojnie do Palestyny.

Ewakuacja O.S. miała również charakter historyczny. Był to dosyć oryginalny wypadek ewakuacji całej zwartej formacji z Rumunii. *Attachat* wojskowy przygotował ten transport, wykorzystując zrećznie koniunkturę polityczną. We wrześniu 1940

roku port Balczik, dyktatem Hitlera przyznany Bułgarii, z nocy na dzień zmienił przynależność państwową. Batalion O.S. został skoncentrowany w tym porcie w przeddzień tej zmiany, i bez przekroczenia granicy znalazł się w Bułgarii. W Warnie oczekiwał już statek, na który został załadowany cały oddział pod dowództwem płk. Kolbuszewskiego. O.S. skończył swój etap rumuński, aby zasilić Brygadę Karpacką i z nią dzielić dalsze jej losy.

Witold PTASZNIK

Gen. Wacław PIEKARSKI

DZIAŁALNOŚĆ KOP-u W BRYGADZIE „PODOLE”

(Raport dla gen. T. Kasprzyckiego)

Trudno dzisiaj, po blisko trzydziestu latach, pisać o społecznej działalności K.O.P.-u. Na stare lata wiele konkretnych faktów wypada z pamięci.

Dużą pomocą mogłaby tu być jednodniówka wydana przez K.O.P. w dziesiątą rocznicę jego powstania. Tam na pewno można by znaleźć wiele konkretnych danych. Cyfry, ilość świetlic, bibliotek, domów, kaplic itp. powiedziałyby więcej niż ogólniki. Ale gdzie jej szukać? Nie ma odpowiednich dokumentów — dlatego też relacja moja będzie bardzo skromna. Mogłaby może mieć pewną wartość, gdyby można ją było uzupełnić relacjami dowódców baonów i kompanii, właściwych inicjatorów pracy w terenie. Ponieważ jednak każda relacja dotyczyć by mogła tylko krótkiego okresu, tzn. najwyżej czterech lat, jakie dany oficer mógł spędzić w K.O.P.-ie, dla właściwego obrazu działania np. brygady „Podole” potrzebne byłyby relacje: płk. Godziejewskiego i płk. Roweckiego lub ich szefów sztabu. Rzecz niemożliwa, bo poza mną wszyscy już nie żyją.

Praca społeczna w wojsku nie była wyłączną domeną oficera i podoficera K.O.P.-u. Prowadziły ją również oddziały Armii w swoich garnizonach. Charakteru powszechnego nie miała — zajmowali się nią na ogół dowódcy pułków, brygad i dywizji. Był to ze strony tych dowódców pewnego rodzaju sport społeczny,

w którym wyżywali się tylko niektórzy, ci którzy z wychowania i wyrobienia byli uczuleni na zagadnienia społeczne.

W K.O.P.-ie problem ten miał inny charakter: każdy d-ca, od d-cy strażnicy w górę, wciągnięty był do pracy społecznej, bo przebywał wśród ludności walczącej o pewne racje i stykał się z jej potrzebami. Nie bez wpływu były też instrukcje K.O.P.-u, które, choć niczego nie narzucały, nastawiały jednak wszystkie kadry na wysiłek w pracy społecznej.

Dodać trzeba, że z uwagi na położenie społeczno-polityczne ludności przygranicznej praca ta miała również charakter polityczny, gdyż nie można jej było oderwać od celów politycznych, jakie przyświecały państwu polskiemu na tych terenach, niejednolitych narodowo, wyznaniowo i politycznie.

Jeśli chodzi o brygadę „Podole”, którą dowodziłem od jesieni 1931 do jesieni 1935 roku, działała ona za pośrednictwem swych jednostek organizacyjnych i poszczególnych d-ców. W swej pracy korzystała z pomocy finansowej d-wa K.O.P.-u, tzw. Funduszu Społecznego, tworzonego ze składek zawodowej kadry K.O.P.-u.

Rozmieszczenie oddziałów brygady „Podole”

D-wo brygady — Czortków.

A. Pułk „Czortków” M.P. d-wa Czortków. D-ca od 1930 do 1934: płk Artur MARUSZEWSKI, późniejszy wojewoda tarnopolski, a potem kolejno poznański i wileński.

I. Baon „Borszczów”, d-wo w Borszczowie:

Kompanie przygraniczne:

1. *Korolówka* — na odcinku rumuńskim od Okopów Św. Trójcy,

2. *Boryszkowce* — na odcinku sowieckim, idąc na północ,

3. *Gudryńce* — na odcinku sowieckim,

4. *Wygoda* (nazwy nie jestem pewien).

W odwodzie:

Komp. ckm i pluton łączności — w Borszczowie.

II. Baon „Kopyczyńce”, d-wo w Kopyczyńcach.

Kompanie przygraniczne:

1. *Kaczalówka* (nazwy nie jestem pewien — majątek hr. Koziebrodzkich),

2. *Skala*,
3. *Husiatyń*.

W odwodzie:

Komp. ckm w Pustołowce przy granicy, później zaś, po wybudowaniu koszar, w Kopyczyńcach. Pluton łączności w Kopyczyńcach.

- III. Baon odwodowy w Czortkowie, w składzie:
3 komp. strzeleckie, komp. ckm i pluton łączności,
- IV. Szwadron kaw. „Czortków”,
- V. Szwadron „Zaleszczyki”.

B. Podlegające bezpośrednio d-wu brygady:

- I. Baon „Skalat”, d-wo w Skalacie.

Kompanie przygraniczne:

1. *Kalaharówka* (naprzeciw Satanowa),
2. *Wielka Luka*.
3. *Podwołoczyska*,
4. *Toki* na styku z brygadą „Wołyń” i baonem „Dederkały”.

W odwodzie:

Komp. ckm i pluton łączności w Skalacie,
Szwadron kawalerii — Hnilice Wielkie, pow. Zbaraż,
Kompania saperów w Czortkowie.

D-wo brygady składało się z:

D-cy, szefa sztabu bryg., oficera op-wyszk., oficera kanc., szefa int., szefa łączn., szefa wet., kapelana bryg., rejonowego oficera PW.

Brygada „Podole” miała na wypadek wojny zadania osłowne. Stany jej miały być wzmocnione przez Polaków, zmobilizowanych na miejscu.

W powyższej organizacji brygady „Podole” zmieniono w latach 1936-1939 system odwodów; wyposażono ją także w dywizjon artylerii.

K.O.P. stworzony został dla strzeżenia granicy. Że była to jego funkcja zasadnicza, widać ze stosunku liczby kompanii granicznych do oddziałów odwodowych. Każda kompania miała od 4 do 5 strażnic o stanie od 13 do 20 ludzi, w zależności od długości odcinka i ilości wiosek czy miasteczek położonych na linii granicznej. Większość kompanii dysponowała plutonami odwodowymi w sile 20-30 żołnierzy.

Dowódcy — podoficerowie i oficerowie

Jak wiadomo, oficerowie byli wybierani ze stanu całej armii. Dobór ich był doskonały — każdy prawie kapitan nadawał się na d-cę baonu. Służba trwała 3 lata, bywała jednak często przedłużana do 4 lat.

Kadra oficerska bardzo szybko wchodziła w teren i przyswajała sobie zadania K.O.P. Przeważająca większość oficerów, a w szczególności dowódców kompanii, miała ambicję pozostawienia po sobie czegoś pożytecznego nie tylko w dowodzonym przez siebie oddziale, ale także w terenie, na którym żyli przez kilka lat i którego ludność uważała ich za sztandarowych przedstawicieli wojska i państwa.

Zawodowi podoficerowie K.O.P.-u wykazywali stale dużą samodzielność i inicjatywę. Młodszy spośród nich rekrutowali się ze szkoły podoficerskiej K.O.P.-u w Ossowcu. Za moich czasów podoficerowie nie podlegali wymianie. Może dlatego bardziej niż oficerowie wrastali w teren, stając się jego stałym elementem. Większość była żonata, często z miejscowymi Polkami. Mieszkała na strażnicach albo tuż koło nich.

Byli członkami miejscowych kółek rolniczych, kół T.S.L. i prawie każdej polskiej organizacji istniejącej w miejscu ich zamieszkania. Nic dziwnego, że po wójcie byli pierwszą osobą we wsi.

Teren i jego ludność

Terenem działania brygady „Podole” były powiaty borszczowski, kopyczyński, skalacki i zaleszczycki o łącznej ludności 492.200 mieszkańców, co stanowiło więcej niż jedną czwartą ludności całego województwa tarnopolskiego. Podzielona według języka, do którego się przyznawała, ludność tych terenów przedstawiała się następująco:

<i>język</i>	<i>w odsetkach</i>
polski	ok. 49,3 %
ukraiński	25,1 %
ruski	20,4 %
niemiecki	0,1 %
żydowski	4,9 %
inne	0,1 %

Kryterium językowe nie określa samo w sobie przynależności do grup narodowych, którą łatwiej określić według wyznania. W szczególności da się to odnieść do grupy ukraińskiej, o przynależności do której decydowało wyznanie greko-katolickie.

<i>wyznanie</i>	<i>w odsetkach</i>
rzymsko-katolickie	ok. 36,7 %
greko-katolickie	54,5 %
prawosławne	0,1 %
ewangelickie	0,2 %
mojżeszowe	8,4 %

Sporządzane na użytek bieżący lokalne statystyki szacowały ilość Polaków na zgoła 45 %, dodając do rzymskich katolików wszystkich Żydów i inne grupy wyznaniowe (z wyjątkiem obrządku greko-katolickiego). Proporcje różnych grup narodowych były różne w poszczególnych powiatach. Bardzo polski był powiat skalacki, gdzie rzymskich katolików było ponad 45 %, bardzo niepolski zaś powiat zaleszczycki, gdzie liczba ich ledwie ledwie przekraczała 30 %.

Dodam tu, że cyfry, które podaję, nie mogą być uznane za bezwzględnie pewne; oparte są jednak na urzędowych statystykach.

Struktura polityczna poszczególnych grup narodowościowych

Jak wiadomo, terytorium Małopolski Wschodniej zdobyliśmy w walce, ale prawnie przyznano je nam decyzją Rady Ambasadorów z lata 1923 roku. Małopolska Wschodnia miała korzystać z pewnego rodzaju autonomii (rozumieliśmy ją jako samorząd), która Ukraińcom miała zapewnić samodzielny rozwój kulturalny, wyznaniowy i gospodarczy. Do samorządu tego nigdy nie doszło. Na zewnątrz broniliśmy się twierdzeniem, że samorząd istnieje w postaci rad wojewódzkich i powiatowych. W istocie nie było to niczym szczególnym dla tych ziem — instytucje takie istniały wszędzie.

W rzeczywistości grupa ukraińska zachowała swe dawne prawa, uzyskane jeszcze za czasów austriackich, i praw tych ciągle broniła przed zakusami czynników rządowych. Powoli jednak traciła szkoły średnie. Tak np. na terenie brygady straciła jedno gimnazjum i jedno seminarium, a wskutek tzw. utrakwizacji, czyli reformy St. Grabskiego, straciła wiele szkół z językiem

wykładowym ukraińskim. Gospodarczo natomiast grupa ukraińska krzepła.

Ogólnie można powiedzieć, że była ona świadoma swych celów narodowych i znajdowała się w ciągłej walce z rządem polskim, domagając się przywrócenia jej starych praw i walcząc zażarcie o nowe.

Grupa polska wyniosła z czasów okupacji austriackiej bierność i — jak dawniej — w obronie swych interesów narodowych zdawała się na rząd i jego administrację. Miało to ten zły skutek, że przy neutralności polskiej administracji grupa polska była gorzej zorganizowana niż grupa ukraińska i nawet pod polskimi rządami czuła się opuszczona. Dopiero w latach 1927-30, po dużych zmianach na stanowiskach starostów i wojewodów, w sądownictwie i skarbowości, grupa polska znalazła oparcie w rządzie. Więcej, sama administracja wzięła na siebie zadanie obrony i wzmocnienia grupy polskiej.

Jasne było dla wszystkich, że do wymarzonej przez niektóre czynniki integracji Ukraińców poprzez ich asymilację nigdy nie dojdzie. Nawet miarodajne czynniki liczyły się z tym, że w przyszłości trzeba będzie prawa grupy ukraińskiej zrównać z prawami Polaków. Tego mogła wymagać też sytuacja międzynarodowa. Jednak dokonać tego można byłoby dopiero wtedy, kiedy grupa polska byłaby równie świadoma narodowo i równie silna gospodarczo i organizacyjnie co grupa ukraińska.

O ile miasta Małopolski Wschodniej były polskie, a właściwie polsko-żydowskie, o tyle wieś była ukraińska, na niej więc trzeba było skupić wysiłek organizacyjny i uświadomieniowy. Nowa administracja to rozumiała i zaczęła działać, używając różnych środków, do hamowania rozmachu organizacyjnego grupy ukraińskiej włącznie. K.O.P. podążał jej śladem; zresztą nie prowadził w tej dziedzinie własnej polityki, lecz oddał tylko do dyspozycji administracji swój aparat, a zwłaszcza swych ludzi.

Na Podolu i w całej Małopolsce nasycenie wsi inteligencją było bardzo słabe. Poza księdzem i nauczycielem nie było tam nikogo z tzw. elity społecznej. Ci jej przedstawiciele, którzy żyli tam przed 1918 rokiem, wyjechali do innych części kraju, gdzie byli potrzebni. Natomiast grupa ukraińska miała coraz więcej ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem, którzy — nie mogąc po ukończeniu studiów znaleźć odpowiedniej pracy w Polsce czy za granicą — wracali na wieś na skromne posady pisarza parafialnego, sekretarza lub nawet subiekta w *Mastosojuzie*. W ten sposób powstała na miejscu ruchliwa, ideowa i przedsiębiorcza kadra pracowników społecznych, która poza swą pracą

zarobkową prowadziła *Proswity* w zapadłych wsiach, organizowała towarzystwa gimnastyczno-sportowe, odpowiednik naszego „Sokoła”, które jednak politycy ukraińscy traktowali jako ukraińskie przysposobienie wojskowe, organizowała hufce skautowe, wysyłała młodzież na kursy i obozy.

Cele polityki ukraińskiej były dawno określone i aż do wybuchu drugiej wojny światowej nie zmieniły się: z masy ludowej broniącej narodowej racji stanu miał powstać naród świadomy narodowo-państwowej racji stanu, by dojść do *derżawy* — państwowej racji stanu. Wszystkie ugrupowania ukraińskie miały wspólny ideał: dojść do własnego państwa. Jedne zamierzały to osiągnąć przez stopniową autonomię (UNDO), inne przez rewolucyjny czyn zbrojny, kiedy sytuacja będzie temu sprzyjała.

Przeciwwagą dla tych antypolskich i antypaństwowych dążeń mógł być tylko element polski. Na to jednak musiał być równie uświadomiony i równie dobrze zorganizowany jak strona ukraińska i mieć absolutne zaufanie do siły państwa polskiego. Przy równej wartości wewnętrznej obu grup i przy silnym państwie polskim można byłoby z ufnością patrzeć w przyszłość i mówić nawet o helwetyzacji stosunków polsko-ukraińskich, bez obawy, że element polski zostanie zmajoryzowany i wsiąknie w masę ukraińskie.

Z tego wynika, że społeczna praca brygady „Podole” na terenie tych 5 powiatów musiała być prowadzona pod kątem widzenia interesów grupy polskiej.

Można ją zaszeregować następująco:

1. *Tworzenie oddziałów „Strzelca”* — organizacji przysposobienia ideowego i wojskowego młodzieży i przeciwwagi „Łuha” i „Wielkiego Łuha”. D-cy kompanii inicjowali tworzenie większych oddziałów „Strzelca” i dbali o wyposażenie i świetlice dla strzelców, d-cy strzelnic zaś byli ich instruktorami.

Naturalnie równoległe istnienie „Strzelca” i „Łuha” powodowało nieraz dziwne sytuacje. Bywało, że we wsi polsko-ukraińskiej widziało się w niedzielę popołudniu na jednym krańcu wsi oddział „Łuha” pod komendą własną a na drugim oddział „Strzelca” pod komendą podoficera K.O.P.-u.

Gdy na miesiąc przed tzw. pacyfikacją szły z dymem dworskie stogi zboża i spichlerze, powołani przez starostów strzelcy, strzegący obiektów, przyczynili się znacznie do zmniejszenia ilości pożarów. Z punktu widzenia współzycia na wsi nie była to wdzięczna rola, przyczyniła się jednak do ochrony wspólnego dobra.

2. *Świetlice* — ten, kto zna życie na wsi wie, jak wielkie znaczenie ma w nim świetlica, miejsce spotkań, zwłaszcza w zimie, a także skład sprzętu sportowego a często i broni. Tworzono więc świetlice dla „Strzelca” (tych było najwięcej), dla Kółek Młodzieży Wiejskiej i dla TSL, dla młodzieży katolickiej i dla pomieszczenia bibliotek. Oficerowie i podoficerowie K.O.P.-u zawsze uczestniczyli w tworzeniu świetlic, a niektórzy zaopatrywali je w książki.

3. *Budowa Domów Ludowych* — w każdej prawie wsi podolskiej był dom „Proswity”, natomiast polskich Domów Ludowych było mało. Młodzież polska chodziła na zabawy i przedstawienia do domów ukraińskich. Wiadomo, z jakim skutkiem. Wprawdzie było już sporo domów TSL, zbudowanych jeszcze przed 1918 rokiem, ale tylko we wsiach o większości polskiej. We wsiach mieszanych ich nie było. Społeczeństwo polskie doceniało wagę tej sprawy, ale nigdy nie potrafiło się zabrać energicznie do dzieła. Inicjatywa budowy domów wyszła z góry: od wojewodów i wojska. W 1928 roku powołano do życia powiatowe Komitety Budowy Polskich Domów Ludowych pod firmą TSL. Na czele ich stawali starostowie, którzy nie obawiali się już pomagać inicjatywie z budżetu społecznego powiatu. Będąc członkiem Wojewódzkiego Związku TSL i Zarządu Głównego — Sekcja Wschodnia (Lwów), sam mogłem śledzić postęp w budowie domów od 1929 do 1935 roku. Powstało ich kilka dziesiątków, w tym kilkanaście na terenie Podola.

Także i w tej akcji nie zabrakło K.O.P.-u.

Ponieważ piszę o tym, co sam widziałem, podam, że w 1932 roku powstał we wsi Dawidkowce (pow. czortkowski) murywany obszerny „dom strzelecki”, zbudowany przy dużym poparciu d-cy pułku „Czortków” pk. Artura Markuszewskiego i wydatnej pomocy finansowej Funduszu Społecznego K.O.P.-u.

Jeszcze zanim przyszedłem do brygady, powstał w podobnych warunkach w 1930 roku „dom strzelecki” w Czortkowie. Inicjatorem był znowu płk A. Markuszewski; wiele pomogli przy jego budowie saperzy i baon „Czortków”.

Z inicjatywy rtm. Franciszka Cymermana, d-cy szwadronu „Hnilice Wielkie”, zostaje w 1933 roku otwarty Dom Ludowy TSL w Hnilicach Wielkich. I w tym przypadku korzystano z pomocy Funduszu Społecznego K.O.P., rtm. Cymerman potrafił jednak zainteresować swą akcją nie tylko samych Polaków ze wsi, ale i okolicznych ziemian, którzy dostarczyli drzewa i podwód. Murowali spece kawalerzyści ze szwadronu. W ciągu dwóch lat

powstał obszerny dom z salką dla przedstawień i zebrań, pomieszczeniami dla biblioteki i przyszłego sklepu polskiego.

W 1934 roku został otwarty skromniejszy Dom Ludowy w Pustkowcach, wsi położonej na północ od Toki, pow. skalski, tuż nad granicą. Była to inicjatywa d-cy kompanii „Toki” kpt. Lenarczyka.

Były też domy budowane przed moim przybyciem do K.O.P.-u i po moim odejściu z brygady, wymieniam tu jednak tylko te, przy których otwarciu sam byłem obecny.

4. *Budowa kaplic i nabożeństwa polskie* — znaną było rzeczą, że kler greko-katolicki starał się wszelkimi sposobami przyciągać rzymskich katolików do cerkwi i społeczności ukraińskiej. Starał się np. wpisywać na listy greko-katolików dzieci, które chrzczył w zastępstwie księdza i które powinien był odsyłać do parafii rzymsko-katolickiej.

Sytuacje te rozumiał episkopat rzymsko-katolicki w osobie ks. arcybpa Twardowskiego, z którym miałem okazję rozmawiać na ten temat, ale nie mógł temu zaradzić, gdyż nie miał dość kapłanów, gotowych objąć początkujące i bardzo słabe parafie, na domiar złego często pozbawione gruntów kościelnych, które by gwarantowały utrzymanie. Coraz mniej zaś było wśród obywateli ziemskich kolatorów, którzy by dawnym zwyczajem ziemie darowali.

Tym niemniej otwarto za mojego dowodzenia na terenie brygady „Podole” dwa kościołki — bez parafii — wykorzystujące kaplice cmentarne — jeden w Sinkowie pow. zaleszczyckiego, drugi w Bedrykowcach pow. kopyczyńskiego. Urządzenie pochodziło bądź z d-twa K.O.P.-u, bądź z jego Funduszu Społecznego i ze składek miejscowej ludności polskiej. Pracowali przy kościołach żołnierze wraz z ludnością. Powstanie tych kościołów pozwoliło na odprawianie nabożeństw przez dojeżdżających księży albo i bez ich udziału.

Jak ważny był to problem dowodzi fakt, że kpt. Laniewski (nie pamiętam już, z której kompanii), który w niedziele — kiedy ksiądz nie przyjeżdżał — zbierał ludność na mszę nadawaną przez radio, miał kościół zapełniony.

5. *Obozy harcerskie* — co roku przybywały na teren brygady podczas wakacji letnich oddziały harcerskie na obozy. Pochodziły z różnych hufców, większość jednak z Polski zachodniej. Kierowano je do powiatów o atrakcyjnym krajobrazie: borszczowskiego, zaleszczyckiego i kopyczyńskiego. Obozy te miały duże znaczenie, gdyż zapoznawały młodzież z rubieżami polskimi i ich strukturą narodowościową, a także były czynnikiem kształcącym

dla ludności miejscowej. Zapoznawały ją z pieśnią polską i czystą polską mową.

Obozy harcerskie korzystały z pomocy oddziałów K.O.P.-u, które wyszukiwały im obozowiska na gruntach dworskich, ułatwiały transport a często również zaopatrywały je w żywność.

Obozy harcerskie wносиły urozmaicenie w szare życie wsi i strażnic. Księża opiekujący się obozami, a przyjeżdżało ich z Poznańskiego sporo, odprawiali również msze dla ludności i zajmowali się działalnością duszpasterską.

6. *Sporty* — niezależnie od tego, że oficerowie P.W. baonów uczyli dorastającą młodzież i dzieci jazdy na nartach i dostarczali jej sprzętu, d-cy kompanii i strażnic, a przynajmniej ci młodszy spośród nich, byli dobrymi instruktorami narciarstwa. Rezultatem tej akcji było, że ludność, a zwłaszcza młodzież, zaczęła sama fabrykować narty i posługiwać się nimi dla łączności między wsiami zimą, kiedy inaczej trudno było dojechać z powodu zasp.

7. *Obchody narodowe i państwowe* — obchody te, odbywające się z udziałem wojska i „Strzelca” nawet w zapadłych wsiach, miały duże znaczenie wychowawcze. Grupę polską utwierdzały w polskości, grupie ukraińskiej zaś demonstrowały rozmach narodu i państwa polskiego.

8. *Kółka rolnicze i kooperatywy* — nie trzeba dowodzić, jak ważnym elementem w organizacji życia polskiego miały być instytucje mające na celu podniesienie poziomu gospodarczego grupy polskiej w Małopolsce Wschodniej. A jednak polskie kółka rolnicze i spółdzielnie chromały wszędzie, podczas gdy ukraińskie prosperowały. Przyczyną tego był wspomniany już brak wśród ludności polskiej elity społecznej, a często po prostu brak ludzi uczciwych. Toteż udział K.O.P.-u w życiu kółek i spółdzielni był pożądanym.

Włączanie się kadry K.O.P.-u w życie gospodarcze terenu miało często ten skutek, że oficerowie i podoficerowie K.O.P.-u po przejściu na emeryturę wracali na działki, które zakupili w czasie służby. Niektórzy wręcz opuszczali służbę wojskową, by pracować na roli. Na terenie brygady było takich gospodarzy kilkunastu. Zajmowali się ogrodnictwem: uprawiali morele, melony, arbuzy, pomidory i bakłażany. Kilku założyło plantacje tytoniu. Jako posiadacze ziemi jeszcze bardziej się łączyli z miejscową ludnością, pozostając ciągle w kontakcie z oddziałami K.O.P.-u. Nie wszyscy wychodzili dobrze na gospodarce: wielu bankrutowało, bo nie byli przygotowani do tej pracy, innym jednak się wiodło, niektórzy dochodzili do wręcz pionierskich gospodarstw, jeśli chodzi o wprowadzanie nowych upraw.

9. TSL (*Towarzystwo Szkół Ludowych i udział w nim kadry K.O.P.-u*) — TSL od dawna już szerzyło polską oświatę i kulturę na terenach Małopolski Wschodniej. Miało ono swe koła we wszystkich większych miastach i miasteczkach. Natomiast trudno mu było przeniknąć do wsi mieszanych, szczególnie do tych, w których Polacy byli w mniejszości. Poza tym było domeną Stronnictwa Ludowego i nie dopuszczało do współdziałania ludzi z innych stronnictw i innych zapatrywań. Rezultat: brak ludzi do pracy społecznej na wsi, brak inicjatywy kół w odniesieniu do kółek już istniejących i kompletny jej brak jeśli chodzi o powoływanie do życia nowych ognisk oświatowych na małych wsiach.

Sytuacja ta zmieniła się w latach 1927-30, kiedy z inicjatywy wojewodów, starostów i wojska do zarządów TSL prawie siłą weszli urzędnicy oraz oficerowie i podoficerowie wojska i K.O.P.-u, co pozwoliło ożywić działalność TSL. W województwie tarnopolskim udział kadry K.O.P.-u w pracy TSL miał większe znaczenie niż udział samego wojska — stała się ona przedstawicielstwem TSL po wsiach, łączyła TSL z ludnością i sama zapoznawała się z działalnością oświatową na wsi. Mając środki transportu, często służyła oświatowcom pomocą w ich rozjazdach.

Starzy działacze TSL uważali, że wkroczenie wojska i urzędników do TSL jest rozbijaniem tej organizacji. Bezstronnie mówiąc wyszło to jednak całemu TSL na dobre, o czym się samo wkrótce przekonało, widząc jak starostowie sami zaczęli powoływać do życia Komitety Budowy Domów TSL, których bywali nieraz prezesami.

Ożywiła się akcja budowy Domów Ludowych, otwarto bardzo dużo świetlic z bibliotekami. Oficerowie i podoficerowie byli aktywnymi członkami zarządów kół i Domów Ludowych i brali udział w zjazdach oświatowych.

Podsumowując należy stwierdzić, że udział K.O.P.-u w ogólnej akcji polskiej na terenach mieszanych mógł być większy. Działalność jego, rozpoczęta bez planu zaraz po powstaniu K.O.P.-u, z inicjatywy poszczególnych jednostek, przyczyniła się jednak do większego uświadomienia narodowego grupy polskiej. Wzmacniała jej wartość organizacyjną i, co najważniejsze, podnosiła ją na duchu.

Wielka szkoda, że nie podchwyciły jej od razu polskie czynniki społeczne i nie sporządziły planu, w którym K.O.P. stanowiłby ogniwo całego łańcucha działań, zdolnych opierać się akcji strony ukraińskiej.

Straconego czasu nie udało się przez krótki okres międzywojenny odrobić. Gdyby akcja polska była wcześniej skoordyno-

wana, można by inaczej patrzeć na ustępstwa na rzecz grupy ukraińskiej, które być może wciągnęłyby ludność ukraińską do współpracy nie tylko z ludnością, ale i z rządem polskim.

Wojna wybuchła w okresie walki narodowej między obu grupami, a więc w okresie najbardziej dla nas niesprzyjającym. Konsekwencja — wrogi stosunek Ukraińców do żołnierza i do ludności polskiej.

1960

Gen. Wacław PIEKARSKI

I. Ch. BAGRAMIAN

ŻYCIORYS „POLSKIEGO MARSZAŁKA”

W miesięczniku sowieckim *Znamia* (nr 4, kwiecień 1981) ukazał się artykuł marszałka Związku Sowieckiego I. Ch. Bagramiana pt. „Słowo o marszałku Rokossowskim”. Zamieszczamy poniżej fragmenty dotyczące spraw polskich.

(...)

Konstanty Konstantynowicz był zaledwie o rok starszy ode mnie. Urodził się w grudniu 1896 roku. Jego ojciec, K. W. Rokossowski, Polak, był maszynistą kolejowym. Zawód ten na początku wieku wymagał niemałych kwalifikacji. Ojciec K. K. Rokossowskiego był piśmiennym, czytany człowiekiem, doskonale znał literaturę ojczystą i starał się, żeby syn i dwie córki wyrosli na ludzi kulturalnych. Matka Kostii, z domu Owsiannikowa, pracowała przed zamążpójściem jako nauczycielka. Wychowana na rosyjskiej literaturze klasycznej, potrafiła i dzieciom wpoić miłość do niej. W rodzinie mówiono i czytano zarówno po rosyjsku jak i po polsku. Wszystko to najwidoczniej pomogło utalentowanemu chłopcu już w młodości zrozumieć wspólnotę historycznych losów narodów rosyjskiego i polskiego.

Kostia rozpoczął naukę w Warszawie, bo przeniesiono tu jego ojca. Udało mu się jednak ukończyć zaledwie czteroletnią szkołę miejską, bo na rodzinę waliło się nieszczęście za nieszczęściem: ojciec został ranny w katastrofie kolejowej, ciężko potem chorował i wkrótce zmarł, a w parę lat po nim zmarła i matka. Czternastoletni Kostia musiał zaczynać samodzielne życie: kilka razy zmieniał zawód, a w końcu został pomocnikiem kamienia-

rza. W 1912 roku uczestniczył w demonstracji pierwszomajowej warszawskich proletariuszy i dostał się za kratki; zresztą, jako niepełnoletniego wypuszczono go po dwu miesiącach na wolność.

Na początku sierpnia 1914 roku Konstanty, wiedziony patriotyzmem, dopisał sobie dwa lata i zgłosił się jako ochotnik do armii rosyjskiej, do 5-go kargopolskiego pułku dragonów. Stał się wytrawnym, dzielnym kawalerzystą. Niejeden raz przejawiał męstwo, graniczące z zuchwałością. Już w pierwszym roku wojny został odznaczony krzyżem Św. Jerzego i medalem Św. Jerzego IV klasy. Chyba właśnie wtedy, w warunkach codziennego niebezpieczeństwa, uformował się i okrzepł jego charakter, którego podstawowymi cechami stały się, obok bezgranicznego męstwa, opanowanie i zrównoważenie. Nie stracił przy tym wrodzonej zyczliwości.

(...)

Kiedy brano Karauł, Rokossowski dzielił szablą strzelającego do niego z nagana naczelnika jednej z kołczakowskich dywizji generała Woskriesińskiego; sam Konstanty Konstantynowicz odniósł przy tym ciężką ranę w plecy. Po wyzdrowieniu rozprawiał się w grudniu 1919 na czele dywizjonu z kontrrewolucyjnymi polskimi legionistami, którzy usadowili się na węzłowych stacjach magistrali transsyberyjskiej; 1 stycznia 1920 roku wdarł się jako pierwszy do Aczyńska, idąc w awangardzie przestawnej brygady I. K. Griaznowa. Później ujrzymy K. K. Rokossowskiego jako komendanta 3-go pułku kawalerii, bijącego się pod Irkuckiem.

(...)

11 lipca skończyliśmy z tą okrażoną grupką wroga, a w dzień po wyzwoleniu Mińska sztab rozkazał wojskom 1-go białoruskiego frontu okrążyć i nożycowymi uderzeniami 48-ej i 65-ej armii zniszczyć baranowicką grupkę hitlerowców, nie przerywając jednak pościgu za wrogiem. Minęły cztery dni i Baranowicze wyzwolono szturmem. Dowódca frontu całą uwagę skoncentrował teraz na lewym skrzydle frontu. Już po wojnie powiedział mi podczas jakiejś rozmowy:

„Wyobrażasz sobie na pewno, jakie zdenerwowanie mnie ogarnęło, kiedy sztab zatwierdził nasz plan lubelsko-brzeskiej operacji. Przecież za Bugiem leżała moja ojczyzna — Polska, którą opuściłem jako osiemnastoletni chłopak. Jaki jasnowidz mógł przewidzieć, że warszawski kamieniarz, który wstąpił jako ochotnik-szeregowiec do pułku dragonów kargopolskich i razem z nim zmuszony był uciekać z Polski pod naporem niemieckiej Reichswehry, wróci do niej po trzydziestu latach na czele wojsk frontowych, liczących sobie milion żołnierzy, żeby zacząć święte dzieło wyzwolenia Polski spod niemiecko-faszystowskiego jarzma”.

Doskonale rozumiałem, dlaczego mój stary druh mówił o tym

z takim przejściem, bo sam odczuwałbym to samo, gdyby mi, powiedzmy, przyszło wyzwalać Ormian spod osmańskiego jarzma.

7 lipca sztab zatwierdził plan operacji lubelsko-brzeskiej. 18 lipca pięć armii ogólnowojskowych, wśród nich I-sza Polska, a także korpus artylerii, czołgów i lotnictwo przeszły do ataku i tego samego dnia, złamawszy obronę wroga na trzydziestokilometrowym froncie, wdarły się na piętnaście kilometrów w głąb jego sił, a po dwóch dniach żołnierze I frontu białoruskiego ujrzeli majestatyczny nurt zachodniego Bugu — rzeki, leżącej na granicy z Polską.

Konstanty Konstantynowicz nie wytrzymał: pojechał na brzeg Bugu, żeby osobiście organizować przejście przez wodną zaporę. I oto widzi już niekończące się szeregi wojsk i techniki, ginące gdzieś za rzeką. Czołgiści i kawalerzyści, czując jakby niecierpliwłość swego ukochanego wodza, zażarcie forsowali Bug; śmiałym, miążdżącym wszystko atakiem zmietli ochronę wroga i po jego śladach wpadli do Lublina 23 lipca, to znaczy cztery doby przed planowanym terminem operacji.

Miasto Lublin stało się tymczasową stolicą Polski. Na Placu Zamkowym zebrały się tysiące mieszkańców miasta, wojaków i żołnierzy wojska polskiego na wiec, poświęcony utworzeniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Stary polski gród, założony w dziesiątym wieku, stał się świadkiem triumfu przyjaźni polsko-sowieckiej.

„Przypadł mi w udziale wielki zaszczyt — występowałem na wiecu w Lublinie — z przejściem opowiadał Konstanty Konstantynowicz. — Był to jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu. Podchodzę do mikrofonu — kontynuował opowieść — zbieram myśli, bo nie chciało mi się mówić według przygotowanego z góry tekstu, a przyznaję, że wprawy w wygłaszaniu mów po polsku nie miałem prawie żadnej. Zacząłem zwyczajnie: „Drodzy obywatele wyzwolonej Polski, bracia i siostry, nadeszła historyczna chwila oswobodzenia waszej umęczonej ojczyzny spod nazistowskiego jarzma przez bratni naród sowiecki”.

Na te pełne uczucia słowa odpowiedział najpierw zgiełk zdziwienia i uniesienia, a potem burzliwa owacja. Lublinianie dowiedzieli się z radością, że marszałek Związku Sowieckiego Konstanty Konstantynowicz Rokossowski jest ich rodakiem. Wielotyśięczny tłum z natężoną uwagą łowił każde słowo, a mówca mówił o losie umęczonej ojczyzny.

Po tym pamiętnym dla wszystkich Polaków wydarzeniu Rokossowski ze zdwojoną energią zaczął organizować natarcie. Zastosował całą swoją wiedzę dowódcy, umiejętnie oparł się na aparacie partyjno-politycznym i komunistach w wojsku i udało mu się, złamawszy rosnący opór wroga, wyprowadzić swoje wojska szerokim frontem ku Wiśle. Mało tego, za cenę ogrom-

nego wysiłku zdołano stworzyć trzy przyczółki na jej zachodnim brzegu, a potem we wrześniu, łamiąc prawdziwie zwierzęcy opór Wehrmachtu, wojska frontowe zajęły Pragę, prawobrzeżne przedmieście polskiej stolicy.

Wydawałoby się, że Warszawa jest na wyciągnięcie ręki, ale w tym momencie wojska, które od dwu i pół miesiąca nieprzerwanie zadawały wrogowi cios za ciosem, całkowicie wyczerpały swoje możliwości natarcia. Dłuższa przerwa w operacjach stała się naprawdę konieczna. Z tą sprawą należało się zwrócić do sztabu. J. W. Stalin z wielką niechęcią przystał na prośbę dowódcy frontu.

Wówczas Konstanty Konstantynowicz przeżył jeden z najtrudniejszych w swym życiu okresów. Rzecz w tym, że w tych dniach w stolicy Polski wybuchło powstanie, spowodowane przez agencję londyńskiego emigracyjnego pseudorządu. Dowodził nim generał Bór-Komorowski. Kiedy dowództwo sowieckie dowiedziało się *post factum* o wybuchu powstania, Rokossowski posłał na rozkaz Głównodowodzącego dwóch sowieckich oficerów-spadochroniarzy do generała. Butny prowokator nie raczył ich przyjąć.

Nie chcąc, aby armia sowiecka i narodowe wojsko polskie uczestniczyły w wyzwoleniu Warszawy, organizatorzy powstania nie powiadomili o swoich planach ani dowództwa sowieckiego, ani dowództwa wojska polskiego. Decydując się na powstanie warszawskie, nieprzygotowane ani politycznie ani wojskowo, dowództwo Armii Krajowej z generałem Bór-Komorowskim na czele liczyło na panikę garnizonu wojsk hitlerowskich i faszystowskiej administracji Warszawy, którą wywołało zbliżanie się wojsk sowieckich i Wojska Polskiego. W rzeczywistości wydarzenia te skomplikowały tylko sytuację na najważniejszym odcinku frontu sowiecko-niemieckiego.

Mieszkańcy Warszawy nie wiedzieli nic o prawdziwych celach, jakie przyświecały organizatorom zbrojnego powstania, pragnęli jednak jak najprędzej przegnać wroga z miasta. Dlatego też aktywnie włączyli się do walki z doskonale uzbrojonym faszystowskim garnizonem i przejawili prawdziwy heroizm w boju. Jednak siły od pierwszej chwili były nierówne. Naprzeciw dobrze uzbrojonego szesnastotysięcznego garnizonu faszystowskiego stało niewiele ponad 40 tysięcy żołnierzy, którzy dysponowali około trzema i pół tysiącami sztuk broni palnej. Hitler wydał rozkaz bezwzględного zdławienia powstania i zrównania Warszawy z ziemią. Po mało znaczących sukcesach w pierwszym tygodniu walk położenie powstańców stawało się z dnia na dzień gorsze. Ponosili wielkie straty. Brakowało wody, żywności, nabojów, lekarstw. Już 12 sierpnia Bór-Komorowski błagał swoje dowództwo w Londynie, aby natychmiast przysłało broń, naboje, aby bombardować obiekty przeciwnika i dokonało desantu powietrz-

nego. W przeciwnym przypadku, podkreślał, walka powstańców zakończy się kłeską za kilka dni. Jednak Londyn nie przystał odsieczy.

Świadomość, że nie może podjąć szeroko zakrojonej operacji celem poparcia powstańców była prawdziwą udręką dla Rokossowskiego. Poza wszystkim innym w Warszawie mieszkała jego jedyna siostra.

W tych dniach wielokrotnie rozmawiał przez radio ze Stalinem. Wysłuchawszy kolejnego sprawozdania o sytuacji na froncie i o wszystkim, co było związane z Warszawą, Głównodowodzący spytał, czy istnieje choć najmniejsza możliwość rozpoczęcia operacji wyzwolenia stolicy Polski. Rokossowski odpowiedział ze ściśniętym sercem, że nie. Jednak on i Głównodowodzący byli jedynymi, którzy mieli zamiar okazać powstańcom wszelką możliwą pomoc. Już od 13 września zaczęło się powietrzne zaopatrywanie powstańców w broń, naboje, żywność i lekarstwa. Robiły to nocne bombowce Po-2, które zrzucały swój ładunek z niskich wysokości w punktach wskazanych przez powstańców. Przez pół miesiąca dokonano prawie pięciu tysięcy takich lotów. Poza tym na prośbę powstańców nasze samoloty ochraniały ich z powietrza, bombardowały i szturmowały wojska okupanta w mieście. Artyleria przeciwlotnicza starała się osłonić powstańców od sępów Luftwaffe, a artyleria naziemna — zgnieść nieprzyjacielskie siły ogniowe, bijące ogniem w powstańców. Rokossowski, który wszystko to uważał za niewystarczające, za zgodą sztabu zorganizował duży desant sił I Armii Wojska Polskiego w Warszawie.

15 września wszystkie dywizje I Armii Wojska Polskiego zostały przeniesione na Pragę. Ich zadaniem było sforsować Wisłę, zdobyć przyczółki w samej Warszawie i nawiązać kontakt bojowy z powstańcami, których dowództwo pod naciskiem wydarzeń zdecydowało się w końcu 15 września na nawiązanie kontaktów z Armią Sowiecką i Wojskiem Polskim. Pierwsza sforsowała Wisłę 3-cia dywizja piechoty. Wspierało ją sześć sowieckich brygad artylerii, pułk saperów i sześć dywizjonów artylerii. Dołączono do niej także trzy bataliony wojsk inżynieryjnych i batalion amfibii. Ruchy dywizji osłaniało z powietrza lotnictwo frontowe.

W okresie między 16 a 20 września na lewy brzeg Wisły przeprowadziło się sześć wzmocnionych polskich batalionów. Jednak te pododdziały, które z samozaparciem przedarły się przez Wisłę i usadowiły na drugim brzegu na przybrzeżnych przyczółkach, które im uprzednio wskazali dowódcy powstania — na czym też opierały się wszystkie rachuby — znalazły się w ostrym ogniu artylerii i min. Nikczemna zdrada nie ulegała wątpliwości: Bórkomorowski wiarołomnie odwiódł swoje siły z brzegu Wisły i desant zastał tam hitlerowców. Mimo to udało mu się, za cenę

wielkich strat, zacząć się na brzegu. Do walk rzucano wciąż nowe siły. Straty rosły. Ci zaś, którzy w przestępczy sposób uzurpowali sobie kierownictwo powstaniem, nie tylko nie okazali desantowi pomocy, ale nawet nie starali się nawiązać z nim kontaktu. Utrzymywać nadal przyczółek znacząco ponieść jeszcze większe straty; jak by mu to nie było ciężkie, Rokossowski zdecydował 24 września przerwać operację. Główną przyczyną było zdradzieckie postępowanie przywódców powstania warszawskiego. Dążąc do swego nikczemnego celu, nie zorganizowali ani jednego uderzenia z centrum miasta ku przyczółkowi. Więcej: w rozstrzygającym momencie, kiedy dla utrzymania przyczółków trzeba było koniecznie zjednoczyć wysiłki, przywódcy powstania, uparcie trzymając się wrogich polskim siłom demokratycznym i Związкови Sowieckiemu pozycji, zrobili wszystko, żeby zerwać kontakt z forsującymi Wisłę wojskami.

Dowództwa I frontu białoruskiego i I Armii Wojska Polskiego nadal wspierały powstańców atakami artylerii i lotnictwa, a także pomocą materialno-techniczną. Na I białoruski front przyjechał G. K. Żukow, którego Stalin upoważnił do udzielenia powstańcom wszelkiej możliwej pomocy. Było jednak już za późno. Sprzedawczycy doprowadzili sprawę do jej logicznego końca — do pełnej katastrofy. Żołnierze I białoruskiego frontu byli świadkami planowego wandalizmu: hitlerowscy satrapi zrównali z ziemią Warszawę — miasto, związane dla Rokossowskiego z tyloma pięknymi wspomnieniami młodości.

(...)

W tym okresie imperializm USA i jego sojuszników, forsując wysięg zbrojeń, zaczął „zimną wojnę” przeciw krajom wspólnoty socjalistycznej. W tych warunkach zadanie umocnienia siły obronnej i zwiększenia bezpieczeństwa stanęło w całej swej okazałości przed wszystkimi krajami socjalistycznymi, w tym oczywiście i przed Polską Ludową. Jej prezydent Bolesław Bierut nalegał i prosił rząd sowiecki, aby oddał Konstantyna Konstantynowicza do dyspozycji rządu polskiego. Kierownictwo sowieckie przychyliło się do tej prośby. Rokossowskiego mianowano marszałkiem Polski, zastępcą przewodniczącego Rady Ministrów i Ministrem Obrony Narodowej PRL, wybrano go na członka Biura Politycznego PZPR i posła do Sejmu. Rokossowski piastował te stanowiska przez siedem lat i robił co mógł dla umocnienia siły obronnej polskiej republiki. W styczniu 1956 roku poprosił rząd polski, aby w związku z pogarszającym się stanem zdrowia zwolnił go z zajmowanych funkcji. Prośbie jego zadośćuczyniono. Za zgodą rządu sowieckiego Konstantyn Konstantynowicz powrócił do ZSSR.

O uznaniu narodu polskiego i wojska dla zasług Rokossowskiego świadczy nota rządowa, wręczona mu na krótko przed jego odjazdem z Polski. W nocie tej czytamy m.in.: „Od chwili,

kiedy na prośbę rządu polskiego przyjął Pan stanowisko ministra obrony Polskiej Republiki Ludowej i Głównodowodzącego Wojska Polskiego, nie szczędząc sił poświęcił Pan całą swoją wiedzę i umiejętności jak najlepszemu wypełnieniu tych odpowiedzialnych obowiązków. O doskonałych wynikach Pańskiej pracy świadczy umocnienie mocy obronnej naszego kraju i polepszenie zarówno poziomu organizacyjnego jak i wyposażenia i umiejętności fachowych Wojska Polskiego, w co Pański wkład jest znaczny”.

I. Ch.BAGRAMIAN

Janina STOBNIAK-SMOGORZEWSKA

OSADA KRECHOWIECKA

*Osadnikom krechowieckim
gdziekolwiek są i pamięci
tych co odeszli.*

Wiosna 1921 roku. Do wsi Horyńgród, położonej w odległości około 20 km na wschód od Równego, przybyła w tydzień po Wielkiejnocy, 12-osobowa grupa ułanów 1-go Pułku Krechowieckiego — przyszłych osadników. Byli to młodzi ludzie w wieku od 23 do 28 lat. Wielu z nich było kawalerami orderu *Virtuti Militari*, większość nosiła na piersiach Krzyż Walecznych. Jako zasłużeni żołnierze, otrzymali na własność ziemię na obszarach, które po zakończeniu wojny stały się własnością skarbu państwa. Ułani krechowieccy osiedlili się na tzw. terenach szubkowskich, gdzie przed wojną armia rosyjska miała swój ćwiczebny poligon. Każdy z ochotników otrzymał od macierzystego pułku jako „wiano” — konia, siodło, szablę i karabin. Poza tym obietnicę — spełnioną — otrzymywania żołnierskiego żołdu do czasu pierwszych zbiorów, a więc do jesieni tegoż roku.

Sytuacja jaką młodzi przybysze zastali przedstawiała się następująco: tereny poligonu były częściowo obsiane przez miejscowych ukraińskich chłopów, żywiących nadzieję, że po zakończeniu działań wojennych i ustabilizowaniu się władzy w jakimś

stopniu będą w podziale tych ziem partycypowali. Było to szczerze pole, bez żadnych zabudowań, w północnej i wschodniej części otoczone koźlińskimi i szubkowskimi lasami. Na skraju poligonu, tego prawie płaskiego terenu, gdzieś niedaleko pofalowanego, znajdowało się niewielkie, kilkuhektarowe uroczysko Karłowszczyzna, pokryte rzadkim liściastym lasem.

Ułańska grupa podzieliła się na dwie części — jedna pozostała czasowo w Horyńgrodzie, druga przeniosła się na Karłowszczyznę. Były kłopoty z zakwaterowaniem, toteż każdy radził sobie jak mógł; większość zamieszkała „kątem” u okolicznych chłopów, kilku w starej leśniczówce, inni — w jedynym domu jaki stał na Karłowszczyźnie, jeszcze inni — w sąsiednim miasteczku Tuczynie.

Wkrótce po przybyciu powołany został pierwszy zarząd dla kierowania całością spraw, których przybywało coraz więcej. Wybrano również tzw. dziesiętników; należał do nich odbiór części zbiorów od chłopów z terenów przyszłej osady. Uzyskane w ten sposób zboże — w snopach — ułożone we wspólne stogi na Karłowszczyźnie, a później w zimie wspólnymi siłami wymłóćcane wypożyczoną maszyną. Nie było tego wiele a na jednego osadnika przypadło zaledwie sześć kwintali.

Jesienią zrobiono pierwsze zasiewy ze zboża przysłanego przez towarzystwa rolnicze, od których otrzymano również kilkanaście siewników. Zasiewy robiono już indywidualnie na dwuhektarowych poletkach, dowolnie wybranych przez każdego.

Równocześnie przybyli geometrzy i rozpoczęli dzielenie terenu na poszczególne 11-hektarowe działki. Z podziału wyodrębniono obszar 4 ha mniej więcej centralnie położony, na którym miał być zbudowany Dom Osady, oraz obszar Karłowszczyzny, przewidziany w przyszłości jako wspólny ośrodek dla okolicy.

Po zakończeniu prac mierniczych nastąpiło losowanie komu jaka działka ma przypaść. Najpierw losowały szwadrony — a było ich cztery — w jakiej stronie każdy z nich się osiedli. Potem nastąpiło losowanie indywidualne w obrębie szwadronowego terenu. Tak więc los decydował, kto będzie czyim sąsiadem i gdzie jego działka będzie położona. Określenie „działka” pozostało w użyciu do końca na osadzie; nie mówiono „na moim gospodarstwie”, tylko „na mojej działce”.

Ponieważ jesienią zasiewano na dowolnie wybranych poletkach, toteż w roku następnym z nich zbierano, choć leżały na działce któregoś z kolegów. Zasiewy wiosenne 1922 roku były, po raz pierwszy, już na własnym terenie. Niejednokrotnie —

wobec braku narzędzi rolniczych i materiału siewnego — korzystano z pomocy miejscowych chłopów, odstępując im w zamian część ziemi do uprawy. Ta forma współpracy utrzymała się jeszcze jakiś czas, gdy osadnicy potrzebowali pomocy przy rozporządzających się budowach własnych domów i budynków gospodarczych.

Początkowa niechęć ukraińskich chłopów, nieufnie patrzących na polskich żołnierzy, zaczęła powoli ustępować, gdy się zorientowali, że to nie „pany”, ale — podobnie jak oni — pracujący z zakasanyimi rękawami, ubrani w połatane stare mundury i — co bardzo ważne — próbujący żyć przyjaźnie razem z nimi, a nawet mówiący do nich po ukraińsku. Nie ma wątpliwości, że do tego zbliżenia przyczyniła się niejedna wspólnie wypita butelka, od której ani ułani ani chłopci nie stronili.

W początkach 1922 roku grupa około 40 ułanów przesunięta została na teren Żytynia, około 7 km od Osady Krechowickiej w kierunku Równego, gdzie utworzyli nową osadę, nazwaną — od imienia pułkownika Mościckiego — Bolesławicami. Natomiast na tyłach Osady Krechowickiej z pozostałych skrawków ziemi powstała tzw. osada cywilna (w odróżnieniu od wojskowej), gdzie na działkach czterohektarowych osiedlili się miejscowi Polacy.

Gospodarstwa osadnicze zaczęły się stopniowo powiększać; przede wszystkim przybył każdemu jeden dodatkowy koń, wylosowany ze stada wybrakowanych koni przysłanych przez pułk.

Zima 1921/22 — sroga jak wszystkie zimy na Wołyniu — minęła na gromadzeniu budulca. Rząd przydzielił każdemu osadnikowi 50 metrów sześciennych drzewa z lasów szubkowskich, z tym oczywiście, że samemu trzeba było to drzewo ściąć, zwieźć i zatroszczyć się o pocięcie. Robiono to wspólnymi siłami; dawni ułani zamienili się w drwali. Nie był to wielki przydział, zważywszy, że działki były całkiem puste i trzeba było myśleć nie tylko o dachu nad własną głową, ale i o budynkach gospodarczych. Poza tym chłopci chętnie widzieli drzewo jako zapłatę za pomoc przy zwózce. Radzono więc sobie jak tylko się dało i cięto drzewo z prawdziwą ułańską brawurą — któż tam zresztą skrupulatnie liczył te sześciennie metry!

Niewiele jednak domów stanęło w 1922 roku. Następną zimę większość spędziła — podobnie jak poprzednią — mieszkając po różnych kątach. Robota przy budowach ruszyła na dobre w roku następnym. Postawiono nie tylko domy, ale również trochę zabudowań gospodarskich — szczególnie pomieszczenia dla koni i pierwszych sztuk żywego inwentarza. Było to wszystko bardzo skromne — po prostu aby zaspokoić najpilniejsze potrze-

by; brak funduszków nie pozwalał na nic więcej. Dużą ulgą w finansowych kłopotach było zwolnienie od płacenia podatków przez pierwsze pięć lat gospodarowania.

Zaczęły się też pierwsze ożenki. Ładnych polskich panien nie brakowało w okolicznych miasteczkach, nic więc dziwnego, że przybycie dziarskich ułanów, wprawdzie nie bogatych, ale za to z famą bohaterów, było przez nie same i ich rodziny mile widziane. Odbywały się więc śluby „pod szablami” i huczne wesela, na które zapraszano przede wszystkim szwadronowych kolegów. Inni wyjeżdżali do rodzinnych stron i stamtąd przywozili młode żony. Mniejsze czy większe posagi „osadniczek” wspomagały pustawe sakiewki zwycięzców spod Krechowiec.

W czerwcu 1923 roku osadnicy otrzymali od Powiatowego Komitetu Nadawczego w Równem „Protokoły oddania w posiadanie działki ziemi”, pierwszy dokument stanowiący podstawę prawną do użytkowania działek. Akty nadawcze — nadające prawo własności — otrzymali osadnicy od tego samego urzędu dopiero w 1927 roku, kiedy wyniki ich gospodarowania były widoczne.

Zimą 1923/24 wszyscy ułani mieszkali już na Osadzie. Korzystając z przerwy w robotach gospodarskich, można było spokojnie pomyśleć o wspólnych sprawach. Przyjęto wówczas pierwszy ramowy statut, regulujący życie Osady jako samorządnej organizacji. Dotychczasowy, prowizoryczny zarząd został rozszerzony, utworzono poszczególne komisje oraz powołano koleżeński sąd polubowny, mający rozpatrywać ewentualne spory między osadnikami. Warto dodać, że do końca istnienia Osady nie było ani jednej sprawy sądowej między krechowickimi osadnikami; wszelkie spory rozstrzygano na miejscu, a powaśnione strony decyzje sądu koleżeńskiego respektowały.

Próbowano również doksztalać się zawodowo. Większość osadników nie miała pojęcia jak trzeba zabrać się do uprawy ziemi. Poszli do wojska bardzo młodo — niektórzy już w 1914/15 roku, prosto ze szkół, z fabryk czy z rzemieślniczych warsztatów. Uczyli się więc rolnictwa na własnych błędach, kupowali fachowe książki i pisma. Pierwsze próby fachowej pomocy nie dały zbyt wiele; przyjeżdżali wprawdzie różni instruktorzy, ale ich uniwersytecka wiedza była daleka od prymitywnych warunków w jakich osadnikom przyszło pracować. Dopiero kiedy w latach następnych powstała na terenie dawnego majątku Szubków szkoła rolnicza, w której organizacji osadnicy wiele pomogli, instruktorzy tej szkoły okazali się dużą fachową pomocą dla osadników.

Powoli życie zaczęło się stabilizować, każdy rok przynosił lepsze wyniki. Około 1925 roku niewielu już było osadników, którzy nie założyli jeszcze rodziny. Było już sporo dzieci, o których przyszłości trzeba było myśleć. Ogromnym wsparciem dla swoich mężów były osadniczki. Dzieliły pogodnie wszystko co dobre i złe; a tego drugiego było na początku w nadmiarze; znosiły niewygody i kłopoty materialne, troszczyły się o dzieci, którym nie zawsze mogły dać to, czego by chciały. A poza tym musiały okazywać dużo wyrozumienia dla ułańskich fantazji swoich małżonków.

Zimą 1925 roku podjęto pierwszą większą wspólną inicjatywę — organizację spółdzielczej mleczarni. Skromny początkowo inwentarz zaczął się powiększać, toteż znalezienie zbytu dla nadwyżki mleka stało się konieczne. Początkowo była to bardzo prowizoryczna mleczarnia, w domu jednego z osadników, ale jej rozwój następował szybko. Wkrótce dostarczano mleko nie tylko z Osady Krechowickiej, ale również z sąsiednich osad i wsi. Krechowickie masło — poprzez Zarząd Spółdzielni Mleczarskich w Równem — dochodziło aż do Warszawy. Dla wygody dostawców utworzono w okolicy pięć filii, w których zainstalowano wirówki do odciążania mleka.

Około 1927 roku powstał projekt zbudowania wspólnego domu, miejsca spotkań, szkoły i siedziby różnych organizacji. Każdy z osadników złożył w banku 200-złotowy weksel, na podstawie czego uzyskano potrzebną pożyczkę. W 1929 roku poświęcono fundamenty — przybył na tę uroczystość prezydent Ignacy Mościcki. Było to wyróżnienie dla Osady, tym bardziej cenne, że poparte dotacją ze strony prezydenta. Na początku lat 30-tych dom był gotów, ale w latach następnych, w miarę potrzeb, stałe go rozbudowywano. Dla zajmowania się sprawami Domu Ludowego powoływano „gospodarza”, którym był zawsze jeden z osadników.

W Domu Ludowym znalazło się wreszcie miejsce dla zebrań, pokój dla zarządu Osady, a dużą część zajęła szkoła, a obok pomieściły się również: biblioteka, poczta, spółdzielczy sklep spożywców i mleczarnia. Przeniesienie mleczarni spotkało się z protestem sąsiednich osad, szczególnie Hallerowa i Jazłowiec, zwiększyła się bowiem odległość ich dojazdów; w rezultacie otwarto na Hallerowie szóstą filię. Mleczarnia zresztą w kilka lat później okazała się znów za małą; w 1939 roku zakończona została budowa nowych pomieszczeń na Karłowszczyźnie, ale wybuch wojny uniemożliwił ich uruchomienie.

Obok Domu Ludowego wybudowano kwaszarnię kapusty, a głównymi dostawcami okazali się jednak nie osadnicy, lecz okoliczni chłopci. Zbudowano też śpichlerz zbożowy, w którym osadnicy składali swoje zboże na okres zimowy, aby z powodu braku pomieszczeń nie uciekać się do niekorzystnej sprzedaży na jesieni. Z biegiem czasu coraz mniej z nich korzystało z tego wspólnego magazynu — budowali własne śpichrze na swoich gospodarstwach.

Rządowa polityka „kresowa” na ogół faworyzowała osadników, ale niejednokrotnie trzeba było staczać walki z władzami, aby uzyskać ich zgodę na nowe zamierzenia. Tak było np. z uruchomieniem poczty, co spowodowało konieczność wyjazdu jednego z osadników aż do Ministerstwa Poczty i Telegrafów w Warszawie, gdzie ostatecznie ważni dyrektorzy ulegli wobec krechowieckich ataków. Były też kłopoty z kuratorium rówieńskiego okręgu szkolnego, które początkowo nie chciało zatwierdzić szkoły na osadzie jako 7-klasowej. Wysłana delegacja postawiła sprawę kategorycznie: „Jeśli nie — to pojedziemy do Marszałka!” (Piłsudskiego — J.S.). Trudno dociec co przekonało pana kuratora — argumenty, czy zapowiedź najwyższej interwencji — dość że szkołę zatwierdzono.

Była to zresztą szkoła, do której prócz dzieci z Osady Krechowieckiej uczęszczały również starsze dzieci z sąsiedniej osady Bajonówka i z okolicznych wsi ukraińskich. Prowadzona była na bardzo wysokim poziomie. Pamiętam z moich własnych wspomnień, że kiedy zaczęłam chodzić do gimnazjum Związku Osadników w Równem, grupa z naszej szkoły uznana była za wyróżniającą się, a jeden z naszych profesorów nawet powiedział: „Wy, dzieci z Osady Krechowieckiej powinniście podziękować swoim nauczycielom za to, że was tak dobrze przygotowali”.

Trzy lata przed wojną pierwsza grupa najstarszych dzieci ukończyła szkołę na Osadzie i prawie wszyscy zaczęli kształcić się dalej — głównie w Równem — w gimnazjach ogólnokształcących, szkole handlowej czy zawodowej. Mieszkaliśmy w internatach osadniczych, zwanych „Ogniskami”. Marzeniem osadników, z których niewielu otało się o jakąkolwiek szkołę średnią, było zobaczyć swoje dzieci na uniwersytetach!

W 1929 roku zakończona została budowa szosy, która przecinała Osadę i łączyła Równem z Tuczynem. Zaczął wówczas na tej linii kursować autobus, ułatwiający kontakt z powiatowym miastem. Dotychczas jedynym środkiem komunikacji były konie, a i to w ograniczonym zakresie, bowiem wiosenne roztopy i je-

sienne deszcze wsiąkające w ciężką, gliniastą ziemię powodowały takie błota, że zaprzęgi łatwo w nich grzęzły.

Na początku lat trzydziestych wysunięta została przez dwóch osadników, po ich świeżo odbytej pielgrzymce do Częstochowy, myśl budowy kościoła na Karłowoszczyźnie. Opinie co do tego były podzielone. Bardziej radykalna grupa była zdecydowanie przeciwna, uważając że dotychczasowa kaplica w Horyńgrodzie wystarcza w zupełności, a Osada ma zbyt wiele innych potrzeb gospodarczych i kulturalnych, którym należy się priorytet. Były dwie idee: jedna — utworzenie na Karłowoszczyźnie usługowego ośrodka rzemieślniczego, który byłby równocześnie szkołą zawodową dla mniej zdolnej młodzieży; i druga — zainstalowanie na Horyniu w okolicy wsi Koźlin turbiny, produkującej energię elektryczną dla Osady i całej okolicy. Niestety — jak to często bywa — myśl postępową z trudem znajduje poklask, toteż kościół zaczęto budować. Trzeba dodać, że i przeciwnicy solidarnie się do tego przyłączyli. Znowu do banku popłynęły 200-złotowe weksle, a osadnicze wozy zaczęły zwozić kamień wapienny z odległego o 17 km kamieniołomu. Wysiłek był ogromny, tym bardziej, że sąsiednie osady nie przyjęły Karłowoszczyzny jako najlepiej wybranego miejsca, wobec czego do budowy kościoła się nie przyłączyły. Osada Krechowiecka podjęła ten wysiłek sama, ale nadszedł moment krytyczny, gdy wydawało się, że siły słabną. Wówczas dwóch osadników — o ironio! — tych początkowych oponentów, udało się do sąsiednich wsi — Koźlina i Remla — z prośbą o pomoc. Prawosławni ukraińscy chłopcy zgodzili się pomóc katolickim osadnikom. Całą tę sprawę przypiętowano wypiciem kilku butelek „wyborowej”, i od następnego dnia sznur małych chłopskich wozików pojechał zwozić kamień.

Również niektórzy osadnicy z innych osad z własnej inicjatywy zaczęli pomagać przy budowie. Ale byli i tacy, którzy za wszelką cenę nie chcieli dopuścić do powstania kościoła na Karłowoszczyźnie. Zdarzył się nawet przykry incydent podczas zbiorowego kopania fundamentów: pewnego dnia ktoś strzelił w kierunku terenu budowy. Strzał okazał się na szczęście chybiony. Winowajcy nie schwytano, choć wiele osób domyślało się, że był nim osadnik z sąsiedztwa.

Kościół został zbudowany przez uczniów szkoły budowlanej w Dubnie, dla których takie przedsięwzięcie było doskonałym ćwiczeniem. Osada zapewniła im tylko pomieszczenie i wyżywienie.

Poświęcenie kościoła odbyło się w 1937 roku z udziałem

wszystkich osadników i osadniczek, władz kościelnych, państwowych i pułkowych. Wielu dawnych kolegów Krechowiaków przybyło z różnych stron Polski. Po uroczystościach kościelnych prawie dwa dni trwało mniej uroczyste popijanie i zabawa w Domu Ludowym.

Z kościołem wiąże się jeszcze inna, raczej zabawna, historia obrazu do głównego ołtarza. Obraz został wymalowany przez Krechowiaka płk. Wisznickiego i przedstawiał siedzącą Matkę Boską jako Królową Korony Polskiej z Dzieciątkiem, a przed nią klęczących dwóch ułanów krechowieckich: jeden z pochylonym sztandarem, drugi ze snopem zboża. Kiedy obraz został odsłonięty, okazało się że Matka Boska była podobna do kuzynki jednego z osadników, Dzieciątko — do jego córeczki, a on sam klęczał ze sztandarem, mając obok drugiego osadnika — tego ze snopem. Wtedy już nie tylko tradycyjni ateusze, ale i ci bardzo wierni powiedzieli, że się do swoich znajomych modlić nie będą. Cóż było robić ze zbuntowanymi ułanami i równie zbuntowanymi osadniczkami? Obraz wyniesiono do kąta na chór, a równocześnie załatwiono w Częstochowie, że Ojcowie Paulini ofiarują Osadzie kopię obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej. Tak zwaną sukienkę do tego obrazu sporządzono z odznak pułków, które walczyły kiedyś na Wołyniu. W dzień Zielonych Świąt 1939 roku obraz został sprowadzony do Osady.

W tym samym mniej więcej czasie kiedy kończono prace przy kościele, wybudowano i uruchomiono na Karłowszczyźnie ośrodek zdrowia ze stałą higienistką; mieściła się tam również przychodnia dentystyczna. W określone dni przyjeżdżał lekarz z sąsiedniego miasteczka, a co pewien czas także i lekarze specjaliści z Równego. Cała okolica korzystała z tego ośrodka, gdyż najbliższe punkty lekarskie były w odległości: 8 km (Aleksandria) i 12 km (Tuczyn).

Wszystkie te przedsięwzięcia podejmowane były wspólnie, decyzje zapadały na walnych zebraniach większością głosów; wspólnie je również finansowano. Solidarność nakazywała nawet przeciwnikom decyzji przyłączać się do ich realizacji. Nieliczne były wyjątki uchylania się od gromadnych świadczeń, bowiem wcześniej czy później pomoc kolegów i poparcie zarządu Osady w różnych sprawach okazywało się niezbędne. Osada jako taka cieszyła się pewnym autorytetem na Wołyniu, toteż łatwiej było indywidualnemu osadnikowi coś załatwić, jeśli za nim stało jego 83 kolegów. Ale nie tylko w tego rodzaju sytuacjach pomagano sobie wzajemnie. Powszechna była pomoc w sprawach gospodarskich; np. gdy któryś z osadników przystępował do budowy

nowego obiektu na swojej działce, prawie wszyscy pomagali mu zwozić materiał budowlany. To tylko jeden z przykładów — można by je mnożyć.

Osadnicy brali czynny udział w pracach powiatowego Związku Osadników w Równem, a także w związkach: wojewódzkim i ogólnopolskim. Podobnie jak dla indywidualnych osadników ważne było poparcie zarządu w wielu sprawach, tak dla Osady ważne było poparcie Związku Osadników. Niejedną sprawę załatwiano poprzez Związek w Warszawie, szczególnie gdy napotymano na trudności u władz lokalnych. Na rzecz Związku osadnicy płacili pewne regularne składki, a poza tym doraźnie pomagali weksłami i świadczeniami — najczęściej dostarczaniem transportu, jak np. przy budowie kaszarni i magazynu zbożowego w Równem. Podobną pomoc okazali w latach trzydziestych, kiedy budowano w Równem gimnazjum i internat dla młodzieży osadniczej z całego Wołynia. To gimnazjum — bardzo nowoczesne, świetnie wyposażone i z dobrą kadrą wykładowców — było największą dumą wszystkich wołyńskich osadników; byli szczęśliwi, że ich dzieci mają tak wspaniałe warunki do nauki.

Stan materialny większości osadników w ostatnich latach przed wojną był pomyślny. Po kryzysie gospodarczym, który jak wszędzie tak i tutaj dał się porządnie we znaki, nadszedł okres względnej prosperity. Nieprawdą byłoby twierdzić, że wszystkim osadnikom powodziło się doskonale. Mimo równego startu powstały majątkowe różnice między tymi, którzy dzięki własnej pomysłowości i wysiłkowi doszli do pewnej zamożności, a tymi, którzy nie umieli czy też nie starali się gospodarować lepiej. Charakteryzując jednak przeciętne gospodarstwa trzeba przyznać — biorąc pod uwagę ówczesne polskie stosunki — że nie ustępowały one wzorowym gospodarstwom poznańskim. Warunki naturalne były sprzyjające: doskonały czarnoziem, na którym znakomicie udawały się nie tylko tradycyjne cztery zboża — przede wszystkim pszenica — ale również buraki cukrowe, rzepaki i tytoń. Wysoko rozwinięte było sadownictwo; nie było chyba ani jednej działki bez drzew owocowych. Większość sadów — niektóre o powierzchni do 3 ha — prowadzono racjonalnie, toteż jakość owoców ściągała kupców nawet z Warszawy. W drugiej połowie lat trzydziestych na trzech działkach zbudowano nowoczesne przechowalnie na owoce — pierwsze na Wołyniu. Rozwijała się hodowla, szczególnie bydła rasy czerwonej polskiej i trzody chlewnej. Poza tym niektórzy próbowali na szerszą skalę wielu innych przedsięwzięć: zakładano pasieki, hodowano konie dla wojska, a nawet rozpoczęto hodowlę rasowych królików.

Nic dziwnego, że osada stała się w pewnym sensie „pokazową”. Często przyjeżdżały tu różne wycieczki, aby przyjrzeć się krechowieckim eksperymentom. Przyjeżdżali także dygnitarze z Ministerstwa Rolnictwa (wśród nich minister Juliusz Poniąkowski), utrzymywali z Osadą kontakt naukowcy ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Osadnicy zdobywali często nagrody na regionalnych wystawach rolniczych za swoje bydło, zboże czy owoce, a osadniczki — za dwój drób i warzywa. Wszyscy należeli do kółka rolniczego, a kobiety do koła gospodyń wiejskich. Pracy było dużo, przyjmowano więc do pomocy „służbę” — głównie Ukraińców, a czasem przybyłych aż tutaj polskich chłopaków z przeludnionej Małopolski. W lecie sezonową siłą roboczą byli Ukraińcy z pobliskich wsi.

Obraz życia na Osadzie nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o stosunkach towarzyskich. Stały się one bardziej urozmaicone dopiero po wybudowaniu Domu Ludowego. Przed tym życie osadników z tego punktu widzenia było mało atrakcyjne, szczególnie w okresie zimowym. Zimy na Wołyniu są długie, przez co najmniej trzy miesiące wszystko jest pokryte grubym śniegiem; często wiejące wschodnie wiatry powodują zadymki, zasypując drogi, a nawet wejścia do domów. Nie było więc wesoło siedzieć długimi wieczorami w domu przy naftowej lampie (do końca na Osadzie nie było prądu elektrycznego), nie mając nawet gazet, które z powodu zasp nie mogły być dostarczone z Równego. Radio początkowo też było rzadkością — po prostu nie starczało pieniędzy na taki „luksus” jak odbiornik. Otwarcie więc Domu Ludowego umożliwiło wreszcie spotkania towarzyskie. Organizowane tzw. czwartkówki — w każdy czwartek przychodzili osadnicy i osadniczki aby się zabawić, pograć w karty, czy też poplotkować. Osadniczki kolejno przygotowywały bezpłatnie czwartkowe bufety, a mężowie troszczyli się o napitek. Od czasu do czasu organizowano zabawy albo nawet bale, czasami tylko w ramach Osady, a czasami „ogólne”, na które przychodzili osadnicy-sąsiedzi, a także młodzi Ukraińcy ze swoimi „diwczynami”.

Mówiąc o różnych aspektach życia osadników nie sposób pominąć ich orientacji politycznej. Ideą tworzenia osad na Kresach była polonizacja tych — jak się mówiło — wschodnich rubieży. Decyzję taką powziął w 1921 roku rząd polski, toteż nic dziwnego, że osadnicy w swojej większości popierali w zasadzie politykę rządową. W pierwszych latach, kiedy kierowali swoje wysiłki przede wszystkim na zbudowanie materialnych podstaw dla siebie i swoich rodzin, prawdopodobnie ich zainteresowanie polityką było niewielkie. To przyszło jednak z czasem. Zdawali

sobie sprawę, że swoim istnieniem jako osadnicza społeczność odgrywają ważną polityczną rolę na Kresach, gdzie — nie należąc do mniejszości narodowych — faktycznie byli mniejszością liczebną. Mieli przekonanie, że w tej sytuacji spełniają najlepiej swój patriotyczny obowiązek, nie organizując się przeciwko rządowi. Ówczesne radykalne partie opozycyjne nie mogły znaleźć zwolenników w masie osadniczej — Polska Partia Socjalistyczna była partią robotniczą, a organizacje chłopskie — wydawałoby się bardziej bliskie — związane były z chłopstwem jako grupą społeczną, z którą osadnicy — poza zawodem rolnika — nie mieli nic wspólnego. Pewne próby infiltracji robiło Stronnictwo Narodowe, które jednak — głównie ze względu na swoje nacjonalistyczne stanowisko — miało nielicznych sympatyków. Była powszechna, jakkolwiek nie oficjalna, zgodność nie łączenia się z żadną partią polityczną. Oczywiście trudno mówić o kompletnej jednomysłności wśród 84 osób; była grupa bardziej reakcyjna, pozostająca pod wpływami kleru, byli inni — lewicujący, „czerwoni”, jak nazywano tych bardziej radykalnych, wreszcie duża grupa, którą wielka polityka niewiele obchodziła.

Szczególnym autorytetem — można by nawet powiedzieć kultem — cieszył się Marszałek Piłsudski. Był on dla osadników, dawnych żołnierzy, ich wodzem, wcieleniem najszlachetniejszego patriotyzmu. To bezkrytyczne uwielbienie było powszechne wśród wszystkich kresowych osadników, przekazywano je młodemu pokoleniu. Hymn młodzieży osadniczej zaczynał się następująco:

*Z kresowych osad, gdzieś z rubieży
Z bojowych pól powstaje znów
Wyrosły z trudów, z krwi żołnierzy
Marszałka młody, zwarty hu!*

I kończył się tak:

*Marszałka rozkaz nam wyznaczył
Zasiewy wieków mnożyć w plon.
Nie będzie woli Twej inaczej —
Tu osadnicy Twoi są!*

Toteż śmierć Piłsudskiego była prawdziwą żałobą na Osadzie. Na froncie Domu Ludowego, na ogromnej szarfie krzyża Virtuti Militari, umieszczono portret Marszałka, a obok ustawiono masę kwiatów. Przez dni pogrzebowe harcerze i „Krakusi” pełnili przy tym wartę honorową. Grupa osadników pojechała z ostat-

nim hołdem do Warszawy, a potem do Wilna kiedy składano tam do grobu serce Marszałka.

Popieranie rządu nie oznaczało bezkrytycznej aprobaty dla jego poczynań, szczególnie jeśli dotyczyły spraw ekonomicznych czy stosunków narodowościowych na Wołyniu. Trzeba tutaj przypomnieć, że według spisu ludności z 1931 roku skład ludności Wołynia kształtował się następująco: ludność wyznania rzymskokatolickiego (a więc Polacy, Czesi i ludność grecko-katolicka) — 16,2 %, prawosławni (przede wszystkim Ukraińcy) — 69,8 %, ewangelicy — 2,6 %, Żydzi — 10,0 %, pozostali — 1,4 %. Osadnicy krechowieccy w swojej większości popierali mądrą politykę wojewody Józewskiego, rozumiejąc że jedyna droga dla Wołynia i jego przyszłości to zgodna współpraca wszystkich grup narodowościowych. Dawali zresztą temu dowody od początku swego przybycia na Osadę aż do końca pobytu. Żyli w przyjaznych stosunkach z Ukraińcami, pomagając dzięki swoim organizacjom spółdzielczym chłopom okolicznym i będąc dla nich przykładem jak należy gospodarować. Również osobiste stosunki z miejscową ludnością układały się dobrze, nierzadkie były wypadki kiedy osadnicy z żonami byli zapraszani na ukraińskie czy żydowskie wesela do okolicznych wsi.

Sięgając do moich własnych wspomnień chcę dodać — jako ilustrację — że gminne stypendium na naukę w szkole średniej w roku szkolnym 1938/39 uzyskał mój ukraiński kolega ze wsi Koźlin, który uczył się w szkole na Osadzie, a potem w gimnazjum osadniczym w Równem.

Nie zyskała powszechnego poklasku akcja „repolonizacji”, którą na dwa czy trzy lata przed wojną prowadziła na Wołyniu Kuria Biskupia z Łucka. Polegała ona na tym, że chłopów prawosławnych — o rzekomo polskim pochodzeniu (które czasami można było istotnie udowodnić) — namawiano do przejścia na katolicyzm. W tej akcji — na szczęblu Kurii — był bardzo czynny jeden z krechowieckich osadników. W kościele na Karłowszczyźnie „przechrzczono” nawet pięciu chłopów z okolicy. Większość osadników była zdecydowanie przeciwna tej akcji, albo co najmniej sceptyczna, słusznie rozumując, że takie „polonizowanie” zaognia tylko stosunki z tą wielką ukraińską masą, wśród której przyszło im żyć.

„Przyjaciół poznaje się w biedzie” — słuszność tej sentencji osadnicy krechowieccy poznali jesienią 1939 roku, kiedy wojska sowieckie wkroczyły do wschodniej Polski i Wołyń przyłączono do Ukraińskiej Republiki Sowieckiej. Władzą na Osadzie stał się

komitet złożony z ukraińskich chłopów, który zaczął swoje urzędowanie w Domu Ludowym. W sąsiednim pokoju spotykał się zarząd Osady, debatujący nad tym co dalej robić: czy pozostać na Osadzie, czy też wyjeżdżać do Centralnej Polski. Ta druga ewentualność była rozważana bardzo poważnie, ponieważ w prasie ukraińskiej zaczęły ukazywać się coraz częściej ataki na osadników i żądania ich eksmisji z osad.

Pewnego dnia w listopadzie 1939 roku komitet ukraiński spotkał się z osadniczym zarządem i oświadczył: „My nie jesteśmy przeciwko wam, ale we Lwowie postanowili, że trzeba was usunąć. Radzimy więc, abyście bez oporu zaczęli się spokojnie wyprowadzać. Nie miejcie do nas żalu”.

Tak się stało. Osadnicy wyprowadzili się w ciągu 2-3 tygodni, zabierając prawie wszystko co się dało zabrać. Wielu z nich nie mogło całego dobytku wywieźć ani sprzedać, bo nie było nabywców — rozdawali więc swoje bydło czy narzędzia rolnicze zaprzyjaźnionym chłopom. Nie na każdej osadzie było tak samo. Bywały wypadki, że dawano osadnikom zaledwie kilka godzin na wyprowadzenie się, albo — co bardziej tragiczne — dokonywano na osadnikach samosądów.

W listopadzie 1939 roku, po 18 latach istnienia, Osada Krechowiecka zniknęła z mapy. Osadnicze działki stały się częścią kołchozu.

Niektórzy z osadników udali się przez „zieloną granicę” do Polski Centralnej, ale większość pozostała w okolicy — głównie w Równem i sąsiednich miasteczkach. Dnia 10 lutego 1940 roku rodziny osadnicze z całych Kresów zostały wywiezione w głąb Związku Sowieckiego — wśród nich znaleźli się także prawie wszyscy pozostali na Wołyniu osadnicy krechowieccy. Część z nich w 1942 roku, wraz z armią gen. Andersa, poprzez Iran, Palestynę i Włochy dostała się do Anglii, część powróciła do Polski w 1945 roku, wielu zmarło z nędzy i głodu, a o niektórych słuch zaginął. Dziś osadników, bądź ich dzieci, spotkać można w różnych krańcach świata.

Janina STOBNIAK-SMOGORZEWSKA

Post Scriptum. Jestem córką osadnika krechowieckiego, urodziłam się na Osadzie i tam spędziłam dzieciństwo. Uważam za swój obowiązek napisać historię Osady, aby choć w ten sposób pozostawić ślad po tych dzielnych ludziach, którzy dzięki własnej pracy, mądrości i umiejętności współpracy z innymi grupami naro-

dowościowymi zyskali powszechny szacunek i zaufanie. Pragnę dodać, że dla nas, młodego pokolenia, Osada była pierwszą szkołą, gdzie uczyliśmy się liberalizmu, demokracji i poszanowania dla każdego człowieka, niezależnie od jego rasy, religii czy politycznych przekonań.

Starałam się przedstawić życie na Osadzie w sposób jak najbardziej obiektywny i wszechstronny. Nie wymieniłam żadnych nazwisk, bo wzmianka choćby kilku byłaby krzywdząca w stosunku do pozostałych osadników. Osada była dziełem wszystkich jej mieszkańców; każdy z osadników, w mniejszym czy większym stopniu, przyczyniał się do jej rozwoju.

Tę krótką historię utrzymałam w ramach relacji, nie wdając się w żadne oceny i nie dotykając politycznych aspektów samej idei osad wojskowych na Kresach. Jest to bowiem zagadnienie szerokie i wymaga specjalnego opracowania przez historyka zajmującego się tym okresem naszej przeszłości. Byłabym rada gdyby to moje krótkie wspomnienie o Osadzie Krechowieckiej stało się choćby drobnym przyczynkiem do większego studium.

Podane przeze mnie informacje oparte są na moich własnych wspomnieniach, na słyszanych przeze mnie licznych rozmowach mojego ojca z jego kolegami odwiedzającymi nasz dom w czasie okupacji w Jabłonnej pod Warszawą, a potem po wojnie w Kaliszu, i wreszcie — na informacjach, jakich mi udzielił mieszkający w Londynie osadnik pan Stefan Mączka. Pomoc pana Mączki jest nieoceniona, był on bowiem, podobnie jak mój ojciec, jednym z bardziej aktywnych na Osadzie, wobec czego ma doskonałą znajomość wszystkich osadniczych spraw. Za tę pomoc serdecznie Mu dziękuję.

J. S.-S.

CI, CO ODESZLI

KOMANDOR KONRAD NAMIEŚNIEWSKI

Kilku wyższych oficerów, którzy po wojnie osiedlili się w Kanadzie, włączyło się do życia organizacyjnego Polonii i w różnych okresach zajmowało kierownicze stanowiska na szczeblu lokalnym lub krajowym. Jednym z nich był Konrad Namieśniewski. Nie urodził się ani nie wychował nad wielkimi wodami, a właśnie z nimi się związał. Urodził się w Sanoku, we Wschodniej Małopolsce, w 1901 roku, i do wojska w Niepodległej Polsce zgłosił się jako ochotnik. Służył w piechocie, brał udział w wojnie w latach 1918-1920 roku i po jej zakończeniu pozostał w czynnej służbie. Dopiero w 1923 roku znalazł się w Marynarce Wojennej, gdzie poczuł się w swoim żywiole. I znowu przeszkolenie i szkolenie. Na specjalizację skierowano go do Francji, gdzie ukończył *Ecole d'Application des Enseignes de Vaisseau* i stał się wybitnym specjalistą sygnałowym. Jest na przemian oficerem liniowym na różnych okrętach, to znów wykładowcą i oficerem informacyjnym dowództwa Floty Wojennej.

Zupełnie szczególnym przeżyciem młodego oficera marynarki wojennej była funkcja opiekuna Marszałka Piłsudskiego na kontrtorpedowcu „Wicher” w marcu 1931 roku. Namieśniewski, w stopniu por. mar., był dowódcą ORP „Czajka”, gdy otrzymał rozkaz zdania dowództwa i zameldowania się komandorowi Tadeuszowi Morgensternowi, dowódcy „Wichru”; dowódca floty komandor Józef Unrug wyznaczył go na oficera do zleceń Marszałka Piłsudskiego. Nominacja zaszczytna, ale zarazem dość dziwna, Marszałek bowiem miał na okręcie „Wicher” wracać z odpoczynku na Maderze. Właściwa rola por. Namieśniewskiego polegała po prostu na opiece nad Marszałkiem podczas jego codziennych spacerów na pokładzie. Marszałek spacerował sam, a istniało niebezpieczeństwo poślizgu czy upadku; trzeba więc było dyskretnego i bardzo uważnego „anioła stróża”.

Piłsudski był wyjątkowo czuły na wszelkiego rodzaju straż osobistą, por. mar. Namieśniowski przekonał się o tym na własnej skórze. Gdy Marszałek zorientował się w jego roli, pogroził mu: „Jak będziecie tak za mną łązić, to ja wam figę pokażę”. Odtąd „anioł stróż” stał się tylko bardziej dyskretny. W 1932 roku Namieśniowski został zaakrętowany na szkolnym żaglowcu OPR „Iskra” jako wykładowca i opiekun podchorążych, a następnie kolejno obejmował różne stanowiska, aż do ostatniego w kraju — szefa Sygnałów Sztabu. Admirał Karol Korytowski, szef sztabu Marynarki Wojennej, wystawił Namieśniowskiemu chlubne świadectwo, notując w swoich wspomnieniach:

„W okresie przygotowań do wojny i podczas jej trwania, dzięki wybitnej i logicznej inicjatywie, zapobiegliwości i rozumnemu kierownictwu komandora Namieśniowskiego, Szefostwo Sygnałowe wypełniło chlubnie i z sukcesem rolę w trudnych warunkach wojny Wrześniowej 1939 roku. W szczególności, bez względu na miejsce postoju, zapewnił podczas wojny ścisły kontakt sztabu kierownictwa Marynarki Wojennej z Warszawą, Gdynią i Helem, a po utracie szyfrów Wojska zapewnił łączność Naczelnego Dowództwa w Brześciu z Warszawą i poszczególnymi armiami w polu”.

Należałoby jeszcze dodać, że dzięki temu systemowi łączności zdołano również zaalarmować i wydać odpowiednie dyspozycje statkom handlowym.

Po przybyciu do Anglii komandor Namieśniowski został mianowany zastępcą dowódcy ORP „Grom” i brał udział w walkach w rejonie Narviku, a po zatopieniu tego okrętu został dowódcą „Garlanda”; dowodził tą jednostką dwa lata, później zaś jako dowódca kontrtorpedowca „Błyskawica” dowodził też 29 brytyjskim dywizjonem 10 Flotylli Kontrtorpedowców. Wojnę zakończył na stanowisku szefa Służby Sygnałowej w sztabie kierownictwa Marynarki Wojennej w Londynie.

Po zakończeniu działań wojennych mianowany został najpierw komendantem Szkoły Dowodzenia dla Oficerów i szefem wydziału szkolenia ogólnego, a potem został ostatnim szefem sztabu Marynarki Wojennej R.P.

Decyzję pozostania na Zachodzie powziął po zakończeniu działań wojennych, ale zapewne jak większość żołnierzy nie tracił nadziei i wierzył w rychły powrót do kraju. Nie czekał jednak z założonymi rękoma. Zajął się swoimi kolegami i podwładnymi, założył Związek Polskich Marynarzy, walnie przyczynił się do założenia Stowarzyszenia Marynarki Wojennej w Londynie i został jego pierwszym prezesem.

Pełne życie cywilne rozpoczął w Kanadzie w lutym 1949 roku, gdzie otrzymał pracę w pewnej firmie w Brytyjskiej Kolumbii. Przez 18 miesięcy wdrażał się w życie emigranta, poznawał nie tyle jego blaski, ile cienie. Uznał jednak później ten okres za niezwykle cenny. Była to może również zaprawa do działalności

społecznej. W 1952 roku wdział znowu mundur, tym razem kanadyjski, gdyż został zatrudniony w kwaterze głównej marynarki w Ottawie, a następnie pracował w *Defence Research Board* do 1968 roku.

W życiu polonijnym był bardzo czynny w ottawskim kole SPK oraz w Skarbie Narodowym na szczeblu lokalnym i krajowym. Należał do grupy wysoce upolitycznionych działaczy społecznych, był rzecznikiem legalistów i kierunku tego bronił na wszystkich zjazdach, spotkaniach i konferencjach polonijnych. Piastował kolejno godność wiceprezesa i prezesa Okręgu Ottawa Kongresu Polonii Kanadyjskiej. W 1974 roku został wybrany prezesem reaktywowanego kanadyjskiego Komitetu Europejskich Narodów Ujarmionych, a w 1978 roku stanął na czele komitetu pomocy ofiarom represji w PRL w Ottawie, prowadząc akcję zbiórkową.

Był żołniersko wierny ideałom i zasadom, które ukształtowały go w młodości. Potrafił w pełni zachować głęboką i niezachwianą miłość do Polski, przy absolutnej lojalności i przywiązaniu do Kanady. Zgodnie z ostatnią wolą prochy jego oddano morzu, a Kanadzie zostawił syna, który poszedł w jego ślady: służy w kanadyjskich siłach zbrojnych i w stopniu pułkownika pracuje w kwaterze NATO w Brukseli.

Należy dodać, że w okresie międzywojennym Konrad Namieśniewski zajmował się nie tylko sprawami ściśle wojskowymi. Miał szerokie zainteresowania polityczne i społeczne. Brał czynny udział w pracach por. Stanisława Zaćwilichowskiego, m.in. w stworzonym przez niego Zakonie Nieznanego Żołnierza (o którym pisał W. T. Drymmer w *Zeszytach Historycznych*) i z tego okresu datowała się jego przyjaźń z redaktorem *Kultury*.

Wacław MAKOWSKI

NAD GROBEM PŁK. BOGDANA KWIECIŃSKIEGO*

W zeszyły czwartek, gdy odwiedziłem Bogdana w domu weteranów w Ste-Anne-de-Bellevue, zapytałem go jaką książkę czy coś innego chciałby mieć ode mnie na swoje 86-lecie urodzin.

* Przemówienie wygłoszone 24 marca 1981 r. w Montrealu.

— Po co mam się dzisiaj martwić, co będzie za trzy tygodnie? Mamy czas.

Gdy zaprotestowałem, odparł swoją zwykłą kpiarską uwagą:

— Nie mądrz się, Waclaw. Żyjemy na *over draft* już od szeregu lat, a ty wiesz, jaka najbardziej naturalna rzecz może się przydarzyć starszym panom. Wystarcza mi, że dziś twój syn Jacek mnie odwiedził. Cieszę się, że pewnie jutro odwiedzi mnie Hania, pojutrze Basia, a potem Krysia. Dalszych planów nie robię.

Przez ostatnie 60 lat często rozchodziliśmy się z Bogdanem po żywych dyskusjach, nie znajdując tak zwanej wspólnej platformy. Muszę jednak przyznać mu rację w naszej ostatniej dyskusji w ubiegły czwartek.

Przedwczoraj, to jest w niedzielę, zastanawiałem się, jak pożegnám Bogdana. Jego życie i dzieje to są już przyczynki do historii.

Bogdan pochodził z zaboru pruskiego. Tam w Inowrocławiu, w klubie modelarstwa, ugryzł go bakcyl lotniczy. Mnie to spotkało pod zaborem w Rosji. Zmobilizowali nas zaborcy, ale do siebie nie strzelaliśmy, bo ja unikałem jak zarazy frontu i to mi się dobrze udało, a Bogdanowi, tak zresztą jak i innym Polakom, Niemcy nie wierzyli i na wszelki wypadek wysłali go na Bliski Wschód, gdzie mu się udało trafić do niewoli brytyjskiej.

Spotkaliśmy się i zaprzyjaźnili w polskich siłach zbrojnych w 1920 roku w lotnictwie. W ciągu tej właśnie wojny Bogdan zdobył wszystkie możliwe odznaczenia bojowe.

Po wojnie, służąc w wojsku, specjalnie interesował się sportem lotniczym, na terenie międzynarodowym, gdzie zdobył sobie imię i wielkie uznanie. Latał na balonie wolnym, odbył lot w 1935 roku na Zeppelinie z Europy do Południowej Ameryki. Z ramienia Polski organizował Międzynarodowy Challenge samolotów turystycznych w 1934 roku. Miałem zaszczyt, a przede wszystkim wielką przyjemność oblecenia z nim trasy Challenge'u w celach organizacyjnych.

Jako oficer sztabu generalnego był użyty w służbie dyplomatycznej. Klęska wrześniowa zastała go w Londynie.

Dom Bogdana i Wandy w Londynie stał się od razu centrum, gdzie każdy lotnik był gościnnie przyjęty i mógł się poinformować, jak w tych strasznych dla Polski czasach mógł się skutecznie przysłużyć sprawie polskiej.

Na emigracji, nie mogąc służyć swoim doświadczeniem ojczystemu lotnictwu, pracował dla międzynarodowego.

Brał czynny udział w organizacjach społecznych, lotniczych i ogólnopolskich, póki mu sił starczyło.

Gdy sił zabrakło, dużo czytał i kompletował swoją bardzo cenną bibliotekę historyczną.

Niestety, miał też wadę — nie lubił pisać (nawet listów) i dużo jego przeżyć, doświadczeń i cennych opinii nie zostało należycie utrwalonych dla następnych pokoleń.

Jako lotnik od chłopaka był aktywnym pionierem lotnictwa pod zaborem niemieckim. Był dobrym i cenionym członkiem załogi bojowej. Był cenionym działaczem na terenie międzynarodowego sportu lotniczego, a dla mnie też bezbłędnym nawigatorem we wspólnych dalekodystansowych lotach organizacyjnych.

Był czynnym i cenionym człowiekiem organizacji społecznych na emigracji.

Był dobrym kolegą, a swoje racje umiał poprzeć wyrafinowanym dowcipem.

Był dobrym Polakiem i uwielbiał swoją rodzinę.

Jego odejście to wielki cios dla niej, ale też i dla nas, jego przyjaciół.

Obmyślając pożegnanie Bogdana przerzucałem kartki historii, przez którą razem przechodziliśmy.

Pierwsza kartka, to kiedy nie znając się jeszcze, zgodnie unikaliśmy możliwości strzelania do siebie.

Druga kartka, to jak zgodnie dokładaliśmy nasze małe cegiełki do zwycięstwa w 1920 roku.

Inna znowu kartka, to jak rozwijaliśmy lotnictwo cywilne w wolnej Polsce, on jako jeden z założycieli Aeroklubu R.P. i jego sekretarz generalny, ja jako członek i prezes Komisji Sportowej. On jako delegat Sztabu Generalnego — ja jako kierownik P.L.L. LOT na różnych pertraktacjach międzynarodowych.

Po klęsce wrześniowej 1939 roku — on, otrzaskany w Anglii, jako współorganizator odradzającego się lotnictwa polskiego, ja (tak zwany cywil w wojsku) jako pierwszy dowódca Dywizjonu 300, pierwszej polskiej jednostki bojowej na emigracji.

Po gorzkim zakończeniu zwycięskiej wojny, on w centrali I.C.A.O. lotniczej organizacji międzynarodowej w Montrealu — ja, za jego namową, w różnych krajach Azji i Afryki, pracując w dziedzinie lotnictwa cywilnego.

Do tej litanii kartek muszę z obowiązku historycznego dodać jeszcze jedną niezapisaną stronicę. W końcu 1938 roku Bogdan został mianowany Dyrektorem Lotnictwa Cywilnego (transport lotniczy, sport i turystyka, służby meteorologiczne, radio, bezpieczeństwo lotów, lotniska itd. itd.). Miał objąć Departament po zdaniu *attachatu* w Londynie.

Byłby to właściwy człowiek na właściwym miejscu, ale tragedia Polski zaważyła i na tym polu.

Gdy zacząłem przerzucać w pamięci kartki powiązań losów Bogdana i moich, zdałem sobie jasno sprawę, że 22 marca 1981

roku przerzuciłem ostatnią stronę cudownej bajki o przyjaźni, która trwała i przetrwała przeszło 60 lat.

Dziś tu, w obecności rodziny i przyjaciół, żegnając się z Tobą, dziękuję Ci, Druhu, za danie mi możliwości przeżycia tej cudownej bajki.

Niech Ci gościnna dla Polaków kanadyjska ziemia lekką będzie.

Wacław MAKOWSKI

RECENZJE

Józef LICHTEN

ŻYDZI W POLSCE DWUDZIESTOLECIA

Niewiele pisze się o losach Żydów w Drugiej Rzeczypospolitej. Jest to okres którym historycy, jak dotąd, najmniej się zajmują. O epoce przedrozbiorowej istnieją wszechstronne prace Bałabana, Dubnowa, Barona czy Weinryba i raz po raz pojawiają się studia monograficzne. O „tolerancji”, o przywilejach królewskich i sejmowych dla Żydów w dawnych wiekach napisano już wiele tomów. Ale chyba najwięcej uwagi poświęcono okresowi zagłady. Książki na ten temat składają się już na ogromną bibliotekę. Powstały specjalne instytuty i ośrodki naukowe specjalnie zajmujące się tym zagadnieniem. Nie idzie tu tylko o trudność w zebraniu źródeł. Pożoga wojenna objęła dokumentację dla całej historii Żydów w Polsce, chociaż właśnie jeśli chodzi o okres międzywojenny władze dzisiejszej Polski strzegą zazdrośnie zachowanych źródeł, powodowane fałszywym patriotyzmem i swym nieustającym antyżydowskim nastawieniem. Nie należy również dziwić się, że holokaust żydowski jest tak szeroko omawiany. Myślę, że od czasu zburzenia świątyni w Jerozolimie Żydzi nie przechodzili większej tragedii aniżeli właśnie ta ostatnia. A zresztą śmierć milionów jest bardziej „dramatyczna” od życia codziennego, choćby nie wolnego od wydarzeń zasługujących na uwagę i ocenę historyka. Oba okresy — zarówno międzywojenny jak i samej wojny — są zdecydowanie kontrowersyjne. Spory pomiędzy Polakami i Żydami o czasy okupacji nie tylko nie kończą się, ale coraz to wybuchają z nową siłą. Istnieje jednak zasadnicza różnica pomiędzy okresem okupacji i sytuacją Żydów w przedwojennej Polsce.

Wojna przyniosła niemal całkowite fizyczne zniszczenie ale spowodował je najeźdźca; społeczność żydowska zginęła z rąk

wroga, z rąk trzecich (nie wszyscy niestety chcą sobie zdać z tego sprawę). I dlatego, mimo sporów, łatwiej jest obu stronom o tych czasach pisać. W Polsce przedwojennej, jakkolwiek ocenia-libyśmy te lata, zorganizowana społeczność żydowska istniała do końca; trudność polega jednak na tym, że za wszystko co się wtedy działo odpowiedzialni sami współobywatele, Polacy i Żydzi, postawieni wobec siebie „twarzą w twarz”. Stąd niełatwo jest o obiektywną ocenę i trudniej zabrać się do niej. Niektórzy wolą o stosunkach polsko-żydowskich w Polsce dwudziestolecia w ogóle nie pisać, gdyż uważają, że wobec tego co stało się w kilka lat później, wypadki poprzedzające po prostu błędną. Inni nie piszą, gdyż może im żal a nawet wstyd za niektóre wysoki w przeszłości a znowu ci co piszą, starają się je odbrzmowieć w całości lub części. Ale są jeszcze inni, którzy piszą dalej nie szczędząc oszczerstw i wiotriolu, który, o dziwo, zachowali; nie jest to jednak historia, tylko nowe wydania endeckich i oenerowych „dwugroszówek”.

Toteż z ogromnym zainteresowaniem ale też z niepokojem zabrałem się do uważnego czytania nowej książki, którą jej autor, Paweł Korzec, nazwał *Juifs en Pologne*¹. Wiedziałem z innej pracy tego samego autora, że trudno mu było zajmować się historią społeczności żydowskiej w przedwojennej Polsce „bez wzruszenia człowieka, który spędził w niej i w tym właśnie czasie swą młodość”. A ponieważ i ja nie tylko wychowałem się wtedy w Polsce ale rozpocząłem już życie dorosłego człowieka, nie mogłem również uniknąć podobnego wzruszenia, kiedy książkę otwierałem. Przysiąc jednak muszę, że po przeczytaniu odłożyłem ją ze sprzecznymi uczuciami.

Z jednej strony podziwiałem ogrom pracy włożonej, bogactwo materiału, skrzętne zebranie wydarzeń ważnych ale także drobniejszych w jedną logiczną całość, imponujące przypisy (zadałem sobie trud ich obliczenia — jest ich 595), wykresy i mapy — słowem aparat naukowy doświadczanego historyka. Ale równocześnie budziło się we mnie uczucie, że niezupełnie tak wyglądało życie polskich Żydów przed wojną. Obraz, który Korzec maluje jest przerażająco ciemny. Pojawia się refleksja i pytanie — czyżbym wśród takich ludzi mieszkał, uczył się i pracował, wśród takich warunków życiowych i okoliczności? Czyżbym po przeszło czterdziestu latach zapomniał albo tak dalece wyidealizował swą młodość?

Prawda, pamiętamy ekscesy antyżydowskie, *numerus clausus* a potem nawet *numerus nullus* w szkołach i na uniwersytetach, getta ławkowe, walkę o odpoczynek sobotni i ubój rytualny, uwłaczające godności człowieka „debaty” i interpelacje sejmowe, którym zresztą autor poświęca wiele miejsca. Ale mimo wszystko

1. Paweł Korzec, *Juifs en Pologne*. La question juive pendant l'entre-deux guerres. Presses de la Fondation Nationale des Sciences Politiques. 1980.

istniała zorganizowana trzy i pół milionowa społeczność, która jakkolwiek w przeważającej większości żyjąca w trudnych warunkach, potrafiła jednak spełniać swe zadania i cele.

Co prawda autor we wstępie wspomina, że interesuje go głównie „praktyka polityczna” partii i rządów oraz wpływ opinii publicznej na tzw. kwestię żydowską, a zagadnieniami demograficznymi, ekonomicznymi i kulturalnymi zajmować się będzie tylko o tyle, o ile będzie to konieczne. Rzadko bardzo jednak tę konieczność widzi i stąd właśnie niedosyt czytelnika. Poza tym tytuł książki zwodzi. Nie są to *Żydzi w Polsce*, nawet w okresie międzywojennym. Podtytuł ogranicza ją do „kwestii żydowskiej” ale i ta definicja jest zbyt szeroka. Zgódźmy się, że jest to historia antysemityzmu w przedwojennej Polsce a może nawet jeszcze mniej, gdyż raczej historia antysemityzmu w partiach politycznych i pięciu sejmach Drugiej Rzeczypospolitej, a to wielka różnica. Dopiero na tej płaszczyźnie można podjąć dyskusję i pisać glossę do pracowitej książki Pawła Korca.

I jeszcze jedno wstępne zastrzeżenie choć wzięte z zakończenia książki. W ostatnim zdaniu, niejako klamrze zamykającej ciągłość wywodu, Korzec „nie myśli”, że będzie brakiem umiaru, jeżeli powie, że długi proces narastającego antysemityzmu pomiędzy wojnami „przyczynił się do tragedii, która pod jarzmem hitlerowskim rozegrała się na naszych oczach”. Nie będę wdawał się w polemikę na temat tego ryzykownego wniosku. Pisałem wielokrotnie o tych sprawach i pisało wielu innych ale nie mogę powstrzymać się od uwagi, że ta niespodziewana konkluzja jest co najmniej błędna. Nie miejsce tu również na dyskusję o innej uwadze autora, tym razem dotyczącej polskiej emigracji. Korzec widzi narastające w niej tendencje antysemityczne i jako przykład podaje niektóre uchwały światowego zjazdu w Toronto z roku 1978. Nie bardzo rozumiem jakiemu celowi wstawka ta — sztucznie wpleciona w rozważania na temat bibliografii — ma służyć.

Książka dzieli się na sześć rozdziałów z wstępem i zakończeniem (przedmowę napisał Nuham Goldmann, znany działacz żydowski). Pierwszy z nich porusza zagadnienia początku dwudziestego wieku, następne mówią kolejno „o wielkich nadziejach” (zresztą, zdaniem autora, szybko zawiedzionych), o antysemityzmie „parlamentarnym”, o antysemityzmie umiarkowanym, o utraconych iluzjach (dyktatura Piłsudskiego), wreszcie o nadchodzącej katastrofie (polska droga do faszyzmu). Już z tych tytułów i podtytułów czytelnik z łatwością zorientuje się jak bardzo było ważne, mówiąc niemal wyłącznie o antysemityzmie, poświęcić nieco miejsca także osiągnięciom największego światowego skupiska żydowskiego; choćby dla własnej tradycji, religii i kultury, nie mówiąc już o wkładzie w kulturę polską.

A jednak było o czym pisać. Chociaż życie społeczności żydowskiej — mówię tu o masach, a nie o szczęśliwych jednostkach czy grupach — było zawsze lub niemal zawsze połączone

z trudnościami, z walką o byt materialny i o rozwój kulturalny, to jednak zapominać nie wolno o szkolnictwie żydowskim, o szkołach utrakwistycznych, o religijnych szkołach powszechnych. Powstało Towarzystwo dla Krzewienia Nauk Judaistycznych z własnym Instytutem Naukowym. Niedawno ukazała się praca o prasie żydowskiej w samej tylko Warszawie, która po prostu zadziwia swą różnorodnością. Oczywiście, że często nie wolna była od białych plam cenzury, ale była to przecież bolączka powszechna. O udziale w gospodarce kraju trzeba by chyba napisać osobny tom.

Paweł Korzec jest zbyt wytrawnym historykiem, aby dać się ponieść subiektywnym ocenom i sądom. Godna podkreślenia jest jego zdolność do zbierania faktów i układania ich w mozaikę historycznej rzeczywistości. Jeżeli jednak uważnie przyjrzeć się jakie to fakty w tę mozaikę układa, co w niej uwypukla, to niewątpliwie można wydedukować gdzie i po czyjej stronie leżą sympatie autora. Jest niewątpliwie po stronie tego odłamu ludności żydowskiej, który domagał się autonomicznej odrębności.

Ważny choćby na warsztat pierwsze lata niepodległości (1918-1920). Był to okres trudny. Były to dopiero początki państwowości, ziemie północne i wschodnie były jeszcze ciągle w chaosie i to nie z polskiej wyłącznie winy, najprzeróżniejsze grupy wojskowe i pseudo-wojskowe swobodnie buszowały na tych terenach. O tym wszystkim należało w książce pamiętać, choć nie wolno usprawiedliwiać ówczesnych prześladowań ludności żydowskiej, włącznie z niesławnym pogromem lwowskim. Nie było to już tylko głupie i bezsensowne obcinanie Żydom bród przez „radosnych” hallerczyków ale ataki przeciw życiu i mieniu współobywateli budującego się państwa. Korzec reaguje silnie na pogrom w Wilnie. Uważa jednakowoż, że szeroko znana odezwa Józefa Piłsudskiego, wydana niemal natychmiast po tych wypadkach i zapowiadająca „bezpieczeństwo dla wszystkich bez różnicy religii czy narodowości”, „musiała być” przyjęta przez Żydów a jeszcze bardziej przez Litwinów i Białorusinów nie inaczej jak „akt cyniczny”. Jest to dedukcja co najmniej pochopna. Opisując te wypadki Korzec może powinien był jednak przypomnieć okólnik Stanisława Wojciechowskiego, ówczesnego Ministra Spraw Wewnętrznych z 1 lutego 1919 roku. Nie mogę oprzeć się zacytowaniu kilku zdań z tego dokumentu:

„Liczne skargi napływają do mnie na popełnione przez przedstawicieli władz państwowych, administracyjnych, wojskowych oraz osoby prywatne nadużycia stosunku do ludności żydowskiej. Zmuszony jestem przypomnieć, że ludność żydowska korzysta z praw obywatelstwa polskiego na równi z rdzenną ludnością polską, i nie powinna być przedmiotem ani gwałtów, ani nadużyć. W wolnej Polsce nie ma obywateli podzielonych na kategorie...

Wobec tego ostrzegam, że wszelkie akty samowoli i bezprawia, których ostrze zwraca się przeciw ludności żydowskiej... będą badane

i karane z całą bezstronnością i surowością prawa. W wolnej Polsce nie ma miejsca na niesprawiedliwość, gwałt i samowolę”.

Jak powiedziałem, szkodliwej doniosłości tych wydarzeń umniejszać nie należy, ale budzą się znowu sprzeczne uczucia. Były to przecież lata, kiedy budowało się państwo, kiedy tworzyć się zaczyna legenda Legionów, kiedy zryw niepodległościowy zataczał coraz szersze kręgi. Działało POW i inne organizacje; rozbrajano Niemców; marzyły się plany federacyjne chociaż wciąż groziło niebezpieczeństwo ze Wschodu. W całym tym entuzjastycznym splocie wydarzeń brali udział Żydzi. Chyba nigdy potem nie obserwowaliśmy podobnego braterstwa broni i jedności myśli. Były to jeszcze moje szkolne czasy ale podniosłości tego okresu nigdy zapomnieć nie potrafię; pamięć o nim umożliwiła mi przeżycie czasów trudnych, które przyjsć miały.

Ale w historii Pawła Korca o tym wszystkim jest bardzo mało, prawie nic, na marginesie i w półśłówkach a i to podane jest z dużą dozą sceptycyzmu. Tu i ówdzie, raz czy dwa wspomniał Legiony, gdzie indziej znowu POW i przy każdej podobnej okazji przypinał łatkę tzw. asymilatorom. Niechęć do nich żywi wyraźną. Pisze o kongresach syjonistycznych w Warszawie, o folkistycznym (ludowym) kongresie kultury żydowskiej ale zabrakło już w książce miejsca na wzmiankę o Wałnym Zjeździe Zjednoczenia Polaków wyznania mojżeszowego wszystkich ziem polskich z 439 delegatami, reprezentującymi 23 miasta.

Wydaje mi się, że dopiero na szerokim tle ówczesnego życia można zrozumieć jak bardzo niewspółmierne z klimatem politycznym kraju były żądania pewnych odłamów społeczeństwa żydowskiego.

Powiem od razu, że idzie mi o trzy sprawy: o traktat o mniejszościach (czyli tzw. mały traktat wersalski), o żądanie żydowskiej autonomii narodowej i o Blok mniejszości narodowych przy wyborach do Drugiego Sejmu. Sprawy te, łączące się jakoś ze sobą, są skrupulatnie opisane w książce Korca. Nie jest jednak uwypuklone dostatecznie, że poseł Izaak Grynbaum, przywódca maksymalistycznej grupy syjonistycznej, który był specjalnie czynny w tych zabiegach, nie reprezentował całego społeczeństwa żydowskiego. Korzec twierdzi, że większość popierała żądanie gwarancji międzynarodowych. Nie jestem nawet tego pewien. Wiadomo, że koła religijne i zasymilowane, a także przemysłowe, handlowe i rzemieślnicze nie były zwolennikami traktatu; sceptyczny był socjalistyczny Bund. Podnoszono, że tylko niektóre państwa miały być objęte umową, że dotyczyć miała tylko nowych państw i to nie wszystkich i wreszcie, że na przykład Niemcy, które miały dużą mniejszość polską nie miały być traktatem objęte. Szeroko rozpowszechniona była opinia w całym społeczeństwie, że prawa obywatelskie winny być raczej gwarantowane przez konstytucję i jej przepisy wykonawcze ani-

żeli przez ingerencję z zewnątrz. Było to zgodne z duchem współpracy, o której pisałem wyżej. Korzec twierdzi, że to właśnie pogromy zmusiły Żydów do żądania ochrony międzynarodowej; był to niewątpliwie jeden z powodów, który przyspieszył podpisanie traktatu ale decyzje zapadły jeszcze przed nasileniem pogromów.

Z perspektywy dwudziestolecia wygląda, że mały traktat wersalski, ratyfikowany niechętnie i z musu, wniósł więcej zdrażnień aniżeli przyniósł korzyści. Żydzi polscy nigdy z niego nie skorzystali. A polemika, która rozgorzała wokół całej sprawy nie wróżyła dobrze na przyszłość. Nie oznacza to, że pochwalić należy wypowiedzenie traktatu przez min. Becka w 1934 roku na forum Ligi Narodów. Co prawda zażądał wpierw, aby wszystkie państwa go podpisały, ale był to tylko wybieg dyplomatyczny — wiedział dokładnie, że jest to nierealne. Nie był to jednak czas na wypowiedzenie ani ze względu na sytuację wewnętrzną ani też międzynarodową, na manifestację, która z kolei w tym okresie zaogniła jeszcze bardziej stosunki polsko-żydowskie. Korzec pisze, że Becka po powrocie z Genewy witano jak „narodowego bohatera”. Zaślepienie ludzkie często nie ma granic.

Poseł Grynbaum domagał się autonomii narodowej dla mniejszości żydowskiej. Zasady tej autonomii nigdy nie zostały dostatecznie sprecyzowane. Wielu Żydów, nie tylko tzw. asymilatorów, uważało że Żydzi stanowią integralną część całego społeczeństwa i jak równi z równymi powinni być traktowani. Nie szło tu o narodowość. Nic nie stało na przeszkodzie, aby Żyd, jeżeli sobie tego życzył, mógł przyznawać się do narodowości żydowskiej i popierać odbudowę siedziby narodowej w Palestynie. Nie szło tu również o pełnię praw wyznaniowych. Dekretem z 7 lutego 1919 roku rząd zapewnił Żydom te prawa. Korzec nie jest z tego dekretu zadowolony. Twierdzi, że sprawa powinna była być poddana debacie sejmowej, gdyż prawa mniejszości religijnej nie wystarczały. Grynbaum, żądając daleko idącej autonomii, domagał się, aby decyzje mającego być zwołanym kongresu żydowskiego były ratyfikowane przez sejm, aby powstała Żydowska Rada Narodowa, której prezydent byłby równocześnie sekretarzem stanu dla spraw żydowskich. Korzec łączy, a może nawet miesza, kilka różnych spraw ze sobą, twierdząc, że wszystkie żydowskie grupy polityczne, z wyjątkiem asymilatorów, domagały się uznania Żydów jako grupy narodowej. Może tak, a może nie — nie posiadamy odpowiedniej statystyki; w każdym razie nie szło tu o szeroko zakreśloną autonomię w rozumieniu posła Grynbauma ale o uznanie narodowości żydowskiej.

I wreszcie — Blok mniejszości narodowych z 1922 roku, który łączył w jedną listę wyborczą Rosjan, Niemców, Białorusinów, Ukraińców, Litwinów i jeden odłam Żydów, znowu pod kierownictwem Grynbauma. Społeczeństwo żydowskie było zdecydowanie podzielone wobec tej propozycji, która zresztą wyszła

z kół niemieckich. Nawet syjoniści nie potrafili uzgodnić swych pozycji i sądząc po ilości partii żydowskich i wyborczych rezultatach, większość Żydów była przeciwna tej koncepcji. Ten „mniejszościowy mariaż” grup nie mających ze sobą żadnych wspólnych celów programowych i związanych — jak sam Korzec pisze — „solidarnością uciskanych”, nie przyczynił się do wzmocnienia więzi polsko-żydowskiej. Grynbaum usiłował raz jeszcze w 1927 roku, tym razem przy ukraińskiej pomocy, zmontować podobny blok mniejszości narodowych ale już z mniejszym powodzeniem.

W swej konkluzji Korzec wystąpił z kwiecistą apologią działalności pośła Grynbauma. Temat ten przerasta ramy mojej glossy. Zwraca jednak uwagę fakt, że Korzec w swych uwagach końcowych ze wszystkich działaczy żydowskich dwudziestolecia wymienia tylko zasługi pośła Grynbauma, postaci najbardziej krańcowej i często gwałtownej w swych wystąpieniach.

Jeżeli już o personaliach mowa, to chciałbym wspomnieć o jeszcze jednym wydarzeniu z pierwszych lat niepodległości. Idzie mi tu o obóz w Jabłonce w czasie wojny polsko-sowieckiej. Osadzono w nim tysiące (6.000?, 10.000?) żołnierzy-ochotników Żydów, jako rzekomo „niepewnych” w walce z bolszewikami. Sprawa ta przewija się przez wiele prac historycznych a w ostatnich latach była przedmiotem kontrowersji na łamach *Zeszytów Historycznych* (zeszyt 20-ty, 1971). Wypowiedział się w niej także Adam Ciołkosz. Korzec zarzuca Ciołkoszowi, że „usprawiedliwia Jabłonkę” i to w pięćdziesiąt lat po dramacie i trzydzieści lat po kataklizmie drugiej wojny światowej. Oba zarzuty są bezpodstawne. Ciołkosz nie usprawiedliwia obozu, gdyż pisze: „Dzielnica żydowska w Jabłonce musi być potępiona, nie ma dla niej żadnego usprawiedliwienia” — używa nawet terminologii drugiej wojny — a powraca tak późno do tematu, aby odpowiedzieć na artykuł, który ukazał się w tym samym numerze *Zeszytów Historycznych*.

W ocenie samego wydarzenia zgadzam się jednak raczej z Korcem. Nie było to, jak dalej Ciołkosz pisze: „Głupstwo było niewybaczalne, ale jego realne znaczenie — niewielkie”. Korzec ma rację. „Jabłonna” była wstrząsem i to głębokim. W obozie nie byłem, mojej klasie nie pozwolono jeszcze zgłaszać się na ochotników, ale wielu moich kolegów ze starszych klas już tam wysłano. Od tego czasu zaszły wypadki bez porównania straszniejsze, których z żadnym innym okresem historii porównywać nie wolno. Ale „Jabłonna” była pierwszym młodzieżowym rozczarowaniem, uświadomieniem sobie, że Żydzi jednak traktowani są jak „inni” a może nawet „obcy”, kiedy dotąd uważali się za integralną część Polski i jej społeczeństwa. Toteż ilekroć mówię czy piszę o tej sprawie ogarnia mnie głęboki smutek młodszych marzeń.

Okresem „sejmowładztwa” zajmuje się Korzec również obser-

nie i nie szczędzi przykrych słów prawdy. Ale tak jak w całej książce, nawet wtedy, kiedy ocenia pewne wydarzenia pozytywne, to zaraz dodaje dużo więcej zastrzeżeń, wśród których nieczęste opinie dodatnie po prostu się gubią. Było jednak co krytykować. Endecja, obarczona winą za śmierć pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, zaczyna znowu podnosić głowę i jest współodpowiedzialna za szkodliwy chaos sejmów okresu przedmajowego. Wzrastające wpływy endeckie zawsze prowadziły do katastrof politycznych i społecznych i patologiczna obsesja antysemicka Romana Dmowskiego — jak słusznie Korzec pisze — często przy poparciu kół klerykalnych doprowadziła do niejednego nieszczęścia narodowego.

Korzec trzeźwo przygląda się wszystkim kolejnym rządóm, a było ich wiele, i ich stanowisku wobec zagadnienia żydowskiego. Przypomina kryzys gospodarczy, który specjalnie dał się we znaki uboższej ludności żydowskiej. Słynny „wóz Grabskiego”, który zabierał meble z mieszkań żydowskich drobnych kupców, handlarzy i rzemieślników, gdy nie byli w stanie finansowo podołać często niesprawiedliwym obciążenióm podatkowym, przeszedł do historii. Niewiele lepiej było w innych dziedzinach a prawica w sejmie zgłaszała coraz to bardziej prowokacyjne projekty ustaw, ograniczających prawa Żydów. Wreszcie pośłowie żydowscy z Galicji Wschodniej, szukając wyjścia z błędnego koła, po wielu rozmowach prywatnych i przy pośrednictwie specjalnie zaproszonego brytyjskiego działacza społecznego, zawarli „ugodę polsko-żydowską” z rządem Władysława Grabskiego. Większość warunków tego porozumienia utrzymana była w tajemnicy.

Autor *Żydów w Polsce* nie jest oczarowany tą ugodą; zarzuca jej, że za cenę „chimerycznych obietnic” zmuszała Żydów do zrezygnowania z „autonomii politycznej”. Nie powiem, żebym i ja był tą ugodą zbudowany, choć z innych przyczyn. Samo słowo, sam fakt, że obywatele tego samego państwa, choć innej religii, muszą „godzić się” ze sobą brzmi obco i sztucznie. Dlatego też, ubiegając wypadki, wydaje mi się, że miał słuszność Premier Bartel, kiedy w jednym ze swych przemówień sejmowych, zapewniając o równych prawach dla wszystkich obywateli, oświadczył, że „rząd nie będzie zawierał żadnych sekretnych umów z ludnością żydowską” ale postępował zgodnie z przepisami konstytucji.

Korzec dużo uwagi poświęca też rządowi gen. Sikorskiego i debacie sejmowej nad jego *exposé*. Chociaż przyznaje, że rząd ten ukrócił wybryki reakcji choćby przez zamknięcie złej pamięci towarzystwa „Rozwój”, to jednak zarzuca Sikorskiemu, że endeckie hasło „polskiej większości” tylko zastąpił pojęciem „większości aryjskiej” albo chrześcijańskiej i dzielił mniejszości na „nadrzędne” i „pośledniejsze”. Te ostatnie, do których należeć mają Żydzi Sikorski rzekomo uważa za zbyt

ne. Słowa te niewątpliwie wyrwane z większej całości, z perspektywy historycznej brzmią zupełnie nieprawdopodobnie.

Nie sposób jest omówić w jednej glosie wszystkich wydażeń po zamachu majowym; poszczególne lata a nieraz miesiące różnią się od siebie i przynoszą zasadnicze zmiany. Zmienia się też położenie ludności żydowskiej. Pierwsze stronicie rozdziału książki o rządach Sanacji są na ogół pozytywne a nawet optymistyczne i korzystnie odbijają się od ogólnego tła. Nawet poseł Grynbaum powiedział, że „z żydowskiego punktu widzenia rząd Bartła był najlepszy jaki Polska kiedykolwiek miała”. Ale idylla nie trwała długo. Maksymalistyczna grupa posła Grynbauma już w kilka miesięcy po przewrocie przeszła do opozycji, mimo, że bojkot ekonomiczny ustał i manifestacje antysemitki osłabły a endecja przygotowywała się do nowych ataków. Inni, z wyjątkiem kół religijnych, zajęli pozycję wyczekującą.

W tym wypadku Korzec porzuca rolę kronikarza i daje swą własną ocenę sytuacji. Przyznać muszę, że dochodzi do zaskakujących wniosków. Twierdzi, że mimo znacznej poprawy bytu ludności żydowskiej, poparcie pomajowego rządu było „monumentalnym błędem historycznym”. Oskarża rząd Bartła, że, idąc za wskazówkami Marszałka Piłsudskiego, nie godził się na żydowską autonomię polityczną. Korzec o Piłsudskim pisze wiele, choć chaotycznie. Nie jest entuzjastą Marszałka; przyznaje mu tylko, że nie był antysemitą. Uważa go za przeciwnika demokracji, zarzuca mu, że „okupował” ziemię wschodnie i „anektował” Wilno, doprowadził do wprowadzenia dyktatury o tendencjach faszystowskich i przyczynił się do ekonomicznej ruiny ludności żydowskiej. Korzec kilkakrotnie wspomina o trudnościach tzw. Litwaków czyli Żydów, którzy przyjeżdżali na ziemie polskie ze Wschodu od końca XIX wieku aż po czasy pierwszej wojny światowej i mieli trudności w uzyskaniu obywatelstwa polskiego. Zapomina jednak dodać, że to właśnie Marszałek Piłsudski zarządził, aby wszystkim, a było ich 600.000, nadać to obywatelstwo. Niemniej pisząc o śmierci Marszałka, Korzec przyznaje, że społeczność żydowska doceniała jego wrogość do endecji i wysiłki, aby powstrzymać zalew antysemityzmu, który ogarniać zaczął kraj.

Nie będę powtarzał za autorem opisu położenia społeczności żydowskiej w ostatnich czterech, a specjalnie w ostatnich dwóch, latach przed wojną. Przypomnę tylko kilka ostrzegawczych znaków. Autor nie bez słuszności podnosi, że czasy te zaznaczyły się utratą przez władze rządzące jakiegokolwiek linii politycznej i ideowej. Po prostu przeważała walka o władzę dla władzy przy bezgranicznej mocarstwowej megalomanii.

Niektóre fakty już przytoczyłem na wstępie; dodać należy do nich nowe, jak przygotowania do przymusowej emigracji Żydów, „paragrafy aryjskie” w organizacjach społecznych i samorządowych, antysemityzm na tle religijnym w rodzaju „dy-

sertacji" księdza Trzeciaka, pogrom w Przytyku i zacieśniającą się współpracę pomiędzy nowymi tworcami i dziwolągami politycznymi (ONR, Ozon).

Były to czasy trudne choć nie beznadziejne. Trzeba jednak podkreślić, że ludność żydowska potrafiła utrzymać się na powierzchni i to nie tylko dzięki własnej zaradności ale także dlatego, że były jednostki, grupy a nawet stronnictwa w społeczeństwie polskim, które przeciwstawiały się bojkotom i atakom. Korzec wspomina o nich ale stanowczo za mało. Nie wolno zapominać, że obok cieni były także blaski. Nie można zrozumieć historii Drugiej Rzeczypospolitej bez choćby częściowego odmalowania tych jaśniejszych stron współżycia Polaków i Żydów i pominięcie ich Korcowi zarzucam, mimo, że swój temat celowo ograniczył. Nie idzie tu tylko o dodatkowe fakty ale przede wszystkim o sposób, o intencję z jaką do faktów opisanych w książce podszedł. Wydaje mi się, że autor *Żydów w Polsce* niedostatecznie uchwycił klimat osiemsetletniego współżycia polsko-żydowskiego, które — mimo wszystko co opisał — istniało do gorzkiego końca. Ostatnie miesiące przed wojną dały nowy wyraz tej wspólności.

Uważam, odwrotnie aniżeli Korzec, że mając przed oczami hitlerowskie czasy łatwiej jest podejść obiektywnie do stosunków polsko-żydowskich w okresie przedwojennym.

Niemniej jednak nie „z obowiązku recenzenta” ale dlatego, że naprawdę tak myślę, chcę podkreślić, że *Żydzi w Polsce* są książką bogatą w treść, doskonale ułożoną i, choć często jednostronną, to jednak w dużej mierze wypełniającą lukę, jaką jest brak prac o historii polskiego dwudziestolecia.

Józef LICHTEN

Kazimierz SMOGORZEWSKI

NAJNOWSZA HISTORIA OD STRONY MAGLA

Źródłami rozpraw historycznych są dokumenty państwowe, pamiętniki mężów stanu, dowódców wojskowych i dyplomatów oraz debaty parlamentarne. Tego rodzaju źródła godnych zaufania nie ma w państwach komunistycznych w ogóle, a w Związku

Sowieckim w szczególności. Tam członkom Politbiur oraz urzędnikom państwowych pamiętników ogłaszać nie wolno, archiwa są niedostępne, debaty ich niby-parlamentów są z góry reżyserowane, a życiorysy ich działaczy zakłamane. W wolnym świecie jest inaczej, z tym, że dostęp do archiwów państwowych jest możliwy dopiero po pewnym czasie (w Wielkiej Brytanii po 30 latach). Ale na Zachodzie istnieje wolna prasa oraz roi się od pamiętników i książek omawiających poszczególne okresy dziejowe. Najwięcej jest przyczynków pisanych przez osoby drugoplanowe, które były albo aktorami albo świadkami wypadków historycznych. Nie należy lekceważyć tego, co Francuzi określają jako *petite histoire*, bowiem choć ze wspomnień ludzi stojących za kulisami albo spełniających funkcje wykonawcze nie można wydobyć wielkich tajemnic, można się dzięki nim bliżej zapoznać z cechami charakteru i pobudkami postępowania *dramatis personae*. Do tej grupy wspomnień należy książka gen. Tadeusza Machalskiego*, oficera sztabu generalnego wojska polskiego w okresie dwudziestolecia oraz polskiego *attaché* wojskowego na Bliskim Wschodzie w latach 1939-1945. Pisząc o jego książce ograniczyłem się tylko do wyłuskiwania charakterystyk wybitnych Polaków oraz ich oświadczeń. Z opiniami autora, czasem napaśtliwymi a nawet prowokacyjnymi, nie polemizuję ale — gdzie to było konieczne — zaznaczam, że się z nimi nie zgadzam.



Tadeusz Machalski urodził się 1 października 1893 roku w Wiedniu — przypadkiem, bo w okresie powrotu jego rodziców z Paryża do Lwowa. Po ukończeniu wojskowej szkoły realnej autor został przyjęty do Terezjańskiej Akademii Wojskowej w Wiener Neustadt. Miał lat 20, gdy wybuchła wojna światowa. Kampanię rozpoczął jako porucznik 4 Pułku Ułanów. Chrzest bojowy otrzymał w sierpniu 1914 roku, gdy dywizja kawalerii do której należał 4 Pułk wkroczyła z Galicji do Lubelszczyzny, maszerując na Kraśnik. W grudniu jego pułk przerzucono do Prus Wschodnich, a wiosną 1915 roku był skierowany na odcinek Kołomyja-Śniatyń, gdzie Machalski w ataku na rosyjską baterię artylerii był ranny w głowę. Znalazł się ponownie w Wiener Neustadt, ale tym razem w szpitalu. W maju 1916 jego spieszony pułk stał w okopach nad Dniestrem.

* Tadeusz Machalski, *Co widziałem i przeżyłem*. Str. 333, fotografii 18. Skład główny Veritas Foundation, Londyn 1980.

Po deklaracji dwóch cesarzy (5. XI. 1916) do pułku wpłynęły formularze, które każdy musiał wypełnić, oświadczając czy chce wstąpić do mającej powstać *Polnische Wehrmacht*. „Wszyscy polscy oficerowie się zgłosili, „szalejąc z radości”, ale tymczasem pułk przesunięto do Siedmiogrodu, gdzie przebywał aż do grudnia 1917 roku. „Zaczęły dochodzić nas wiadomości o odstąpieniu Chełmszczyzny” — pisze Machalski i tu go pamięć zawiodła, bowiem sławetny traktat pokoju zawarty w Brześciu przez Mocarstwa Centralne z fikcyjnym rządem ukraińskim został podpisany 9 lutego 1918 roku.

„Zerwała się burza protestów (ciągnie autor). Zaczęto krzyczeć o czwartym rozbiórze Polski i co z całej tej paplaniny? (*sic!*). Lepiej było zgodzić się na formowanie wojska polskiego nawet pod postacią *Wehrmachtu* i mielibyśmy teraz (?) półmilionową armię, z którą Niemcy musieliby się liczyć, bo na jej rozbrowenie siłą nie mogli sobie pozwolić. Ale takie wojsko... stworzyć mogliśmy tylko my, zawodowi oficerowie, a nie legionści, których nikt poważnie nie brał” (str. 49-50).

Ta gołosłowna i dla legionistów krzywdząca cytata jest charakterystyczna dla poglądów Machalskiego, który tak pisze, jakby nie słyszał o bojach Legionów pod Kościuchnowką (4-6. VII. 1916).

Resztę wojny spędził Machalski ze swym pułkiem w północnych Włoszech, skąd go skierowano do Szkoły Wojennej, którą ze względów aprowizacyjnych przeniesiono z Wiednia do Belgradu, po czym już jako kapitana sztabu generalnego przydzielono go do dowództwa 10-tej Armii w Levico, w Południowym Tyrolu. W końcu października pojechał do Lwowa, aby się zobaczyć z rodzicami.



Dnia 1 listopada Machalski zauważył na wieży ratuszowej żółto-niebieską flagę. Z miejsca wziął udział w odbieraniu Lwowa Rusinom. Pomijam jego barwny opis pierwszych walk. „Nigdy nie czułem się tak dobrze i nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak w tym okresie” — notuje autor. W styczniu przybyła do Lwowa misja aliancka z francuskim generałem Barthélemy na czele, mająca doprowadzić do zawieszenia broni. W polsko-ukraińskiej konferencji, otwartej w Chorzowie, wziął udział Symon Petlura, który — pisze Machalski — „przyjął nas jak panujący monarcha”. W pokoju, w którym miała się odbyć dyskusja stał ogromny stół, a dokoła niego jednakowe krzesła i tylko jeden fotel, który zajął Petlura. Barthélemy, uważający się za prze-

wodniczącego konferencji, zapytał Machalskiego: *Qu'est-ce qu'il se passe?* To było jasne: Petlura był wówczas głową Dyrektoriatu efemerycznej „Zjednoczonej Ukrainy”. Z konferencji nic nie wyszło, bowiem Polacy nie myśleli o kapitulacji. Lwów był nadal osaczony, a Machalski (który 1 stycznia 1919 roku znalazł się na pierwszej polskiej liście oficerów sztabu generalnego obejmującej 25 nazwisk) został szefem sztabu organizującej się we Lwowie 5-ej Dywizji Piechoty. Lwów i całą Wschodnią Małopolskę wyzwoliła majowa ofensywa przybyłej z Francji Armii Polskiej pod dowództwem gen. Józefa Hallera. Lwów gotował się do uroczystego powitania zwycięzcy, ale — dodaje Machalski — „Haller stał się zbyt popularnym i zbyt niebezpiecznym rywalem”. Aby mu uniemożliwić triumfalny wjazd, Piłsudski nie zgodził się na przeniesienie jego kwatery głównej z Lublina do Lwowa i przeniósł ją do Krakowa.

Haller zabrał Machalskiego z sobą. Wszędzie gdzie się „błękitny generał” pokazywał był witany z niebywałym entuzjazmem. Pewnego dnia, gdy razem wracali z Morskiego Oka do Krakowa, Machalski zapytał Hallera, dlaczego po przyjeździe do kraju „uznany przez Koalicję naczelny wódz” i „przedstawiciel rządu narodowego”¹ skapitulował przed Piłsudskim, „którego władza pochodziła od ustanowionej przez Niemców Rady Regencyjnej”. Haller słuchał uważnie, a po chwili odpowiedział, że oczekiwał na powołanie go na stanowisko naczelnego wodza, ale ponieważ Sejm milczał „nie chciał dokonać zamachu stanu, by siłą objąć władzę” (str. 79-80).

Na początku 1920 roku Machalski został zastępcą kwatermistrza Frontu Litewsko-Białoruskiego z kwaterą główną w Wilnie. Dowódcą frontu był płk-gen. Stanisław Szeptycki. Poza dowództwem frontu istniał w Wilnie Zarząd Ziem Wschodnich z Jerzym Osмоłowskim na czele, który uważał, że „Korona i Litwa nadal istnieją złączone w unii personalnej”. Sądził więc, że w Warszawie funkcjonuje premier koronny a w Wilnie on, jako premier litewski — z Piłsudskim jako naczelnikiem państwa.

W styczniu przybył do Wilna Piłsudski z nuncjuszem papieskim Achille Rattim (który w dwa lata później został obrany papieżem Piusem XI). W katedrze odbyło się uroczyste nabo-

1. Komitet Narodowy Polski — który „w porozumieniu z rządami państw sprzymierzonych” mianował Hallera 4. 10. 1918 r. „naczelnym wodzem wszystkich wojsk polskich walczących o zjednoczenie całej Ojczyzny przeciwko monarchiom zaboreczym” — nie był „rządem narodowym”. Założony w sierpniu 1917 roku w Lozannie i przeniesiony do Paryża, KNP został uznany przez rządy sprzymierzone jako *organisation officielle polonaise*.

żeństwo, po czym Szeptycki wydał na cześć swych gości bankiet na którym wygłosił mowę, witającą Piłsudskiego nie tylko jako naczelnego wodza, „ale jako ucieleśnienie wszystkich marzeń narodu”. Widać było, że chciał przełamać lody i zapewnić marszałka o „swoim bezgranicznym oddaniu”. Ale Piłsudski głosu nie zabrał. Gdy Machalski zapytał siedzącego obok niego kapitana Walerego Sławka, jak to milczenie należy rozumieć, ówczesny szef Oddziału II przy dowództwie odpowiedział: „Marszałek nie może darować Szeptyckiemu, że swego czasu objął dowództwo nad Legionami i na ich czele wkroczył do Warszawy”.

Niedługo potem nadszedł ze stolicy rozkaz rozwiązujący Front Litewsko-Białoruski. „Widocznie (komentuje Machalski, str. 87) Szeptycki stał się zbyt popularny w Wilnie, czego Piłsudski nie mógł ścierpieć”. Front został podzielony na trzy części: 7 Armię w Wilnie pod dowództwem gen. Zygałłowicza, 1 Armię w Głębokiem pod Józefem Hallerem² i 4 Armię w Mińsku pod Szeptyckim, który zabrał z sobą Machalskiego. Jednocześnie Piłsudski osłabił front północny na korzyść frontu południowego. Szeptycki nie ukrywał swych obaw i przestrzegał, że ofensywa na południu będzie „uderzeniem w próżnię”, że „wyprawa na Kijów przerasta nasze możliwości wojskowe, a tymczasem nieprzyjaciel koncentruje poważne siły na północy”, że „front północny nie wytrzyma uderzenia”. Stało się tak, jak Szeptycki przewidział (pisze Machalski): „Ofensywa Piłsudskiego na południu robiła błyskawiczne postępy, a tu na północy wszystko zważyło się na nas”.

Gdy M. N. Tuchaczewski, dowódca sowieckiego Frontu Zachodniego, rozpoczął 14 maja swą pierwszą ofensywę, atakując nieco mityczną I Armię, odniósł z miejsca poważny sukces taktyczny, ale interwencja armii rezerwowej gen. Sosnkowskiego odebrała zdobyte obszary. Po majowym alarmie „Piłsudski zdecydował się ponieważ na sklecenie tego, co tak lekkomyślnie rozbił i powołał gen. Szeptyckiego z powrotem na stanowisko dowódcy frontu. Było jednak już za późno” (str. 91).

W dniu czwartego lipca Tuchaczewski uderzył po raz drugi większymi siłami i rozpoczął się nasz wielki odwrót na całym froncie północnym. Po Szeptyckim dowództwo frontu objął generał Józef Haller. Ponieważ wojska sowieckie zbliżyły się do środkowej Wisły, Haller założył swą kwaterę w Warszawie,

2. Haller dowództwa nie przyjął i do majowej ofensywy Tuchaczewskiego stały tam tylko cztery grupy, wśród których stosunkowo najsilniejsza była grupa gen. Lucjana Żeligowskiego.

a kpt. Machalskiego mianował kwatermistrzem. Haller był także dowódcą Armii Ochotniczej: „Dzięki swej popularności (notuje autor) zdołał jakby spod ziemi wykrzesać nowe wojsko”. Przebiegu historycznej bitwy warszawskiej Machalski nie opisuje, stwierdzając tylko, że „po przewyciężeniu kryzysów pod Radzyminem i Nasielskiem ruszył front znad Wieprza z południa na północ... co automatycznie powodowało wyklinowanie z frontu północnego jednej dywizji po drugiej, aż w końcu Haller pozostał sam z całym swoim sztabem... ale bez wojska”.

Po zawieszeniu broni Machalski został szefem sztabu 26-ej Dywizji Piechoty w Skierniewicach, a następnie szefem sztabu 14-ej Dywizji Piechoty w Poznaniu, wchodzącej w skład VII-go Korpusu którego dowódcą był gen. Kazimierz Raszewski, jedyny wyższy oficer pochodzący z wojska niemieckiego. Gdy w 1923 roku marszałek Foch odwiedził Poznań, Raszewski polecił Machalskiemu zorganizowanie ćwiczenia pokazowego w Biedrusku. Piłsudski Fochowi w tej wizycie nie towarzyszył. „Do Poznania (wyjaśnia Machalski) marszałek nigdy nie przyjechał, unikając zetknięcia ze społeczeństwem wielkopolskim, które nie mogło mu wybaczyć, że nie poparł ani powstania wielkopolskiego, ani powstań śląskich” (str. 109). Wkrótce potem major Machalski został dowódcą 7-go Pułku Strzelców Konnych.

Gdy Raszewski poszedł na emeryturę, dowództwo korpusu objął gen. Sosnkowski, który na powitalnym spotkaniu z dowódcami dywizji, brygad i pułków dał wyraz swej radości, że ma Machalskiego w swoim korpusie. Zwracając się do wszystkich powiedział: „Takich ćwiczeń jakie Machalski zorganizował w Biedrusku dla marszałka Focha nie potrafiono mu pokazać nawet we Francji. To ja, Sosnkowski, Panom to mówię”. Nic dziwnego, że tym powiedzeniem Sosnkowski ujął Machalskiego, który jednak pisze, że legioniści „sobie wyłącznie przypisują zasługę wskrzeszenia Polski, choć Polska by powstała tak samo nawet jakby Piłsudskiego i legionistów wcale nie było” (str. 111). Raczej płytka i złośliwa jest ta historiozofia, tym bardziej jeśli się zważy, że właśnie z Legionów pochodziła najcenniejsza kadra wojska, która zapewniła Polsce zwycięstwo w 1920 roku.

W dniu zamachu stanu 12 maja 1926 roku Sosnkowskiego w Poznaniu nie było. Gdy zjawił się nazajutrz w dowództwie, dowiedział się, że korpus jest już w drodze do Warszawy. Ponury i przygnębiony udał się do swego biura. Po dwóch godzinach adiutant siedzący w sąsiednim pokoju usłyszał strzał. Gdy wpadł do biura Sosnkowskiego, zastał go leżącego na podłodze

w kałuży krwi. Na biurku widniał zapieczętowany list zaadresowany do gen. Hausera, zastępcy dowództwa DOK, z napisem na kopercie: „Otworzyć po mojej śmierci”. Zaalarmowana karetka pogotowia zawiosła Generała do kliniki prof. Jurasza.

Machalski nie był obecny przy operacji i rany generała nie widział, ale mu powiedziano, że generał przez dłuższy czas walczył ze śmiercią. Leżącemu w szpitalu Sosnkowskim Hauser oddał nierozpieczętowany list, „nikt więc nie zna jego treści”. Dla Machalskiego jest zagadką, dlaczego Sosnkowski targnął się na swe życie:

„Czy dlatego, że będąc dowódcą korpusu poznańskiego nie zdołał zapobiec jego wystąpieniu przeciwko Piłsudskiemu; czy dlatego, że będąc w Warszawie przekonał się, iż cały zamach przygotowany został bez jego udziału, co stawiało go poza nawiasem życia legionowego, z czego wynioskował, że stracił zaufanie marszałka i jego kliki” (str. 113)?

Wkrótce po objęciu władzy Piłsudski utworzył Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, do którego powołał także Machalskiego, a w roku 1928, mianując go podpułkownikiem, wyznaczył go na dowódcę 26 Pułku Ułanów w Baranowiczach. Zawiadamiając go o tej nominacji, płk Janusz Gąsiorowski, szef gabinetu GISZ, powiedział Machalskiemu, że Marszałek zrobił uwagę, iż „na granicy sowieckiej musi mieć oficera dyplomowanego który wie co robić i na którego może liczyć” (str. 127).

Przez dziewięć lat dowodzenia 26 pułkiem Machalski ani razu nie widział u siebie na inspekcji ani dowódcy korpusu, ani inspektora armii. Gdy pojechał do Warszawy aby zdobyć pieniądze na remont koszar, szef departamentu budownictwa w MSW mu powiedział, że zły stan koszar jest mu znany, ale nie może mu przyjść z pomocą, bo wszystkie kredyty na remont koszar w tym roku wzięł gen. Tadeusz Kasprzycki na urządzenie luksusowej rezydencji przy Alei Szucha „dla swojej przyszłej żony, panny Kajzerówny” (str. 137). Wróciwszy do Baranowicz z pustymi rękami Machalski napisał sążnisty raport, który trafił na biurko Kasprzyckiego (ministra spraw wojskowych od marca 1935 r.). Oburzony tonem raportu, Kasprzycki wyznaczył specjalną komisję dla zbadania sprawy, która orzekła, że nie było w raporcie przesady. „Obawiając się skandalu” Kasprzycki przydzielił Machalskiemu z innego kredytu 800.000 zł na budowę nowych koszar.

Autor podaje charakterystyczne szczegóły biografii płk. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Bawiąc urzędowo w Baranowiczach, podszedł do Machalskiego w kasynie oficerskim z

dwoma kieliszkami wódki i zawołał: „Chociaż jesteś endekiem, to jednak jesteś porządnym człowiekiem. Chodź, daj pyska”. I na oczach wszystkich wypił z Machalskim bruderszaft. Wkrótce potem, gdy spotkał się z Machalskim w Zakopanem, zaczął go tytułować „Panie Pułkowniku”, zapraszając go do nocnej zabawy. Machalski oświadczył, że nie jest w nastroju, więc na zabawę nie pójdzie. Wówczas Wieniawa krzyknął: „Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną niż miałbym kiedykolwiek dopuścić by Pan awansował!” (str. 142-144). Istotnie, Machalski został pięć razy pominięty w awansie. Gdy zgłosił się do MSWojsk. z zazaleniem, przyjął go wiceminister gen. Janusz Głuchowski, który mu oświadczył: „Awans się Panu nie należy, bo wystarczy, aby nos Pana się nie podobał, by Pan nie awansował” (str. 153). Więc ppłk Machalski został zastępcą szefa Wojskowego Biura Historycznego.



W pierwszych dniach sierpnia 1939 roku nasz kronikarz został mianowany *attaché* wojskowym przy ambasadzie RP w Ankarze i przy poselstwie w Atenach. W Ankarze sytuacja była delikatna, bo po pobycie płk. Tadeusza Schätzla Turcja przez 14 lat nie zgadzała się na polskiego *attaché* w obawie, że będzie kontynuował działalność „prometejską” na Kaukazie; natomiast w Grecji dotychczas naszego *attaché* wojskowego nie było. Wybór padł na Machalskiego tylko dlatego — jak autor sam przyznaje — że ci których sztab chciał wysłać woleli pozostać „bliżej ołtarza”, a ci co sami się napraszali, do takiej misji się nie nadawali. W Sztabie Głównym powiedziano Machalskiemu, że w razie wojny trzeba się będzie liczyć z przerwaniem wszelkiej komunikacji przez Bałtyk, więc zasła konieczność wysłania kogoś obrotnego do Turcji i Grecji dla zorganizowania połączeń przez Morze Śródziemne. „Po ciernistej drodze, którą dotychczas kroczyłem — pisze Machalski — zacząłem poznawać życie z jego aksamitnej strony”.

Machalski przybył do Stambułu 1 września rano. W polskim Konsulacie Generalnym usłyszał przemówienie Hitlera nadane przez tureckie radio: *Seit 5 Uhr 30 wird zurückgeschossen!* — wrzasnął Führer. Zaczęła się druga wojna światowa. Wieczorem Machalski odjechał nocnym kurierem do Ankary. Złożył wizyty ministrowi spraw zagranicznych Sükrü Saraçoğlu oraz naczelnemu wodzowi wojsk tureckich marszałkowi Fevzi Çakmakowi, który go zapewnił o swojej życzliwości, gdyż „całym ser-

cem był po stronie Polski”. Marszałek dodał, że „Turcy pod żadnymi pozorami nie staną nigdy po stronie Hitlera”. W Ankarze Machalski spotkał gen. Maxime’a Weyganda, wówczas wodza francuskich sił zbrojnych w Syrii i Libanie, który mu powiedział, że jego zdaniem należałoby uderzyć na Niemcy „poprzez Bałkany”.

Z Turcji Machalski udał się do Grecji, gdzie poseł Władysław Schwarzburg-Günther przyjął go bardzo serdecznie i zaprowadził do ministra spraw zagranicznych Mavroudisa, który obiecał naszemu *attaché* „najdalej idącą pomoc”, ale prosił, aby przebywał w Atenach w ubraniu cywilnym i unikał oficjalnych przyjęć — na co Machalski oczywiście się nie zgodził.

W międzyczasie nadeszły z Bukaresztu wiadomości o internowaniu przez Rumunów prezydenta, naczelnego wodza i rządu RP. Mościcki po niefortunnym wyznaczeniu Wieniawy (wówczas ambasadora RP przy Kwirynale) mianował swoim następcą Władysława Raczkiewicza, wojewodę pomorskiego. Nowym premierem i naczelnym wodzem został gen. Sikorski. Nasz ambasador w Ankarze, Michał Sokolnicki, „gorzko przeżywał zmierzch władzy legionowej”. Sokolnicki, zdaniem autora, „uważał Becka za największego męża stanu naszych czasów”, podczas gdy Machalski widział w nim „przyczynę utraty naszej niepodległości za to, że u boku Hitlera najechał Czechosłowację” (str. 179). Ta apodyktyczna niezgodna z faktami opinia jest jednym z wielu dowodów zjadliwości i subiektywizmu autora.

W październiku, z okazji podpisania turecko-brytyjsko-francuskiego układu o wzajemnej pomocy, bawił ponownie w Ankarze gen. Weygand, z którym Machalski omówił swój plan utworzenia polskich jednostek wojskowych w Syrii i Libanie. Weygand poparł ten pomysł z entuzjazmem, co się tłumaczyło tym, że rozporządzał na Lewancie niewielkimi siłami francuskimi.

Dnia 3 czerwca 1940 roku Machalski był w ambasadzie francuskiej na przyjęciu wydanym na cześć gen. Mittelhausera, następcy Weyganda w Syrii. Z rozmowy z nim wynikało, że po Sedanie front francuski się „wyprostował” i opiera się teraz lewym skrzydłem o morze a prawym o Linie Maginota — więc na nowych pozycjach Francuzi zaczekają do wiosny 1941, a może do 1942. Tymczasem już 24 czerwca Niemcy weszli do Paryża, a 22 czerwca Francja skapitulowała. Zbombardowanie floty francuskiej w Oranie przez flotę brytyjską (3 lipca) miało taki skutek, że major Leleu, zastępca w Stambule francuskiego *attaché* wojskowego w Ankarze, oświadczył Machalskiemu:

„— Okupacja niemiecka nie stwarza dla prawdziwych Francuzów żadnej nowej sytuacji, ponieważ Francja od dziesięciu lat okupowaną była przez komunistów. Zobacz Pan, że najdalej za 15 dni Francja będzie aliantem Niemiec i Włoch...” (str. 204-206).

Po kapitulacji Francji zjawili się w Stambule gen. Felicjan Sławoj-Składkowski i minister sprawiedliwości Witold Grabowski, meldując pułkownikowi Machalskiemu, że pragną służyć w wojsku polskim jako prości szeregowcy. Tymczasem Sikorski polecił Machalskiemu aby „zatrzymał i internował” wszystkich członków b. rządu. Ponieważ jako żołnierz polityką się nie zajmował, zwrócił się Machalski w tej sprawie do Sokolnickiego. Ambasador był „przeżaszony”. Choć wiernie służył nowym polskim władzom, „struchlał na samą myśl, że mógłby być zmuszonym do internowania Becka”. Oświadczył, że skoro owo polecenie Sikorskiego było adresowane do Machalskiego a nie do niego, „z tą całą sprawą nie chce mieć nic wspólnego”. Z kłopotów wybrał Machalskiego fakt, że b. polscy ministrowie pozostawali nadal w Rumunii. Składkowskiego i Grabowskiego wysłał do Palestyny, dokąd Brygada Karpacka z gen. Stanisławem Kopańskim na czele przeszła z Syrii zaraz po stanięciu Mittelhausera przy marszałku Pétainie.



Wiosną 1941 roku Machalski został odwołany ze stanowiska *attaché* wojskowego w Turcji, a jego miejsce zajął — w wyniku „świńskiej intrygi” (str. 226) — płk Andrzej Liebich. Machalskiego przeniesiono do Kairu jako *attaché* wojskowego przy Armii Greckiej w Egipcie.

Dnia 22 czerwca Hitler rozpoczął inwazję Związku Sowieckiego. Wojna europejska przekształciła się w wojnę światową. Tego samego wieczora Churchill zapowiedział w mowie radiowej, że Wielka Brytania jest gotowa „udzielić pomocy Rosji i rosyjskiemu narodowi”. Nazajutrz, przemawiając przez radio do narodu polskiego gen. Sikorski stwierdził, że „skoro dawni wspólnicy z sobą wojują”, można żywić nadzieję, że spór polsko-rosyjski „zniknie z dziedziny polityki międzynarodowej”. Dnia 30 lipca Sikorski i Iwan Majski, sowiecki ambasador w Londynie, podpisali układ orzekający, że:

„sowiecko-niemieckie układy z 1939 roku, dotyczące zmian terytorialnych w Polsce *have lost their validity*”;
oba rządy „wznawiają wzajemne stosunki dyplomatyczne”;
obie strony będą wspólnie walczyły z „hitlerowskimi Niemcami”;

na terytorium Związku Sowieckiego powstanie Armia Polska, operacyjnie podporządkowana naczelnemu dowództwu sowieckiemu.

Ponieważ układ londyński nie stwierdzał, że granica polsko-sowiecka wyznaczona w Traktacie Ryskim nadal obowiązuje, z rządu Sikorskiego ustąpili na znak protestu ministrowie Sosnkowski, August Zaleski i Marian Seyda. „Było rzeczą jasną — komentuje Machalski, znów płytko i tendencyjnie (str. 230) — że przedstawienie całej naszej polityki z antyrosyjskiej i proniemieckiej na prorosyjską i antyniemiecką nie mogło się odbyć bez zgrzytów”.

Dnia 12 listopada 1941 przyleciał do Kairu Sikorski. Posła Tadeusza Zażulińskiego „oblały zimne poty”, bo jako nominant Becka „drżał o swoją posadę”. Powitawszy Sikorskiego na lotnisku, powiedział mu, że apartamentu w hotelu dla niego nie zarezerwował, bo sobie pomyślał, że generał, „będąc poniekąd głową państwa”, nie powinien zamieszkać w hotelu — więc mu oddaje poselstwo do dyspozycji. „Generał (pisze Machalski) był zarozumiały, opryskliwy i niedostępny, ale wobec pochlebstw rozpływał się jak masło w ciepłej grzance” (str. 232). Gdy Machalski zameldował się u Sikorskiego, generał powiedział mu szorstko:

— A to Pan jest tym *attaché* wojskowym, z którego byliśmy tak niezadowoleni w czasie ewakuacji...

— To ja, Panie Generale, byłem niezadowolony z zarządzeń, które otrzymywałem z Londynu — odparł Machalski.

Generała aż zatkało. Nie był przygotowany na taką zuchwałosc. Wlepił we mnie oczy, po czym ostro powiedział:

— Pomówimy jeszcze o tym, Pułkowniku (str. 232-233).

Ale do tej rozmowy nigdy nie doszło. Dnia 14 listopada Sikorski przeprowadził inspekcję Brygady Karpackiej w Tobruku, po czym odleciał do Rosji, aby odwiedzić organizującą się pod dowództwem gen. Władysława Andersa Armię Polską oraz spotkać się ze Stalinem. Rozmowa z sowieckim *woźdiom* odbyła się na Kremlu 3 grudnia, a nazajutrz Stalin i Sikorski podpisali Deklarację Wzajemnej Przyjaźni. Powróciwszy do Kairu 21 grudnia, Sikorski spędził wieczór wigilijny w gronie polskich oficerów. Machalski siedział tuż obok generała, ale „jakoś nie było serdecznego nastroju”. Generał był „zdenerwowany i mało-mówny”.

W pierwszych dniach kwietnia 1942 roku zjawił się w Kairze gen. Anders. Płk Władysław Bobiński, dowódca Karpackiego Pułku Ułanów kwaterującego pod Piramidami, urządził dla generała przyjęcie. Na kolacji Machalski siedział na lewo od An-

dersa. Rozmowa generała z naszym autorem toczyła się na nutę „moje” wojsko, „moje” dywizje. W kilka dni po odlocie Andersa do Londynu przybył z Rosji do Kairu gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, stary przyjaciel Machalskiego jeszcze z czasów obrony Lwowa. Machalski cenił Borutę jako „prawego człowieka i dzielnego żołnierza”. Otóż Boruta opowiedział autorowi, że Anders usunął go z dowództwa 5-tej Dywizji, bo był zazdrosny o jego popularność wśród wojska. Anders wysłał go do Egiptu, gdzie miałby objąć dowództwo 2-go Korpusu na Bliskim Wschodzie, ale w Kairze bawił już przysłany tam z Londynu jako dowódca 2-go Korpusu gen. Józef Zając. Boruta opowiedział Machalskiemu o swoich rozmowach z Andersem, którego zdaniem „w Rosji panuje absolutny chaos” i za dwa lub trzy miesiące „wszystko się rozwali”, bo „oni nie mają nikogo, kogo mogliby wyznaczyć jako naczelnego wodza”. Anders zwierzył się Borucie, że „liczy się z tym, iż Stalin zwróci się do niego w tej sprawie z propozycją, by wziął wszystko w swoje ręce i zrobił porządek”, Machalskiemu ta rewelacja wydała się tak nieprawdopodobną, że poprosił Borutę o jej potwierdzenie na piśmie (str. 240-241). W końcu kwietnia Anders był z powrotem w Kairze, a 1 maja odleciał do Rosji. Machalski dowiedział się z drugiej ręki, że w Londynie między Andersem a Sikorskim „miało dojść do ostrego starcia i dramatycznych scen” (str. 243)³.

Wkrótce po niemieckich rewelacjach na temat Katynia w szeregach wojska polskiego na Bliskim Wschodzie „zaczęto rozgłaszać, że na skutek błędnej polityki Sikorskiego sprawa Polski źle stoi”, że „cała jego polityka opierająca się na współpracy z Rosją Sowiecką i federacji z Czechosłowacją wzięła w łeb”, co w końcu zmusiło Sikorskiego do przyjazdu na Bliski Wschód. Tu Machalski podaje nową sensacyjną rewelację a raczej obrzydliwą plotkę:

„Po cichu zaczęto [na Bliskim Wschodzie] mówić, że Anders wykorzysta ten przyjazd, by urządzić dla Sikorskiego polowanie, na którym miała go trafić zabłąkana kula”.

Sikorski przyleciał do Kairu 1 czerwca i zaraz odleciał do Iraku, gdzie obozowały jednostki polskie ewakuowane z Rosji.

3. Wiele faktycznych informacji na temat stosunków osobistych między Andersem a Sikorskim znajdzie czytelnik w książce Stanisława Kota *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn 1956, str. 418 *et seq.* W swym wywiadzie z Z. S. Siemaszką, ogłoszonym w *Kulturze* (Nr 7-8, 1970) gen. Anders przyznał, że między nim a Sikorskim istniał „pewien rozdzźwięk na temat stosunku do Sowietów”. Najwięcej na temat „rozdźwięku” pisze Marian Kukiel w swej pracy *Generał Sikorski*, Londyn 1970, str. 218-220.

Dnia 29 czerwca Sikorski wrócił do Kairu wraz z Andersem. „Widocznie — konkluduje Machalski — gen. Sikorskiemu udało się cało wyjść z opresji”.

Przed odlotem Sikorskiego do Londynu poseł Zazuliński wydał w poselstwie przyjęcie pożegnalne, na które Anders się nie stawił, choć był w Kairze.

„Sikorski był jakby w gorączce, był podniecony i niespokojny... Starał się być uprzejmym, ale widać było, że myślami był gdzie indziej. Porwał się na wielką rzecz. Dla ratowania życia nieszczęśliwych Polaków wywiezionych w głąb Rosji zawarł umowę ze Stalinem... Ryzykował wiele, a teraz — widząc, że zamiast wdzięczności tych ludzi... doczekał się czarnej niewdzięczności, nawet wrogości — przeraził się...” (str. 255-256).

Zazuliński, Kopański i Machalski odprowadzili Sikorskiego 3 lipca na lotnisko, ale „Andersa znowu nie było”. Nazajutrz przysłała do Kairu wiadomość o tragicznej śmierci Sikorskiego w katastrofie gibraltarskiej.



Dla nawiązania kontaktu z wojskiem przybył do Kairu w listopadzie gen. Sosnkowski, nowo mianowany naczelny wódz. Choć Anders „pilnie baczył”, aby nikt do generała nie mógł się dostać, Machalskiemu udało się — dzięki znajomości z czasów poznańskich — wyrwać Sosnkowskiego spod opieki Andersa i przez trzy dni pokazywać mu stary Kair i jego meczety, piramidy i sfinksa, a także zorganizować przejażdżkę łodzią rybacką po Nilu. Na łodzi Sosnkowski powiedział do Machalskiego: „Chciałbym dla Pana coś uczynić. Czego Pan by chciał?”. Machalski odparł, że gdyby prosił o brygadę pancerną, Anders by się temu sprzeciwił; gdyby generał wziął go do swego sztabu w Londynie, byłby solą w oku wszystkim legionistom. Więc woli pozostać *attaché* wojskowym przy armii greckiej.

Machalski był obecny na bankiecie pożegnalnym (21. I. 1944) z okazji transportu 2-go Korpusu do Włoch. Słuchał, jak Anders chlubił się tym, że krok zrobiony przez Sikorskiego w stronę Rosji on szczęśliwie odrobił, „bo Sikorski kazał Armii Polskiej pozostać w Rosji, a on ją stamtąd wyprowadził” (str. 266).

W październiku 1944 roku Machalski wrócił do Aten wraz z greckim wojskiem, ale gdy 5 lipca 1945 roku Wielka Brytania i Stany Zjednoczone cofnęły dalsze uznawanie rządu polskiego w Londynie — „ziemia rozwarła się” przed autorem. Wrócił do Kairu i przez pewien czas był kierownikiem szkolenia oficerów w obozie Quassasin na pustyni.

Po skończonej wojnie w Europie płk Machalski wylądował w Anglii w ramach Polskiego Korpusu Rozmieszczenia (*Polish Resettlement Corps*). Po rozwiązaniu Korpusu założył wraz z płk. Aleksandrem Kędziorem Związek Oficerów i Podoficerów, który bezskutecznie starał się u władz brytyjskich o emerytury dla swych kilku tysięcy członków. Gdy w 1954 roku doszło do rozłamu w emigracyjnym obozie politycznym, Machalski stanął po stronie „prezydenta” Zaleskiego. „Premier” Stanisław Mac-kiewicz mianował go komisarzem na miasto Londyn do wyborów Rady Rzeczypospolitej. „Premier” Antoni Pająk zaprosił Machal-skiego do swego gabinetu, a na wniosek gen. Michała Tokarzew-skiego-Karaszewicza, „generalnego inspektora sił zbrojnych”, Za-leski mianował Machalskiego generałem brygady. Machalski roz-stał się z Zaleskim i jego „rządem”, gdy w 1971 roku przystąpił do zarządu Zagranicznego Komitetu Odbudowy Zamku Królew-skiego w Warszawie.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

Tadeusz LISICKI

„SZWAJCARSKI KORYTARZ”

Wprawdzie historia drugiej wojny światowej jest już dobrze znana, niemniej ciągle mamy do czynienia z nowymi rewela-cjami. Dotyczą one w szczególności spraw związanych z wywia-dem, penetracją Rosji, z „podwójnymi agentami” itd. W dużej mierze jest to wynik udostępnienia historykom najtajniejszych archiwów zachodnich państw, jakkolwiek tylko częściowo, oraz zwolnienia żyjących jeszcze uczestników ważnych wydarzeń z obowiązującej ich przez długie lata służbowej tajemnicy. Pozwo-liło to na uzupełnienie niektórych rozdziałów historii ostatniej wielkiej wojny i na ocenę wydarzeń pod nowym kątem widzenia. Taką była poprzednia książka Józefa Garlińskiego o „Enigmie” i taką jest jego nowo wydana książka w języku angielskim pod tytułem *The Swiss Corridor* (Szwajcarski Korytarz)*, napisana

* Józef Garliński, *The Swiss Corridor*, J. M. Dent and Sons, Londyn 1981, str. 220, 12 stron ilustracji, 2 mapy, 1 diagram.

na zamówienie jednej z większych firm wydawniczych w Wielkiej Brytanii.

W czasie ostatniej wielkiej wojny Szwajcaria, pomimo zakusów Hitlera, potrafiła zachować neutralność i była to neutralność ciekawa: czynna i zbrojna. Nie było to łatwe zadanie i wymagało dostosowania się do zmiennego przebiegu toczącej się wojny. Głównym instrumentem działania był wywiad wojskowy, który nie tylko zbierał potrzebne informacje i przekazywał je bardzo dyskretnie wywiadowi antyhitlerowskiej koalicji, ale także trzymał rękę na pulsie obcych poczynań. Szwajcaria, położona w samym środku Europy, była idealnym polem do działania gdzie krzyżowały się nici wywiadów brytyjskiego, amerykańskiego, rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego, włoskiego, czeskiego, polskiego i innych.

Archiwa dotyczące wywiadów są na ogół nadal zamknięte, ale Garliński, dzięki poważnym osiągnięciom na odcinku badań historycznych i dzięki osobistym znajomościom, dotarł do niektórych dokumentów wywiadu szwajcarskiego i przez to zamknięte drzwi zostały dlań częściowo uchylone. Dotarł do sekretów „szwajcarskiego korytarza” i tym wąskim przejściem zajrzał za kulisy poczynań państw prowadzących wojnę a zwłaszcza ich wywiadów.

Specjalnie ciekawe są sprawy związanego z wywiadem sowieckim, bo Rosja od rewolucji nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych ze Szwajcarią (nawiązała je dopiero w roku 1945) i nie mając tam swego przedstawicielstwa, była w trudnej sytuacji. Dlatego już na kilka lat przed wojną umieściła tam węgierskiego komunistę i swego wypróbowanego agenta, Sándora Radó, który — jako kartograf — otworzył odpowiednią firmę i stał się powszechnie szanowanym mieszkańcem małej demokracji. On właśnie stworzył tam sowiecką sieć wywiadu, która zdobywała bardzo cenne informacje i przesyłała je radiem do Moskwy. Jego najbliższym współpracownikiem — choć nigdy się nie spotkali a kontaktowali się przez pośredników — był Niemiec, Rudolf Roessler. Osiedlił się on w Szwajcarii na kilka lat przed wojną jako uchodźca polityczny z hitlerowskich Niemiec, założył firmę wydawniczą, był dziennikarzem i miał jakieś fantastyczne kontakty na terenie Trzeciej Rzeszy. Faktem jest, że otrzymywał stamtąd najtajniejsze informacje, dotyczące rozkazów samego Hitlera i innych wysoko postawionych osobistości, czasem w ciągu 24 godzin. Informacje te, za pośrednictwem Radó, szły drogą radiową do Moskwy. On, między innymi, podał Stalinowi dokładną datę niemieckiego ataku, w czerwcu 1941 roku, w co zresztą Stalin nie uwierzył. Nikt jeszcze nie potrafił dowieść w jaki sposób Roessler otrzymywał te informacje, Garliński rzuca sporo światła na te sprawy.

Książka przynosi także ciekawe informacje na temat sekretnych kontaktów niemieckiego, antyhitlerowskiego podziemia,

zwanego *Die Schwarze Kapelle* (Czarna orkiestra), którego jednym z przywódców był admirał Canaris, szef wojskowego niemieckiego wywiadu (*Abwehr*). Z Canarisem wiąże się bardzo ciekawy polonik, przedstawiony przez Garlińskiego, on bowiem umieścił w Szwajcarii Halinę Szymańską, żonę ostatniego, przedwojennego polskiego wojskowego attaché w Berlinie. Admirał ułatwił jej przedostanie się z okupowanej Polski do Szwajcarii i tam skontaktował ją ze swym zaufanym człowiekiem. Szymańska została urzędniczką polskiego poselstwa a jednocześnie pracowała dla brytyjskiego wywiadu i przekazywała mu informacje otrzymanywane od antyhitlerowskiego, niemieckiego podziemia. Allan Dulles, który także występuje w książce — przedstawiciel wywiadu Stanów Zjednoczonych na Europę, rezydujący w Szwajcarii, określił Canarisa jako jednego z najdzielniejszych ludzi jakich zna nowoczesna historia, który miał wizję zjednoczonej Europy pod przewodnictwem Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec. Canaris złamał przysięgę złożoną na wierność Hitlerowi, ale czy był zdrajcą? Hitler, gdy po śmierci Hindenburga został głową państwa, zażądał, by wszyscy wyżsi dowódcy złożyli nową przysięgę. Znalazły się w niej słowa o bezwarunkowym posłuszeństwie Adolfowi Hitlerowi, przywódcy niemieckiego narodu i najwyższemu dowódcy wojskowemu. Czy członkowie „Czarnej orkiestry”, którzy złożyli tę przysięgę, mogli przeciwko niemu konspirować? Czy była to zdrada czy bohaterstwo, bo trzeba pamiętać, że prawie wszyscy konspiratorzy zapłacili za swe postępowanie życiem. Gdyby zachód im wierzył i gdyby chciał z nimi współpracować, jakie mogłoby być zakończenie wojny? W książce Garlińskiego znajdują się ogólne rozważania na ten temat, oświetla go z politycznego i moralnego punktu widzenia.

Czymś zupełnie innym była tak zwana *Die Rote Kapelle* (Czerwona orkiestra), sowiecka sieć szpiegowska działająca na terenie Trzeciej Rzeszy i okupowanych państw zachodnich. Założył ją i prowadził Leopold Trepper, który urodził się w Nowym Targu i od młodości brał udział w działalności komunistycznej w Polsce. Był jednym z organizatorów strajku na Śląsku; gdy poczuł się zagrożony wyemigrował do Palestyny a stamtąd do Francji. Tam znalazł się w sowieckim wywiadzie, później pojechał do Moskwy, otrzymał odpowiednie przeszkolenie i zjawił się w zachodniej Europie już jako szef „Czerwonej Orkiestry”. Miała ona powiązania ze Szwajcarią i z działającym tam Sándorem Radó i dlatego Garliński pisze o niej dosyć szeroko, podając wiele ciekawych informacji.

Profesor M. R. D. Foot, znany historyk ostatniej wojny, w przedmowie do książki Garlińskiego pisze, że autor stara się unikać sensacji w przedstawianiu historycznych faktów, w przeciwieństwie do niektórych pisarzy, którzy mieszają fikcję z prawdą. Jest to niewątpliwie duża zaleta wszystkich książek Garlińskiego, a jeżeli doda się do tego, że posiada on własny wyro-

biony styl podawania dokumentacji w łatwej formie, zasięg jego jest szeroki. Świadczą o tym poprzednie jego książki jak na przykład *Oświęcim walczący*, który mimo, że był tezą doktorską, rozszedł się w setkach tysięcy egzemplarzy, mając cztery wydania angielskie, dwa amerykańskie, jedno francuskie i, oczywiście, jedno polskie. *Ostatnia broń Hitlera* miała dwa wydania angielskie, jedno amerykańskie i jedno polskie. To samo dotyczy książki o „Enigmie”, którą w Stanach Zjednoczonych zakupiły dwa kluby: historyczny i wojskowy, i przez to nakłady jej znacznie wzrosły. Garliński jest jedynym polskim historykiem na Zachodzie, którego książki ukazują się regularnie w języku światowym. Pięć tytułów na przestrzeni od 1969 do początku 1981 roku to mniej więcej nowe osiągnięcie co dwa lata, a przecież książki wymagają czasochłonnych badań archiwalnych, wyjazdów za granicę, szukania świadków, odpowiednich kontaktów i znajomości.

Tadeusz LISICKI

Marian MUSHKAT

NA MARGINESIE PAMIĘTNIKÓW ZOFII DZIERŻYŃSKIEJ

(Przyczynek do dziejów stosunków polsko-sowieckich)

Oficyna wydawnicza „NOW-a”, przedrukowując w ramach swej niecenzurowanej działalności opowiadanie Stefana Zeromskiego sprzed 60 lat „Na probostwie w Wyszowie”, kierowała się zapewne chęcią uwypuklenia roli komunistów polskich w realizacji koncepcji sowyetyzacji Polski.

O takiej roli trudno jednakże wnioskować tylko na podstawie wymienionego opowiadania. Wydaje się ona zaś nader wątpliwa w świetle nie tylko opublikowanych w *Zeszytach Historycznych* paryskiego Instytutu Literackiego „Uwag o wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku”, pióra Romana Zambrowskiego, wybitnego działacza KZMP i KPP oraz b. członka Biura Politycznego i Sekretariatu PZPR, wykluczonego z partii w 1968 roku.

Wymienieni w opowiadaniu Zeromskiego zarówno dr Julian Marchlewski, przewodniczący Polskiego Komitetu Rewolucyjnego, tj. właściwie prowizorycznego rządu Polskiej Republiki Rad, który miał być powołany po zajęciu Warszawy przez Armię Czerwoną w 1920 roku, jak i Feliks Kon z PPS-Lewicy, oraz Józef Unszticht i Edward Próchniak, członkowie tego komitetu (Rewkom), byli zdania, że kreowanie Polskiej Republiki Rad w oparciu o siłę zbrojną Armii Czerwonej jest sprzeczne z głoszonym przez partię bolszewicką prawem narodu polskiego do samostanowienia. Jedynym, który parł do sowietyzacji Polski przemocą, był członek powyższego komitetu, Feliks Dzierżyński. Popierał go Stalin oraz z zastrzeżeniami Lenin, który przez pewien czas liczył na możliwość wyzyskania Polski jako pomostu do Niemiec. Jednakże jeszcze w okresie zwycięskiej początkowo ofensywy Armii Czerwonej na ziemiach polskich nurtowały go poważne wątpliwości. Później zaś podzielił zdanie tych komunistów polskich, którzy uznali marsz sowiecki do Polski zarówno za błąd strategiczny i polityczny oraz złe obliczony taktycznie, jak i za krok zgubny dla przyszłości komunizmu w Polsce. (Marchlewski twierdził tak w oświadczeniu, podpisanym przez 43 najwybitniejszych komunistów polskich, Karol Radek w liście otwartym do przywódców PPS Daszyńskiego, Diamanda i Perla, taka też była opinia Borskiego, Budzyńskiego i Próchniaka z 21 kwietnia 1920 roku, przekazana przez Biuro Polskie przy KC RKP(b) rosyjskim towarzyszom; o tym mówiła odpowiedź Unsztichta na zapytanie Lenina; tego dowiodły również wrażenia, odniesione przez Stiepanowa-Skworcowa, wybitnego działacza bolszewickiego i uczonego, z rozmów w Wyszku z Marchlewskim, Konem, a nawet Dzierżyńskim; w tym duchu publikował artykuły członek KC KPRP L. Domski (Henryk Stein-Kamiński) w *Rote Fahne* i tak było też zredagowane jego pismo do Biura Polskiego przy KC RKP(b) i oświadczenia innych polskich komunistów).

Dziewięć lat później, w artykule z 1929 roku pt. „Dwudziestoletni spór z Leninem” Adolf Warski (Warszawski), członek BP KPP i poseł na sejm, zdobył się na ostrą, także samokrytyczną, ocenę planów sowietyzacji Polski¹.

Właściwie jedynym polskim komunistą, który do końca życia trwał przy tych planach, był Feliks Dzierżyński. Wynika to także z pamiętników jego żony, również w wydaniu drugim, poprawionym i uzupełnionym na życzenie PZPR², aby uczynić je bardziej strawnymi dla czytelników polskich, zwłaszcza w świetle faktu, że nazwisko Dzierżyńskiego zdobi obecnie jeden z głównych placów w Warszawie oraz wiele ulic i zakładów przemysłowych w innych miastach polskich.

Dzierżyński pozostał wierny stanowisku tych socjaldemokra-

1. Nr 38 *Zeszytów Historycznych*, Instytut Literacki, Paryż 1968, str. 3-30.

2. S. S. Dzierżyńska, *V gody velikich bojev*, Izd. Mysl, Moskwa 1975.

tów, którzy zwalczali dążenie do rozwiązania sprawy polskiej drogą niepodległości państwowej i zjednoczenia zaborów. Zakładał on, że tylko droga rewolucji społecznej, realizowana wspólnie z międzynarodowym proletariatem, zwłaszcza Rosji, Niemiec i Austrii, a później głównie w sojuszu i w federacji z ZSSR, prowadzić może do prawdziwego wyzwolenia narodowego i ustroju sprawiedliwości społecznej.

Komuniści polscy, będący innego zdania i popierający na początku nawet przewrót majowy Piłsudskiego, uznani zostali za nosicieli „prawicowego odchylenia”, a partię ich, jako odszczepieńczą, rozwiązał Komintern.

Z przypisów pamiętnika Dzierżyńskiej wynika, że większość działaczy tej partii została uśmiercona w 1937 roku. Autorka, która tak bohatercko umiała zmagać się z caratem, która dużą część życia spędziła w więzieniach warszawskich, na katordze i na emigracji, której syn urodził się w słynnej „Serbii” w więzieniu kobiecym na Dzielnej, nie miała jednak odwagi ani w 9 ani w 19 lat po rozpoczęciu „destalinizacji” (1964 jest rokiem pierwszego wydania jej pamiętników, a 1975 — drugiego poprawionego wydania) napisać prawdy o przyczynach morderstwa, popełnionego na jej towarzyszach. A przecież wiedziała, że Stanisław Bobiński, Wacław Bogucki, Stanisław Budzyński, Stanisław Buczkiewicz, Henryk Walecki, Adolf Warski, Jakub Hanecki (Fürstenberg), Maria Koszutska (Wiera Kostrzewa), Bernard Sachs, Zdzisław Leder (Władysław Feinstein), Julian Leszczyński (Leński), Józef Krasny (Rosztadt), Edward Próchniak i wielu, wielu jej innych towarzyszy broni zginęło z rąk stalinowskich oprawców pod zarzutem „wysługiwania się” burżuazyjnej Polsce.

Wolała o tym milczeć, że oprawców tych „kształcił” jej własny mąż i że nie oszczędzili oni ani jej przyjaciela z lat dzieciństwa, członka KC Samuela Łazowerta, ani Stefana Bratmana (Brodowskiego) i jego żony, z którymi przez wiele lat mieszkała w jednym mieszkaniu w Krakowie, a później na emigracji w Szwajcarii i których syn wychowywał się razem z jej synem, Janem.

Zrozumiałe, dlaczego Zofia Dzierżyńska nie wspomniała w swoich pamiętnikach, że więzienia warszawskie i carska katorga mogły uchodzić za sanatoria w porównaniu z Gułagami, które pozakładał jej mąż Feliks, pierwszy przewodniczący „Komisji Nadzwyczajnej”. Komisja ta stworzyła już w latach 20-tych organy „Czerwonego Terroru”, radziecką służbę bezpieczeństwa i obozy, na których mógł wzorować się później Hitler.

Dzierżyńska poświęciła prawie trzecią część swoich pamiętników apoteozie postaci i działalności Feliksa. Dowiadujemy się z nich o jego przywiązaniu do żony, do syna, miłości do dzieci, zwierząt domowych i przyrody oraz muzyki niemal równej tej, jaką przejawiali esesmani, a w szczególności hitlerowskie załogi obozów śmierci.

Feliks, ten szlachecki syn z Wileńszczyzny, który tyle dekla-

mował o miłości narodu polskiego, dowiódł całą swoją osobo-wością, a szczególnie działalnością w ZSSR nie mniej niż Stalin, jak ustrój, wznoszony przez nich przemocą, i fanatyzm ideowy czynią z ludzi normalnych inkwizytorów i katów, jak zniekształcają one pojęcia i język, jak nadużyte przez nich hasła internacjonalizmu i patriotyzmu prowadzą do szowinizmu i agresji, jak rodziły one antysemityzm i ludobójcze poczynania w stosunku do różnych narodowości.

Pamiętniki Dzierżyńskiej odsłaniają zaś pośrednio martyrologię polskich komunistów, początki antysemityzmu sowieckiego oraz prześladowania ludności polskiej w ZSSR w wyniku daremnych prób wyszkolenia jej młodzieży na kadry, predestynowane do rządzenia Polską i założenia w niej podstaw ustroju sowieckiego.

Zofia Dzierżyńska została ochrzczona jako dziecko, kiedy po śmierci jej matki, Salomei z Lipkinów, ojciec jej, Zygmunt Muszkat, ożenił się z malarką Karoliną Szmurło i w następstwie tego małżeństwa przyjął chrzest. Wprawdzie Zofia uczęszczała do polskiej szkoły, chodziła modlić się do kościoła, ale większość jej kolegów z lat dzieciństwa i pracy rewolucyjnej, tak samo, jak i wielu towarzyszy jej męża, byli bądź pochodzenia żydowskiego lub też żydowskimi działaczami robotniczymi, w tym również należącymi do „Bundu”. Jej samej wypadło pracować wśród krawców i szewców żydowskich, a jej krewni Unslichtowie, Lipkinowie, ciotka Landy, nigdy nie wyrzekli się formalnie wiary swoich przodków, ani też nie zaprzeczyli czy też ukrywali kiedykolwiek swojego pochodzenia narodowego. Dzierżyńska wspomina w swoich pamiętnikach o zagładzie brata, Czesława, ciotki Anny Landy i rodziny matki w obozie oświęcimskim; wspomina też dr. Goldszmidta — Janusza Korczaka, który opiekował się jej synem, wują dr. Mariana Muszkata, znanego lekarza biedoty żydowskiej w Klecku. U niego to przebywał wiele lat jej syn Jan, kiedy była na zesłaniu, ale słowo „Żyd” pozostało tabu na przestrzeni kilkuset stron jej przygnębiających i z tego też powodu odpychających wręcz memuarów. Tylko wtajemniczeni wiedzą o tym, że ojciec jej pochodził z rodziny znanego rabina praskiego, uczestnika powstania styczniewego, a zarazem jednego z pierwszych „Miłośników Syjonu”, tych zwiastunów współczesnych syjonistów, i że on to wpłynął na swego bratanek, Chaima Eliezera, autora broszur, pisanych w duchu „socjalizmu” proroków, by porzucił domowe pielesze w Brześciu Litewskim i podjął się podróży do Palestyny, w ekspedycji rabina Mohilera, współtwórcy syjonizmu w ogóle, a jego religijnego odgałęzienia w szczególności. Tylko wtajemniczeni wiedzą, że nie tak zupełnie daleki jej krewny, Zdzisław Muszkat, należał do przywódców żydowskiej socjalistycznej partii „Bundu” pod okupacją i usiłował ją wskrziesić w latach powojennych; że jego bratanek Marian osmielił się w 1956 roku, postępując się oświadczeniem działacza

niemieckich socjalistów Augusta Bebla, oświadczyć na zebraniu partyjnym, że konik antysemitki sprowadza PZPR do rządu „socjalizmu głupców”, „socjalizmu” który w 1968 roku stał się w Polsce nie po raz pierwszy w dziejach bolszewizmu socjalizmem exodusu i prześladowań.

Ale powiedzmy sobie, że to tylko nieznamość szczegółów rodowych wpłynęła na przemilczenie „hańbiących” momentów genealogii. Dlaczego jednak zabrakło Dzierżyńskiej odwagi choć jednym słowem wspomnieć że zięć Warskiego i więzień „Pawia-ka” z 1926 roku, jej krewny, członek KC Henryk Muszkat i tyłu jej przyjaciół zgładzonych zostało tylko dlatego, że byli pochodzenia żydowskiego, co wystarczyło, by oprawcy jej męża mogli ich oskarżać o nacjonalizm żydowski (choć tak, jak jej kolega szkolny, późniejszy członek KC, Samuel Łazowert, nic wspólnego nie mieli z żydostwem, pochodząc częstokroć z rodzin od szeregu pokoleń całkiem zasymilowanych lub nawet chrzczonech)?

Pamiętnik, który w poprawionym na prośbę PZPR wydaniu miał podkreślić patriotyzm Dzierżyńskich, mimo woli uwypukła, jakimi to środkami przymusu Feliks wciągał Polaków zamieszkałych w Rosji do swoich agend. Czynił to, by ich przygotować do walki o sowietyzację Polski, do pracy, w wyniku której Polska miała być pozbawiona niepodległości i przekształcona w republikę rządzoną z Kremla i na modłę sowiecką. Na te wysiłki Feliksa Dzierżyńskiego rzuca jeszcze bardziej ponure światło wydany niedawno pamiętnik Estery Rozenal-Sznajderman³, komunistki, która w 1926 roku uciekła z Polski do „raju sowieckiego”. Już wtedy była ona świadkiem narastającego w Sowietach antysemityzmu i martyrologii ludności polskiej, zamieszkałej w okręgu Marchlewszczyzny i poza jego granicami. Autorka zetknęła się tutaj z Dzierżyńską, która stała wówczas na czele biura „Polonii” sowieckiej, i od niej to otrzymała instrukcje, opracowane przez jej męża: „Wszystko w naszej pracy musi być skierowane na przygotowanie kadr dla zdobycia i rządzenia Polską po sowiecku”. Autorka opowiada o sprzeciwie większości miejscowych Polaków przeciwko tej polityce, o tym, jak „krwawy Feluś”, pomimo aresztów i zesłań młodzieży i nauczycieli szkół polskich, nie zdołał zdobyć posłuchu u swoich rodaków; mówi o tym, jak nie tylko kościoły, ale i Instytut Pedagogiczny w Kijowie przy ul. Rylskiego 10, stał się, mimo okrutnych prześladowań, twierdzą opornej polskości. Tu nawet Polacy-członkowie partii, parodiując narodowy hymn białoruski, ułożyli o stalinowskiej polityce polskiej następujący wiersz:

*„Od wieków my spali,
i nas przebudzili*

3. Ester Rozenal-Sznajderman, *Naftuley Drahim* (Na Bezdrożu), Wyd. Kibuc Meuchad, Tel-Aviv 1972. *Zeszyty Historyczne* Nr 49 z 1979 r., art. „Na eksport”.

*i w dupę nam dali
i znów położyli”.*

— kończąc tę pieśń refrenem-nadzieją, że znów powstaną, że wara Felusiowi od Warszawy i że do Polski będzie mógł wrócić tylko po to, by zawisnąć na szubienicy.

Autorka opowiada o zagładzie polskich działaczy, między innymi członków KC partii polskiej, białoruskiego robotnicarza Wacława Boguckiego, wybitnego działacza Kominternu i Profinternu, posądzonego o sympatię do kraju; i szefa wydziału kultury i informacji dla ludności polskiej, Skarbka, oskarżonego o ukrycie swych rodzinnych związków z Fryderykiem Skarbkim, wybitnym polskim ekonomistą ubiegłego wieku, i z Aleksandrem Skarbkim, posłem do parlamentu austriackiego w latach 1911-1918, a później przez wiele lat posłem z ramienia endecji w Sejmie. Autorka opowiada o radości, jaka ogarnęła ludność polską w Sowietach, gdy dowiedziała się w lipcu 1926 roku o śmierci Dzierżyńskiego.

Wtedy to nastąpiły pierwsze masowe areszty działaczy i zwykłych robotników polskich oraz Żydów polskiego pochodzenia, m.in. Anny Turskiej, Karola Wojsławskiego, żony Skarbka (i jej niemowlęcia), Sokołowskiej, Leszczyńskiej, Brodowskiego i innych.

Wtedy to zaczęło się także kolejne zamykanie wpierw polskich, a później i żydowskich, a nawet niektórych ukraińskich i białoruskich instytucji kulturalnych i oświatowych i tendencje rusyfikacyjne wzięły górę. Jednocześnie, jak wynika także pośrednio z pamiętnika Dzierżyńskiej, dawny internacjonalizm ustąpił nawet słownie propagandzie wojennej, a czasem i uzasadnieniu aliansu z Niemcami hitlerowskimi, pomyślanego w pierwszym rzędzie jako narzędzie podboju Polski i republik nadbałtyckich.

Pamiętnik Rozental-Sznajderman nie pozostawia i pod tym względem żadnych wątpliwości.

W niedawno wydanej biografii jednego z najwybitniejszych kanclerzy niemieckiej republiki weimarskiej, Józefa Wirtha, jest mowa o tym, jak w 1922 roku Sowiety pomogły pokonanym Niemcom wyjść z izolacji za cenę uzbrojenia Armii Czerwonej i jej współdziałania z „czarną” Reichswehrą dla ponownego rozbioru Polski⁴.

Marian MUSHKAT

4. G. Erlar & K. O. Sattler (Hrsg), *Die Unterlassene Ehrung des Reichskanzlers Joseph Wirth*, Freiburg 1980.

HITLER W ŚWIETLE OSTATNICH BADAŃ HISTORYCZNYCH

W 1945 roku Hitler był ogólnie uważany za demona, który systematycznie wprowadzał w życie diabelski plan opracowany w dwudziestych latach, zamienił Niemcy w najpotężniej uzbrojone państwo na świecie i sprowokował wojnę światową, która trwała przeszło sześć lat, kosztowała życie około sześciu milionów ludzi i przejdzie do historii jako jeden z jej najkrwawszych i najokrutniejszych rozdziałów.

Ostatnie badania historyczne postawiły pod znakiem zapytania szereg głęboko zakorzenionych przekonań i rzuciły nowe światło zarówno na osobę Hitlera jak i na sposób, w jaki udało mu się osiągnąć nieprzerwaną serię sukcesów.

Rezultaty tych badań zostały przedstawione ostatnio w dwóch książkach: *The Meaning of Hitler* Sebastiana Haffnera i *Hitler* prof. Normana Stone'a¹.

Okazuje się, że Hitler pochodził z raczej zamożnej rodziny, nigdy nie był biedny, nigdy nie był malarzem pokojowym, natomiast chciał uczyć się malarstwa w Austriackiej Akademii Sztuk Pięknych; nie zdał jednak egzaminu wstępnego. Do władzy doszedł w sposób całkowicie legalny, opierając się na konstytucji tak jak jego poprzednicy, najprawdopodobniej nie był odpowiedzialny za spalenie Reichstagu, kryzys austriacki wywołał Schuschnigg, który z własnej inicjatywy pojechał do Hitlera. Potęga militarna Rzeszy była w dużej mierze oparta na bluffie. Odbudowa gospodarki niemieckiej (dziś nazwalibyśmy to „cudem gospodarczym”) nie miała prawie nic wspólnego z dobrojeniem. Zwycięstwa w latach 1939/1940 zawdzięczał głównie nieudolności przeciwników. W tym miejscu trzeba jednak podkreślić, że żaden z autorów nie stara się umniejszyć odpowiedzialności Hitlera za zbrodnie popełnione podczas rządów narodowych socjalistów.

Nie sposób tu omówić wszystkich poruszonych wyżej problemów. Zainteresowanym doradzamy przeczytanie obydwu książek: napisane są zwięźle, jasno i bardzo interesująco. Zajmiemy

1. Sebastian Haffner (b. korespondent w Niemczech pisma *The Observer*); *The Meaning of Hitler*, Weidenfeld i Nicolson, London 1979, 165 str., cena £ 5.85; Norman Stone, *Hitler*, Hodder and Stoughton, London 1980, 195 str., cena £ 6.95. N. Stone jest profesorem historii w Trinity College, Cambridge i autorem znakomitej książki *The Eastern Front 1914-1917*.

się natomiast sprawą odbudowy gospodarczej Niemiec i dobrojenia.

Obydwoj autorzy są zdania, że jedynym prawdziwym i — jeżeli tak można powiedzieć — niezależnym osiągnięciem Hitlera była odbudowa gospodarki niemieckiej.

Faktem jest, że w 1933 roku Niemcy znajdowały się na dnie kryzysu gospodarczego, a liczba bezrobotnych przekroczyła 6 milionów. W trzy lata później bezrobocie zniknęło i gospodarka zaczęła wręcz odczuwać brak sił roboczych. Niektóre przemysły, jak np. przemysł włókienniczy, nie zdołały odzyskać równowagi. Ograniczenia w handlu zagranicznym spowodowały trudności z zakupem produktów rolniczych i niektórych surowców i stały się przyczyną braków niektórych produktów na rynku, chętnie wyolbrzymianych przez przeciwników politycznych.

Ogólny dobrobyt był jednak widoczny. Przemysł samochodowy rozbudował się do nieznanych przedtem rozmiarów. W 1931 roku Niemcy wyprodukowały 70.000 samochodów (Francja — 200.000), a w roku 1938 — 340.000 (Francja — 224.000). Przemysł elektryczny i radiowy oraz produkcja dóbr konsumpcyjnych rozbudowały się w tych samych rozmiarach. Przeciwnicy starali się wytłumaczyć te zdumiewające osiągnięcia rozbudową przemysłu wojennego. Cyfry przytoczone poniżej zaprzeczają temu.

Odrodzenie gospodarcze zaczęło się w pewnej mierze jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy. Prof. Stone powinien być poświęcić więcej uwagi polityce tzw. gospodarczego *appeasement'u*, w wyniku której Hitler mógł pozaciągać dowolne pożyczki na dogodnych warunkach, podczas gdy Polska nie mogła sobie pozwolić na zakup najpotrzebniejszych surowców, niezbędnych dla dozbrojenia armii. Głównym jednak powodem odrodzenia była stabilizacja stosunków wewnętrznych. Niemcy doszli do przekonania, że okres rewolucji, masowych strajków i zamieszek należy do przeszłości. Zaczęli pracować i oszczędzać. Dzięki masowym oszczędnościom i wzrostowi dobrobytu uniknięto inflacji i deficytu budżetowego, pomimo że przedsięwzięto roboty publiczne na wielką skalę. Hitler nie był ekonomistą i kierował się głównie zdrowym rozsądkiem. Największą jednak jego zasługą było znalezienie odpowiednich ludzi, jak np. Schachta, danie im wolnej ręki i udzielenie pełnego poparcia.

Sprawa dozbrojenia Niemiec powinna być nareszcie postawiona jasno. Po wojnie panowało przekonanie, że Hitler stworzył ogromną machinę wojenną, a jego sukcesy na polu polityki zagranicznej, a później na polach bitew były wynikiem druzgocącej przewagi militarnej. Pogląd ten był oczywiście podtrzymywany przez ludzi odpowiedzialnych za przebieg wypadków po stronie przeciwnej, gdyż jedynie w ten sposób mogli oni pomniejszyć ciężącą na nich winę. Znalezienie po wojnie w niemieckich ministerstwach dane były pomijane milczeniem celem utrzymania wygodnej legendy.

Zacznijmy od cyfr: Prof. Stone podaje następujące dane dotyczące produkcji samolotów (Niemcy i Wielka Brytania)²:

	1939	1940	1941	1942	1943
Niemcy	8.300	10.200	11.800	15.400	24.800
Wielka Brytania	7.900	15.000	20.100	23.700	26.000

Dodać do tego można produkcję czołgów i samochodów ciężarowych³:

	1939	1940
Niemcy:		
Czołgi	1.640	3.790
Sam. panc. itp.	500	1.300
Sam. ciężarowe	88.000	86.000
W. Brytania:		
Czołgi	1.400	4.845
Sam. panc. itp.	6.000	10.500
Sam. ciężarowe	113.000	110.000

Większość ogromnych funduszy, o które zwiększono budżet wojenny Niemiec w połowie lat trzydziestych, poszła na tzw. budżet wegetacyjny, tzn. na koszty koszar, umundurowania i żywienia wojska, którego ilość nagle wzrosła z ok. 100.000 do przeszło miliona, a nie na sprzęt wojenny⁴. Z wyjątkiem lotnictwa armia niemiecka była znacznie słabsza od francuskiej, zarówno pod względem sprzętu i wyposażenia jak i ilości rezerwistów. Generałowie niemieccy zdawali sobie z tego sprawę i do końca nie wierzyli w możliwość wygrania wojny na froncie zachodnim. Nie mogąc przekonać o tym Hitlera, przed każdą nową ofensywą zaczęli spiskować i myśleć o obaleniu reżymu.

Zachowane niemieckie dokumenty, poparte danymi statystycznymi, dowodzą że przemysł niemiecki został przestawiony na pełną produkcję wojenną dopiero po załamaniu się niemieckiej ofensywy najpierw pod Rostowem a później pod Moskwą.

Jeszcze w 1943 roku przemysł niemiecki wyprodukował 12.000 ton papieru dla tapetowania prywatnych mieszkań, i prawie 5.000 ton oleju dla produkcji kosmetyków⁵. W tym samym czasie produkcja tzw. dóbr konsumpcyjnych w Wielkiej Brytanii została prawie całkowicie zawieszona. W tym samym czasie przeszło 3,5 mln mężczyzn w dalszym ciągu pracowało w administracji państwowej i partyjnej, a równowartość szeregu dywizji

2. N. Stone, *op. cit.*, str. 124.

3. Płk Albert Seaton, *The Russo-German War 1941-1945*, A. Barker, London 1971, str. 276.

4. N. Stone, str. 52.

5. N. Stone, str. 123.

SS zajmowała się obozami koncentracyjnymi, likwidowaniem Żydów itp.

Jedyny plan systematycznego dozbrojenia został opracowany w Wielkiej Brytanii w drugiej połowie 1935 roku i, choć z opóźnieniem, wprowadzony w życie, co pozwoliło Churchillowi nie tylko na wygranie bitwy o Wielką Brytanię, ale również na szybką odbudowę armii po klęsce w 1940 roku we Francji, i na wysłanie w tym samym czasie większej ilości sprzętu do Egiptu i rozbicie Włochów.

Jest rzeczą oczywistą, że uwagi powyższe nie dotyczą stosunku sił na froncie polskim, gdzie Niemcy mieli druzgocącą przewagę, choć zaangażowali mniejszy procent sił niż nam się to początkowo wydawało. Warto tu przytoczyć mały szczegół. Prof. Stone twierdzi⁶, że w 1933 roku, w chwili opuszczenia przez Niemców Ligi Narodów i Konferencji Rozbrojeniowej, zarówno sztab jak i Ministerstwo Spraw Zagranicznych niemieckie poważnie obawiały się reakcji rządu polskiego. Niemcy mieli wówczas 7 dywizji, Francuzi ok. 90, a Polacy prawie 40. Sztab niemiecki liczył się z możliwością polskiej interwencji, która mogłaby pociągnąć za sobą Francję, a nawet bez pomocy zachodniego sprzymierzeńca położyć kres aspiracjom niemieckim.

Hitler zawsze był przekonany, że do wojny musi dojść i chciał ją wywołać możliwie najwcześniej, obawiając się, że plan dozbrojeniowy Stalina zamieni Rosję w fortecę nie do zdobycia. Poza tym chciał zakończyć wojnę, póki jeszcze był w pełni sił. Dlatego też zwycięstwa niemieckie nie były wynikiem planowania na długą metę, tylko krótkofalowe, jak np. plan Meinsteina w 1940 roku a później ofensywa na Bałkanach. Planowanie operacji Barbarossa, o ile można to tak nazwać, jest przykładem jak tego rodzaju kampanii nie należało przygotowywać. Powodzenia swe armia niemiecka zawdzięczała głównie doskonałemu dowodzeniu oraz słabości i nieudolności przeciwnika. Zdecydowana postawa Anglii i Rosji⁷ położyły kres sukcesom opartym o improwizację, nawet jeśli czasami była to improwizacja genialna.



Z opozycją przeciwko Hitlerowi łączy się książka J. G. de Beusa *Tomorrow at Dawn*⁸. Autor był sekretarzem poselstwa

6. N. Stone, *op. cit.*, str. 68.

7. W sprawie kampanii we Francji 1940 *vide*: Guy Chapman, *Why France Collapsed*, Cassel 1968. Doskonała książka gen. Beaufré, przetłumaczona na wszystkie języki, tłumaczy, dlaczego Francja nie była zdolna do ofensywy. W sprawie kampanii niemiecko-rosyjskiej, poza wymienioną pracą płk. Seatona, podstawową książką jest prof. J. Ericksona *The Road to Stalingrad*, London 1975.

8. J. G. de Beus, *Tomorrow at Dawn*, W. W. Norton & Co., New York. Francuskie wydanie pt. *L'Invisible Informateur. Berlin 1939-1940*, Editions France-Empire. Paris 1980, str. 241, cena F. 46.

holenderskiego w Berlinie w latach 1930/1940 i zakończył swą karierę po wojnie jako ambasador.

W pierwszej części zawiera ona wspomnienia dotyczące Polski. Bezpośrednio przed wojną autor był w Gdańsku i barwnie, choć nie zawsze ściśle opisuje przygotowania do zajęcia miasta przez hitlerowców i wybuch wojny. O obronie Westerplatte pisze on np., że kompania SS w sile 225 ludzi przewieziona na pancerniku Schleswig-Holstein zaatakowała Westerplatte i została odrzucona z dużymi stratami, gdyż Polacy zbudowali szereg podziemnych bunkrów, w których zainstalowali artylerię i zamienili półwysep w fortecę nie do zdobycia.

Całe bohaterstwo obrony Westerplatte polega na tym, że nie było tam prawie żadnych umocnień poza pięcioma wartowniami: były to zwykłe budynki, których dolne części były przystosowane do obrony i obliczone na ogień średniej artylerii. Uzbrojenie składało się z jednego działka 3-calowego (działka naszych DAK-ów), 4 moździerzy 81 mm i 16 ckm. Działko oddało tylko 8 strzałów i zostało rozbite przez artylerię pancernika Schleswig-Holstein (stało na betonowej platformie a nie w bunkrze). W żadnej historii działań wojskowych w Polsce nie znalazłem wzmianki o kompanii SS przywiezionej na niemieckim pancerniku. Westerplatte atakowały 2 kompanie gdańskich formacji paramilitarnych wspieranych ogniem Schleswig-Holstein, a później bombowce i oddziały niemieckiej piechoty.

Następny rozdział jest poświęcony ewakuacji korpusu dyplomatycznego z Warszawy. Zawiera on kilka wyjątków z dziennika dziekana korpusu dyplomatycznego, norweskiego ministra Dietlefa. Polskie dowództwo najwyraźniej chciało jak najdłużej zatrzymać cudzoziemców w Warszawie i dlatego też gen. Rómmel robił trudności ze znalezieniem samochodów ciężarowych dla cudzoziemców, nie posiadających własnych samochodów (a może po prostu rzeczywiście miał trudności ze znalezieniem 15 samochodów ciężarowych w oblężonej Warszawie). W końcu cały personel dyplomatyczny, łącznie z obywatelami krajów wówczas jeszcze neutralnych i polskim personelem przez nie zatrudnionym, został ewakuowany.

Najważniejsza część książki dotyczy kontaktów pomiędzy holenderskim *attaché* wojskowym w Berlinie, majorem (później płk.) G. J. Sasem a płk. (później gen.) Hansem Osterem, kierownikiem jednego z oddziałów Abwehry.

Oster, który znał dobrze Sasa, zdecydował się na użycie go jako jednej z dróg przekazywania informacji państwom zachodnim (inne kanały to znana już dziś próba nawiązania kontaktu via dr Müller i Watykan oraz mniej znana próba nawiązania przez Canarisa kontaktu via Polski Drugi Oddział w Bernie).

Historia kontaktów Oster-Sas jest typowym przykładem trudności związanych z wykorzystaniem informacji otrzymanych

nawet z najlepszych źródeł. Sas nie miał dobrych osobistych stosunków z szefem wywiadu holenderskiego, który uważał go za „entuzjastę”. Osoba informatora nie była znana sztabowi holenderskiemu, wiadano tylko, że jest to oficer zajmujący wysokie stanowisko w sztabie niemieckim. Holendrzy nie wierzyli, ażeby pruski oficer na tym stanowisku mógł zdradzać własne państwo i bali się, że informacje mogłyby być prowokacją sztabu niemieckiego. Poza tym daty rozpoczęcia ofensywy, podawane przez Ostera, okazały się szereg razy nieścisłe. Hitler często zmieniał w ostatniej chwili decyzję a Oster nie miał bezpośredniego dostępu do najwyższych szczebli dowództwa armii i opierał się głównie na informacjach uzyskanych w czasie odpraw i rozmów w biurze Canarisa.

Jak zwykle w podobnych wypadkach, zadecydowały tu dwa elementy. Politycy, generałowie i urzędnicy na wysokich szczeblach mają zazwyczaj wyrobione zdanie na temat sytuacji międzynarodowej i odnoszą się z najwyższą nieufnością do informacji wskazujących na to, że ocena ich była fałszywa. Równocześnie kierownicy wywiadów zawsze podejrzewają, że przeciwnicy celowo chcą ich wprowadzić w błąd. Trzeba przyznać, że trudno mieć pretensje do rządu, który odmówił zarządzenia generalnej mobilizacji w oparciu o informację uzyskaną z jednego, choćby najbardziej wiarygodnego źródła.

Oster podał dokładnie datę ataku na Norwecję, ale z wyżej podanych powodów nie została ona przekazana Wielkiej Brytanii i Norwegii i możliwość zadania porażki Hitlerowi została zaprzeczona. Podał również datę ataku na Holandię i Belgię. Także to ostrzeżenie zostało zlekceważone, głównie z powodu szeregu podobnych informacji przekazanych uprzednio i później odwoływanych.

Warto tu przypomnieć, że Stalin otrzymał przeszło 80 informacji o planowanej przez Hitlera kampanii przeciwko Rosji i aż do końca uważał je za prowokację, do tego stopnia, że kazał rozstrzelać komunistów, dezertków z armii niemieckiej, którzy podali dokładną datę rozpoczęcia ofensywy. Dzięki temu Niemcy uzyskali całkowite zaskoczenie.

Pozostają dwa pytania: dlaczego Oster zdradzał plany operacji wojskowych własnego kraju i dlaczego Gestapo nie wykryło intrygi i nie aresztowało go w 1940 roku?

Jak już poprzednio pisałem, istniała w Niemczech grupa konserwatywna, związana ideologią, o ile można to tak nazwać, pruskich junkrów. Uważali oni, że każda metoda pozwalająca na zachowanie podstaw społeczno-ustrojowych na których opierała się Rzesza Niemiecka przed 1914 rokiem może i powinna być użyta. Po rewolucji 1918 roku grupa ta poparła elementy totalitarne i skrajnie nacjonalistyczne i utorowała im drogę do władzy, uważając, że jest to jedyne antidotum na rewolucję. W latach 1939/1940 w sztabie niemieckim panowało głąboko za-

korzenione przekonanie, że ofensywa na zachodzie musi zakończyć się klęską armii niemieckiej, co w rezultacie grozić będzie nową rewolucją. Oster i inni myślący tak jak on mieli nadzieję, że o ile Belgia i Holandia przedsięwzją na czas odpowiednie środki obrony i pozbawią Hitlera korzyści zaskoczenia, może on zmienić zdanie i zawrzeć pokój. W przeciwnym razie armia niemiecka będzie musiała przegrać wojnę, a czym szybciej to nastąpi, tym lepiej. Szybka przegrana zmniejszy straty i pozostawi armię wystarczająco silną, ażeby mogła przeciwstawić się nowej rewolucji w stylu 1919 roku. Równocześnie ostrzeżenie państw neutralnych które znalazłyby się w obozie antyniemieckim wbrew ich woli pozwoli na zachowanie choć częściowo ich przyjaźni⁹. Jest to typowy przykład sytuacji, w której interesy polityki wewnętrznej biorą górę nad patriotyzmem.

Słuchając rozmów telefonicznych pomiędzy poselstwem holenderskim a rządem w Hadze Gestapo nabrało przekonania, że jakiś informator w niemieckim Sztabie Generalnym przekazuje informacje Holendrom. Zarządzone dochodzenie doprowadziło do Ostera. Canaris „uzupełnił” raport nazwiskami, wskazując na możliwość współpracy z informatorem Holendrów kilku zaufanych przyjaciół Hitlera, tak że w końcu, w euforii wywołanej prawie natychmiastowym załamaniem się Francji, Hitler wrzucił raport do kosza.

Tadeusz HEINRICH

9. Szczegóły dotyczące opozycji przeciwko Hitlerowi w Niemczech można znaleźć w opracowaniu P. Hoffmann, *The German Resistance* (tłumaczenie z niemieckiego, London 1974).

LISTY DO REDAKCJI

Warszawa, dnia 30 kwietnia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Natrafiałem na numer 54 *Zeszytów Historycznych*, w którym zamieszczony jest artykuł Jerzego R. Krzyżanowskiego pt. „Teatr AK w Sowietach”. Autor historię obozowego teatru zaczyna od przypomnienia pewnych faktów i dat.

1. Pomijając wiele nieścisłości dotyczących stanu liczbowego obozu AK pod Riazaniem w Diagielewie w latach 1944-1947 nie uwzględnia najliczniejszej grupy, która do obozu w Riazaniu przybyła w pierwszej połowie kwietnia 1945 roku z obozu w Ostaszkowie. Byli to przeważnie żołnierze i oficerowie Armii Krajowej z terenu objętego działalnością Komendy Okręgu Białostockiego AK, liczyła ona łącznie około 1.515 ludzi.

W Riazaniu była to grupa najliczniejsza, chociaż najbiedniejsza w stan oficerski, do którego należeli często b. komendanci obwodów, członkowie Sztabu Okręgu Białostockiego AK, dowódcy placówek lub oddziałów partyzanckich.

Z tej grupy oficerów najwięcej znalazło się później z wyrokami sądowymi w więzieniach i obozach pracy — *isprawiłno trudowych łagierach*, jak por. Mieczysław Lebedziński, por. Janusz Dombrowicki, ppor. Lech Łoś i wielu innych.

Grupy tej pomijać nie należało.

2. Po masowej głodówce latem 1947 roku jednym z miejsc rozproszenia obozu w Diagielewie koło Riazania były Borowicze, położone na północny wschód od stacji kolejowej Bałagoje na linii kolejowej Moskwa - Leningrad.

3. Nie prostuję i nie uzupełniam innych danych zawartych w artykule. Byłem w grupie ostaszkowskiej, następnie w Borowiczach, a powróciłem do kraju w końcu grudnia 1956 roku po dwunastu latach pobytu w ZSSR w warunkach różnych form pozbawienia wolności.

Jeżeli Pan Redaktor uzna za stosowne, proszę o zamieszczenie tego listu w *Zeszytach Historycznych*, gdyż każda wzmianka dotycząca faktów historycznych tego okresu może przydać się historykom do obiektywnej oceny zdarzeń i losów poszczególnych ludzi, którzy w okresie wojny tę historię tworzyli.

Składam wyrazy szacunku i uznania,

Leon ŁOŚ

POPRAWKA HISTORYCZNA

Łyzka dziegieciu może zepsuć beczkę miodu. Usterki pracy dobrej są szczególnie rażące.

Historia dwudziestolecia jest książką wymienitą i na pewno będzie miała wielu czytelników. Stanie się podręcznikiem, „biblią”, w której nowe pokolenia będą szukały prawdy o fałszowanej dotąd w kraju przeszłości. Nakłada to na autora, redaktora i wydawcę szczególne obowiązki i obciąża wielką odpowiedzialnością. O ile autor historycznej pracy badawczej zazwyczaj wskazuje źródła, z których czerpie swe wiadomości, w podręczniku nie ma odsyłaczy i jego autor sam jest autorytetem, gwarantującym prawdziwość tego co swoim uczniom do nauki podaje.

Daleki jestem od kwestionowania autorytetu naukowego śp. Pawła Zaremby. Nie zawsze zgadzałem się z nim co do szczegółów i ich interpretacji, ale nigdy nie spotkałem się z niezajomością lub przeinaczeniem historycznych wydarzeń. I oto na stronie 93 *Historii Dwudziestolecia* czytam, że od 5 stycznia 1919:

„Wilno jest w rękach rosyjskich. Nie poprzestając na tym, Armia Czerwona zajmuje 17 stycznia także Kowno. Rząd litewski musi się schronić pod opiekę wojsk niemieckich, pilnujących komunikacji przez teren Żmudzi z Łotwą, ciągle przez Niemców okupowaną. Pozostanie rządem bez władzy aż do końca kwietnia 1919 roku, gdy będzie mógł powrócić do Kowna opuszczonego przez Armię Czerwoną wskutek zdobycia Wilna przez wojska polskie”.

Te cztery zdania to doprawdy pasztet „pół na pół” z zajacą prawdy i konia fantazji. Prawdą jest, że od 5 stycznia do 19 kwietnia 1919 Wilno było w rękach rosyjskich, a litewski rząd Taryby, schroniwszy się pod opiekę wojsk niemieckich, pozostawał bez władzy, a reszta to wszystko nieprawda.

Mogę to pisać, gdyż w owym czasie mieszkalem w Kownie oraz bywałem w Wilnie i na Żmudzi. Pomimo to — czy właśnie dlatego — przez ostatnie przeszło 60 lat staram się śledzić wszystko, co na temat owych wydarzeń było ogłaszane; z fantastycznymi szczegółami podanymi w *Historii Dwudziestolecia* spotykam się po raz pierwszy i doprawdy nie wiem, jakie jest ich źródło.

W rzeczywistości sprawy przedstawiały się jak następuje:

Jeszcze w grudniu 1918, pomimo nalegań przybyłego z brytyjską eskadrą do Rygi późniejszego marszałka Alexandra, *Soldatenrat* okupującej kraje bałtyckie VIII armii niemieckiej odmówił dalszego udziału w walkach i Ryga (Łotwa) została zajęta przez Armię Czerwoną 1 stycznia 1919, czyli na kilka dni przed Wilnem.

Inaczej było w Kownie, dokąd dosłownie w przeddzień rewolucji w Berlinie przyjechał specjalny pełnomocnik rządu niemieckiego, Ludwik Zimmerle, ze stu milionami marek „posagu”. Potrafił on nawiązać doskonałe stosunki ze znajdującym się w Kownie *Soldatenrat*em X armii niemieckiej i jej oddziały zachowały zdolność bojową. Dlatego też Armia Czerwona nie próbowała nawet posuwać się w stronę Kowna. Ruszyła natomiast na Żmudź, gdzie przejściowo osiągnęła bodaj Szawle, Rosiejnie i Telsze. Czyli wypadki toczyły się akurat odwrotnie niż to podaje *Historia*.

Litewski „rząd bez władzy” po wyjeździe z Wilna w grudniu 1918 pozostawał w Kownie do końca swego istnienia, początkowo pod ochroną i na

garnuszku Zimmerlego, którego — na prośbę Piłsudskiego — wyrzucił z Kowna francuski generał Niessel dopiero w listopadzie 1919 roku.

Przed wyprawą wileńską Piłsudski wysłał do Kowna swych poufnych emisariuszy, Michała Romera i Zygmunta Jundziłła, z sugestią by wraz z oddziałami polskimi do Wilna wkroczyły symboliczne chociażby oddziały litewskie. Sugestia nie spotkała się z przychylnym przyjęciem i stosunki polsko-litewskie wyrównane nie zostały.

Podaję te szczegóły bez pretensji, że nie zostały uwzględnione w *Historii*. Jej tekst w tym wypadku chciałbym raczej skrócić niż rozszerzyć. Moim zdaniem, zamiast przytoczonych wyżej czterech zdań wystarczyłoby jedno, najwyżej dwa. Że Wilno od 5 stycznia do 19 kwietnia 1919 pozostawało w rękach rosyjskich, oraz że litewski „rząd bez władzy” znalazł bezpieczne schronienie w Kownie pod osłoną i opieką wojsk niemieckich.

Wprowadzenie tych poprawek na stronie 93 bardzo bym zalecał wszystkim nabywcom i posiadaczom *Historii Dwudziestolecia*. Usunęliby w ten sposób łyżkę dziegiu z beczki doskonałego miodu.

Wiktor SUKIENICKI

Stanford w kwietniu 1981



Monachium, w czerwcu 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Zeszytach Historycznych* (nr 56, str. 169) pani major Maria Trojanowska, cytując formułkę zaocznego wyroku pięciu lat „obozów pracy poprawczej”, mylnie podaje, jakoby ciałem ferującym ów wyrok był *Wierchownyj Sowiet*, czyli Rada Najwyższa, ów sowiecki, pozał się Boże, parlament. Takimi drobiazgami, jak 5 czy 8 lat „pozbawienia wolności”, grono to się nie zajmuje, pozostawiając to sądom albo — jak w konkretnym wypadku — Specjalnemu Kolegium Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, czyli osławionemu *Osso*¹. Instytucja ta znana była z dyskrecji, stąd wstręt do pozostawiania pisemnych dowodów jej niezbyt chwalebnej działalności. Podałbym, do którego zastosowano normalną procedurę karną, otrzymywał na piśmie zarówno akt oskarżenia jak i odpis wyroku sądowego, ale osobnikowi skazanemu zaocznie komunikowano *jedynie ustnie*, że na posiedzeniu owegoż sławetnego Kolegium — a nie Rady Najwyższej — w takim a takim to dniu, w Moskwie, skazany został za przestępstwo przewidziane paragrafem, powiedzmy 58/10, na trzy, pięć czy osiem lat. Formułkę tę, jak i datę zaznajomienia się z nią, zapamiętałem dość dobrze, bo tak się złożyło, że odczytano mi ją w kancelarii więziennej w dniu moich imiennin, a owo posiedzenie Specjalnego Kolegium NKWD, na którym — jak z wisielczym humorem kpiliśmy — papuga wyciągnęła mi wyrok pięciu lat, miało miejsce miesiąc wcześniej, w dniu mych urodzin. Nawiasem mówiąc, owa „papuga” miała wyraźną predylekcję do cyfr 5 i 8, rzadziej 3.

Skąd się jednak w relacji p. Trojanowskiej wziął ów *Wierchownyj*

1. Taką pisownię tego skrótu przyjąłem w *Sprawiedliwości sowieckiej* (Włochy 1945), kierując się li tylko fonetycznym przekazem. Już po ukazaniu się książki natknąłem się na dokument kołymski — było to jakies zaświadczenie w wewnętrznym obrocie międzyobozowym, niestety, nie zarejestrowałem danych — w którym ów skrót widniał jako *O/Sow*. A. Sołżenicyn w swoim *Archipelagu* (wydanie rosyjskie YMCA-Press, Paryż 1973, str. 280) podaje *OSO*. Która z tych trzech wersji jest poprawna, nie wiem.

Sowiet? W dokumentach wydanych „podopiecznym” wiadomych organów owa nobliwa instytucja występowała tylko w zaświadczeniu (*udostowierienie*), jakie każdy obywatel polski zwolniony na podstawie „amnestii” otrzymywał od władz obozowych czy więziennych NKWD. Tekst tego dokumentu był jednolity na całym terenie „kraju rad” i *Gułagu*, a więc zarówno w *Siewdwinłagu* nad Morzem Białym, jak i w znanych p. Trojanowskiej *Tiemnikowskich ITŁach*, czy w kołymskim *Dalstroju*.

Przykład:

Z S S R
Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych
ONEŻSKI
Obóz Pracy Poprawczej

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Data

Lp.

Stacja Plesieckaja Półn. kolei
Skrzynka poczt. nr 238

Okaziciel niniejszego obywatel (nazwisko, imię, patronimik)
rok urodzenia miejsce urodzenia na podstawie
Dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSSR został amnestiowany jako polski
obywatel i ma prawo wolnego pobytu na terytorium ZSSR, z wyjątkiem pasa
pogranicznego, stref zabronionych, miejscowości, w których ogłoszono stan
wojenny oraz miast zastrzeżonych² pierwszej i drugiej kategorii.

Obywatel udaje się do wybranego przezeń miejsca pobytu
.....

Zaświadczenie niniejsze ważne jest trzy miesiące i podlega wymianie na
paszport.

Pieczęć okrągła z godłem ZSSR. Napis: Ludowy Komisariat Spraw
Wewnętrznych Zarząd Oneżskiego Obozu Pracy Wychowawczej. Dwa podpisy,
Naczelnika Zarządu Onegłaga NKWD i Naczelnika 2 Oddziału.

Jest co najmniej ciekawe, że w tak ważnym dokumencie nie podano
daty dekretu³, na którego podstawie dokument wydano (niechlujstwo, prze-
oczenie, bałagan wojenny?). Brak też bliższego określenia, na jaki to
paszport (sowiecki, polski?) ów dokument należy wymienić.

Mam nadzieję, że Czytelnicy *Zeszytów*, jak też p. Trojanowska, nie
wezmą mi za złe tego drobiazgowego wywodu. Wyznaję, że do napisania
tego listu skłoniło mnie losowe pokrewieństwo z autorką fascynującej relacji
o „Nieudanej wyprawie kurierskiej”. Ja też dostałem zaocznie pięć lat
„za granicę”, z tym jednak że próbowałem w przeciwnym kierunku, spod
okupacji sowieckiej, poznałem też więzienie przesyłkowe w Charkowie i
ostatecznie wylądowałem, jak i p. Trojanowska, w Tatiszczewie.

Jeśli już mowa o Tatiszczewie, chciałbym pozwolić sobie na dygresję,
drobne wspomnienie, jakie przez odległe tylko asocjacje łączy się z relacją

2. W brzmieniu oryginalnym: *reżimnych gorodow*.

3. Data ta, 12 sierpnia 1941, figuruje natomiast w analogicznych zaświadczeniach wydanych jeńcom wojennym, którymi „opiekował się” Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego (NKGB).

p. Trojanowskiej, jak też z „raportem” śp. gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza w tychże *Zeszytach* (str. 124-157). W grudniu 1941 roku odwiedził nas, 5 dywizję, generał Sikorski. Po nabożeństwie polowym i defiladzie zjawił się wśród braci żołnierskiej, jaka, nie bacząc na mróz, wyległa z półziemiarek, półnamiotów, by z bliska zobaczyć legendarnego ojca narodu z dalekiego Londynu. Tak się złożyło, że zatrzymał się przed ziemiankami mojej kompanii i po regulaminowym „czołem żołnierze”, ni stąd ni zowąd zapytał: „Kochacie Naczelnego Wodza”? W pierwszej chwili nas zatkało — czegoś takiego regulamin piechoty nie przewidział — ale stojący za Sikorskim gen. Anders dał nam znak głową, więc huknęliśmy: „Tak jest, Panie Generale”! A potem nie było końca dociekaniom, co też mogło go skłonić do tego rodzaju pytania. O tym co się działo na Wyspie, o intrygach i spiskach, jak też o tej mniejszej wyspie, na której przebywali ci, co do których Naczelną Wódz miał wątpliwości, czy aby go dość gorąco kochają, w owym czasie, na nadwożańskim stepie, pojęcia nie mieliśmy.

Kazimierz ZAMORSKI

23 maja 1981.

Drogi Panie Redaktorze,

Spieszę sprostować zawinioną przeze mnie, przykrą omyłkę korektorską w ostatnim numerze *Zeszytów Historycznych* (nr 56), w komentarzu do korespondencji dyplomacji francuskiej z roku 1939, poświęconej staraniom o rozszerzenie sojuszu polsko-rumuńskiego. Na str. 214, w wierszu 12 u góry, tam gdzie mówię, że także Moskwa upomniała się o rozszerzenie tego sojuszu, jako obliczonego dotąd wyłącznie na wypadek agresji — zamiast dodać, jak należało: *rosyjskiej*, napisałem: niemieckiej, co jest oczywistym nonsensem, bo sojusz ten istotnie był obliczony tylko na wypadek agresji ZSSR, o czym jest zresztą wyraźnie mowa cały czas zarówno w mym wstępie jak i w cytowanych dokumentach dyplomatycznych. Mam nadzieję, że ten lapsus nie zdezorientował uważnego czytelnika, jednak dla wszelkiej pewności niniejszym go prostuję i demaskuję!

Przy tej sposobności pragnę dorzucić ciekawe świadectwo b. ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie w tym okresie, A. J. Biddle'a, zawarte w jego wspomnieniach a podkreślone przez Wacława Jędrzejewicza w nrze XII *Niepodległości*, na str. 214/215. Otóż w dniu 1 września, czyli zaraz po wybuchu wojny, zapewne popołudniu, Beck zwierzył się Biddle'owi poufnie, iż „Lord Halifax poinformował go, że teraz zrozumiał politykę Becka w stosunku do Rumunii”, tj. odmowę rozszerzenia na Niemcy sojuszu polsko-rumuńskiego, na co nalegały Francja i Rumunia. Powtórzona jest przy tym, cytowana w mym komentarzu i w notach dyplomatycznych, znana argumentacja strony polskiej, akcentująca obawę, że „takie zbliżenie [Polski] z Rumunią przerzuciłoby Węgry do obozu niemieckiego”.

Jak zaś uzasadnione i realne było niebezpieczeństwo podporządkowania się Węgier dyktatowi Berlina, świadczą wspomnienia ówczesnego posła polskiego w Budapeszcie, Leona Orłowskiego, ogłoszone w tymże nrze XII i następnym XIII *Niepodległości*, nie mówiąc już o innych przekazach, jak np. Diariusz Szembeka.

Łączę serdeczny uścisk dłoni,

Władysław ŻELEŃSKI

SPIS TREŚCI

Marceli Handelsman: <i>Absolutyzm oświecony</i>	3
<i>Recenzja z Moskwy o polskich podręcznikach historii</i>	73

DOKUMENTY

Jan Ciechanowski: <i>Armia Polska w Rosji w świetle dziennika szefa sztabu z 1942 roku</i>	92
--	----

WSPOMNIENIA

Alfred Kolator: <i>Żagaryści</i>	128
Witold Ptasznik: <i>Spóźniony raport dowódcy plutonu „Bukareszt”</i>	140
Gen. Wacław Piekarski: <i>Działalność KOP-u w brygadzie „Podole” (raport dla gen. T. Kasprzyckiego)</i>	158
T. Ch. Bagramian: <i>Życiorys „polskiego marszałka”</i>	169
Janina Stobniak-Smogorzewska: <i>Osada krechowiecka</i>	175

CI, CO ODESZLI

<i>Komandor Konrad Namieśniowski</i>	189
Wacław Makowski: <i>Nad grobem płk. Bogdana Kwiecińskiego</i>	191
	239

RECENZJE

Józef Lichten: <i>Żydzi w Polsce Dwudziestolecia</i>	195
Kazimierz Smogorzewski: <i>Najnowsza historia od strony magła</i>	204
Tadeusz Lisicki: „Szwajcarski korytarz”	217
Marian Mushkat: <i>Na marginesie pamiętników Zofii Dzierżyńskiej (przyczynek do dziejów stosunków polsko-sowieckich)</i>	220
Tadeusz Heinrich: <i>Hitler w świetle ostatnich badań historycznych</i>	226

LISTY DO REDAKCJI

Leon Łoś: <i>Uzupełnienia do artykułu Jerzego R. Krzyżanowskiego o teatrze AK w Sowietach (Zeszyty Historyczne nr 54)</i>	233
Wiktor Sukiennicki: <i>Poprawka historyczna do książki „Historia dwudziestolecia” Pawła Zaremby</i>	234
Kazimierz Zamorski: <i>Przyczynek do relacji Marii Trojanowskiej pt. „Nieudana wyprawa kurierska” (Zeszyty Historyczne nr 56)</i>	235
Władysław Żeleński: <i>Sprostowanie do materiałów o sojuszu polsko-rumuńskim (Zeszyty Historyczne nr 56)</i> ..	237

de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
 Achevé d'imprimer le 20 juillet 1981 sur les presses
 Dépôt légal : 3^e trim. 1981.

F. 45,00